

ERICA SPINDLER

TYLKO CHŁÓD

PROLOG

Czerwiec 1978

Południowa Kalifornia

Trzynastoletnia Harlow Anastazja Grail wciąż drżała z przerażenia, wciśnięta w kącie ciemnego, pozbawionego okien pokoju, a zapłakany Timmy rozpaczliwie tulił się do niej.

Wyświechtany dywan cuchnął moczem, podobnie jak materac, na którym ocknęli się parę godzin wcześniej. A może jednak parę dni? Harlow nie miała pojęcia, bo straciła poczucie czasu. Nie wiedziała też, czy na dworze jest dzień, czy noc. Nie wiedziała nic od momentu, kiedy Monika, niania od lat obdarzana bezgranicznym zaufaniem, pchnęła ją i Timmy'ego w stronę samochodu.

W środku siedział mężczyzna o imieniu Kurt, a przynajmniej tak zwracała się do niego Monika. Dziewczynka zapamiętała jego zimny, okrutny uśmiech. Natychmiast zrozumiała, że ten człowiek chce ich skrzywdzić. Z krzykiem rzuciła się do drzwiczek, ale mężczyzna brutalnie przytrzymał Harlow, a Monika wstrzyknęła jej coś, co spowodowało, że cały świat od niej odpłynął.

- Chcę do domu - chlpał Timmy. - Do mamy.

Przytuliła go jeszcze mocniej, chcąc ochronić przed wszelkim złem. To z jej winy się tu znaleźli i dlatego musi zrobić wszystko, żeby jak najmniej ucierpiał.

- Nie płacz, będzie dobrze - szepnęła. - Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł do nich fragment telewizyjnych wiadomości:

- ...porwanie trzynastoletniej Harlow Grail i jej młodszego kolegi, Timmy'ego Price'a. Harlow Grail jest córką aktorki, Savannah North Grail, i chirurga plastycznego z Hollywood, Corneliusa Graila. Dziewczynka została uprowadzona spod dużej stajni, stanowiącej część majątku Grailów. Sześcioletni synek zarządzającej majątkiem pani Price poszedł za Harlow i też został uprowadzony. Prawdopodobnie był to jedynie przypadek. Przedstawiciele FBI uważają, że porwanie...

Usłyszeli gwałtowne uderzenie w stół.

- Sukinsyn!

- Kurt, uspokój się...

- Mówiłem im, co się stanie, jeśli wezwą policję! Durnie z Hollywood! Mówiłem...

- Kurt, na miłość boską, tylko nie...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły w przeciwległą ścianę. Zobaczyli

dyszącego i pobladłego z wściekłości Kurta. Za nim stanęła przerażona Monika i jeszcze jedna kobieta, na którą mówili Sis. W jej oczach również czaił się strach.

- Twoi rodzice nie posłuchali dobrych rad - syknął nabrzmiałym nienawiścią głosem Kurt. - Ale jeszcze tego pożałują!

- Wypuście nas! - krzyknęła Harlow, wraz z Timmym wciskając się mocniej w ką. Chłopiec wczepił się w nią, płacząc coraz głośniej.

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

- Ty rozpieszczona suko! Najpierw muszę dostać to, o co mi chodzi!

Podszedł do nich i jednym ruchem oderwał od niej Timmy'ego.

- Harlow! - wrzasnął przerażony chłopiec.

- Zostaw go! - Zerwała się na równe nogi, żeby bronić Timmy'ego, ale Sis i Monika wyskoczyły zza Kurta i złapały ją za ręce.

Dziewczynka próbowała im się wyrwać, ale były silniejsze. Mocno oplotły ją ramionami, wbijając paznokcie w ciało. Kurt rzucił chłopca na brudny materac i przytrzymał go kolanem.

- Popatrz, księżniczko, do czego doprowadzili twoi rodzice - rzucił zjadliwie. - Nie chcieli mnie słuchać. A uprzedzałem, żeby nie kontaktowali się z policją. Durnie z Hollywood!

Kurt jednym ruchem przycisnął wierzgającego chłopca do materaca. Wziął poduszkę i położył ją na jego twarzy. Timmy zaczął tracić oddech.

- Nie!!! - Miała wrażenie, że ten okrzyk odbił się setką ech od ścian pomieszczenia. - Nie!!!

Chłopiec walczył. Drapał i wierzgał, ale widać było, że powoli traci siły. Harlow patrzyła na to z przerażeniem. Błagała mężczyznę, żeby puścił Timmy'ego. Łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach.

Timmy znieruchomiał.

- Timmy! Nie! - krzyknęła po raz ostatni.

Kurt podniósł się z materaca. Kiedy się do niej obrócił, zauważyła zły uśmiezek, który igrał na jego wargach.

- Teraz ty.

Razem z Moniką zaciągnęli ją do kuchni. Harlow mówiła sobie, że musi walczyć, ale mogła jedynie błagać o litość. Monika brutalnie wyprostowała jej rękę i położyła na popękanej, brudnej umywalce, a Kurt ostro zakomenderował:

- Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy!

Harlow dostrzegła błysk metalu. Były to duże nożyce albo sekator. Z przerażenia nie mogła się ruszać, ale krzyk sam narastał w gardle. Kurt chwycił jej prawą dłoń i zacisnął nożyce na małym palcu. Najpierw poczuła dojmujący ból, a potem usłyszała chrzęst przecinanej kości. Umywalka zabarwiła się na czerwono.

Świat zawirował przed oczami Harlow, a potem pojawiła się gęstniejąca mgła. Na koniec zapadła nieprzenikniona ciemność.

Ból rozchodził się falami od obandażowanej dłoni aż do końca ramienia. Był rozdzierający i przypominał przypiekanie na ogniu. Miała sucho w ustach, a kiedy próbowała przełknąć ślinę, czuła smak żelaza. Zagryzła wargi, żeby nie zacząć płakać. Musi zachować bezwzględną ciszę. Kurt i kobiety przecież myślą, że wciąż śpi po silnym środku uśmierzającym ból, który dostała od Moniki. Ale Harlow tylko udawała, że go połknęła.

Ból nieco zelżał i dziewczynka odetchnęła z ulgą. Ze strachu i poczucia beznadziejności chciało jej się płakać. Jednak po chwili ból znów zaatakował, i to z jeszcze większą siłą niż poprzednio. Czując, że za chwilę może zemdleć, zaczęła miarowo oddychać. Wiedziała, że musi zachować przytomność. Nie wolno poddać się bólowi i przerażeniu. Musi żyć. Podśluchiwała, że dzisiejszej nocy jej rodzice mają zostawić okup. Kurt mówił, że puści ją, kiedy dostanie pieniądze. Wiedziała jednak, że jest obrzydliwym, perfidnym kłamcą. Zabił Timmy'ego, mimo że ten w niczym mu nie przeszkadzał. Biedny mały Timmy. Chciał tylko pójść do mamy.

Domyślała się, że Kurt ją też chce zabić. Nieważne co mówił, bo na pewno to planował. Ona ma co prawda zaledwie trzynaście lat, ale nie jest głupia. Wciąż pamiętała jego minę.

Harlow ostrożnie wstała z materaca, uważając na skrzypiące sprężyny, i podkrađła się do drzwi. Przycisnęła ucho do gładkiego drewna. Usłyszała głos Kurta, ale nie zrozumiała dokładnie, o czym on mówi. Chodziło chyba o nią i odbiór pieniędzy. Tak, to miało stać się tej nocy.

Harlow szybko wróciła na materac. Ułożyła się na nim jak poprzednio i zamknęła oczy. Usłyszała szcęk zamka, a potem odgłos otwieranych drzwi. Ktoś przeszedł przez pomieszczenie i stanął przy materacu. Drzwi stały otworem. Dlaczego ich nie zamknęli? Pewnie ze środkiem przeciwbólowym dali jej coś na sen i myślą, że twardo śpi.

Tajemniczy ktoś pochylał się nad nią i Harlow poczuła zapach starszej z kobiet, Sis. Była to mieszanina woni róż i zasyпки dla dzieci, która tylko trochę zagłuszała wstrętny fetor papierosów.

Sis pochylała się jeszcze bardziej. Harlow poczuła na twarzy jej oddech i musiała

uważać, żeby nie cofnąć się z obrzydzeniem.

- Moja słodka - szepnęła kobieta - niedługo będzie po wszystkim. Kurt dostanie swoje pieniądze i cię wypuści.

Więc już po nie pojechał. By ocaleć, musiała działać jak najszybciej.

- Nie mogłam go wtedy powstrzymać. Był bardzo zły, a wtedy nie ma na niego siły. Twój rodzice zrobili błąd, bo nie powinni byli nikogo informować. To tylko ich wina. To oni... - skrzeczała niczym Baba Jaga. - To oni są wszystkiemu winni. Zrobiłam wszystko, żeby ocalić tego chłopca.

Nic nie zrobiłaś, stara wiedźmo, pomyślała Harlow. Mogłaś pomóc Timmy'emu, zamiast teraz nad nim biadolić. Nienawidzę cię.

- Zaraz wrócę. - Kobieta pocałowała ją w czoło, a Harlow z trudem powstrzymała okrzyk obrzydzenia. - Śpij spokojnie, mała księżniczko. Nie możesz teraz zrobić nic lepszego, jak tylko spać.

Sis wyszła, zamykając za sobą drzwi. Dziewczynka wsłuchiwała się w panującą wokół ciszę. Nie, nie było słychać żadnego szcęknięcia zamka. Wystarczy nacisnąć klamkę, żeby stąd uciec. Otworzyła oczy. Była sama. Usiadła z bijącym sercem na materacu, bojąc się wykonać jakikolwiek gwałtowniejszy ruch. Poczowała mdłości i przytrzymała się ściany, żeby nie upaść. Oddychała wolno przez nos, starając się pozbierać myśli.

Po chwili mdłości minęły, ale wciąż siedziała bez ruchu. I myślała. Przypuszczała, że znajduje się w małym, położonym na uboczu domku, bowiem nie słyszała ani ujadania psów, ani przejeżdżających samochodów. Nikt też nie dzwonił do drzwi. Czasami dało się tylko słyszeć śpiew ptaków, a także, dwukrotnie, wycie kojota.

Co robi, jeśli nikogo nie znajdzie w pobliżu? Albo jeśli się zgubi? Albo, co gorsza, natknie się na wygłodniałe kojoty? Ucieczka albo śmierć, powiedziała sobie w duchu, próbując opanować drżenie. Kurt na pewno ją zabije, więc jeśli chce przeżyć, za wszelką cenę musi się stąd wydostać!

I oto ma okazję. Jedyłą i niepowtarzalną.

Harlow wstała i chwiejnym krokiem podeszła do drzwi. Delikatnie je uchyliła. Pokój wyglądał na pusty. Telewizor był włączony, a w popielniczce na poręczu fotela spoczywał niedopalony papieros. Chmura dymu unosiła się pod sufitem.

Teraz! - pomyślała. Muszę uciekać!

Nie myśląc o bólu i mdłościach, podbiegła do drzwi wyjściowych. Przez chwilę mocowała się z zamkiem, a potem wybiegła na zewnątrz. Było ciemno jak w grobie. Harlow, histerycznie szlochając, pędem ruszyła do przodu. Szybciej, byle szybciej! Przebiegła przez

piaszczyste podwórko, sforsowała wysoki żywopłot i wylądowała w rowie. Błyskawicznie się z niego wygrzebała i nie oglądając się do tyłu, pomknęła przed siebie. Biegła po kiepsko utrzymanej drodze. Kiedy to sobie uświadomiła, aż krzyknęła ze szczęścia. Przecież ktoś musi tędy jeździć.

W tym samym momencie zobaczyła samochód, który wjeżdżał na wzgórze. Długie światła przecięły mrok. Po chwili się obniżyły i objęły szczupłą sylwetkę dziewczynki, która stała na środku drogi. Harlow nie miała nawet siły, żeby machać, lecz kierowca samochodu zobaczył ją i nacisnął klakson.

- Pomocy! - szepnęła i bezradnie opadła na kolana. - Proszę, pomóżcie mi.

Wóz zatrzymał się z piskiem. Ktoś otworzył drzwiczki. Usłyszała kroki na asfalcie.

- Zaczekaj, Frank! - Jakaś kobieta wychyliła się z samochodu. - A jeśli to...

- Daj spokój! Nie mogę tak... O Boże! Przecież to dziecko!

- Dziecko? - powtórzyła i wyskoczyła z auta. Harlow podniosła głowę, a kobieta aż otworzyła usta ze zdziwienia. - Popatrz na nią! Jest ruda! To na pewno mała Harlow Grail!

Mężczyzna pokręcił głową, jakby nie mógł w to uwierzyć. Dopiero po chwili zrozumiał, że może to być prawda, i ze strachem rozejrzał się dookoła.

- Boję się - kobieta z trudem panowała nad głosem. - Uciekajmy stąd jak najprędzej.

- Jasne. - Mężczyzna skinął głową, a potem wziął Harlow za rękę. - Już wszystko w porządku - mruknął, popychając ją w stronę auta. - Jedziemy do domu. Jesteś bezpieczna.

Harlow zadrżała i przywarła do niego całym ciałem. Ale już wtedy wiedziała, że pewnie nigdy już nie przestanie się bać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Środa, 10 stycznia 2001 roku

Nowy Orlean, Luizjana

- Timmy! Nie!

Anna poderwała się z łóżka i dopiero wtedy się obudziła. Jej czoło pokrywał zimny pot. Krzyk niczym mgła wisiał w powietrzu. Miała wrażenie, że wciąż rozbrzmiewa we wszystkich kątach sypialni.

Pisnęła z przerażenia i naciągnęła kołdrę po samą brodę. Rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. Kiedy zasypiała, lampka się paliła. Zawsze spała przy świetle. Jednak teraz pokój był ciemny, a złowrogie cienie tańczyły na ścianach. Co to miało znaczyć? Kogo kryły?

Kurta! Przyszedł po nią, żeby skończyć to, co zaczął dwadzieścia trzy lata temu. Żeby ukarać ją za to, że zdołała uciec i pokrzyżowała mu plany.

„Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy!“.

Anna krzyknęła i wyskoczyła z łóżka. Pobiegła do łazienki, która znajdowała się w korytarzu, padła na kolana i zdążyła jeszcze podnieść deskę od sedesu, a potem wszystko zwymiotowała. Tak, jakby można było zwymiotować złe wspomnienia...

Poczuła ból prawej ręki. Był tak palący, jakby Kurt zrobił to dosłownie przed chwilą. Spojrzała w stronę umywalki, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej małego palca, który jej oprawca odciął, a potem posłał rodzicom.

Przeszłość pomieszała się z teraźniejszością.

Nie, muszę być racjonalna, powiedziała sobie. To przecież zdarzyło się wieki temu. Nazywała się wówczas Harlow Anastazja Grail i była małą księżniczką z Hollywood. Całe życie temu. Całą inną tożsamość temu.

Przemyśla twarz zimną wodą, starając się zapomnieć o koszmarze. Pomyślała, że jest przecież bezpieczna. Znajdowała się w przyjaznych ścianach swego mieszkania, wśród znajomych sprzętów. Jedyne rodzice stanowili delikatną więź z tym, co się kiedyś zdarzyło, bo nie utrzymywała kontaktów z nikim ze starych znajomych z Kalifornii. Nikt z obecnych przyjaciół i współpracowników nie znał jej przeszłości, nawet wydawca i agent. Od dwunastu lat nazywała się Anna North. To wszystko. Gdyby Kurt chciał ją znaleźć, w żaden sposób nie mógłby jej wytropić.

Anna wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo i wytarła twarz. Kurt na pewno nie będzie jej szukał. Minęły przecież dwadzieścia trzy lata! Agenci FBI uważali, że

człowiek, którego znała pod tym imieniem, nie stanowi już dla niej zagrożenia. Najpewniej uciekł do Meksyku, co stawało się tym bardziej prawdopodobne, że sześć dni po ucieczce Harlow w przygranicznym miasteczku Baja odnaleziono zwłoki Moniki.

Zdegustowana własnym zachowaniem, ze złością rzuciła ręcznik na toaletkę. Kiedy wreszcie zapanuje nad strachem? Ilu lat trzeba, żeby mogła zasnąć bez światła? Kiedy w końcu przestaną ją dręczyć senne koszmary?

Gdyby tylko udało się złapać Kurta! Wtedy mogłaby zapomnieć. Mogłaby żyć, nie zastanawiając się, czy o niej myśli i czy chce się zemścić. Z powodu jej ucieczki nie dostał ani centa. Czy wciąż był na nią za to wściekły? Czy nadal chciał się mścić, bo pokrzyżowała jego plany?

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Twarz miała zaciętą. Tylko jedna rzecz wymykała się jej spod kontroli - nocne koszmary. Poza tym panowała nad wszystkim. Musi więc uczynić jeszcze jeden wysiłek i przestać bać się cieni przeszłości.

Anna wróciła do sypialni i z komody wyjęła szorty. Włożyła je pod koszulę nocną. Jeśli nie może spać, to będzie przynajmniej pisać. Od jakiegoś czasu męczyła ją pewna historia i stwierdziła, że właśnie teraz może zacząć nad nią pracować. Najpierw musi się tylko napić kawy.

Ruszyła do kuchni, zatrzymując się w swoim „gabiniecie“, na który składało się biurko stojące w kącie salonu. Włączyła komputer. Już chciała iść dalej, ale podeszła jeszcze do drzwi wejściowych i, jak to miała w zwyczaju, sprawdziła zamek.

W tym momencie usłyszała głośne walenie do drzwi i odskoczyła od nich z krzykiem.

- Anno, to ja, Bill!

- I Dalton.

- Nic ci nie jest?

To Bill Friends i Dalton Ramsey, jej sąsiedzi i najlepsi przyjaciele. Dzięki Bogu!

Trzęsącymi się rękami otworzyła zamek i uchyliła drzwi. Stojący na korytarzu mężczyźni spojrzeli na nią z niepokojem. Z dołu dobiegało ujadanie Judy i Boo, małych i sympatycznych kundelków należących do jej sąsiadów.

- Co, do licha...? Naprawdę nas wystraszyłaś.

- Słyszeliśmy, jak krzy...

- To ja usłyszałem ten krzyk - poprawił przyjaciela Bill. - Wracalem właśnie...

- Ale zawołałeś mnie - wtrącił Dalton, potrząsając marmurową figurką, miniaturą Dawida Michała Anioła. - Wziąłem to na wszelki wypadek.

Anna z uśmiechem pokręciła głową. Wyobraziła sobie ponad pięćdziesięcioletniego,

łagodnego jak baranek Daltona, który rzuca się z figurką na jakiegoś przestępcę.

- Na jaki wypadek? Sądzisz, że potrzebuję przycisku na biurko do moich notatek?

Bill zachichotał. Dalton spojrział na niego z urazą i pociągnął nosem.

- Nie kpij ze mnie. Naprawdę się bałem, że zjawił się tu jakiś złoczyńca.

Który zdążyłby zwać, zanim jej przyjaciele zorientowaliby się, co się w ogóle dzieje, dodała w myśli. To dobrze, że do tej pory nie potrzebowała żadnej ochrony.

Uśmiechnęła się do nich.

- Dziękuję za troskę. - Zrobiła zapraszający gest w stronę mieszkania. - Proszę, wejdźcie. Zrobię kawę do waszych beignetów.

- Beignety? - powtórzył z niewinną miną Dalton. - Doprawdy nie wiem, o czym mówisz...

Anna pogroziła mu palcem.

- Pachną jak nie wiem co. Nie uda się ich ukryć - stwierdziła. - Skoro już przyszłście mnie ratować, to musicie się nimi podzielić.

W Nowym Orleanie „beignetami“ nazywano kwadratowe pączki, posypane obficie cukrem pudrem. Jak wszystko w tym mieście, były one dekadentkie i niebezpiecznie nęcące, a już na pewno nie służyły dobrze osobom takim jak Dalton, który stale przysięgał, że właśnie się odchudza.

- To on mnie zmusił, żebym je kupił. - Dalton wskazał z wyrzutem na przyjaciela. - Sama wiesz, że nie pozwoliłbym sobie na taką rozpustę o drugiej nad ranem.

Bill przewrócił oczami.

- Tak, tak. A czyja figura wskazuje na większe umiłowanie... rozpusty?

Dalton spojrział na Annę, oczekując wsparcia. Młodszy od niego o dziesięć lat Bill wciąż był szczupły i świetnie zbudowany.

- To niesprawiedliwe! On je dwa razy więcej, a wcale nie tyje. A ja jem jak ptaszek, a i tak dorzuciłem ostatnio trzy kilogramy.

- Ptaszek? Chyba kondor! Zapytaj go o barbecue u Newtonsa - zwrócił się do Anny.

- Miałem fatalny dzień i musiałem to jakoś odreagować.

Anna zamknęła drzwi i ruszyła do kuchni, czując, jak wyparowują z niej resztki sennego koszmaru. Bill i Dalton w duecie zawsze ją śmieszyli. Nie przestawało jej też zadziwiać, że zgodnie żyją razem od wielu lat. Przypominali jej pawia i pingwina. Bill miał ostry język i stać go było na różne wyskoki, natomiast Dalton był spokojnym biznesmenem, z wyraźną tendencją do zrzędzenia i czepiania się najdrobniejszych szczegółów. Mimo to świętowali dziesiątą rocznicę swego związku.

- Nie obchodzi mnie, kto wpadł na ten pomysł - stwierdziła Anna, kiedy dotarli do kuchni. - Chcę tylko powiedzieć, że jestem głęboko wdzięczna. Druga w nocy to najlepsza pora na małe co nieco.

Tak naprawdę była im wdzięczna za przyjaźń, za to, że chcieli do niej przyjść. Poznała ich niedługo po przyjeździe do Nowego Orleanu. Ubiegała się wtedy o pracę w kwiaciarni w Dzielnicy Francuskiej. Nie miała żadnego doświadczenia zawodowego, tylko własny smak i styl. Poza tym potrzebowała pracy, która nie pożerałaby całego wolnego czasu. Chciała przecież zostać pisarką.

Dalton był właścicielem kwiaciarni. Natychmiast się dogadali. Doskonale rozumiał jej potrzeby i pochwalał to, że ma swoje zainteresowania. Nie obrażał się, że traktuje „Perfect Rose“ jak zwykłe miejsce pracy, a nie przedsięwzięcie wielkiej kariery.

Dalton przedstawił jej z kolei swojego partnera, Billa. Co więcej, poinformował o tym, że zwalnia się mieszkanie w domu, w którym nie tylko sam mieszkał, ale którego był również właścicielem. Obaj mężczyźni wzięli ją pod swoje skrzydła. Mówili jej, w jakich restauracjach warto jadać i do której pralni oddawać ubrania. Ba, znaleźli jej nawet świetną fryzjerkę. A kiedy poznała ich lepiej, pozwoliła im czytać swoje teksty. To właśnie Bill i Dalton pocieszali ją po odmowach z kolejnych wydawnictw i to oni cieszyli się z jej pierwszych sukcesów.

Uwielbiała ich i zrobiłaby wszystko, żeby byli szczęśliwi. I wiedziała, że to samo czują do niej. Pewnie broniliby jej nawet przed samym diablem wcielonym, czyli Kurtem.

Dalton, który odgadł nagłą zmianę nastroju Anny, obrócił się w jej stronę.

- O Boże! Przecież nie zapytaliśmy nawet, czy nic ci nie jest.

- Wszystko w porządku - powiedziała, stawiając mleko w garnuszku do podgrzania. Wyjęła z szafki trzy kubki i kostki mrożonej kawy z zamrażalnika. - Miałam po prostu zły sen.

Bill pomógł jej, wrzucając po kostce do przygotowanych kubków.

- Znowu? - Przytulił ją czule. - Biedna Anna.

- To te twoje chore książki - mruknął Dalton, precyzyjnie układając kwadratowe pączki na talerzu. - To przez nie masz koszmary.

- Chore? Bardzo ci dziękuję.

- No dobrze... mroczne - poprawił się Dalton. - Straszne, przerażające... Tak lepiej?

- Znacznie. - Wlała mleko do kubków i podała café au lait obu mężczyznom.

Przenieśli ciastka i kawę na niewielki stolik i usiedli. Dalton miał rację. Krytycy tak właśnie określali jej książki, klasyfikując je między horrorami a powieściami sensacyjnymi.

Niektórzy twierdzili też, że nie można się od nich oderwać. Żeby jeszcze zarabiała tyle, aby móc się utrzymać z pisania tych książek! Jej agent powiedział kiedyś, że czegoś w nich brakuje. A raczej w niej. I sama musi znaleźć sposób, by to przezwyciężyć.

- A przecież wyglądasz na zupełnie normalną, miłą kobietę. - Bill zniżył głos do pełnego napięcia szeptu. - Skąd więc biorą się te historie? Z doświadczenia? Nocnych eskapad? Cóż za potworności kłębią się w głębi tych niewinnych, zielonych oczu?

Anna zaśmiała się, głównie ze zwrotu „kłębią się w głębi“, ale tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu. Bill nawet nie mógł przypuszczać, jak bliskie prawdy są jego żarty. Sama doświadczyła tego, jak źli mogą być ludzie. Na własne oczy widziała wcielenie bestii i miała wrażenie, że ten obraz trwale odcisnął się w jej pamięci. Ta wiedza naruszała jej wewnętrzny spokój, a czasami, tak jak dzisiaj, również i sen. A z drugiej strony żywiła się nią jej nieokiełznana wyobraźnia, która podsuwała pomysły do książek.

- Nie wiedzieliście, że muszę wszystkiego spróbować? - powiedziała, starając się zachować lekki ton. - Dlatego lepiej, żebyście nie zaglądali do bagażnika mojego samochodu i pamiętali o tym, żeby zamykać drzwi na noc.

Mężczyźni spojrzeli na siebie z konsternacją i dopiero po chwili wybuchnęli śmiechem.

- Bardzo zabawne, nie ma co mówić. Zwłaszcza że w twojej ostatniej książce ginie para gejów - westchnął Dalton.

- A skoro już o tym mowa... - Bill stał palcem drobinę cukru pudru ze stolika. - Czy miałaś jakieś nowe propozycje?

- Nie, jeszcze nie. Ale to zaledwie parę tygodni. Nawet nie macie pojęcia, jak wolno pracują wydawnictwa.

Bill pokręcił z dezaprobatą głową. Pracował w reklamie i public relations, gdzie tempo było podstawową sprawą.

- W mojej branży nie przetrwałyby nawet miesiąca. U nas trzeba być szybkim. Wóz albo przewóz.

Anna skinęła głową, a potem ziewnęła. Uniosła dłoń, nie mogąc powstrzymać kolejnego ziewnięcia. Dalton zerknął na zegarek.

- Ojej, nie wiedziałem, że już tak późno! - Nagle uderzył się dłonią w czoło. - Och, Anno! Zapomniałem ci powiedzieć, że przyszedł kolejny list od twojej wielbicielki. Tej, która mieszka w Mandeville, po drugiej stronie jeziora. Przysłała go do kwaciarni.

Przez moment nie wiedziała, o kogo mu chodzi, ale potem sobie przypomniała. Parę tygodni temu dostała list od jedenastoletniej dziewczynki, która podpisała się Minnie. Dotarł

do jej wydawnictwa wraz z paroma innymi.

Ten list oczarował ją, chociaż Anna wcale nie była zadowolona, że tak małe dziecko czytało jej książki. Wciąż pamiętała, że sama kiedyś też była ufną dziewczynką, która traktowała świat jako miejsce dobre, przyjazne i piękne. Kiedyś, to znaczy przed porwaniem.

Minnie obiecała, że jeśli Anna jej odpisze, to stanie się jej największą wielbicelką. Na kopercie narysowała stokrotki i serca, oraz napisała jedno słowo: „Czekam“. Anna była tak bardzo poruszona, że nie zwlekając, odpisała jej osobiście.

Dalton wyjął nieco pogniecioną, jasnożółtą kopertę z kieszeni dresu i podał Annie. Przyjęła ją, marszcząc brwi.

- Zabrałeś ten list ze sobą?

Bill przewrócił oczami.

- Wziął go zaraz po tym, jak chwycił Dawida. Dobrze, że przy okazji nie postanowił zwrócić ci wszystkich książek, które od ciebie pożyczyliśmy.

Dalton spojrzał na niego z urazą.

- Byłem szybki jak błyskawica.

- Nie zwracaj uwagi na Billa - poprosiła Anna, rzucając ostrzegawcze spojrzenie drugiemu mężczyźnie. - Wiesz, jaki jest. Naprawdę jestem ci wdzięczna, że o mnie pamiętałeś.

Bill wskazał kopertę. Tak jak poprzednia była ozdobiona kwiatkami i sercami, i widniało na niej jedno słowo: „Czekam“.

- Ten list przyszedł do „Perfect Rose“, a nie do twojego agenta - zauważył.

- Od razu do kwaciarni...? - powtórzyła, czując gwałtowne ukłucie w sercu. No tak, właśnie w tym przypadku zapomniała o ostrożności i żeby szybciej odpowiedzieć dziecku, skorzystała z firmowej papeterii „Perfect Rose“. Jak mogła być tak głupia i nieostrożna?

- Otwórz go - poprosił Bill. - Pewnie jest tam coś interesującego.

Sama była ciekawa. Miała wielką frajdę, kiedy czytelnicy chwalili jej książki. Jednak z drugiej strony przerażały ją tak bliskie kontakty z zupełnie obcymi ludźmi, a zwłaszcza to, że poprzez książki poznawali jej myśli i uczucia. Nie potrafiła pisać tak, żeby się nie odsłaniać.

Otworzyła niezgrabnie kopertę, wyjęła list i zaczęła go czytać. Bill i Dalton nie potrafili powstrzymać ciekawości i zerkali jej przez ramię.

Droga Pani North!

Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy przyszedł Pani list. Jest Pani najlepszą powieściopisarką na świecie - przysięgam! Moja kotka też tak myśli. Jest rudobiała i ma

niebieskie oczy. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Obie najbardziej lubimy pizzę i cheetosy, ale on nie pozwala, żebyśmy je często jadły. Kiedyś ściągnęłam ich całą paczkę, którą zjadłyśmy razem z Tabithą. Lubię słuchać Backstreet Boys i kiedy mnie wypuszcza, oglądam „Dawson’s Creek“. Tak się cieszę, że będzie Pani moją przyjaciółką. Czasami czuję się taka samotna. Szkoda tylko, że nie chce Pani, żebym czytała te wszystkie książki. Może i racja. Jak Pani chce, to nie będę. On nie wie, że je czytam, i byłby zły, gdyby się o tym dowiedział. Czasami mnie przeraża.

Pani przyjaciółka Minnie

Anna przeczytała raz jeszcze ostatnie linijki, czując dreszcz, który przebiegł jej ciało. On ją przeraża. Nie pozwala jej jeść pizzy i cheetosów.

- Co to znowu za „on“? - spytał Dalton. - Jak myślisz, czy to jej ojciec?

- Sama nie wiem - odparła, marszcząc brwi. - To może być też dziadek albo wujek.

Wygląda na to, że z nim mieszka.

- Wcale mi się to nie podoba. - Bill skrzywił się. - Co to znaczy: „kiedy mnie wypuszcza“? Skąd ją wypuszcza? Chyba nie trzyma jej w więzieniu?!

Trójka przyjaciół spojrzała na siebie niepewnie. Chwile ciągnęły się w nieskończoność. W końcu Anna chrząknęła i zaśmiała się sztucznie.

- Dajcie spokój, przecież to ja zajmuję się wymyślaniem niesamowitych historii, a wy tylko uważajcie, żebym za bardzo nie fantazjowała.

- To prawda. - Dalton uśmiechnął się blado. - Dzieciaki myślą, że dorośli im wszystkiego zabraniają. Pamiętam, że kiedy miałem trzynaście lat, czułem się bardzo ograniczany przez rodziców.

- Dalton ma rację - przytaknął Billy. - Poza tym gdyby ten facet był naprawdę taki zły, na pewno nie pozwoliliby Minnie, żeby do ciebie pisała. Musi jakoś wysłać te listy.

- Jasne. - Anna odetchnęła z ulgą i włożyła list z powrotem do koperty. - Jest trzecia w nocy i pewnie dlatego wszystko wyolbrzymiamy. Myślę, że powinniśmy iść spać.

- Zgadza się. - Bill ruszył do drzwi, lecz zaraz się zatrzymał. - Chociaż z drugiej strony stało się niedobrze, że podałaś jej adres naszej kwaciarni. Wiesz, jacy ludzie czytają te twoje horrory, i w końcu jakiś wariat cię tu odnajdzie.

- Na przyszłość będę uważać - zapewniła go, rozcierając gęsią skórkę, która pojawiła się na jej ramionach. - A na razie nie mamy się czym przejmować. Jedenastoletnia dziewczynka nie zrobi mi chyba nic złego.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czwartek, 11 stycznia

Dzielnica Francuska

- Coś takiego, chcesz powiedzieć, że ta mała musi się wykradać? - spytała Jaye Arcenau, dopiwszy przez słomkę mochasippi. - Ależ to niesamowite! Ekstra!

Jaye, „młodsza siostra“ Anny, skończyła właśnie piętnaście lat i wszystko było dla niej „super“, „ekstra“ albo „zakręcone“. Anna spojrzała na nią z rozbawieniem.

- Ekstra? Wcale mi się tak nie wydaje.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi. No, że to historia nie z tej ziemi. - Dziewczyna pochyliła się w jej stronę. - A ty tak nie uważasz?

- Jasne, że nie! W tym wszystkim jest coś dziwnego i sama nie wiem, czy powinnam odpisywać na ten list.

- Tylko dziwnego? - Jaye sięgnęła przez stolik, żeby odłamać kawałek czekoladowego ciastka Anny. - Przecież Dalton mówił, że ciarki chodziły wam po plecach.

- Przesadza. To zdarzyło się późno w nocy i wszyscy byliśmy zmęczeni... Ale dom tej dziewczynki rzeczywiście jest jakiś dziwaczny. Trochę się o nią martwię.

- Właśnie. Wiesz, że znam się na tym, jak nikt inny. Widziałam tak różne domy...

Anna musiała z bólem przyznać, że to prawda, zrobiła jednak wszystko, by nie pokazać po sobie, jak bardzo jest jej z tego powodu przykro. Jaye wcale nie potrzebowała litości. Bez większych emocji zaakceptowała swoją przeszłość i chciała, żeby inni postępowali tak samo.

- Otóż to, i dlatego zależy mi na twojej opinii. Co o tym myślisz? - Anna sięgnęła do torebki i wyjęła list, który podała dziewczynie. - Być może zobaczyłam w nim coś, czego tam nie ma. W końcu wymyślanie problemów to mój zawód.

Jaye zaczęła czytać, a Anna przyglądała jej się z dużą przyjemnością. Dziewczyna była zadziwiająco piękna jak na swoje piętnaście lat. Miała wyraziste rysy i wielkie, ciemne oczy o intrygującym wyrazie. Tydzień temu zaszokowała Annę swoją płomiennorudą fryzurą, chociaż wcześniej była zdecydowaną brunetką o włosach w kolorze mokki.

Jej urodę psuła jedynie blizna biegnąca ukośnie przez usta. Była to ostatnia „pamiątka“ po brutalnym ojcu, który w pijackim szale rzucił w nią butelką po piwie. Jaye dostała prosto w usta, które rozszczepiły się niczym ogromna zajęcza warga. Sukinsyn nie zawiózł jej nawet do lekarza. I kiedy szkolna pielęgniarka zauważyła tę ranę w poniedziałek

rano, było już za późno na szycie. Na szczęście skontaktowała się przynajmniej z Pogotowiem Opiekuńczym. Jaye zyskała szansę na lepsze życie, a jej ojciec trafił do więzienia.

Anna poczuła, że ma ściśnięte gardło, i spojrzała w bok. Od czasu kiedy w różnych organizacjach zajmujących się dziećmi zaczęła zbierać materiały do swojej drugiej książki, podjęła działalność w Stowarzyszeniu Starszych Sióstr i Braci Ameryki. Rozmawiała z różnymi dziećmi, które zostały objęte programem, i była pod wrażeniem ich opowieści.

Przypomniały jej one o własnym dzieciństwie. Ona też czuła się samotna i szukała serdecznej opieki. Ona też wciąż się bała, chociaż te strachy miały zupełnie inny charakter i przyczynę. Z porywu serca postanowiła pomóc tym dziewczynkom i dlatego została „starszą siostrą“. Przecież nie miała nic do stracenia.

Zajmowała się Jaye już od dwóch lat. W tym czasie bardzo się do siebie zbliżyły, choć wcale nie było to łatwe. Jaye traktowała ją nieufnie i była bardzo cyniczna jak na swój wiek, a przy tym kłamała. Nie chciała mieć z Anną nic wspólnego. Wciąż cierpiała.

Anna starała się ją rozumieć i dzięki temu wytrwała. Przez dwa lata dotrzymywała wszystkich obietnic i słuchała, zamiast pouczać. Udzielała rad tylko wtedy, kiedy dziewczyna o nie prosiła, ale jednocześnie nie szła na żadne kompromisy.

W końcu Jaye zaczęła jej ufać. Potem przysłała sympatia, a może nawet coś więcej... W pewnym momencie Anna poczuła, że ma w Jaye prawdziwą przyjaciółkę. Wcale się tego nie spodziewała, kiedy zaczynała swoją działalność w Stowarzyszeniu. Chciała tylko pomóc skrzywdzonemu dziecku, a zyskała kogoś, komu bez reszty mogła zaufać. „Młodsza siostra“ wypełniła lukę w jej życiu, z której istnienia Anna nie zdawała sobie dotąd sprawy. Jaye podniosła oczy znad listu.

- Masz rację. Ten facet to drań.

Anna aż pochyliła się, jakby przygniecioną ciężarem tych słów.

- Jesteś pewna?

- Chciałaś, żebym powiedziała, co o tym sędzę.

- A co masz na myśli, mówiąc „drań“?

- Trudno powiedzieć. - Jaye wzruszyła ramionami. - Może to zwyczajny pijak, a może zboczeniec, który powinien siedzieć za kratkami.

Mówiła niby obojętnym tonem, ale Anna wyczuła całą jej gorycz.

- Zostawiasz mi spory wybór - bąknęła.

- Nie jestem pieprzonym psychologiem. - Jaye oddała jej list. - Moim zdaniem koniecznie powinnaś jej odpisać.

Anna zagryzła wargi. Brakowało jej pewności siebie, którą miała jej młoda przyjaciółka.

- Jestem dorosła, a ona to tylko dziecko. Boję się komplikacji. Nie chcę, żeby jej rodzice oskarżyli mnie, że się wtrącam. I nie mogę, tak po prostu, zapytać, czy ojciec ją zamyka.

- Powinnaś jednak coś wymyślić. - Jaye wytarła usta serwetką. - Minnie potrzebuje przyjaciółki.

Anna zmarszczyła czoło, nie bardzo wiedząc, co robić. Z jednej strony bała się wtrącać w cudze sprawy, zwłaszcza że dużo słyszała o przeróżnych dziecięcych fantazjach, ale z drugiej strony wiedziała, że Minnie jej potrzebuje. Wgłębi duszy zgadzała się z Jaye. Powinna coś z tym zrobić.

- Przepraszam, czy będziesz kończyć swoje ciastko? - Głos dziewczyny dobiegł do niej z bardzo daleka, jakby z zaświatów.

Anna przesunęła talerzyk w jej stronę.

- Nie. Możesz dokończyć. - Powoli wracała do rzeczywistości. - Ostatnio jesteś ciągle głodna. Byłam pewna, że Fran jest dobrą kucharką.

Chodziło o zastępczą matkę Jaye.

- Coś ty! Chyba sobie żartujesz! - Jaye aż się skrzywiła. - Nie ma takiej potrawy, której nie potrafiłaby zepsuć!

Anna zaśmiała się krótko.

- Ale jest chyba w porządku, prawda?

Jaye uniosła w górę ramiona.

- Jasne, może być. Gdyby tylko tak często nie latała na miotle i przestała polować na małe dzieci podczas pełni.

- Bardzo zabawne, mądralo.

Anna lubiła zastępczą matkę Jaye, chociaż też coś w niej ją niepokoiło. Fran za bardzo się starała, jakby chciała samą siebie przekonać do idei adopcji. Jakby nie była pewna swych uczuć. Mimo obaw miała nadzieję, że Jaye polubi Fran Clausen i jej męża, Boba.

Po chwili wyszły z kawiarni „CC“ i skierowały się w głąb Dzielnicy Francuskiej.

- No, a jak w ogóle ci idzie? - spytała Anna.

- W szkole czy w domu?

- I tu, i tu.

- W szkole wszystko w porządku. W domu też.

- Następnym razem oszczędź mi tych wszystkich szczegółów. Czuję się zagubiona...

Dziewczyna pokazała zęby w uśmiechu.

- Proszę, proszę, nie wiedziałam, że stać cię na sarkazm. Ekstra!

Obie się roześmiały. Szły dalej, zatrzymując się co jakiś czas przed wystawami. Anna uwielbiała mieszaninę zapachów, widoków i dźwięków charakterystycznych dla tej części miasta. Było w tym coś dekadencejnego, prowokacyjnego i zarazem eleganckiego, ale czasami też krzykliwego. Przewijały się tu tłumy zarówno turystów, jak i miejscowych, nie wyłączając ulicznych grajków i innych performerów. To miejsce od razu ją urzekło.

- Popatrz no. - Jaye przystanąła przed kolejną wystawą, na której znajdowały się sztuczne futra w czarnobiałe paski. - Czy to jakaś nowa moda?

- Mhm - potwierdziła Anna. - Chciałabyś przymierzyć?

- Pod warunkiem, że dadzą mi je potem za darmo. - Jaye potrząsnęła głową. - Zresztą i tak nie pasuje do koloru moich włosów.

Anna zerknęła na dziewczynę.

- Powoli zaczynam się przyzwyczajać do tego, że jesteś ruda - rzuciła. - Najlepsze w tym jest to, że teraz naprawdę wyglądamy jak siostry.

Jaye zarumieniła się, jakby to był komplement. Ruszyły dalej. Dziewczyna co jakiś czas zerknęła na przyjaciółkę. Chyba coś ją dręczyło.

- Czy wspominałam ci o tym wariacie, który szedł za mną?

Anna stanęła i spojrzała z niepokojem na „młodszą siostrę“.

- Ktoś cię śledził?

- Tak, ale mu uciekłam.

- Kiedy to było? Gdzie?

- Wczoraj. Szłam po szkole do domu.

- Widziałaś go już wcześniej?

Jaye wzruszyła ramionami.

- Zobaczyłam tylko, że to facet. Pewnie jakiś stary zboczeniec. Nie ma o czym mówić.

- A właśnie że jest! Powinnaś powiedzieć o tym Fran, a ona musi skontaktować się z...

- Hej, Anno! Stop! Gdybym wiedziała, że tak zareagujesz, nic bym ci nie powiedziała.

Anna wciągnęła głęboko powietrze. Nie chciała płoszyć Jaye. Wiedziała, że jako dziecko ulicy nie dawała się nabierać na jakieś proste sztuczki. Zdarzało jej się nawet pomieszkiwać w opuszczonych ruderach, co wprawiało Annę w stan osłupienia, gdy tylko o tym pomyślała.

- Przepraszam - wymamrotała. - Starsze osoby przejmują się byle czym.

- Wcale nie jesteś stara - gwałtownie zaprotestowała dziewczyna.

- Na tyle, by nalegać, żebyś natychmiast zgłosiła się na policję, jeśli jeszcze raz zobaczysz tego człowieka. Zgoda?

Jaye zawahała się, a potem skinęła głową.

- Zgoda.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwartek, 11 stycznia

Irish Channel

Oficer śledczy Quentin Malone wszedł do tawerny „U Shannona“, pozdrawiając paru znajomych policjantów. Dla wielu nowoorleańczyków czwartek stanowił już początek weekendu i różnych, związanych z nim zabaw. Korzystały na tym przede wszystkim różne kluby, bary i restauracje z Crescent City, jak czasami nazywano Nowy Orlean. Tawerna „U Shannona“ nie była tu wyjątkiem.

Znajdowała się w części miasta zwanej na cześć irlandzkich osadników i Irish Channel, czyli Kanałem Irlandzkim. Bywali tu robotnicy i policjanci. Siódmy Wydział Nowoorleańskiej Policji, w skrócie SWNP, uznał knajpę „U Shannona“ za swoją.

Shannon McDougall, właściciel tawerny i były murarz z łapskami wielkości bochenków chleba, nie miał nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Dzięki temu nie miał tu żadnych rozrób. Gangsterzy, handlarze narkotyków i prostytutki unikali jego lokalu i w ogóle tej ulicy. Żeby się za to odwdziaczyć, nie chciał żadnych pieniędzy od stałych bywalców w mundurach. Inaczej traktował rekrutów. Nowi chłopcy musieli sobie zasłużyć nie tylko na oficerskie szlify, ale i darmowe drinki. Te zasady nie dotyczyły jednak napiwków, które dawali zarówno nowi, jak i starzy policjanci, mundurowi, jak i tajniacy w rodzaju Malone’a.

Oczywiście należał on do stałych bywalców knajpy. Mimo że miał zaledwie trzydzieści siedem lat, służył w policji już szesnasty rok i był śledczym pierwszej kategorii. Wiele osób z jego rodziny pracowało w SWNP: dziadek, ojciec, trzech wujów i jedna ciotka. Z sześciorga rodzeństwa Quentina tylko dwoje zdecydowało się na inny zawód. Patrick został programistą, a najmłodsza, Shauna, studiowała w college’u sztuki piękne.

Quentin ruszył w stronę baru, żeby zamówić piwo. Zaraz przechwyciła go pewna siebie barmanka, dwudziestotrzyletnia dziewczyna z króciutkimi, najeżonymi blond włosami. Od dawna nie kryła tego, że chętnie by się z nim umówiła, ale Quentin nie miał zamiaru chodzić na randki z osobami w wieku swojej siostry. Zawsze wydawało mu się, że Shauna jest od niego dużo młodsza i czułby się głupio z kimś równie mało dojrzałym.

- Cześć, Malone. - Barmanka uśmiechnęła się do niego. - Dawno cię tu nie było.

- Miałem trochę pracy. - Pocałował ją w policzek. - A co u ciebie, Sandie?

- Wszystko w porządku. Nawet napiwki się ostatnio poprawiły. - Zerknęła w stronę zasiadających w jednej z łóż gości. - Muszę iść. Zaczekasz?

- Jasne, Sandie.

Ruszyła do stolika, ale jeszcze obejrzała się przez ramię.

- Był tutaj John. Prosił, żebyś zadzwonił do mamy.

Quentin roześmiał się i skinął głową. John był najstarszym z rodzeństwa i sam siebie mianował strażnikiem klanu Malone'ów. Gdy tylko któreś z nich miało problem, mogło walić do niego jak w dym. On też rozsądzał wszelkie spory wewnątrz rodziny i łagodził kryzysy. Teraz zapewne uznał, że Quentin ostatnio stanowczo zbyt często unikał niedzielnych rodzinnych obiadków.

- Dzięki, Sandie. Na pewno to zrobię.

Podszedł do baru. Shannon już napełnił kufel pieniącym się, bursztynowym płynem.

- Na koszt firmy.

- Dzięki, Shannon. Widziałeś może Terry'ego?

Pytał o swego partnera, Terry'ego Landry'ego.

- Jest tutaj. - Barman wskazał salę z bilardem. - Zaczynał właśnie nową grę. Zdaje się, że ma jakieś problemy, prawda?

Quentin skinął głową. Shannon miał rację. Jego współpracownik nie mógł jeszcze dojść do siebie po tym, jak żona wyrzuciła go z domu, twierdząc, że nie może już znieść takiego życia. I to po dwunastu latach małżeństwa!

Jednak Quentin nie wątpił, że miała rację. Trudno wytrzymać z policjantem, zwłaszcza że Terry był porywczy i zmienny. Ale dbał też o dzieci i kochał swoją żonę, a to wcale nie było mało. Terry przyjął fatalnie ten cios. Czuł się skrzywdzony i tęsknił za dziećmi. Zaczął pić, mało spał i zachowywał się nieobliczalnie. Współpraca z nim stawała się coraz trudniejsza.

Jednak Quentin doskonale pamiętał sytuacje, w których Terry mu pomógł, i teraz przyszła jego kolej. Partnerzy zawsze muszą trzymać się razem, powtarzał sobie. Teraz skinął w stronę sali obok.

- Dobra, pójde z nim pogadać - mruknął. - Musi przecież zarobić na alimenty.

Shannon zaśmiał się, pokiwał głową i zaczął obsługiwać kolejnego klienta.

Policjant przeszedł do wciąż jeszcze prawie pustej sali. Za godzinę zabraknie tu miejsc siedzących, a muzyka będzie wylewać się z szafy grającej niczym potężne wody Missisipi. Zrobi się ciemno i duszno od papierosowego dymu, a kilka par będzie się kręcić w tańcu na zaimprovizowanej estradzie. Ale na razie panował tu jeszcze spokój.

Przynajmniej do czasu, dopóki nie stanęła przed nim Louanne Price. Kobieta o twarzy anioła i ciele króliczka z „Playboya“. Wielu mężczyzn podarowało jej swoje serca, ale

problem polegał na tym, że bawiło ją to, iż może je łamać. Taka właśnie była Louanne. Quentin unikał jej, ponieważ dbał o zdrowie i uważał, że nawet najwspanialsza przygoda nie wynagrodzi mu problemów z sercem czy wątrobą.

Podeszła do niego i zatrzymała się dopiero w momencie, kiedy ich ciała niemal się zetknęły. Wspięła się na palce i teatralnym gestem zarzuciła mu rękę na ramiona.

- Malone, kochanie, co mam zrobić, żeby namówić cię na małe sam na sam?

Posłał jej przepaszający uśmiech.

- Przykro mi, Louanne, ale Dickey mnie zniszczy, jeśli tylko zauważy, że patrzę tęsknie w twoją stronę. - Mówił o jej ojcu, który również pracował w SWNP. - Dlatego mogę cię tylko podziwiać z daleka...

- To byłaby prawdziwa zbrodnia, a przecież powinieneś z tym walczyć. - Przeciągnęła palcami przez jego włosy. - Zresztą wcale nie musi o tym wiedzieć. To będzie nasz sekret.

- Przykro mi, ale w policji nie ma żadnych sekretów. Czasami nawet żałuję, że nie pracuję w biurze lub na poczcie. To na razie.

Ruszył dalej, nie oglądając się za siebie. Tak jak mówił Shannon, Terry zmagił się z bilardem, trzymając niemal dopalonego papierosa w kąciку ust. Kiedy się zbliżył, partner uniósł mało przytomne od alkoholu oczy. Zdaje się, że spędził tu sporo czasu.

- Dobrze, że już jesteś. Zaraz zacznie się najlepsza zabawa.

- Tyle że ty z niej nie skorzystasz, bo będziesz już sztywny. - Quentin wziął krzesło, stojące przy jednym ze stolików, i postawił na nim nogę. - Wyłgałem cię przed szefową.

Terry znowu pochylił się nad stołem i chwilę celował. O dziwo, uderzona bila trafiła do łuzu.

- I co? Powiedziałaś, że wyszedłem do kibla?

- Nie, do Penny. Żeby pogadać.

- Do tej suki?! Niedoczekanie!

Quentin poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Znał Penny Landry dość dobrze. Wiele można było o niej powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest suką. Dobrze rozumiał rozgoryczenie Terry'ego, lecz mimo to nie mógł pozwolić, by tak o niej mówił.

Pociągnął jeszcze łyk piwa, starając się nie okazywać zdenerwowania.

- Penny chyba uznała, że tak będzie najlepiej. Dla dzieci i dla niej.

Terry chybił i zaklął pod nosem. Jego przeciwnik, człowiek, którego Quentin często widywał w tym miejscu, uśmiechnął się pod nosem i pochylił nad stołem.

- Po czyjej jesteś stronie, co? - warknął Terry.

- Nie wiedziałem, że muszę być po czyjejs.

- Musisz!

- Penny od wielu lat jest moją przyjaciółką. - Quentin spojrzął kumpłowi prosto w oczy. - Nie pozwolę ci jej oczernić.

Terry zrobił się cały czerwony.

- Taki już mój pieprzony los. Mój najlepszy kumpel mówi mi, że...

- Ósemka i koniec.

Na chwilę umilkli, patrząc, jak mężczyzna uderza ostatnią bilę. Potem spytał Terry'ego:

- Zagrasz jeszcze raz?

- Nie, dzięki. - Zerknął na Quentina. - Muszę się napić.

Tylko tego mu było trzeba! I tak ledwo stał na nogach. Ale Quentin nie mógł mu tego powiedzieć, przeszli więc do baru. W ciągu dwudziestu minut pojawiło się tu mnóstwo nowych osób. Quentin dostrzegł paru znajomych z pracy, a także dwóch swoich braci: Percy'ego i Spencera. Wtedy wpadł na pewien pomysł i ruszył w ich kierunku.

- Wiesz co, może pójdziemy gdzieś na kolację. Zaproszę też braci...

- Nie, do licha! - mruknął Terry. - Wieczór dopiero się zaczął. Tyle tu moż... - urwał nagle.

Quentin powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył płomiennorudą kobietę w minispódniczce, obracając pupą na wszystkie strony. Unosiła przy tym ręce, potrząsając złotymi bransoletami. Nie było jasne, czy tańczy z jednym mężczyzną, ze wszystkimi, czy tylko się przed nimi popisuje. A miała czym. Coraz więcej facetów przesunęło się w jej stronę, wśród nich Quentin i Terry. Po chwili Quentin zerknął na kobietę.

- Wiesz, Terry, ona wygląda...

- Świetnie. Naprawdę świetnie.

Quentin chciał powiedzieć, że kobieta nie wygląda na osobę, która umawia się na randki z gliniarzami, chyba że ma w tym jakiś interes. Nie była bogata, ale z pewnością chciała być. Ceniła sobie pieniądze, prestiż i kostiumy od Armaniego. I na pewno nie będzie chodzić z facetami, którzy jej tego nie zapewnią. Czyli, między innymi, z policjantami. Ale dzisiaj, może z nudów, pozwoliła sobie na mały wyskok.

Znaleźli się tuż koło jego braci. Percy pozdrowił ich pierwszy:

- Co słychać, braciszku? Cześć, Terry.

Quentin spojrzął na chłopaków. Byli podobni zarówno do siebie nawzajem, jak i do całej rodziny Malone'ów. Obaj mieli intensywnie niebieskie oczy i czarne kręcone włosy. Jednak Percy był znacznie szczuplejszy i wyższy, bo mierzył ponad sto dziewięćdziesiąt

centymetrów, natomiast Spencer wyglądał na boksera wagi półciężkiej, który niejedno już miał za sobą.

- Co słyhać? - mruknął Quentin. - Właśnie próbuję go odwieść od zrobienia głupstwa. - Wskazał kumpla.

Bracia zerknęli na Terry'ego, a potem na tancerkę. Percy uśmiechnął się szeroko.

- Tak, niezła sztuka. Ale uważaj, Terror, bo się sparzysz - rzucił, używając przydomka, który Terry zyskał w czasie pierwszych lat pracy w policji. - Jak Spencer parę minut temu.

- Bez komentarza. - Spencer wściekłym wzrokiem spojrzał na brata.

Terry przygładził włosy.

- To popatrzcie na zawodowca, chłopaki.

Malone'owie gwizdnęli z podziwem, jedynie Quentin pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Sam nie wiem. Miałeś ostatnio mało okazji, żeby trenować...

Terry spojrzał na niego z pewnym siebie, buńczucznym uśmiechem.

- Prawdziwy podrywacz nie rdzewieje do śmierci - rzekł bez wahania.

Wysoki i szczupły, z ciemnymi oczami i zabójczym uśmiechem, nawet w tym stanie rzeczywiście wyglądał na podrywacza. Żeby było bardziej romantycznie, potrafił na żądanie wtrącać francuskie zwroty, które wciąż funkcjonowały w jego kajuńskiej rodzinie. Terry naprawdę miał styl i Quentin dawał mu pięćdziesiąt procent szans.

Kumpel przycisnął się do rudej i zaczął tańczyć w rytm muzyki, a ona, kręcąc biodrami, odwróciła się do niego tyłem. Terry obejrzał się za siebie. Quentin pokręcił głową, a jego dwaj bracia zachichotali z uciechy. Jednak Terry się nie poddawał. Spróbował raz jeszcze, ale i tym razem kobieta wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana bliższą znajomością. Za trzecim razem już nie bawiła się w żadne subtelności. Zatrzymała się, zmierzyła go zimnym wzrokiem i powiedziała, żeby się odwalił. A potem odwróciła się, tak przy tym zarzucając biodrami, jakby chciała pokazać Terry'emu, co stracił.

Ten zrozumiał to po swojemu i wrócił do kolegów z pewną siebie miną.

- Spodobałem się jej - stwierdził. - Dlatego tak się drażni. Te rude naprawdę mnie kręca.

- Jeden zero dla niej - zaśmiał się Spencer.

Quentin raz jeszcze pokręcił głową.

- Lepiej daj spokój - powiedział do Terry'ego.

Ale kumpel nie tracił dobrego humoru.

- Zgrywa niedostępną. Zobaczycie, że zaraz tutaj przyjdzie.

- Chyba tylko po to, żeby dać ci w pysk. - Percy spojrzął na starszego brata. - A może ty spróbujesz, Quentin? Jesteś w tym dobry. Uśmiechnij się do niej, jak tylko ty potrafisz.

- Nie, dzięki. - Quentin napił się jeszcze trochę piwa. - Nie lubię dostawać kosza.

- To prawda. - Spencer spojrzął na Terry'ego. - Słyszałeś kiedyś historię o pannie Davis? Uczyła angielskiego w naszej szkole.

- Nie, tylko nie to - jęknął Quentin. - Opowiadałeś to już tyle razy.

Terry usiadł na stołku przy barze i na widok Shannona uniósł dłoń w górę.

- Ale nie przymnie. Chętnie posłucham - zapewnił.

- No cóż - zaczął Spencer - zdaje się, że nasz braciszek nie spędzał zbyt dużo czasu nad książkami i pod koniec roku szykowała mu się z angielskiego wielka pała. Wyglądało to fatalnie. Musiałby uczyć się w czasie wakacji, a poza tym dostałby lanie od ojca. Wiesz, jak to jest.

- I to z doświadczenia - mruknął Terry. - Ale ta historia robi się coraz nudniejsza. I co? Dostał pałę?

Młodszy bracia uśmiechnęli się tajemniczo.

- Nie. Podobno Quentin wypróbował na niej swój diabelski uśmiech.

- Diabelski uśmiech? - Quentin wywrócił oczami. - A kto musiał...?

- Jestem pewny, że chodziło nie tylko o uśmiech - przerwał mu Spencer. - Ale Quentin uparcie nie chce się do tego przyznać.

- To prawda? - Terry spojrzął na niego z ogromnym zdziwieniem. - Uwiodłeś nauczycielkę, żeby dostać promocję?

Quentin popatrzył spode łba na całą trójkę. Miał pretensję do braci o to, że wyciągnęli tę starą historię, ale i do siebie za to, że zgrywał kiedyś casanovę. Teraz było mu po prostu głupio.

- Dajcie spokój, chłopaki. To dawne dzieje i pora wreszcie dorosnąć.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Quentin pomyślał, że dzięki temu przynajmniej udało się opanować sytuację, lecz zauważył, iż Terry co jakiś czas tęsknie spogląda w stronę rudej. Jednocześnie wydawało mu się, że kobieta traktuje jego zaloty z coraz większą oschłością. Miał wrażenie, jakby specjalnie drażniła Terry'ego. Tańczyła z tymi, którzy chcieli z nią tańczyć. Czasami z dwoma naraz, ale od Terry'ego ostentacyjnie się odwracała. Czyżby chciała sprawdzić, ile jeszcze wytrzyma?

Widząc zaciętą minę kumpla, Quentin uznał, że niewiele. Terry cały się gotował i za chwilę naprawdę mógł wybuchnąć. A to oznaczało kłopoty.

Które przyszły wcześniej, niż się spodziewał.

Terry podszedł do tańczących. Ruda zatrzymała się przed nim i spojrzała mu prosto w oczy.

- Coś nie w porządku? - spytała. - Czemu bez przerwy się na mnie gapisz?

- Tak, ślicznotko. Nie w porządku - warknął. - Facet, z którym tańczysz, to mięczak. Chodź tutaj, żeby poznać prawdziwego mężczyznę.

Quentin zeszywniał, kiedy zobaczył zaciśnięte pięści rudej. Kobieta przytuliła się do mężczyzny, z którym przed chwilą tańczyła, a potem spojrzała wyzywająco na Terry'ego.

- Spadaj, dupku - rzuciła tylko.

Terry skrzywił się, jakby uderzyła go w policzek. Quentin zaklął pod nosem i pociągnął za rękaw Spencera, który akurat rozmawiał z barmanem.

- Weź Percy'ego. Mogą być kłopoty - szepnął, ruszając w kierunku estradki.

- Słyszałaś, co powiedziała? - Partner rudej postanowił działać. - Odwal się i tyle.

Terry nawet na niego nie spojrzał, tylko całą uwagę i wściekłość skierował na kobietę.

- Co powiedziałaś?! - spytał tak głośno, że prawie wszyscy go usłyszeli.

Fala podniecenia przebiegła przez barowy tłum.

- Sam słyszałaś, gliniarzu. Jesteś dupkiem, i to przez duże „D“! - Skierowała kciuk w dół.

Terry wpadł w amok. Chciał się rzucić na kobietę, ale zawahał się. Zgodnie z prastarym kodeksem honorowym mógł pobić tylko jej partnera. Zanim jednak do tego doszło, Quentin zasłonił mężczyznę własną pierś. Zaślepiony Terry próbował uderzyć, ale Quentin uchylił się, natomiast Percy i Spencer chwycili agresywnego kumpla pod ramiona. Wrywał im się, przeklinając, ale trzymali go mocno. Nie byli jednak w stanie go wyprowadzić. Dopiero z pomocą Quentina zdołali go wywlec przed tawernę.

Chłodne powietrze trochę go otrzeźwiło. Terry ciężko oparł się o ścianę, patrząc na nich ze zdziwieniem. Quentin pokazał braciom wzrokiem, żeby sobie poszli. Kiedy zostali sami, spojrzał na przyjaciela.

- Weź się w garść, Terry. Przecież jesteś policjantem. Co myślałaś, kiedy...?

- Chyba w ogóle przestałem myśleć - westchnął Terry i przeciągnął dłonią po twarzy. - Przez tę dziewczynę. Naprawdę mi dopiekła.

- To żadne usprawiedliwienie. Powinieneś nad sobą panować. Ta ruda nie jest ciebie warta.

Oczy Terry'ego nagle się zaszklily, ale szybko spojrzał w bok.

- To nie ona. Powiedziała... Użyła tego samego słowa, co... co Penny.

Kumpel pochylił się, jakby przygniótł go wielki ciężar. Quentin poklepał go po plecach.

- Wiem, że ci ciężko - mruknął. - Chodźmy już, nie ma sensu tam wracać.

- A co mam robić? - zachnął się. - Pójść do domu? Przecież nie mam już domu. Penny zabrała mój dom i moje dzieci!

- Penny nie jest twoim wrogiem. Pamiętaj jedno, na pewno nie odzyskasz jej w ten sposób. Oczywiście jeśli chcesz ją odzyskać.

Kumpel spojrzał na niego z urazą.

- Jasne, że chcę! Przecież ją kocham!

- Wobec tego musisz jej to okazać. Daj jej kwiaty. Zaproś na łzawy film i udawaj, że ci się podoba. Zrób to dla niej.

- Proszę, proszę. - Terry wykrzywił wargi w szyderczym uśmiechu. - Wielki Malone wie wszystko o kobietach. Nawet o mojej Penny.

Quentin postanowił zignorować to jawne szyderstwo. Terry za dużo wypił i wciąż nie mógł do siebie dojść po rozstaniu z żoną.

- Nie wygłupiaj się. Przecież nie odkryłem prochu. Wszyscy wiedzą, że tak trzeba robić. Na pewno nie odzyskasz jej, szarżując niczym ranny byk. Pamiętasz tamtą piosenkę? Trzeba trochę czułości.

Terry spojrzał na niego z goryczą.

- Co tu się dzieje? Dlaczego...? Skąd...? - Zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał. - Dlaczego Penny tak często zapraszała cię na obiad? Czyżby było w tym coś więcej...

Quentin zacisnął pięści. Coraz trudniej było mu panować nad sobą.

- Jak wytrzeźwiejesz, będziesz żałował tego, co powiedziałeś - warknął. - Wybaczam ci ze względu na twój stan. Ale na tym koniec. Jeszcze jedna taka uwaga, a cię zostawię. Jasne?

Terry skurczył się żałośnie.

- Boże święty, co się ze mną dzieje? Ta ruda miała rację. Jestem dupkiem! Tak jak mówiła Penny. Totalne zero.

- Sam wiesz, że to nieprawda. Za dużo wypileś i teraz się nad sobą uzalasz. Pamiętaj tylko, że chcę ci pomóc.

Kumpel skinął głową i zrobił krok w stronę wejścia do knajpy.

- Wracajmy tam - powiedział. - Nie chcę, żeby tej flirciarze wydawało się, że ze mną wygrała.

Dalsza część wieczoru minęła spokojnie. Przyszło jeszcze więcej ludzi, a ruda chyba się w końcu znudziła i postanowiła przenieść swoje wdzięki w jakieś bardziej eksponowane miejsce. Wszyscy zapomnieli o tym, co przytrafiło się Terry'emu. Quentin przestał więc zajmować się kumplem, uznawszy, że nie narobi więcej głupstw. Zobaczył go ponownie koło drugiej w nocy, kiedy zdecydował się wyjść z tawerny.

Terry rozmawiał z właścicielem.

- Przykro mi, Shannon - mówił. - Wiem, że nie powinienem... - Wstał ze stołka i Quentin złapał jego ramię, żeby go podtrzymać. - Nie powinienem się tak rzucać.

- W porządku, Ter, nic się nie stało. - Barman machnął wielką łapą. - Rozumiem, co czujesz. Musiałeś się jakoś wyładować.

Terry potrząsnął głową.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę. - Wyswobodził ramię, zachwiał się i sięgnął do kieszeni, z której wyjął banknot. - Przyjmij to wraz z moimi przeprosinami.

Quentin spojrzał na nominał, a potem na kumpla. Pięćdziesiątka? Skąd, do diabła, wziął tyle forsy?! Shannon pewnie pomyślał to samo, ponieważ przez chwilę się wahał, ale w końcu włożył banknot do kieszeni fartucha.

Quentin obrócił się do swoich braci, którzy czekali, żeby mu pomóc z Terryem.

- No, chłopaki, gdzie zabierzemy tego prawie śpiącego księcia?

Terry ślaniał się i nie bardzo mógł iść. Wreszcie bracia Malone'owie wsadzili go do auta Quentina. Kluczyki Terry'ego powędrowały do kieszeni Spencera.

- Odprowadzisz wóz pod jego dom?

- Dobra. Quen?

Spojrzał bratu w oczy.

- Mm?

- To była pięćdziesiątka, widziałeś?

- Tak. - Quentin zmarszczył brwi. - Kupa forsy.

Zwłaszcza dla policjanta, który musi płacić alimenty i wynajmować mieszkanie. Chyba że wziął od kogoś łapówkę.

- To prawda - odparł.

Mógł dać głowę za to, że jego kumpel jest uczciwy. Przecież przepracował z nim tyle lat i nigdy... Spojrzał na zaciekawionych braci, a potem na siedzącego w wozie Terry'ego.

- Zapomnijcie o tym - mruknął. - Jestem padnięty. Skończmy to szybko.

Z głębokiego snu wyrwał go natarczywy dzwonek telefonu. Quentin półprzytomnie podniósł słuchawkę.

- Malone, słucham? - Ziewnął.

- Pora wstawać, stary - usłyszał głos dyżurnej funkcjonariuszki. - Robota.

Quentin zaklął pod nosem. Wezwanie o tej porze mogło oznaczać tylko jedno.

- Gdzie? - spytał zasnym głosem.

- W uliczce za tawerną „U Shannona“.

Ta informacja podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Quentin odrzucił kołdrę i gwałtownie usiadł na łóżku.

- Powiedziałaś „U Shannona“?

- Tak. Biała kobieta. Nie żyje.

- Cholera!

- Mogłabyś przynajmniej udawać, jak bardzo jest ci przykro.

- Przecież to tylko praca. Każdej nocy mam przynajmniej kilku nieboszczyków.

Quentin spojrzął na zegarek, zastanawiając się, ile czasu zajmie mu dotarcie na miejsce zbrodni.

- Dzwoniłaś do Landry’ego?

- Nie. Ty jesteś pierwszy.

- Dobrze, sam go poinformuję.

- W porządku. Powodzenia.

Kobieta odłożyła słuchawkę, a Quentin tylko przycisnął widełki i wybrał numer Terry’ego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Piątek, 12 stycznia godz. 5.45

Miejsce zbrodni przypominało inne, które widywał w ciągu wielu lat pracy. Zmieniała się tylko pora roku, płęć i liczba zabitych oraz ilość krwi, lecz zawsze taka sama była aura tragedii i zapach śmierci. A także ciało, którego niemy krzyk sprawiał, że Quentin zapominał o przyziemnych, codziennych sprawach.

Jednak tym razem poczuł się nieswojo, ponieważ ciało znaleziono w znanym mu miejscu. Shannon na pewno nie potrzebował tego rodzaju reklamy. Niestety, ta noc należała do spokojnych i zbrodnia na pewno znajdzie się na pierwszych stronach gazet. Szkoda.

Quentin wyskoczył z auta. Chodnik był mokry, powietrze chłodne i wilgotne. Zimno przenikało do szpiku kości. Uniósł głowę, spoglądając na czarne, bezgwiazdne niebo, i skulił się. Wiele osób nie znosiło lata w Nowym Orleanie, on natomiast wolał się smażyć miesiącami w słońcu, niż marznąć w taki dzień jak dzisiaj.

Być może dlatego, że widywał w pracy zbyt wielu umarlaków.

Pokazał odznakę mundurowemu policjantowi, a potem schylił się, żeby przejść pod żółtą taśmą.

- Za zimno dziś nawet na to, żeby umierać - powiedział oficer, otulając się mocniej połami kurtki.

Quentin pozostawił te słowa bez komentarza. Podeszedł do żółtodzioba, którego ostatnio widywał w towarzystwie Percy'ego.

- Cześć, Mitch.

Chłopak spojrzał na niego przez ramię.

- Cześć. Ale ziąb, co?

- No, zimno jak w psiarni. Widzę, że przyjechałem pierwszy.

- Tak. Tylko Johnny był już na miejscu.

- Dotykał czegoś?

- Nie. Sprawdził jej puls i prawo jazdy, a potem zadzwonił.

- Świetnie. Co tu mamy?

- Biała kobieta. Miała prawo jazdy na nazwisko Nancy Kent. Wygląda na to, że najpierw została zgwałcona.

Quentin spojrzał na Mitcha.

- Czy ktoś dzwonił po ekipę medyczną?

- Jest już w drodze.

- Kto ją znalazł?

- Śmieciarz. - Chłopak machnął ręką w stronę pojemnika na śmieci. Quentin dopiero teraz zauważył wystające spod niego dwie nogi. Jedna była zupełnie bosa, a na drugiej tkwił jeszcze zgrabny bucik na wysokim obcasie. Stopy wyglądały niczym brzuchy ryb wyrzuconych na czarny asfalt.

Quentin poczuł mrowienie na karku i szybko odwrócił wzrok.

- Oczywiście zanotowałem nazwisko tego śmieciarza i numer wozu - ciągnął Mitch. - Musiałem go jednak puścić. Miał sporo roboty, a poza tym znał przepisy. Mówił mi, że już raz znalazł trupa, jakieś dziesięć lat temu.

- Dobra. Teraz muszę się tu rozejrzeć, zobaczyć co i jak. Gdyby pojawił się Terry, od razu przyślij go do mnie. Jest mi potrzebny.

Quentin podszedł wolno do pojemnika, sprawdzając uważnie, czy nic nie ma na chodniku. Każdy najdrobniejszy ślad mógł okazać się decydujący. Następnie, wiedząc, że i tak tego nie uniknie, przeszedł dalej. Kobieta leżała twarzą do góry, z otwartymi oczami i rozrzuconymi nogami. Minispódniczkę miała naciągniętą na biodra, a majtki w strzępach. Nietrudno było się domyślić, do czego tutaj doszło. Rude włosy, niegdyś piękne i wabiące mężczyzn, teraz wyglądały jak brudna ścierka. Były splątane i częściowo zasłaniały otwarte usta.

Kobieta z tawerny. Ta, która odrzuciła niewczesne zaloty Terry'ego.

- Szlag by to... - mruknął pod nosem. Tej nocy nie mogło się chyba zdarzyć nic gorszego.

Odwrócił się, słysząc za sobą kroki. Terry był niemal tak blady, jak martwa kobieta.

- Właśnie pojawiła się ekipa techniczna - poinformował, zacierając zgrabiałe ręce. - Czy ten bydlak nie mógł...?

- Musimy pogadać - przerwał mu Quentin.

Partner spojrział na niego, a potem jego wzrok powędrował dalej, za pojemnik. Terry przez chwilę się zastanawiał, aż wreszcie wydał z siebie odgłos schwytanego w pułapkę zwierzęcia.

- O kurwa!

- Jeśli nawet była kurwą, to i tak musimy znaleźć tego, kto ją zabił - mruknął ponuro Quentin, z naciskiem patrząc na kumpla. - I to szybko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek, 12 stycznia

Posterunek policji

Dwie godziny później Quentin zastukał do drzwi biura szefowej. Kapitan O'Shay, szczupła, bystra brunetka spojrzała na niego i Terry'ego. Wcale się nie ucieszyła, że widzi ich tak wcześnie rano. Terry przestąpił nerwowo z nogi na nogę. To spotkanie mogło się skończyć dla niego albo źle, albo fatalnie. Kapitan O'Shay nie lubiła, gdy jej ludzie wdawali się w awantury, i wołała, żeby nie podrywali kobiet, które ktoś później zabijał.

- Masz chwilę? - spytał Quentin, uśmiechając się do niej przymilnie.

Jeśli myślał, że ją w ten sposób udobrucha, mógł sobie darować. Patti O'Shay nie dawała się tak łatwo podejść. Zdobyła kapitańskie szlify nie tylko dlatego, że była świetnym policjantem, lecz również dzięki umiejętności radzenia sobie w typowo męskim i często szowinistycznym środowisku. Nie tak łatwo można ją było nabrać na słodkie miny. Prawdę mówiąc, w ich wydziale trudno było o kogoś twardszego od Patti.

- Sytuacja jest dosyć poważna - dodał zaraz, widząc wyraz jej twarzy.

Zmarszczyła brwi i skinęła głową. Spojrzała uważnie najpierw na Quentina, a potem na Terry'ego.

- Kiepsko wyglądacie.

Nie na takie powitanie liczyli.

- Byliśmy, hm... - Quentin chrząknął - „U Shannona“ prawie całą noc.

- Co za niespodzianka. - Założyła ręce na piersi. - To właśnie tam znaleziono tę dziewczynę?

- Mhm, w uliczce za tawerną.

- Dobrze, co o niej wiecie?

- Nazywała się Nancy Kent - zaczął słabym głosem Terry. - Miała dwadzieścia sześć lat. Niedawno rozwiedziona. Zdaje się, że lubiła się zabawić. Od męża dostała sporo forsy. Zresztą szastała nią wczoraj na prawo i lewo.

- Lekarz uważa, że zginęła między pierwszą trzydzieści a trzecią - podjął Quentin, widząc niepewną minę kumpla.

Kapitan O'Shay przez chwilę zastanawiała się nad tą informacją.

- To znaczy, że zabito ją albo tuż przed, albo tuż po zamknięciu knajpy - mruknęła. - O tej porze było tam pewnie mało ludzi.

- Nie powiedziałbym - zaproponował Terry. - Wszyscy w najlepsze bawili się jeszcze o wpół do drugiej. Shannon musiał parę razy mówić, że zamyka. Groził, że wezwie policję.

Nawet się nie uśmiechnęła, chociaż wiedziała, że wśród klientów było pełno gliniarzy.

- Rozmawialiście z Shannonem? - zwróciła się do Quentina.

- Tak - odparł. - Był naprawdę wstrząśnięty. Niestety, nic nie widział ani nie słyszał. Tak jak kelnerki, Sandie i Paula.

- Czy możliwe, że sam to zrobił?

- Nie, raczej nie. Zresztą ma alibi. Do zamknięcia cały czas stał za barem, a potem odprowadził do domów obie dziewczyny.

Terry postanowił włączyć się do rozmowy:

- Zwykle sam wynosi śmieci w czasie sprzątanania, ale wczoraj to Sandie i Paula wzięły worki, a on zamknął lokal.

- O której to było? - zadała kolejne pytanie.

- Między trzecią a dziesięć po trzeciej.

- I z tej trójki nikt nic nie widział?

To wydawało się mało prawdopodobne, dlatego Quentin zaczął wyjaśniać:

- Ta uliczka jest słabo oświetlona, a Shannon i kelnerki byli zmęczeni po pracy. Poza tym Sandie i Paula kłóciły się o jakieś napiwki. No i ofiara była zasłonięta przez pojemnik na śmieci.

Kapitan O'Shay wahała się przez chwilę, a potem skinęła głową na znak, że rozumie.

- Co było bezpośrednią przyczyną śmierci?

- Lekarz określił to wstępnie jako uduszenie, ale czekamy na wyniki sekcji zwłok.

Szefowa zrobiła wielkie oczy.

- Uduszenie? Na ulicy?

- Dziwne, prawda? Ale wcześniej ktoś ją zgwałcił. Miała podarte majtki i siniaki na biodrach oraz wewnętrznej części ud.

- Czy ekipa techniczna znalazła coś ciekawego?

- Parę włosów i nitki pod jej paznokciami.

Terry poruszył się na swoim miejscu. Nie wyglądał najlepiej.

- A co z jej byłym mężem? - Szefowa spojrzała na jego pobladłą twarz.

- To starszy facet - odparł Terry drżącym głosem. - Rozpłakał się jak dziecko, kiedy mu powiedziałem. Mówił, że wciąż ją kochał i miał nadzieję, że do niego wróci.

- Więc miał motyw...

- Ale zero możliwości. - Quentin potrząsnął głową. - Terry powinien powiedzieć

„stary“, a nie „starszy“. Jeździ na wózku i ma pielęgniarkę, która się nim bez przerwy opiekuje.

- I mnóstwo forsy - dorzucił Terry. - Posiadłość w Old Metairie. Członkostwo ekskluzywnego klubu. Te rzeczy. Pewnie do głowy jej nie przyszło, że pierwsza kopnie w kalendarz.

Kapitan O'Shay spojrzała na niego ostro.

- Miała jakichś... przyjaciół?

- Jeśli nawet, to były mąż nic o tym nie wie - odparł szybko. - Staramy się to ustalić.

- No dobrze, mamy gwałt i morderstwo. Czyli normalka. Dlaczego więc mówicie, że sytuacja jest poważna? O czym jeszcze nie wiem?

Spojrzała na Terry'ego, który skulił się, jakby chciał się schować do mysiej norki.

- Ee, jak mówiliśmy, byliśmy wtedy w knajpie Shannona... Ta kobieta tańczyła, ee, bardzo prowokacyjnie. Robiła z siebie widowisko, jeśli, ee, wiesz, o co mi chodzi...

Patti pokręciła głową.

- Nie, obawiam się, że nie wiem.

Quentin zerknął na kumpla. Miał nadzieję, że nie walnie teraz z grubej rury. To nie robiło wrażenia na szefowej, a w każdym razie nie takie, o jakie mu chodziło... Terry chyba to sobie uświadomił, ponieważ zaczął z innej beczki:

- Chodzi o to, że zacząłem ją podrywać. Mogłem być trochę natarczywy...

- A ona odrzuciła twoje zaloty.

- Taa - rzucił przeciągle Terry i trochę się zaczerwienił. - Za dużo wypilem i... - urwał, nie bardzo wiedząc, jak zakończyć.

Patti tylko pokiwała głową.

- I za nic nie chciałeś przyjąć do wiadomości, że jej nie odpowiadasz?

- No właśnie, piłem praktycznie przez cały wieczór i mnie poniosło...

Kapitan O'Shay wstała i obeszła biurka. Teraz miała ich tuż przed sobą. Terry musiał unieść głowę do góry.

- I myślisz, że to cię usprawiedliwia?

Terry skurczył się jeszcze bardziej.

- Nie, ja tylko...

- Dobrze, że się zgadzamy w tym względzie. Co było dalej?

- Trochę za bardzo naciskałem. O mało nie pobiliśmy się z facetem, z którym tańczyła.

Patti skrzywiła się, słysząc te słowa.

- O mało?

- Tak, Malone mnie uratował.

Przeniosła wzrok na Quentina. Kiedy skinął głową, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Powoli robiło się jasno.

- Musicie mi opisać to zdarzenie. Obaj. - Odwróciła się do nich. - Wiem, że masz problemy osobiste, Terry - zwróciła się wprost do niego. - Jeśli chcesz, mogę ci dać urlop.

Landry wstał z miejsca.

- Nie, proszę, nie. Zwariuję, jeśli będę musiał siedzieć w domu.

Przez chwilę się wahała, ale potem skinęła głową.

- Dobrze. Ale mam nadzieję, że nic takiego już się nie powtórzy. Nie pozwolę, żebyś narażał na szwank dobre imię policji. Jasne?

- Tak jest!

- W porządku. I jeszcze jedno. Oddaję tę sprawę Johnsonowi i Waldenowi.

- Tym pieprzonym dyskdzokejom?!

- Przecież tak nie można!

Oficerowie Johnson i Walden wciąż mówili o tym, jak bardzo są podobni do znanych w całym Nowym Orleanie prezenterów radiowych Waltona i Johnsona. Niestety podobieństwo ograniczało się wyłącznie do zbieżności nazwisk, ponieważ nie byli ani zabawni, ani specjalnie twórczy i znani jedynie z nieudolności, i to nie tylko w gronie kolegów ze swojego wydziału.

- Możesz już iść, Landry. - Szefowa zignorowała ich protesty. - Malone, przekażesz sprawę?

- Ależ, Patti... Pani kapitan - poprawił się - z całym szacunkiem, nie możemy...

Szefowa tylko potrząsnęła głową.

- Musicie wsadzić do kieszeni swoje animozje - powiedziała rzeczowo. - Przyjrzyjmy się faktom. Nancy Kent nie żyje, a jeden z moich oficerów zalecał się do niej, jeśli dobrze zrozumiałam, dość obcesowo, na krótko przed jej śmiercią. Wszyscy to widzieli, więc od razu staje się podejrzanym. Jasne więc, że nie mogę pozwolić, aby w tej sytuacji prowadził śledztwo!

Popatrzyła z kolei na Quentina.

- Absolutnie też nie chcę, żeby zajmował się tym jego partner, a zarazem bliski kumpel. Przecież prasa natychmiast oskarży nas o stronniczość! - zakończyła z całą mocą.

- A jeśli uda się oczyścić Terry'ego?

- Wtedy już pewnie zakończy się całe śledztwo. Jeśli nie, to... pogadamy.

Ale nie róbcie sobie za dużych nadziei, dopowiedział za nią w duchu Quentin.

Kapitan O'Shay znowu stanęła za swoim biurkiem. Obaj zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Quent, chciałabym jeszcze z tobą porozmawiać. - Terry zatrzymał się przy drzwiach.

- W cztery oczy - dokończyła.

Po chwili zostali sami.

- Jak rozumiem, Terry podał mi dokładny opis zdarzeń. - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Jak najbardziej.

- A co było potem?

- Siedzieliśmy w knajpie. Odwiozłem go do domu trochę po drugiej.

- Nie mógł prowadzić?

- Miał nawet problemy z chodzeniem.

- I jesteś na sto procent pewny, że nie zabił tej kobiety?

- Tak, do licha! - Quentin uciekł jej wzrokiem. - Przecież nie mógł tego zrobić! Poza tym był tak pijany, że nie dałby jej rady.

Pani kapitan milczała przez chwilę, rozważając to, co usłyszała.

- Dobrze, przyjmuję te wyjaśnienia. Ale będę go obserwować. Nie mogę pozwolić, żeby chociaż cień podejrzenia padł na jednego z moich oficerów.

- Terry powoli dochodzi do siebie...

Pokręciła głową.

- Przecież widzę, że wcale nie dochodzi - powiedziała rzeczowo. - Zresztą sam wiesz o tym najlepiej. Tylko uważaj, bo jeszcze ciebie wciągnie w swoje sprawy.

Pochyliła głowę nad papierami na znak, że uważa spotkanie za skończone. Quentin podszedł do drzwi, a potem jeszcze obejrzał się za siebie.

- Patti. - Uniosła głowę. - Pozdrów ode mnie wuja Sammy'ego.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Lepiej sam to zrób. I zajrzyj do mojej siostry. Słyszałam od Johna, że ją zaniedbujesz.

Malone zaśmiał się i przyłożył palce do czoła.

- Tak jest!

Czasami sam nie wiedział, czy jest w domu, czy w pracy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piątek, 12 stycznia

Przedmieścia

Tępy ból rozsadał czaszkę doktora Beniamina Walkera. Mimo to usiłował się skoncentrować na pacjencie, który właśnie opowiadał mu o swoich dwuznacznych odczuciach dotyczących śmierci niedawno zmarłej matki. Ben spotykał się z nim już od trzech miesięcy i do tej pory udało mu się jedynie rozpoznać część problemów związanych z jego potwornym dzieciństwem.

- To nie w porządku, panie doktorze. Przecież była moją matką. - Pacjent zaczął nerwowo miętosić ręce. - Jak to tak? Powinienem chyba coś czuć, prawda?

- A jak sądzisz, co takiego powinieneś czuć, Rick? Może mi powiesz?

Mężczyzna podniósł przekrwione oczy.

- Brak. Pustkę. Żal. Wściekłość. Sam nie wiem, ale chyba właśnie coś takiego.

Ben pochylił się w jego stronę.

- Wściekłość to bardzo mocne uczucie. Jedno z najmocniejszych.

Pacjent spojrzał na doktora Walkera niewidzącym wzrokiem.

- Wściekłość? Przecież... przecież nic nie mówiłem o wściekłości.

- Mówiłeś.

- Niemożliwe. Ja kochałem mamę.

- To zupełnie zrozumiałe, że możesz być na nią zły. Nawet wściekły.

- Naprawdę? - Mężczyzna odetchnął z ulgą. - Dlatego, że mnie opuściła?

- Pewnie częściowo. - Ben złożył ręce, bardzo dbając o to, żeby jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. - Ale w grę mogą wchodzić inne sprawy.

- Jakie sprawy? Co chce pan powiedzieć?

- Zastanów się nad tym, Rick. To ty powinieneś mi o tym powiedzieć.

Ben oparł się o tył krzesła i czekał w milczeniu. Chciał, żeby pacjent przemyślał tę sprawę, a potem uznał, że nie jest w stanie dłużej znosić ciszy. Miał nadzieję, że Rick Richardson zacznie pewnego dnia mówić, a wtedy wyrzuci z siebie najgorsze, najpotworniejsze rzeczy. Ben zdiagnozował go jako mizogina, człowieka czującego nieodpartą wrogość do wszystkich kobiet. Wynikało to z kłótni z żoną, z nastawienia do szefowej, jak i w ogóle z całej „mowy ciała“, która wyraźnie i zupełnie jednoznacznie zmieniała się, kiedy zaczynał mówić o przeciwnej płci. Ben podejrzewał, że bierze się to

przede wszystkim z zadawnionych pretensji do matki, ale pacjent nie tylko nie chciał, ale po prostu jeszcze nie mógł się do tego przyznać. Jej śmierć niczego nie załatwiła, a do dawnych pretensji doszło ogromne poczucie winy.

Rick mógł skierować te złe emocje do wewnątrz albo na zewnątrz. W każdym przypadku mogło się to okazać destrukcyjne i doktor Walker obawiał się, że najtrudniejsze zadanie jest jeszcze przed nim.

- Moja mama była naprawdę dobra. - Pacjent przybrał nagle obronny ton. - Była naprawdę kochającą i dobrą matką.

- Tak sądzisz, Rick?

Richardson zerwał się na równe nogi i zacisnął pięści. Niebieska żyłka pulsowała gwałtownie na jego skroni.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?! Przecież pan jej nie znał! Nie ma pan pojęcia, co nas łączyło!

- Wiem to, czego dowiedziałem się od ciebie, Rick - mruknął. - I bardzo chciałbym dowiedzieć się więcej.

Richardson patrzył na niego przez chwilę, a potem odwrócił głowę.

- Nie chcę o niej teraz rozmawiać.

Ben obserwował pacjenta, który zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Czemu nie? - spytał.

Mężczyzna obrócił się w jego stronę.

- Bo nie! To powinno wystarczyć. Ciągle się pan mnie czepia. Tak jak moja żona i mat... O cholera!

- Więc matka się ciebie czepiała, Rick?

Pacjent zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

- Przecież mówiłem, że nie chcę teraz o niej rozmawiać.

- Dobrze. Mamy jeszcze trochę czasu. Powiedz, o czym chcesz porozmawiać?

Jak było do przewidzenia, mężczyzna wybrał temat budzący znacznie mniejsze emocje i zaczął opowiadać o swojej pracy. Jednocześnie wciąż krążył po pokoju. Ben, który go śledził, w pewnym momencie dostrzegł swoje odbicie w dużym, antycznym lustrze, które kupił, żeby uczcić dwudziestego piątego pacjenta. Dwudziestego piątego! Jeszcze półtora roku temu pracował w zgranym zespole, gdzie miał zapewnione spokojne miejsce pracy. Zrezygnował z tego wszystkiego, żeby pojechać za swoją matką do Nowego Orleanu. Jej decyzja była dla niego szokiem. Nagle zdecydowała się przenieść, a potem jeszcze wmawiała mu, że to był jego pomysł. Jednak w końcu musiał przyznać, że dzięki temu mógł się

nareszcie zorientować w sytuacji matki.

Po przyjeździe na miejsce miał trochę czasu i mógł się jej lepiej przyjrzeć. Dostrzegł niepokojące sygnały, których nie widział albo nie chciał widzieć wcześniej. Testy jednoznacznie wykazały, że ma początki choroby Alzheimera. To był kolejny szok. Poczł gwałtowne wyrzuty sumienia z powodu swoich zaniedbań. Powinien był wcześniej zauważyć niepokojące objawy. Jest w końcu lekarzem! Powinien był wcześniej rozpoznać symptomy. Matka od dawna myliła ludzi i zdarzenia, często zapominała o różnych sprawach. Jednak Ben kładł to na karb roztargnienia. Przecież wiele osób postępowało tak samo. Ale musiał stawić czoło prawdzie. Nie mógł wmawiać sobie, że jest po prostu roztargniona.

Pół roku po przenosinach do Nowego Orleanu zdołał ją przekonać, że będzie jej lepiej, kiedy znajdzie się pod stałym nadzorem.

- Znowu myślałem o umieraniu.

Ben wyprostował się i ponownie skupił wyłącznie na pacjencie. Nie powinien myśleć o swoich sprawach w czasie terapii.

- Opowiedz mi o tym, Rick.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie ma tu nic do opowiadania.

- Gdyby nie było, tobyś o tym nie wspominał. Czy myślałeś o własnej śmierci, czy tylko wyobrażałeś sobie świat bez siebie?

- Po prostu... zniknąłem. Nagle okazało się, że mnie nie ma.

Ben odetchnął z ulgą. Oczywiście nie należało lekceważyć tego rodzaju myśli, ale z drugiej strony nie wskazywały one na bezpośrednie zagrożenie pacjenta. Rick myślał już wcześniej o śmierci, wtedy, kiedy przechodził największe stresy.

- I jak się wtedy czułeś?

- Byłem zły. - Rick przystanął i spojrzał na Bena. Jego przystojna twarz wykrzywiła się pod wpływem gniewu, a może bólu. - Nikt tego nie zauważył. Nikogo to nie obchodziło. Po prostu wszyscy dalej się bawili.

Zabawa. Życie. Ben doskonale to rozumiał. Poprawił się na swoim miejscu.

- Przypomina to twoje odczucia dotyczące śmierci matki. Ciekawe, prawda? Gniew i poczucie izolacji, ale też brak jednoznaczności. Swoista nie definiowalność emocji. Przemysł to wszystko. Porozmawiamy o tym w czasie następnej sesji.

Ben wstał, dając w ten sposób znak, że czas pacjenta minął. Odprowadził Ricka do drzwi i życzył mu dobrej nocy.

Patrzył jeszcze, jak wychodzi, a potem z uśmiechem wrócił do poczekalni. Richardson

był dzisiaj jego ostatnim pacjentem. Musiał jeszcze przejrzeć notatki i uporządkować biurko, a potem będzie mógł nareszcie odpocząć. Dwa wolne dni! Tego właśnie potrzebował.

Chciał poświęcić ten czas swojej książce. Było to popularnonaukowe opracowanie, dotyczące wpływu traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa na osobowość jego pacjentów.

Po raz pierwszy pomyślał o niej, kiedy pracował jako psycholog w klinice w Atlancie. Leczył wtedy nieodpłatnie pacjentów. Umocnił się jeszcze w swoim postanowieniu, kiedy zajął się pacjentami z grupy Peachtree Road. Byli to zupełnie inni ludzie, a mimo to zaobserwował u nich podobne prawidłowości jak u pacjentów z kliniki.

Wówczas zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że przemoc dotykała dzieci z bardzo różnych rodzin, niezależnie od ich zamożności czy rasy. Po drugie, że efekty tych strasznych doświadczeń są przewidywalne i ujawniają się w późniejszych, dorosłych patologiach. Zaczął studiować fachowe książki na ten temat i czytać opisy poszczególnych przypadków dostępne w szpitalach. Po tych wszystkich badaniach Ben nareszcie zrozumiał, jak powinna wyglądać jego książka. Wiedział, że nie będzie to ani pierwsza, ani ostatnia pozycja na ten temat, dlatego chciał, żeby była dostępna dla jak najszerszej publiczności. W duchu liczył na to, że może ona mieć zarówno edukacyjne, jak i terapeutyczne działanie.

Kiedy zaczął ją pisać, stała się jego obsesją. Poświęcał jej tyle czasu, ile tylko mógł.

Wychodząc z gabinetu, raz jeszcze spojrzął na swoje odbicie w antycznym lustrze. Obraz zamigotał i Ben zatrzymał się zadziwiony. Przez ułamek sekundy wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Tylko kto, na miłość boską? Potrząsnął głową. Tak jak jego pacjent? Jak Rick Richardson?

Uśmiechnął się do siebie, myśląc o znerwicowanym młodym człowieku. On miałby wyglądać jak ten przystojniak Richardson?! Mógł tylko o tym marzyć! Przez chwilę patrzył na swe odbicie. Średni wzrost, średnia budowa i taka sama uroda. Brązowe oczy. I okulary, które sprawiały, że wyglądał jak mól książkowy, którym był w istocie.

Nie, nie wygląda na podrywacza. I nigdy nim nie będzie. Kobiety nie mdlały na jego widok. Wcale za tym nie tęsknił. Wiedział, że jest inny. Oczytany, opanowany, troskliwy. Kiedyś, kiedy znajdzie odpowiednią partnerkę, ożeni się i będzie dbał o rodzinę.

Czuł się dobrze, będąc tym, kim był. Nigdy nie żałował swoich wyborów.

Uśmiechnął się kwaśno do swego odbicia, a potem zgasił światło i wyszedł z gabinetu. Następnie zamknął drzwi na klucz. To wszystko. Nie miał nawet recepcjonistki, ponieważ jej nie potrzebował. Sam umawiał się na spotkania, automatyczna sekretarka nagrywała wszelkie niezbędne informacje, zaś program komputerowy doskonale radził sobie z księgowością. Z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej spotykał się raz w roku. W niczym nie

przypominało to pracy w Atlancie, gdzie miał bogato wyposażone biuro, a administracja rozrosła się aż do dwudziestu osób. Jednak tak naprawdę wcale mu tego nie brakowało. Wołał pracować sam.

Oczywiście niedługo będzie musiał kogoś zatrudnić, starał się jednak odwlec ten moment. Jego gabinet znajdował się tuż przy mieszkaniu w Garden District, miał tylko oddzielne wejście. Ben czuł, że obca osoba zepsuje klimat intymności, który otaczał to miejsce. Lecz życie miało to do siebie, że nieustannie przynosiło zmiany. Już dawno pogodził się z tą oczywistą, wręcz banalną prawdą.

Ben podszedł do stolika w poczekalni, żeby poprawić leżące na nim pisma. Dopiero wówczas zauważył jasnożółtą kopertę, leżącą na jednej z poduszek kanapy. Podniósł ją. Jego nazwisko znajdowało się w lewym górnym rogu. Poza tym nie było na niej stempli ani znaczków.

Otworzył ją z zaciekawiony. Wewnątrz ktoś umieścił grubą książkę autorstwa niejakiej Anny North. Kiedy odwrócił ją, żeby przeczytać notkę z tyłu okładki i dowiedzieć się czegoś o autorce, jakaś kartka wypadła na podłogę. Ben kucnął i przeczytał:

Jutro o piętnastej. E! Entertainment Network.

Zaintrygowany ściągnął brwi. Kto dał mu tę książkę? I dlaczego?

Zaczął ją przeglądać, ale nie znalazł odpowiedzi na żadne z tych pytań. Książkę określono jako dramat psychologiczny z elementami sensacji. Wydawało mu się logiczne, że któryś z jego pacjentów przyniósł ją dla niego i zapomniał o tym powiedzieć. Być może ktoś przyszedł z nią, kiedy miał akurat sesję, i nie chciał mu przeszkadzać...

Zaczął przypominać sobie zdarzenia mijającego dnia. Miał dzisiaj sześciu pacjentów. Żaden z nich nie miał powodów, żeby ją tutaj zostawiać. Więc może ktoś z zewnątrz? Tylko po co?

Tajemnica, pomyślał, przypomniawszy sobie rekomendację z okładki, i uśmiechnął się do siebie. Będę o niej czytał, jednocześnie usilnie starając się ją rozwiązać. Dobry chwyt, by zaintrygować psychologa. Zacznie już jutro o trzeciej od obejrzenia programu na Kanale E!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sobota, 13 stycznia

Dzielnica Francuska

Anna przyjechała do domu po przedpołudniowej zmianie w „Perfect Rose“. Było parę minut po drugiej. Zadrżała z zimna i spojrzała na szare niebo. Miała nadzieję, że wkrótce pojawi się słońce, które rano zapowiedział meteorolog ze stacji Kanał 6. Zima dopiero się zaczęła, a ona już chciała, żeby skończyła się jak najszybciej.

Po czwartkowym spotkaniu z Jaye wróciła do pracy, trochę zaniepokojona tym, że ktoś szedł za jej podopieczną. Miała nawet zamiar zadzwonić do matki dziewczyny albo na policję, ale w końcu dała temu spokój. Po pierwsze Jaye wpadłaby we wściekłość, gdyby się o tym dowiedziała, a po drugie sama obiecała pójść na posterunek, gdyby powtórnie zobaczyła swego prześladowcę. Anna nie była szczególnie zadowolona z takiego rozwiązania, ale postanowiła na razie się w to nie mieszać.

Wyjęła klucze z torebki. Poza Jaye martwiła się jeszcze o Minnie, którą, jeśli wierzyć jej słowom, w dziwny sposób traktował tajemniczy „on“. Ponieważ Jaye była zdania, że dziewczynka potrzebuje przyjaciółki, Anna odpisała na jej list. Starła się utrzymać go w lekkim, plotkarskim tonie, a jednocześnie zadać parę istotnych pytań dotyczących rodziny i przyjaciół Minnie. Miała nadzieję, że zrobiła to delikatnie, chociaż wiedziała, że gdyby list dostał się w ręce rodziców dziewczynki, bez trudu zrozumieliby jej intencje. I zjawili się u niej, żeby powiedzieć, co o tym wszystkim myślą.

Anna stanęła przy furtce prowadzącej na podwórko i pomachała staremu panu Badeaux. Alphonse Badeaux spędzał całe dnie przed domem wraz z jednookim buldogiem, który był co najmniej równie wiekowy jak on i wabił się Pan Bingle.

Dwukrotnie owdowiały Alphonse wdawał się w pogawędkę z każdym, kto przechodził koło jego posterunku. Anna wiedziała, że jeśli będzie potrzebować informacji o kimkolwiek z sąsiedztwa, powinna się zwrócić właśnie do niego.

- Dostałaś dzisiaj paczkę - poinformował, wstając i podchodząc do ogrodzenia. - Widziałem faceta, który ją dostarczył. Tylko nie wiem, kto ją przysłał. To w końcu nie moja sprawa.

Anna uśmiechnęła się na te słowa.

- Przerzucił ją przez furtkę? - spytała.

Kiedy adresata nie było w domu, listonosze wrzucali paczki na podwórko.

Teoretycznie był to dobry pomysł, nie uwzględniał jednak faktu, że z nieba nieraz kapie deszcz. A ponieważ w Nowym Orleanie zdarzało się to często, Anna zwykle dostawała kompletnie mokre przesyłki.

- Nie. - Podrapał się po głowie. - Ktoś go wpuścił. Poszedł do ciebie i zajęło mu to cztery minuty. Naprawdę nie wiem, kto to był. To w końcu nie moja sprawa.

- Dzięki, Alphonse, zaraz wszystko sprawdzę. - Spojrzała na buldoga, siedzącego przed blokiem. - Jak się miewacie z Panem Bingle'em?

- Całkiem nieźle. - Przeciągnął ręką po twarzy naznaczonej zmarszczkami i spieczonej słońcem południowej Luizjany. - Chociaż pogoda ostatnio paskudna. Po prostu czuję ją w kościach.

- Masz rację - zgodziła się skwapliwie. - Jest tak wilgotno i zimno.

Sąsiad machnął ręką w stronę psa.

- Ale to zupełnie nie działa na Pana Bingle'a. Gorąco czy zimno, w ogóle nie zauważa zmian.

Buldog uniósł głowę i popatrzył na nich dobrym okiem. Anna dotknęła ramienia sąsiada.

- Wpadnijcie kiedyś na filiżankę czekolady. Robię naprawdę niezłą. Przynajmniej będzie można się rozgrzać.

- Dziękuję, Anno, na pewno przyjdziemy. Idź teraz zobaczyć, co to za paczka.

Skinęła głową i pożegnała się z sąsiadem.

Weszła na podwórko i zamknęła za sobą furtkę. Jak wiele starych budynków w Dzielnicy Francuskiej czy Vieux Carré, jej kamienica została zbudowana wokół wewnętrznego podwórka. W dawnych czasach były one porządnie utrzymane, z bujną roślinnością, i dawały schronienie przed palącym letnim słońcem. Natomiast obecnie pełniły jeszcze jedną ważną rolę, a mianowicie odgradzały mieszkańców od hałasów miasta.

Anna weszła po wąskich schodach na drugie piętro. Zgodnie z tym, co powiedział sąsiad, pod drzwiami leżała duża koperta. Podniosła ją i otworzyła drzwi. Rzuciła torebkę na stolik w przedpokoju i zerknęła ciekawie na przesyłkę. Widniał na niej jej adres, ale brakowało nazwiska nadawcy czy choćby nazwy firmy przewozowej.

Dziwne, pomyślała. Wyjęła z koperty kasetę z napisem: „Wywiady Savannah Grail“.

No tak, mama, pomyślała Anna i uśmiechnęła się. Oczywiście. Kiedy rozmawiała z nią ostatni raz, matka wspominała, że jej agent ma dla niej parę propozycji. Być może zaraz je pozna.

Włączyła telewizor i wsunęła kasetę do odtwarzacza, a potem poszła do kuchni po

wodę mineralną i krakersy. Anna wiedziała, jak bardzo jej matka tęskniła za pracą. Brakowało jej scenicznych świateł i uwielbienia publiczności. Wciąż, mimo nieubłaganych wyroków kalendarza, pragnęła być gwiazdą, chociaż tak naprawdę kiedyś była zaledwie gwiazdką, a teraz zupełnie się nie liczyła w branży.

Zaraz po porwaniu Anny matka znowu dostała wiele ciekawych propozycji. Nie starczyło tego jednak na długo i jej dogasająca kariera wróciła do uprzedniego stanu. Miała wtedy czterdzieści pięć lat. W tym czasie hollywoodzkie symbole seksu zamieniały się w filmowe mamy i babcie, ale tych ról było mało i dostawały je wyłącznie najlepsze, oskarowe aktorki. Jej matka, nawet u szczytu kariery, nigdy do nich nie należała.

Niestety, obecnie była już w takim wieku, że mogła co najwyżej zagrać w jakiejś reklamie albo lokalnym teatrze.

Trudno jej było się z tym pogodzić, lecz przetrwała najgorsze czasy. Po rozwodzie z ojcem Anny wyjechała z Kalifornii i osiadła w rodzinnym Charlestonie w Karolinie Południowej. Tam wciąż była gwiazdą, bo wszyscy znali Savannah North, dziewczynę stąd, która kiedyś zdobyła Hollywood.

Anna uśmiechnęła się do siebie, oczekując na to, co za chwilę miało pojawić się na ekranie. Gdy tylko wcisnęła „play“, ujrzała matkę w jedwabnej niebieskiej garsonce, z diamentami na szyi. Anna zaczęła pogryzać krakersy w kształcie rybek, patrząc, jak matka przygotowuje się do wywiadu. Wciąż jest bardzo piękna, pomyślała. I wciąż ma te wspaniałe rude włosy, zielone oczy i świetną figurę, którą podziwiała duża, zwłaszcza męska, część amerykańskiej widowni.

Osoba, która miała zadawać pytania, zabrała się do dzieła. Nie było jej widać na ekranie. Anna przypuszczała, że zobaczy ją później, bo wiele wywiadów dla telewizji robiono właśnie w ten sposób.

Mężczyzna pytał jej matkę o pracę: o to, jak czuła się w roli gwiazdy, oraz o sztuki i filmy, w których występowała. Rozmawiali o Hollywoodzie lat pięćdziesiątych, o ówczesnych gwiazdach i podbojach Savannah.

Następnie prowadzący zmienił temat. Zaczął wypytywać aktorkę o życie osobiste: o rozwód, przenosiny do Charlestonu i jej jedyną córkę, Harlow Anastazję Grail.

Anna wyprostowała się, słysząc swoje imię. Coś ją ścisnęło w żołądku. Mężczyzna był nieugięty, mimo że matka starała się zmienić temat. Przez dobrych parę minut rozwodził się nad „tragicznym porwaniem“ i jego wpływem na jej małżeństwo i psychikę „małej Harlow“.

Matka była coraz bardziej zaniepokojona. Anna musiała przyznać, że mężczyzna

świetnie sobie z nią radził. Jeśli trzeba było, stawał się jej zagorzałym wielbicielem, żeby po chwili zmienić się w surowego sędziego albo zblazowanego krytyka. Wiedział, co robić, żeby uzyskać wszystkie interesujące go informacje. Posunął się nawet do tego, że stwierdził, iż dzięki porwaniu córki Savannah miała jeszcze szansę wystąpić w paru filmach.

To rozzłościło Annę. Od razu domyśliła się, o co mu chodzi. Niestety, jej mama nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Zaczęła się tłumaczyć, przez co postawiła się na przegranej pozycji. Natomiast prowadzący szykował się do ostatecznego ciosu.

- To naprawdę straszne, że Harlow nigdy nie doszła do siebie po tym porwaniu - zaczął ckliwie. - Ta dziewczynka miała taką siłę i odwagę. Jakież to smutne, że wycofała się z życia i zupełnie odeszła w zapomnienie. Pewnie jako matce trudno się pani z tym pogodzić.

Savannah wysunęła dumnie podbródek.

- Harlow z całą pewnością nie odeszła w zapomnienie! - broniła córki. - Jest pisarką i mieszka w Nowym Orleanie. Jej dwie pierwsze książki miały bardzo dobre recenzje.

Anna poczuła gwałtowne bicie serca. Zrobiło jej się słabo. Matka za jednym zamachem nie tylko zdradziła jej zawód, ale też miasto, w którym zamieszkała.

- Pisarką? - powtórzył mężczyzna. - To dziwne, że nic o niej nie słyszałem. Samo nazwisko Harlow Grail uczyniłoby ją sławną.

- Wydaje pod pseudonimem. Po tym, co przeszła, nie chce być w centrum uwagi. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Prowadzący pełnym współczucia głosem zapewnił ją, że tak jest w istocie, ale Anna wyczuła w tym jakiś fałsz.

- Tak, to oczywiste, ale może zechce nam pani powiedzieć coś więcej o córce. To na pewno zainteresuje widzów. Przez ponad siedemdziesiąt godzin cała Ameryka żyła tym porwaniem. Mała Harlow jest naszą narodową bohaterką. Proszę przynajmniej powiedzieć, co to za książki.

- Bardzo bym chciała, ale niestety...

- Gdzie wydaje? W Doubleday? A może w Cheshire House? - Musiał zauważyć po minie matki, że to był celny strzał. - Cheshire House ma wiele dobrych pisarek. Czy Harlow jest jedną z nich?

Anna wcisnęła pauzę, czując się tak, jakby ktoś uderzył ją mocno w pierś. Przez moment nie mogła oddychać. Czując gwałtowne łomotanie w skroniach, patrzyła na zastygły obraz matki na ekranie. Zdradziła prawie wszystko poza jej nowym nazwiskiem i numerem telefonu. Być może powinna być jej wdzięczna, że nie wspomniała o pracy w kwaciarni o nazwie „Perfect Rose“ i nie podała jej aktualnego adresu.

Uspokój się, powtarzała sobie. Nie wpadaj w panikę. Postaraj się chłodno ocenić sytuację.

Zaczęła oddychać nosem, próbując poukładać sobie w głowie wszystkie fakty. Nowy Orlean to duże miasto i mieszka tu wielu pisarzy. Wydawnictwo nie miało materiałów dotyczących jej poprzedniej tożsamości. Poza tym w Cheshire House wychodziło bardzo wiele powieści sensacyjnych i horrorów. Matka wspomniała o dwóch książkach, ale szczęśliwie nie powiedziała, kiedy zostały wydane.

A może jednak? Anna wcisnęła „start“. Musiała to zobaczyć do końca.

Obraz znowu ruszył. Matka wyglądała na zupełnie zagubioną. Prowadzący podziękował jej i zakończył wywiad. Nastąpiło powolne wyciemnienie. Jednak po chwili na ekranie pojawiły się białe litery. Początkowo nie mogła ich przeczytać, ale potem ułożyły się w słowa:

Niespodzianka, księżniczko. E! Dzisiaj o trzeciej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sobota, 13 stycznia, godz. 15.10

W sobotę czas biegł tak szybko, że Ben przegapił kilka pierwszych minut programu. Reportaż przygotowany przez Kanał E! dotyczył nierozwiązanych zagadek Hollywood. Wyczerpany usiadł wygodnie na kanapie. Wczoraj w nocy zasnął w czasie przeglądania materiałów do swojej książki. Pamiętał tylko, że potem z ulgą położył się do łóżka, chociaż zupełnie umknęło mu to, jak tam trafił. Obudził się przed świtem, w ubraniu, w jakiejś dziwnej pozycji. Czuł się tak, jakby spędził całą noc na lunatycznym spacerze, a nie nad książkami.

Nastąpiła przerwa na reklamy, jednak wcześniej narrator namawiał widzów do dalszego oglądania.

- Bajka, która stała się koszmarem - zapowiedział pełnym napięcia głosem. - Tajemnica porwania Harlow Anastazji Grail.

Ben pochylił się, otrząsając z siebie resztki znużenia. Historia porwania małej Grail co jakiś czas absorbowwała media, bo były w niej wszystkie ponadczasowe elementy: piękni, bogaci ludzie z Hollywood, zagrożone dzieci, tragedia i happy end oraz nierozwiązana przez lata zagadka.

Po przerwie narrator przypominał tragiczne wydarzenia. Zaczął od zniknięcia Harlow i jej kolegi spod stajni w Beverly Hills. Na ekranie pojawiły się wiadomości z tamtego okresu. Najpierw żądanie okupu, potem informacje o śmierci chłopca, mały palec dziewczynki... Całość zakończyła się brawurową ucieczką Harlow Grail.

Ben wsłuchiwał się w każde słowo. Dopiero po chwili zauważył, że wstrzymuje oddech, i znowu zaczerpnął powietrza. Co się mogło z nią stać? - zastanawiał się. Na kogo wyrosła po takich doświadczeniach? Jak te trzy dni wpłynęły na jej obecne życie? Co robi i jakich ma znajomych?

Myślał o tym, a jednocześnie bacznie obserwował ekran. Prowadzący zapowiedział wywiad z matką poszkodowanej, niegdyś znaną aktorką Savannah Grail. Trwał on najwyżej dziesięć minut, a następnie narrator zmienił temat.

- Kolejna tajemnica, która dwanaście lat temu intrygowała Hollywood...

Ben wyłączył telewizor i pokręcił w zamyśleniu głową. Historia Harlow Grail stanowiłaby doskonale uzupełnienie jego książki. Udało jej się przeżyć coś, z czego niewiele dzieci wychodziło cało. Z całą pewnością zaważyło to na dalszym jej życiu, wpłynęło na

najważniejsze decyzje. A poza tym warto się było tym zająć choćby z powodów komercyjnych.

Ściągnął brwi, rekapitulując wszystko, co usłyszał w programie. Savannah Grail zdradziła, że jej córka obecnie mieszka w Nowym Orleanie i wydaje powieści sensacyjne w Cheshire House. Powiedziała jednak, że pisze pod pseudonimem, i zaciekle broniła jej prawa do prywatności.

Ben podszedł do biurka. Książka, którą znalazł w poczekalni, leżała przykryta papierami. Wziął ją do ręki i spojrzął na grzbiet. Cheshire House. Autorka nazywała się Anna North. No tak! Przecież North to panięskie nazwisko Savannah Grail. Do dziś nie wiedział o tym, ale prowadzący program powiedział to na samym początku. A imię Anna może być skrótem zarówno od Savannah, jak i Anastazji. Z tego wniosek, że Anna North to porwana Harlow Grail, czyli, jak ją nazywano, „mała księżniczka z Hollywood“.

Ben ze zdziwieniem spojrzął na powieść. Który z pacjentów mógł zostawić mu tę książkę? I dlaczego to zrobił?

W końcu stwierdził, że po prostu o to zapyta. Zacznie od szóstki, która była u niego wczoraj.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sobota, 13 stycznia, godz. 16.00

Wreszcie pojawiło się zapowiadane słońce, którego promienie oświetliły stół w kuchni. Anna siedziała, opierając się o niego łokciami, i patrzyła tępo na dzwoniący telefon. Nawet nie zamierzała go odbierać. W końcu włączyła się sekretarka, jednak Anna ściszyła ją, żeby nie wiedzieć, kto dzwoni.

Rozmawiała już z matką, ojcem i grupką najbliższych przyjaciół. Odbyła też krótką naradę z agentem i wydawcą. Wszyscy dostali jej najnowszą książkę z notatką zachęcającą do obejrzenia programu o tajemnicach Hollywood. Wszyscy, poza rodzicami, dziwili się, że to właśnie ona jest Harlow Grail. Prosilili też, żeby wyjaśniła im, dlaczego ich o tym nie poinformowała. Wydawnictwo przyjęło tę wiadomość z radością. Jego przedstawicielka zapewniała, że dzięki temu następna książka Anny North trafi prosto na listę bestsellerów. Natomiast jej agent wściekł się, że mu o tym nie powiedziała. Jak może ją reprezentować, skoro nawet nie wie, kim jest jego klientka?!

Anna zakryła usta, powstrzymując jęk. Kto mógł jej to zrobić? I dlaczego?

Usłyszała pukanie do drzwi, a następnie radosny głos Daltona:

- Hej, to my! Dalton i Bill!

Wstała niechętnie i podeszła do drzwi. Kiedy otworzyła, zobaczyła uśmiechniętych od ucha do ucha przyjaciół.

- Próbowaliśmy dzwonić...

- Ale najpierw było długo zajęte...

- A potem nie odbierałaś.

- Widzieliście ten program - raczej stwierdziła, niż spytała.

- Jasne, że tak! - Dalton żartobliwie pogroził jej palcem. - To nieładnie ukrywać takie rzeczy przed przyjaciółmi.

- A wydawało nam się, że tak dobrze cię znamy - mruknął Bill i wszedł głębiej. - Że wiemy o tobie wszystko. A potem nagle dostaliśmy od ciebie książkę i tę notatkę...

Dalton zamknął za sobą drzwi.

- To było sprytne zagranie, ale mogłaś przecież sama nam powiedzieć.

Anna nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Strach dosłownie ją sparaliżował. Odwróciła się od mężczyzn i zakryła twarz trzęsącymi się rękami. Osoba, która to zrobiła, wiedziała o niej niemal wszystko: gdzie mieszka, co robi i z kim się spotyka. Dobry Boże, kto

mógł aż tyle o niej wiedzieć?!

- Anno? Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony Dalton.

Potrząsnęła głową.

- To... to nie ja wysłałam tę informację - wydusiła drżącym głosem.

- Nic nie rozumiem. Więc kto to zrobił?

- Nie wiem... - Znowu obróciła się twarzą do przyjaciół. - Ale boję się...

Kurt! To na pewno on ją znalazł!

- Muszę usiąść - rzuciła, podchodząc do kanapy. Opadła na nią, jakby ważyła sto kilo.

Mężczyźni podeszli do Anny i usiedli po obu jej stronach. Dalton po prawej, Bill po lewej. Nie zadawali jej kolejnych pytań, za co była im bardzo wdzięczna. Straciła panowanie nad sobą, czego nienawidziła, i teraz właśnie próbowała je odzyskać. Potrzebowała na to paru chwil.

Kiedy się wreszcie pozbierała, opowiedziała o swojej przeszłości. O szczęśliwym dzieciństwie, porwaniu, śmierci Timmy'ego i ucieczce. Roztarła ramiona, czując, że pojawiła się na nich gęsia skórka.

- Po porwaniu moje życie bardzo się zmieniło - westchnęła, powracając raz jeszcze do tamtych bolesnych wydarzeń. - Ja się bardzo zmieniłam. Nigdzie nie czułam się bezpiecznie. Bałam się i przestałam ufać ludziom.

Przyjaciele milczeli, myśląc o tym wszystkim, co im powiedziała. Po chwili Dalton chrząknął.

- Chcesz powiedzieć, że zabił tego chłopca na... na twoich oczach?

Łzy pociekły jej po policzkach, a przed oczami pojawił się walczący o życie Timmy. Jego ciało wpadło w drgawki, ale po chwili się uspokoiło. Pomyślała, że zaraz zacznie krzyczeć, i zakryła usta. Nie sądziła, że wciąż pamięta to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. I że wspomnienie może być tak strasznie bolesne.

W końcu trochę się uspokoiła i skinęła głową.

- A potem zajął się mną.

- Twój palec.

Znowu potwierdziła, a Bill ścisnął jej dłoń.

- Nic dziwnego, że się boisz, Anno. To wszystko jest takie potworne.

- Nie tylko wy dostaliście wiadomość o programie. - Anna wciągnęła głęboko powietrze, wciąż czując przyspieszone bicie serca i lekkie drżenie dłoni. - Dotarła ona prawie do wszystkich, którzy mnie trochę lepiej znają. Nawet mój agent i wydawnictwo, dla którego pracuję. I ja.

Opowiedziała im, jak zastała przed drzwiami przesyłkę z nagrany wywiadem matki i końcową informacją o programie. Właśnie tę taśmę wykorzystano w reportażu.

- Nie myślisz chyba, że to twoja matka...

- Nie. - Anna potrząsnęła głową.

To prawda, że Savannah postąpiła nierozsądnie i Anna czuła się przez nią zdradzona, ale nie upoważniało to do przypuszczeń, by zrobiła to specjalnie. Ani matka, ani ojciec nie rozumieli do końca istoty i głębi lęku, w jakim od lat żyła ich córka, ale była pewna, że szanują jej wolę ukrycia prawdziwej tożsamości.

- Jakiś rok temu do mamy zgłosiła się niezależna ekipa filmowa - podjęła po chwili. - Kręcili serial zatytułowany „Boginie lat pięćdziesiątych“. Mama zgodziła się na wywiad, ale potem nie miała od jej szefa żadnych informacji. Aż do niedawna.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego cię zdradziła! - zjeżył się Dalton.

Anna spojrzała na dłonie, a potem przed siebie.

- Co się stało, to się nie odstanie. Moja matka nie życzy mi źle. Nie chce mnie... - Niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu.

Skrzydzieć, pomyślała. Ona nie, ale ktoś na pewno chce jej zrobić coś złego.

Milczeli przez parę minut, a potem Dalton objął ją i przytulił.

- Biedna Anna! Wykurzyli cię z twojej kryjówki.

Bill zmarszczył brwi.

- A tak, swoją drogą, czy twoja matka pamięta nazwisko szefa tej ekipy?

Potrząsnęła głową.

- Ale dostała od niego wizytówkę. Powiedziała, że jej poszuka.

- Wiesz co - Bill przygryzł na moment wargę - mam paru znajomych w telewizji. Spróbuję się dowiedzieć, u kogo Kanał E! zamówił ten materiał. Przy odrobinie szczęścia szybko dowiemy się wszystkiego.

- Dzięki - rzuciła, kładąc dłoń na jego rękę. - To... to może mi pomóc.

- Czy nie domyślasz się, kto za tym może stać? Zastanów się chwilę...

- Nie, ja... - Przeniosła wzrok na Daltona. Wiedziała, że to, co chce powiedzieć, jest nieprawdopodobne. - Jak wiecie, nigdy nie znaleziono Kurta. FBI uważa, że wciąż... stanowi zagrożenie.

- Myślisz, że to Kurt porozsyłał te informacje?

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale... tak mi się wydaje.

Dalton przytulił ją mocniej i rzucił przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie, nie sądzę. Nie powinnaś się go obawiać.

- Tak, tak - zgodził się Bill. - Po co miałby cię ścigać? Minęło już tyle czasu.

- Nie skończył tej sprawy - szepnęła. - Boję się, że będzie chciał się ze mną porachować, bo zniweczyłam jego plany.

Przyjaciele znowu zamilkli na chwilę, wreszcie Bill przerwał ciszę:

- Rozumiem twoje obawy i lęki, Anno, ale powinnaś być racjonalna. Gdyby ten człowiek naprawdę chciał się zemścić, z całą pewnością nie zdradziłby, że wie o tobie wszystko!

- Właśnie! - podchwycił Dalton. - Gdyby to był Kurt, porwałby cię raz jeszcze. Albo od razu zabił.

Anna uśmiechnęła się blado.

- Dzięki, Dalton. Bardzo mnie pocieszyłeś.

Bill pokręcił głową.

- Ta historia z Kurtem w ogóle nie ma sensu - stwierdził. - Tylko przyjrzyjmy się faktom. Minęły dwadzieścia trzy lata, a Kurt na pewno nie poprzestał na jednym porwaniu. Być może siedzi teraz za coś innego albo nie żyje.

Potarła palcami okaleczoną dłoń.

- Chciałabym w to wierzyć, ale mam okropne przeczucie, że mnie znalazł.

- Musisz pójść na policję - rzekł Dalton, a potem popatrzył na Billa, oczekując wsparcia.

Ten od razu skinął głową.

- Im wcześniej, tym lepiej.

- Na policję? - westchnęła. - I co im powiem? Że ktoś kupuje moje książki i rozsyła je znajomym? Tylko mnie wyśmieją.

- Nie sądzę. Powinnaś powiedzieć im o swoich podejrzeniach, a kiedy dowiedzą się, kim naprawdę jesteś, nie będą się śmiać.

- No jasne. - Bill natychmiast poparł Daltona. - Zrób to koniecznie. Nie masz nic do stracenia.

Prawdę mówiąc, Anna nie ufała zarówno policji, jak i FBI. Była przekonana, że gdyby wykazano więcej ostrożności, Timmy żyłby nadal. Nie chciała jednak dzielić się swoimi wątpliwościami, dlatego tylko mruknęła:

- Dobrze, przemyślę to sobie.

- Nie, musisz obiecać, że to zrobisz - rzekł twardo Dalton. - Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś ci się stało.

- Dobrze. Ale najpierw się zastanowię.

Bill machnął ręką. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a kiedy Anna zapewniła ich, że nie boi się zostać sama, obaj wyszli.

Stojąc w drzwiach, Dalton obrócił się w jej stronę.

- A jak przyjęła to Jaye? - spytał. - Jest taka wrażliwa, a w tym wieku...

Anna zastygła niczym żona Lota. O dziwo, do tej pory nie pomyślała o swojej „młodszej siostrze“. Sądząc po dzisiejszych telefonach, wszyscy, którzy odgrywali jakąś rolę w jej życiu, dostali informację o programie. Czy również Jaye?

Ogarnęła ją czarna rozpacz. Myślała tylko o sobie, a przecież Jaye... Tak trudno było zdobyć jej zaufanie, między innymi dlatego, że wszyscy dorośli, których znała, bez przerwy kłamali. Zamknęła drzwi i pobiegła do telefonu. Najpierw odsłuchiwała sekretarkę, ale nie było tam informacji od Jaye. Wykręciła więc jej numer. Dziewczyna nie chciała podejść do telefonu.

Zrozpaczona Anna powiedziała jej matce, że zaraz do nich przyjedzie. Musiała jak najszybciej porozmawiać z „siostrą“.

Dojechała do jej domu w rekordowym tempie. Cały czas ścisnęła mocno kierownicę i modliła się w duchu, żeby wszystko dobrze się ułożyło i żeby Jaye zrozumiała, dlaczego zataiła prawdę. Jednak gdy tylko ją zobaczyła, zrozumiała, że nie będzie to łatwe.

- Chciałam wszystko wyjaśnić, Jaye - zaczęła.

- Nie ma tu nic do wyjaśniania. - Dziewczyna uniosła nieco brodę. - Zaufałam ci, a ty mnie cały czas oszukiwałaś.

- Nieprawda.

Jaye prychnęła, słysząc te słowa, a Anna wyciągnęła rękę w jej stronę. Zaczynało się ściemniać. Ganek, na którym stały, powoli pogrążał się w mroku.

- Posłuchaj, Jaye. Harlow Grail nie istnieje. Przestała istnieć, kiedy się tu przeprowadziłam. Teraz jestem wyłącznie Anną North.

Jaye objęła się ramionami, chroniąc się przed narastającym chłodem.

- Bzdura! Jesteś wciąż tą samą osobą.

- Porzuciłam wszystko, co wiązało się z moim poprzednim życiem. Zmieniłam nazwisko. Rzadko kontaktuję się z rodzicami.

- To tylko wymówki. Dorośli często usprawiedliwiają się w ten sposób. A potem jeszcze wmawiają dzieciom, że są głupie!

- Wcale tego nie powiedziałam. Próbuję ci po prostu wytłumaczyć, dlaczego...

- Dlaczego kłamałaś? Przecież mam tylko piętnaście lat. Po co traktować mnie poważnie? - Anna aż się skurczyła, słysząc te słowa. - Ile razy mi powtarzałaś, że muszę

uporać się z przeszłością?! I to ty mówiłaś! Właśnie ty!

- Nie kłamałam. - Anna potrząsnęła głową. - Jestem teraz Anną North. Harlow Grail istnieje tylko w ludzkiej pamięci...

- Wcale jej się nie pozbyłaś! - niemal krzyknęła Jaye. - Tak nie można. Wiem, bo codziennie myślę o tym, co działo się u mnie w domu i jak głupi był mój ojciec. - Podniosła głowę jeszcze wyżej, walcząc, jak domyśliła się Anna, ze łzami. - Gdybyś rzeczywiście stała się inną osobą, nie musiałabyś się ukrywać pod zmyślonym nazwiskiem.

Do diabła, Jaye ma rację! Jak to możliwe, że ktoś w tym wieku wie takie rzeczy? Anna знаła odpowiedź na to pytanie. Cierpienie czyni ludzi nadmiernie dojrzałymi.

- Moja sytuacja jest inna.

Dziewczyna zeszywniała, a na jej twarzy pojawiły się, widoczne nawet przy słabym świetle, czerwone plamy.

- Aha, rozumiem. Jestem po prostu głupim bachorem i kwita, prawda?

- Nie, dlatego, że ty możesz czuć się bezpiecznie. Twój ojciec jest w więzieniu. - Pokazała jej okaleczoną rękę. - Tego, kto to zrobił, nigdy nie złapano. Zrozum, ja nie uciekam przed przeszłością, ale przed nim.

Jaye zrobiła ruch, jakby chciała ucisnąć jej dłoń, i Anna przez moment miała nadzieję, że zdołała ją przekonać. To uczucie prysło jak bańka mydlana, kiedy dziewczyna gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, prawdziwi przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic. Ja powiedziałam ci całą prawdę, a ty... - Głos jej się załamał.

- Bardzo mi przykro, Jaye. Wybacz mi. - Spojrzała na nią z rozpaczą. - Proszę.

- Nie. - Dziewczyna cofnęła się w stronę drzwi. - Nie chcę już być twoją przyjaciółką. Nigdy!

Wytarła twarz dłonią i wskoczyła do domu, trzaskając za sobą drzwiami. Ten dźwięk jeszcze długo rozbrzmiewał w uszach Anny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Środa, 17 stycznia

Dzielnica Francuska

Przez parę kolejnych dni Anna wydzwaniała do Jaye, i to dwa razy dziennie, jednak dziewczyna konsekwentnie odmawiała wszelkich kontaktów. Anna bardzo za nią tęskniła. Czuła, że nagle powstała wielka dziura w jej życiu i sercu. Bill i Dalton zapewniali ją, że „młodsza siostra“ wkrótce dokładnie przemyśli całą sprawę i znowu wszystko będzie jak dawniej.

Anna mogła mieć tylko nadzieję, że się nie mylą, jednak doskonale znała i rozumiała Jaye. Wiedziała, że jeśli dziewczyna raz się na kogoś zawiedzie, to potem szybko usuwa go ze swego życia. Taka taktyka wynikała z przykrych doświadczeń z wczesnego dzieciństwa. Jako „starsza siostra“ nigdy nie przypuszczała, że sama padnie tego ofiarą.

Z westchnieniem weszła do kwaciarni. Dalton był dzisiaj od niej szybszy. Stał właśnie przy kasie i liczył gotówkę.

- Przepraszam za spóźnienie - rzuciła, zdejmując kurtkę i kierując się do pomieszczenia na zapleczu. Zerknął na nią znad kasy.

- Dzień dobry.

- A co w nim takiego dobrego?

- Jak rozumiem, Jaye wciąż nie chce z tobą rozmawiać?

- Mhm - mruknęła. Powiesiła kurtkę na wieszaku i włożyła fartuch. - Jej matka ma już chyba dość moich telefonów. Dzisiaj powiedziała mi, że Jaye sama do mnie zadzwoni, kiedy uzna za stosowne. I odłożyła słuchawkę.

Dalton zmarszczył czoło.

- Z czego prosty wniosek, że nie jest twoją sojuszniczką.

- Raczej nie. - Podeszła do kasy. - Wygląda na to, że wszyscy uznali mnie za wroga.

- Jaye na pewno się opamięta. Skoro ty tak za nią tęsknisz, pomyśl, co musi czuć ona...

Anna przez chwilę zastanawiała się nad tym, a potem zmieniła temat:

- Przed wyjściem odebrałam telefon od mojego agenta. Dlatego się spóźniłam.

- No, nareszcie! Już mogę się cieszyć? Wydadzą twoją nową książkę?

- Tak... - odparła z ociąganiem, a potem uniosła dłoń, żeby powstrzymać gratulacje. -

Ale tylko na ich warunkach.

- Na ich warunkach? To znaczy?

- Chcą mi zmienić nazwisko. Ich zdaniem Harlow Grail może sprzedać znacznie więcej książek niż Anna North.

- Nie rozumiem. - Ściągnął brwi. - Przecież w twojej ostatniej książce nie ma nawet wzmianki o jakimkolwiek porwaniu.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby przyciągnąć media - rzekła z goryczą. - Mój agent powiedział mi bez ogródek, że moja książka pozostanie jeszcze jedną w swoim gatunku, ale można to zmienić, gdy się okaże, że napisała ją „mała księżniczka z Hollywood“.

- Bardzo mi przykro, Anno. Masz do czynienia z hienami. To naprawdę obrzydliwe.

- Jest gorzej, niż myślisz. Jeśli na to nie pójde, to w ogóle zrezygnują ze współpracy. Moje książki przynoszą zbyt małe zyski.

- Czyli wszystko albo nic.

- Na to wygląda. - Zaczęła liczyć pieniądze z kolejnego woreczka, zadowolona, że ma co zrobić z rękami. - Mój agent oczywiście namawia mnie, żebym się zgodziła. Nie rozumiem, czemu się waham. Jego zdaniem większość autorów zrobiłaby wszystko, żeby się wypromować, a poza tym i tak już wiadomo, kim jestem, i świat się nie skończył.

- Jak widać, to twój prawdziwy przyjaciel i doskonale cię rozumie - rzucił szyderczo.

- Myślałam, że jest po mojej stronie, ale teraz widzę, że po tej, gdzie jest więcej forsy.

Dalton poklepał ją współczująco po plecach.

- Co chcesz zrobić?

- Sama nie wiem, ale chyba się jednak zgodzę. Tyle się napracowałam, żeby cokolwiek wydać. Pamiętasz, jak było. - Spuściła głowę, żeby nie pokazywać łez, które nagle pojawiły się w jej oczach. - Ale nie wyobrażam sobie, jak mogłabym opowiadać w radiu i telewizji o tym... o tym, co się zdarzyło. Nie chcę odsłaniać się przed obcymi. Przecież wiem, co to za ludzie! - Zacisnęła dłoń. - Nie będę im opowiadać o najgorszych doświadczeniach mojego życia.

- Ale jeśli tego nie zrobisz... - zawiesił głos.

- Wiem, stracę wszystko. - Z trudem przełknęła ślinę, czując, że gardło ściska jej się jeszcze bardziej. - To niesprawiedliwe.

Pocałował ją w policzek.

- Powiedz tylko, jeśli stary Dalton będzie mógł ci w czymś pomóc.

- Dzięki. - Przytuliła się do niego na chwilę. - Sam nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Usłyszeli dzwonek przy drzwiach i do środka wszedł Bill. W dwurzędowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli wyglądał jak bankier.

- Złapałem was na gorącym uczynku - zaśmiał się. - I pomyśleć, że tak wam ufałem.

Anna odsunęła się trochę od Daltona i uśmiechnęła do przyjaciela.

- Chętnie bym ci go odbiła. Ale wiem, że niestety nie mam szans.

Bill skrzywił się komicznie.

- A ja, głupi, cały czas myślałem, że zależy ci właśnie na mnie.

Roześmiali się we trójkę, a następnie Anna spojrzała z zaciekawieniem na Billa.

- Co tutaj robisz tak wcześnie? Wyglądasz naprawdę...

- Nudno? - dokończył, przyglądając się z niechęcią swemu ubraniu. - Jestem umówiony w parku z grupą biznesmenów, sponsorujących nowe „Spotkania ze sztuką“. Ci ludzie z jakichś powodów chętniej dają pieniądze facetom w garniturach niż bez. - Bill podszedł do lady. - Przekazałeś jej ten list? - zwrócił się do Daltona.

Anna zerknęła przez ramię i zauważyła, że Dalton daje gwałtowne znaki, żeby przyjaciel trzymał język za zębami.

- Jaki list? - Obróciła się do Daltona.

- Tylko się nie złość - zaczął obronnym tonem. - Przyszedł wczoraj, kiedy byłeś na lunchu.

- Od twojej małej wielbicielki - dorzucił Bill, zacierając ręce. - A więc jest ciąg dalszy. Zirytowany tymi słowami Dalton wyjął kopertę z kieszeni fartucha i podał go Annie.

- Wiem, że te listy bardzo cię niepokoją, a wczoraj byłeś w takim nastroju, że wołałem... nie pogarszać sytuacji.

- Nie ma o czym mówić - westchnęła, otwierając kopertę.

Ostatnio sporo myślała o Minnie i teraz miała nadzieję dowiedzieć się o niej więcej. Doszła do wniosku, że dziewczynka jest ofiarą domowej przemocy, chociaż nie wiedziała, kto ją maltretuje. I czy rzeczywiście trzyma ją w zamknięciu. Była na tyle zaniepokojona, że skontaktowała się nawet z koleżanką z opieki społecznej. Obie raz jeszcze przeczytały listy. Koleżanka też była nimi zaniepokojona, ale żeby mogła coś zrobić, potrzebowała konkretów. A tych wciąż brakowało.

Anna spojrzała niepewnie na kartkę papieru. Miała nadzieję, że jej podejrzenia okażą się bezpodstawne, bo Minnie napisze coś, co wyjaśni całą sytuację.

- Przeczytasz go w końcu czy nie? - zniecierpliwił się Bill.

Skinęła głową i rozłożyła kartkę. List zaczynał się tak jak poprzednie. Parę słów o Tabicie, książkach Anny i kilku zdarzeniach z życia Minnie. Jednak zakończenie było więcej niż niepokojące:

On planuje coś złego. Nie wiem co, ale strasznie się boję. O Panią. I jeszcze jedną

dziewczynę. Postaram się dowiedzieć więcej...

Anna przeczytała raz jeszcze tych parę linijek, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

- Dobry Boże! - Spojrzała na przyjaciół. - On chce zrobić to jeszcze raz.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Ale co?

- Sama nie wiem. Prawdopodobnie zamknąć jeszcze jedną dziewczynkę.

Trzęsącą się ręką podała Daltonowi list. Bill stanął obok, żeby też go przeczytać. Kiedy doszedł do końca, aż gwizdnął ze zdziwienia.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Ani mnie - dodał ponuro Dalton. - Co chcesz z tym zrobić?

Anna przez chwilę milczała, rozważając różne wyjścia. Było ich kilka. W końcu podjęła najlepszą, jak jej się wydawało, decyzję. Zdjęła fartuch i poszła na zaplecze po kurtkę. Dopiero kiedy ją włożyła, spojrzała na przyjaciół.

- Na razie będziecie musieli sobie radzić sami. Idę na policję.

Czterdzieści minut później uściśnęła dłoń śledczego Quentina Malone'a.

- Proszę usiąść. - Wskazał stojące przed biurkiem krzesło. - Przepraszam, że musiała pani czekać. Mamy dzisiaj braki personelu. Połowa funkcjonariuszy choruje na grypę.

Zawiesiła kurtkę na poręczy krzesła i usiadła.

- Już mi o tym mówiła oficer dyżurna. Podobno ma pan tylko przyjąć zgłoszenie, a sprawą zajmie się ktoś inny.

- Tak, na co dzień pracuję w Siódemce. - Usiadł za biurkiem i splótł dłonie. - Dzisiaj jestem tu tylko w zastępstwie.

- I trafił pan akurat na mnie.

- No właśnie, trafiłem na panią. - Spojrzał na nią, a potem wymownie się uśmiechnął.

- Jak to się mówi, szczęście mi dopisało.

Anna nie odwzajemniła uśmiechu, chociaż mężczyzna był wysoki i przystojny. Musiał być też nie lada podrywaczem. Mogła się założyć, że wystarczyło, by błysnął tym swoim uśmiechem, a damski trup słał się gęsto.

Ona jednak nie myślała w tej chwili o seksie. Przykro mi, stary, rzekła w duchu. Nie teraz. Może w następnym stuleciu.

Anna nie znosiła zbyt pewnych siebie mężczyzn. Takich, którzy uważali, że kobiety tylko na nich czekają. Ponieważ wychowała się w Hollywood, często stykała się z takimi typami. Zwłaszcza aktorzy byli nie do zniesienia. To prawda, na ogół bardzo przystojni, ale

przy tym jak diabli egoistyczni i zapatrzeni w siebie. Narcyz na narcyzie. Potrafili mówić tylko o swoich osiągnięciach, a jeśli patrzyli w oczy kochanki, to tylko po to, żeby zobaczyć w nich własne odbicie.

- Zważywszy na braki kadrowe, chyba dobrze, że nie chcę zgłosić morderstwa - rzuciła zjadliwie.

- Oczywiście. - Oficer skinął głową. - Im mniej morderstw, tym lepiej. Morderstwa są fe.

Zmarszczyła brwi i pochyliła się w jego stronę.

- Czy pan sobie kpi?!

- A pani? - Posłał jej jeszcze jeden uśmiech, taki, który mógł przyprawić większość kobiet o palpitację serca, a następnie wyjął z kieszeni na piersi mały notatnik. - Może nadszedł czas, byśmy przeszli do rzeczy? - zapytał retorycznie.

Skinęła głową. Zaczęła mu opowiadać o pierwszym liście od Minnie i dlaczego zdecydowała się jej odpisać, o swoim niepokoju i narastających podejrzeniach. W końcu wyjęła z torebki ostatni list. Policjant przeczytał go szybko.

- To dziecko jest w dziwnej sytuacji - dorzuciła. - Początkowo trochę się niepokoiłam, ale teraz naprawdę zaczęłam się bać.

- O tę małą?

- Tak. A także o tę inną dziewczynę, o której pisała Minnie.

Uniósł głowę, ale jego twarz nie zdradzała, o czym myśli. Anna stłumiła jęk.

- Obawiam się, że ten mężczyzna trzyma Minnie w zamknięciu. Wydaje mi się, że planuje coś złego... Może porwanie.

Milczał przez dłuższą chwilę, a potem pochylił się w jej stronę.

- Obawiam się, że to tylko fantazje. Ta Minnie nigdzie przecież nie napisała, że jest zamknięta albo że ktoś ją porwał.

- Nie musi. Niech pan uważnie przeczyta ten list. Mogę przynieść pozostałe. Przecież to jasne, że dzieje się coś złego.

- Jak rozumiem, zajmuje się pani pisaniem powieści sensacyjnych...? - Malone znacząco zawiesił głos.

- Tak, ale to nie ma nic wspólnego z...

- Właśnie takie historie pani opisuje, prawda?

Anna poczuła, że czerwieni się ze złości.

- Co, myśli pan, że to wszystko wymyśliłam?! Albo że badam, jak funkcjonuje policja?!

- Wcale tego nie powiedziałem. - Pochylił się raz jeszcze i spojrzał jej prosto w oczy. - Mam inną teorię dotyczącą tych listów. Ciekawe, czy pani o tym myślała?

Anna gwałtownie się wyprostowała.

- Słucham?

- Nie przyszło pani do głowy, że to może być sprytna pułapka?

- Pułapka? - powtórzyła. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Być może tych listów wcale nie napisała jedenastoletnia dziewczynka, tylko ktoś starszy. Jakiś niezbyt zrównoważony wielbiciel, który bawi się panią jak kot myszką. - Zrobił przerwę, żeby wzmocnić siłę swych słów. - A może udaje, że jest Minnie, żeby się do pani zbliżyć...?

Poczuła nieprzyjemne mrowienie na karku i szybko potrząsnęła głową.

- To niemożliwe!

- Czy aby? - Uniósł w górę brwi. - Pisuje pani książki sensacyjne, a dokoła jest mnóstwo wariatów. Może któremuś spodobały się pani książki. To naprawdę się zdarza.

Ręce zaczęły jej drżeć, więc zacisnęła je na podolku, żeby Malone tego nie spostrzegł. Jednocześnie uniosła dumnie głowę.

- Nie wierzę w takie brednie.

- A powinna pani. - Zajrzał jej głębiej w oczy. - Zważywszy pani przejścia, powinna pani to potraktować bardzo poważnie.

Cała zeszywniała.

- Przepraszam, ale co pan wie...?

- Proszę się zastanowić. Przecież łatwo można panią w ten sposób nabrać. Wiadomo, że ma pani obsesję na punkcie wykorzystywania dzieci.

- Obsesję? Jaką obsesję? Pan wybaczy, ale wcale tak nie uważam. A poza tym co pan wie o tym, co sama przeszłam?

Policjant poprawił się na krześle.

- Przepraszam panią, ale nawet taki tępy gliniarz jak ja potrafi patrzeć i wyciągać wnioski. Jest pani pisarką i nazywa się Anna North. Wydaje pani w Cheshire House. Ma pani zielone oczy, rude włosy i, na oko, trzydzieści sześć lat. - Wskazał jej dłoń. - Poza tym brakuje pani małego palca.

Poczuła się obnażona i ośmieszona. Była zła na siebie i na niego za to, że się nią bawił. Cały czas wiedział, kim jest, ale dopiero teraz puścił farbę. Głupi Rambo. Napisze o nim w następnej książce. Będzie nadętym bufonem, którego w końcu zdegradują za kompromitującą nieudolność... albo za jeszcze coś gorszego.

Spojrzała na niego najchłodniej, jak potrafiła.

- Nie wiedziałam, że tępi gliniarze oglądają E!

Uśmiechnął się do niej przepraszająco, zamknął notes i schował do kieszeni.

- Mam takie gliniarskie hobby, że w wolnym czasie analizuję różne nierozwiązane sprawy. Pani wydała mi się szczególnie interesująca.

- Czuję się pochlebiona - mruknęła kpiąco. - I co? Wie pan już, kto był porywaczem?

- Jeszcze nie, ale powiem pani, kiedy go znajdę. - Zwrócił jej list i wstał, oznajmiając w ten sposób, że spotkanie uważa za skończone.

Anna podniosła się, wręcz dysząc wściekłością.

- Nie będę sobie jednak robiła zbyt wielkich nadziei - stwierdziła ironicznie.

Spojrzał na nią bardziej z rozbawieniem niż urazą, ale to tylko jeszcze bardziej ją rozzłościło.

- Myli się pan. Te listy na pewno napisało dziecko. Wystarczy na nie spojrzeć, żeby stało się to jasne. Nawet gdyby dorosłemu udało się podrobić dziecięcy charakter, to i tak nie oddałby sposobu myślenia właściwego dla tego wieku. Te listy napisało dziecko. Jedenastoletnie dziecko, któremu coś zagraża.

- Przykro mi, ale tak nie uważam.

- Więc nie pan nie zamierza z tym zrobić? - spytała rozgoryczona. - Nawet nie pofatyguje się pan, by sprawdzić adres tej małej?

- Nie, ja nie, jednak śledczy Lautrelle może uznać, że jest to konieczne. Ma tu być jutro. Przekażę mu tę sprawę.

- I własne sugestie - dorzuciła.

Nie zwrócił uwagi na te słowa.

- A pani zalecam daleko posuniętą ostrożność. Proszę nam zgłosić, gdyby wydarzyło się coś dziwnego, i zwrócić szczególną uwagę na nowe osoby. - Zamyślił się na chwilę. - Jak rozumiem, nie podała pani Minnie domowego adresu, prawda?

Nie, tylko taki, pod którym można ją było zastać sześć dni w tygodniu. Jak mogła być tak niemądra?!

- Domowego? - powtórzyła, nie chcąc się przyznać do takiej nieostrożności. - Nie, nie podałam.

- To dobrze. - Wręczył jej wizytówkę śledczego Lautrelle'a. - Proszę dzwonić, gdyby wydarzyło się coś nowego. Na pewno pani pomoże.

Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Zatrzymała się jednak i obejrzała na Malone'a.

- Wie pan co, teraz już wcale się nie dziwię, że jest tyle nierozwiązanych zagadek.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Quentin patrzył za wychodzącą Anną North z mieszaniną rozbawienia i zdziwienia. Harlow Grail w jego skromnym biurze. Kto by pomyślał!? Kiedy ją porwano, miał czternaście lat. Doskonale pamiętał ojca i wujów, którzy często rozmawiali o tej intrygującej i tajemniczej sprawie. Spryt i determinacja kidnapera były wręcz zadziwiające, a to, że nigdy nie został schwytany, było następną plamą na honorze policji. Malone przypomniał też sobie telewizyjne wiadomości i zdjęcia zaginionej, która wydawała mu się wtedy najładniejszą dziewczyną na świecie. Wyobrażał sobie, że to właśnie jemu udało się schwytać porywacza, dzięki czemu został bohaterem Hollywood. A potem, kiedy uciekła, bardzo się z tego ucieszył, chociaż wypowiedzi jej rodziny wydawały mu się zupełnie pozbawione sensu. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

Porwanie Harlow Grail zafascynowało go, podobnie jak wszystkich w Ameryce. To była jedna z pierwszych nierozwiązanych zagadek, którą zajął się po rozpoczęciu kariery w policji.

- Cześć, stary. - Terry stanął obok i wskazał głową wyjście. - Co to za ślicznotka?

- Nazywa się Anna North.

- Może kogoś zabiła? Albo chociaż obrabowała? - zapytał z nadzieją partner.

Quentin uniósł głowę.

- Tylko na papierze. Pisze powieści sensacyjne.

- Naprawdę? A to dobre. Czego od ciebie chciała? Szukała bohatera swojej nowej książki?

Quentin przypomniał sobie jej spojrzenie. Jeśli już, to raczej zrobi ze mnie ofiarę, pomyślał. Głupiego gliniarza, który musi umrzeć, ponieważ nie chce słuchać nad wyraz inteligentnych i przenikliwych powieściopisarek.

- Tak, coś w tym rodzaju - mruknął.

Terry wskazał biurko.

- Jesteśmy wolni. Przyszli La Pinto i Erickson.

Quentin skinął głową.

- Widziałem. Nie wyglądają zbyt dobrze.

- Więc lepiej uciekać, póki jeszcze trzymają się na nogach.

Musiał zgodzić się z kumplem. Odmeldowali się szybko i wyszli na zewnątrz. Dzień był szary i chłodny. W powietrzu czuło się wilgoć. Terry zadrzał i zapiał kurtkę aż pod

gardło.

- Mam już absolutnie dość tego cholernego zimna. Na miłość boską, przecież jesteśmy w Nowym Orleanie!

- Mogłoby być gorzej - westchnął Quentin, spoglądając na niebo. - Mógłby jeszcze spaść śnieg.

- Lepiej cofnij te słowa! - jęknął Terry. - To miasto wariuje, kiedy tylko zaczyna padać. Pamiętasz, jak było ostatnio? Parę płatków, a mieliśmy roboty na cały miesiąc.

Doszli do samochodu i Quentin otworzył drzwiczki. Kiedy wsiedli i zapięli pasy, Terry spojrzał na Malone'a.

- A tak swoją drogą, powiedz, czego chciała ta ruda? Naprawdę będzie o tobie pisać?

Quentin skrzywił się.

- Sądząc z przebiegu spotkania, chętnie by mnie uśmierciła od razu na początku swojej nowej powieści. I to w jakiś wyszukany sposób.

Kumpel zaśmiał się, zresztą najpewniej pierwszy raz tego dnia.

- Proszę, taki z ciebie podrywacz, a zraziłeś do siebie ślicznego rudzielca. - Terry pochylił się w jego stronę. - Więc o co chodziło?

- Dostaje niepokojące listy od wielbicielki.

- Naprawdę? Jakież groźby?

- Nie, w każdym razie nie bezpośrednio, ale coś tu bardzo jest nie tak. Ta wielbicielka to prawdopodobnie jedenastoletnie dziecko.

- Prawdopodobnie? - podchwycił Terry.

- Mam poważne wątpliwości - wyjaśnił Quentin. - Ta cała North uważa, że to dziecko jest w niebezpieczeństwie. Poinformuję o tym Lautrelle'a, kiedy wróci do pracy. Będzie mógł to sprawdzić, jeśli uzna, że warto. Mam nadzieję, że uzna.

Terry oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

- Wiesz, podjąłem decyzję. Zaraz złożę podanie o przeniesienie do Ósemki. Może dostanę sprawę tej cizi. Rude mają w sobie coś niesamowitego...

- Daj spokój, Terror. Nawet nie masz co do niej startować. Ona nie jest dla ciebie.

Terry uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- Skąd wiesz? Rwałem lepsze dziwki niż ta!

- Rwałeś? Dziwki? - Quentin nie mógł powstrzymać śmiechu. - Tak, na pewno!

Minęli Poydras Street, wciąż kierując się na przedmieścia.

- A jak wczorajsze przesłuchanie? - podjął po chwili Malone. - Bardzo cię wymęczyli? Nowoorleańska policja miała sekcję wewnętrzną, służącą do badania przestępstw, o

udział w których podejrzani byli miejscowi gliniarze. Terry był już tam przesłuchiwany bezpośrednio po śmierci Nancy Kent, a wczoraj wezwano go po raz drugi.

- Znowu zadawali mi mnóstwo pytań na temat Nancy, a potem puścili. - Terry otworzył oczy i spojrzał na Malone'a. - Między innymi dzięki twoim zeznaniom.

- Powiedziałem tylko to, co widziałem. - Quentin wzruszył ramionami. - Przeszedłeś z nią na „ty“ po jej śmierci?

- Po tym, co stało się w zeszłym tygodniu, jesteśmy prawie jak rodzina - mruknął Terry.

Resztę drogi odbyli w ponurym milczeniu. Po paru minutach zobaczyli przed sobą budynek Siódemki. Quentin zaparkował i obaj weszli do środka, żeby się zameldować. Następnie się rozdzielili. Quentin ruszył do siebie, ale po drodze zajrzał jeszcze do biura.

- Hej, Quen! - zawołał go Johnson.

- Co się stało? - Podeszedł do jego biurka.

Johnson wziął z biurka żółtą teczkę i wyciągnął ją w stronę kolegi.

- Sam zobacz.

- Zabójstwo Kent - mruknął Malone, przeglądając papiery. - Co my tu mamy?

- Jak przypuszczaliśmy, została uduszona, ale wcześniej ktoś ją zgwałcił. Tego też się spodziewaliśmy. Pozostaje tylko pytanie, kto.

Quentin odnalazł raport lekarski. Poza paroma siniakami na biodrach i udach kobieta prawie nie ucierpiała.

- Dziwne.

- Co takiego?

- Ona nie walczyła - wyjaśnił Quentin.

- Myślisz, że znała tego przyjemniaczka?

- Możliwe. Znaleźli coś pod jej paznokciami?

- Niewiele. Facet ma grupę krwi 0 Rh+. Tak jak połowa mieszkańców Nowego Orleanu.

- Ale nie ja - mruknął sarkastycznie Malone, z namysłem przeglądając pozostałe papiery. - Mam A Rh+. Czy rozmawialiście wtedy, ty i Walden, z jakimiś kobietami z tawerny?

- Tylko z kelnerkami. Przede wszystkim skupialiśmy się na facetach.

- Pomyśl, stary. Ta ruda miała na skinienie ręki praktycznie wszystkich mężczyzn w knajpie. Z powodu jej ekshibicjonistycznych wygłupów inne kobiety miały niewielkie szanse, żeby kogokolwiek poznać, prawda?

- No, prawda. - Johnson podrapał się po głowie. - I co z tego?

- Więc było tam sporo wkurzonych babek. A co się robi, kiedy ktoś cię wkurza?

- Można mu powiedzieć coś do słuchu.

Malone potrząsnął głową.

- Nie w tym wypadku. Wszystkie wiedziały, że to nic nie da, bo ruda była jak w transie. Kręciła tyłkiem i machała cyckami, i czuła, że nas wszystkich ma w garści. Każdy, no, prawie każdy poszedłby za nią, gdyby na niego skinęła, a pozostałe kobiety mogły tylko się przyglądać. I właśnie to robiły, bacznie obserwowały każdy ruch Nancy Kent, czekając, aż jej się powinie noga. Trudno sobie wyobrazić lepszych świadków.

Johnson skinął głową.

- Masz rację.

Quentin skinął głową.

- Zajrzę dziś do Shannona. Zrobię listę i zaczniemy dzwonić. Odtworzymy wszystko, minuta po minucie, co tam się naprawdę stało.

- Do licha! To dopiero plan! - wykrzyknął podekscytowany Johnson.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Środa, 17 stycznia, godz. 15.00

Ben zatrzymał się przed kwaciarnią i głośno przeczytał jej nazwę:

- „Perfect Rose“.

To właśnie tutaj pracuje Anna North, pomyślał. Nie miał żadnych problemów ze znalezieniem tego miejsca. Jej ostatnia książka była dedykowana Stowarzyszeniu Starszych Sióstr i Braci Ameryki, a także jej „młodszej siostrze“ Jaye. Tak się złożyło, że szefowa miejscowego oddziału Stowarzyszenia była dobrą znajomą Bena. Kiedy do niej zadzwonił, natychmiast skierowała go do kwaciarni „Perfect Rose“.

Chrząknął. Oczywiście powinien był wcześniej zadzwonić i umówić się na spotkanie, bał się jednak, że Anna North mu odmówi. Przez telefon łatwiej było to zrobić niż w czasie bezpośredniej rozmowy. A on wcale nie chciał ułatwiać jej odmowy, wręcz przeciwnie, zamierzał zrobić wszystko, by z nim długo i szczerze porozmawiała. Miał nadzieję, że w ten sposób uzyska informacje potrzebne do książki.

Powoli stawało się to jego obsesją. Od czasu obejrzenia programu w Kanale E! wiele myślał o tajemnicy Anny North. Przeczytał jej książki, analizując je na wszelkie możliwe sposoby. Dla psychologa był to chleb powszedni. Wiele się z nich dowiedział. Starał się poskładać w całość to wszystko, co wiedział o Harlow Grail i Annie North, aby uzyskać zintegrowany obraz jednej osoby. Zastanawiał się też, jak pisarka zareaguje, kiedy dowie się, że ją odnalazł. Na pewno będzie zła. Jeśli dobrze rozumiał jej książki, a przecież umiał czytać między wierszami, wciąż się ukrywała. Anna North starannie chroniła swoją prywatność, choć zarazem niektórych doświadczeń nie była w stanie zachować tylko dla siebie. Musiała wyrzucić je z siebie i dlatego została pisarką.

Najpierw będzie musiał zdobyć jej zaufanie.

Wziął głęboki oddech i pełen determinacji wszedł do środka. Anna wyszła z zaplecza. Rozpoznał ją po wspaniałej grzywie rudych włosów, takich samych, jakie miała jej matka.

- Dzień dobry - przywitał się uprzejmie, podchodząc z uśmiechem do lady.

Ona też się do niego uśmiechnęła.

- Czym mogę służyć?

Muszę od razu być szczery, pomyślał.

- Nazywam się Benjamin Walker - rzekł, wyciągając dłoń w jej stronę. - Jestem psychologiem.

Uścisnęła jego dłoń, acz z pewnym zdziwieniem.

- Miło mi pana poznać.

- Mnie również.

- Czym mogę służyć? - powtórzyła. - Mamy piękne hortensje. Prosto z Kalifornii. A nasze róże są najwspanialsze w całej...

- Hm, tak naprawdę chciałem się tylko z panią spotkać - przerwał z uśmiechem.

- Ze mną?

- Po pierwsze podziwiam pani pracę...

- Pracę? Ach, chodzi panu o wiązanki - wtrąciła szybko. - Niestety to nie moje dzieło, chociaż bardzo tego żałuję. To Dalton Ramsey, właściciel „Perfect Rose“ i prawdziwy mistrz w swoim fachu, przygotował cały wystrój kwiaciarni.

- Źle mnie pani zrozumiała, panno North. Chodziło mi o książki.

Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Książki... Skąd pan wiedział?!

- Justine Blank jest moją dobrą znajomą. To ona mi powiedziała, gdzie mogę panią znaleźć.

Anna wyglądała zarówno na zdziwioną, jak i zmartwioną, czy może raczej - wystraszoną. Tak, ona po prostu się bała. Ben wiedział, że musi natychmiast rozwiązać jej obawy, bo inaczej zostanie splawiony.

- Jestem, jak mówiłem, psychologiem. Justine wie, że można mi zaufać. Od lat zajmuję się wpływem traumatycznych doznań z dzieciństwa na dorosłe życie pacjentów... to znaczy, ludzi. Pani przypadek zawsze mnie interesował. A kiedy dowiedziałem się, że to pani jest Harlow Grail, postanowiłem tu przyjść. Mam nadzieję, że zgodzi się pani ze mną porozmawiać.

Musiała przetrwać te informacje. Jej twarz odzyskała trochę kolorów, ale wciąż była bardzo blada.

- Oglądał pan ten program w sobotę - szepnęła.

- Tak, oraz przeczytałem dedykację w „Śmiertelnej pieszczocie“. Dlatego zadzwoniłem do Justine, a ona skierowała mnie tutaj. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa?

Spojrzała przez okno, a potem na niego. Z jej wzroku wyczytał, że nie jest zadowolona i właśnie zamierza odesłać go do wszystkich diabłów.

- Mój... przypadek, jak pan to raczył nazwać, interesuje wiele osób, choć wcale o to nie zabiegam. Bo mnie on już nie interesuje. Zrobiłam, co mogłam, żeby o tym wszystkim zapomnieć. Przepraszam pana, ale muszę zająć się pracą.

- Niech mnie pani chociaż wysłucha!

- Nie mam takiego obowiązku. Wytropił mnie pan niczym łowną zwierzynę. Naruszył moją prywatność. Czy sądzi pan, że mi się to podoba?

- Wiem, że czuje się pani zagrożona.

Zmarszczyła czoło.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Nie musiała pani. To przecież oczywiste. Przeżyła pani koszmar. Kiedy ci ludzie panią porwali, utraciła pani kontrolę nad własnym życiem, a śmierć tego chłopca zniszczyła pani poczucie bezpieczeństwa. - Urwał i patrzył na nią przez parę sekund. - To odebrało pani wiarę w świat, w jego ład i dominację dobra. Zwraca pani uwagę przede wszystkim na zło i brud, bo tamte przeżycia tak ukierunkowały pani percepcję. Chowa się pani przed ludźmi, ponieważ nie może pani nikomu w pełni zaufać. Zamknęła się pani w skorupie. Zmieniła adres i nazwisko. Stała się inną osobą. Pani stosunki z ludźmi są zapewne przyjazne, ale nigdy serdeczne. A moja prośba narusza pani poczucie bezpieczeństwa.

- Skąd pan to wie? - wydusiła z siebie drżącym głosem po długiej i pełnej napięcia minucie milczenia. - Przecież nigdy pana nie widziałam.

- Ale ja znam pani przeszłość, bo czytałem pani powieści i prasowe relacje z porwania. - Włożył jej do ręki swoją wizytówkę. - Piszę książkę o wpływie traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa na osobowość. Informacje, które mógłbym od pani uzyskać, bardzo by mi pomogły.

Otworzyła usta. Ben wiedział, że chce odmówić. Dostrzegł to w jej oczach i w charakterystycznym przykurczu mięśni wokół ust. Postanowił się jednak nie poddawać.

- Proszę to sobie przemyśleć, zanim da mi pani ostateczną odpowiedź - rzucił i szybko wyszedł z kwaciarni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Czwartek, 18 stycznia, godz. 8.45

Anna miała wrażenie, że następne dwadzieścia cztery godziny trwały całą wieczność, a ona jest o sto lat starsza. Wciąż rozglądała się z niepokojem dookoła, starając się wysledzić przyczajonego napastnika. Słyszała każdy szelest i skrzypnięcie w starym budynku, niespokojnie wsłuchiwała się w odgłosy kroków na korytarzu.

Spała źle albo wcale. Przewracała się na łóżku, wspominając wydarzenia sprzed lat. Sen mieszał jej się z jawą. A kiedy w końcu zasnęła, obudziła się z imieniem Timmy'ego na ustach. To, że krzyczała właśnie: „Timmy!“, a nie „Kurt!“, wydało jej się jeszcze straszniejsze. I jednocześnie dziwne.

Sama nie wiedziała, kogo bardziej winić za swoje samopoczucie: czy Bena Walkera, który odnalazł ją bez żadnego trudu po obejrzeniu programu, czy też śledczego Malone'a za to, że posiał w niej ziarno wątpliwości dotyczące listów od Minnie.

Uznała w końcu, że obaj ponoszą za to odpowiedzialność, ale szczególnie ten przemądrzały policjant, a to dlatego, że wcześniej bez zastrzeżeń ufała Minnie, a on odebrał jej tę ufność.

Anna wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo i wyszła spod prysznic. Cholerny Malone spowodował, że stała się jeszcze ostrożniejsza niż zwykle. Wystraszył ją, a potem nie kiwnął nawet palcem, żeby pomóc. Anna potrząsnęła głową. Nie, Minnie nie jest żadnym pokręconym wielbicielem, który bawi się z nią w swoje psychopatyczne gry, tylko zwykłym dzieckiem. Przecież myśli jak dziecko i pisze jak dziecko. I potrzebuje pomocy.

Anna zdecydowała, że pomoże Minnie, niezależnie od tego, co powie policja.

Spojrzała na zegarek, a następnie wysuszyła włosy i ubrała się. W kwaciarni powinna być o dwunastej, miała więc jeszcze całe trzy godziny na prywatne śledztwo.

Znalazła buty, włożyła je i zawiązała sznurówki. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła pod numer, który Minnie podała w liście. Odebrał jakiś mężczyzna. Szkoda. Anna liczyła, że uda jej się skontaktować bezpośrednio z dziewczynką. Zaczerpnęła tchu i spytała, czy może mówić z Minnie.

Mężczyzna milczał przez piętnaście sekund, a następnie bez słowa odłożył słuchawkę. Właśnie wtedy Anna doszła do wniosku, że Minnie rzeczywiście jej potrzebuje.

Licząc na to, że w końcu to ona odbierze telefon, dzwoniła co najmniej sześć razy, ale bez powodzenia. Teraz zamierzała pojechać do Mandeville, niewielkiego miasteczka na

północnym brzegu jeziora Pontchartrain, żeby sprawdzić adres Minnie. Kiedy już to zrobi, zdecyduje, co dalej.

Mniej więcej godzinę później stwierdziła, że adres niewiele jej pomoże, mieścił się tam bowiem prywatny punkt pocztowy i ksero. Anna raz jeszcze sprawdziła adres, a następnie weszła do środka. Uśmiechnęła się do mężczyzny za ladą i powiedziała, jak się nazywa.

- Jestem pisarką - zaczęła wyjaśnienia - i dostaję listy od wielbicielki. Mam kierować odpowiedzi na ten adres. - Podała mu kopertę. - Pisałam już do niej i wiem, że dostała moje listy, tylko nie mam pojęcia, jak to możliwe.

Mężczyzna, który powiedział, że jest właścicielem punktu, zwrócił z uśmiechem kopertę.

- Tak, wynajmujemy skrzynki pocztowe, podobnie jak urzędy pocztowe - wyjaśnił. - Nasze są lepsze, bo z prawdziwym adresem.

- Chce pan powiedzieć, że ta osoba wynajmuje tu skrzynkę?

- Właśnie. - Uśmiechnął się raz jeszcze. - Stały adres robi lepsze wrażenie na przyszłym pracodawcy i pomaga dostać kredyt. Są też inne udogodnienia. Niektórzy spedytorzy, na przykład Federal Express, nie dostarczają przesyłek do skrzynek pocztowych, a my bierzemy wszystko.

Ten facet niewątpliwie wierzył w to, co robił. Anna z trudem skrywała rozczarowanie.

- Świetny pomysł - bąknęła.

- Oczywiście. - Spojrzał na nią jak na przyszłą klientkę. - Zaraz znajdę naszą broszurę. Zanim zdążyła zaprotestować, wyjął spod lady złożoną na pół kartkę.

- Może się przyda - dodał.

Podziękowała, włożyła kartkę do torebki i wróciła do interesującego ją tematu:

- Bardzo chciałabym skontaktować się z dziewczynką, która napisała ten list. Czy mogłabym dostać od pana jej prawdziwy adres?

- Przykro mi - powiedział właściciel i spojrzał na nowo przybyłego klienta, a potem znowu na nią. - Niestety, nie mogę go dać.

- Nawet jeśli sprawa jest poważna?

- Gwarantujemy naszym klientom pełną anonimowość. Muszę mieć nakaz prokuratorski, żeby ujawnić ten adres.

- Niech pan posłucha - zniżyła głos i spojrzała mu błagalnie w oczy - to naprawdę ważne. Muszę wiedzieć, kto wynajął tę skrzynkę.

- Przykro mi, ale nic z tego.

- Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale dziecko, które do mnie napisało, jest w niebezpieczeństwie - mówiła niemal szeptem. - Czy nie mógłby pan z tego powodu zrobić wyjątku?

Mężczyzna najwyraźniej jej nie uwierzył. Przestał się uśmiechać, już nie był miły i patrzył na nią jak na natrętną muchę.

- Bardzo proszę. Być może to sprawa życia i śmierci. Jedenastoletnia dziewczynka...

- Nie - przerwał ostro. - Nie robię żadnych wyjątków. Przepraszam panią, ale mam klienta.

Zrozpaczona Anna wyszła na ulicę i zacisnęła pięści, jeszcze bardziej zła na Malone'a. Gdyby to on tutaj przyjechał, na pewno zdobyłby adres Minnie. Nie musiałby nawet prosić. Właściciel punktu nie wyglądał na takiego, który chciałby zadzierać z policją.

Co dalej? - pomyślała.

Nazwisko! Minnie nosi nazwisko Swell, mało typowe dla tych okolic. Musi skontaktować się z Jo i Dianą z „Green Briar Shoppe“. Jo Burris i Diana Cimo znały prawie wszystkich na północnym brzegu jeziora i być może przypadkiem usłyszały to nazwisko od kogoś z klientów butiku.

Anna wsiadła do samochodu i przejechała drogę przelotową Mandeville. Poznała obie panie w czasie swojej pierwszej wizyty na północnym brzegu jeziora. Właścicielki butiku wydały jej się miłe i otwarte. Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła je traktować jak przyjaciółki. Po półtorej godzinie wyszła ze sklepu z kostiumem, na który nie mogła sobie pozwolić, i świadomością, że zyskała coś najcenniejszego na świecie.

Butik znajdował się w starej części handlowej Mandeville, niedaleko kwartału, który stał się centrum miasta. Anna zaparkowała bezpośrednio przed sklepem i weszła do środka. Zadzźwięczał dzwonek nad drzwiami i Jo, piękna kobieta o trudnym do określenia wieku, spojrzała na nią znad pudełka, które właśnie rozpakowywała.

Na jej ustach natychmiast pojawił się ciepły uśmiech.

- Anna! Właśnie o tobie myślałam - powiedziała niskim głosem, który musiał budzić westchnienia mężczyzn. - Mamy śliczne rzeczy. - Wyjęła z pudełka fioletowy sweterek. - Przy twoich włosach żaden mężczyzna ci się w tym nie oprze.

Anna zaśmiała się, wzięła sweter i przycisnęła do siebie, przeglądając się w lustrze. Spojrzała z zalem na swoje odbicie i zwróciła go Jo.

- No, tak. Gdybym tylko mogła sobie na niego pozwolić...

- Mogłabyś płacić ratami. Co tydzień niewielką sumę. - Zaczęła go składać, potrząsając licznymi bransoletami. - Wyglądasz w nim naprawdę świetnie. Uroczo i

seksownie.

Anna nie dała się złamać, chociaż miała wielką ochotę przymierzyć fioletowe cudo, i od razu przeszła do rzeczy, wyjawiając powód swej wizyty.

- Swell? - powtórzyła Jo, ściągnawszy brwi. Po chwili potrząsnęła głową. - Przykro mi, Anno, ale nie słyszałam.

Anna przypuszczała, że miała niewielkie szanse, aby się czegoś dowiedzieć, ale mimo to była bardzo rozczarowana.

- A może chociaż słyszałaś coś o Minnie? Minnie Swell. Ma jedenaście lat.

Jo od razu pokręciła głową.

- Nie, ale może Diana coś wie. Albo któryś z naszych klientów. Możemy popytać, jeśli to takie ważne.

- Tak, bardzo ważne. Dzięki.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, przy czym Anna starała się zbyć pytania Jo dotyczące powodów poszukiwania dziewczynki. Potem przejrzała jeszcze nowe stroje i w końcu wyszła po kilku „ochach“ i „achach“ oraz obietnicy, że wróci tu, kiedy znajdzie trochę więcej czasu. Niestety nadal nie wiedziała, jak pomóc Minnie.

Kiedy w końcu dotarła do pracy, spóźniona prawie całą godzinę, czekało tam na nią parę wiadomości. Dwie od jej agenta i jedna od doktora Beniamina Walkera. Zadzwoiła do Willa.

- Cześć - przywitała się. - Co słyhać?

- Anna? Posłuchaj, wydawnictwo zdecydowało się więcej ci zapłacić.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka.

- Co powiedziałaś?

- Chcą ci więcej zapłacić. Dziś rano dzwoniła do mnie Madeline z Cheshire House.

- Ale dlaczego? - spytała zdziwiona. - Przecież im jeszcze nie odmówiłam, a oni już podnoszą stawkę?

- Wiesz, rozmawiałem z nimi wcześniej. Mówiłem, że to dla ciebie wielkie poświęcenie, trauma, no, takie rzeczy. - Wydał z siebie pełne satysfakcji chrząknięcie. - To był mój pomysł.

Anna z trudem się opanowała, czując, jak gwałtownie wali jej serce.

- Przecież wiesz, że nie chodziło mi o pieniądze - mruknęła ze złością.

- Proponują pięćdziesiąt kawałków.

Rany boskie! Pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

- Możesz powtórzyć? - jęknęła.

Kiedy Will raz jeszcze podał kwotę zaliczki, Anna wsparła się na ramieniu Daltona. Wiedziała, że jest to nic w porównaniu z najlepszymi autorami, ale dla niej był to wyraźny skok w porównaniu z dwunastoma tysiącami, które wcześniej dostawała.

- Ile? Ile? - szeptał Dalton, niemal tańcząc z podniecenia.

Przycisnęła telefon do ramienia i pięć razy otworzyła obie dłonie. Dalton przymknął oczy, udając, że mdleje.

- Przy zachowaniu innych warunków umowy - dodał Will. - Chodzi głównie o nieograniczoną możliwość reklamy. Również z twoim udziałem.

Jej radość skończyła się tak nagle, jak zaczęła.

- Nie chcą pójść na ustępstwa?

- Nie, niestety. - Gdy nie odpowiedziała, agent natychmiast dodał: - Tylko pomyśl, nareszcie trafisz na listy bestsellerów. Staniesz się znana. A jeśli ta książka sprzeda się tak, jak sądzi wydawnictwo, to i bogata. Zastanów się, co tracisz. Przy twoich obecnych wynikach trudno ci będzie znaleźć inne wydawnictwo. Uznają, że się nie sprawdziłaś.

Te słowa bolały, a jeszcze bardziej bolał bezosobowy, pozbawiony jakichkolwiek uczuć ton, jakim je wypowiedział.

- Myślałam, że wierzysz w to, co robię.

- Tak, wierzę, ale chodzi jeszcze o to, żeby uwierzyli w ciebie czytelnicy. Na tym rynku nie wystarczy być dobrym pisarzem. Trzeba mieć coś jeszcze. I ty to masz, Anno. Skorzystaj z tego. Nie odrzucaj tej szansy.

- Tak, rozumiem, ale... ale nie mogę. - Potrząsnęła głową dla wzmocnienia swoich słów. - Naprawdę nie mogę!

- Dlaczego tak bardzo siebie krzywdzisz? - spytał już mniej uprzejmie. - Czy nie rozumiesz, że trafiła ci się niepowtarzalna, dosłownie niepowtarzalna szansa? Musisz ją wykorzystać.

- Chciałabym, ale...

- Dobrze, mogę jeszcze negocjować. Dostaniesz więcej pieniędzy. Dostaniesz gwarantowany budżet. Sama podejmiesz decyzję dotyczącą tytułu i okładki. Wydawnictwo uważa, że masz swoje pięć minut i w tej chwili jesteś potencjalną żyłą złota, musisz tylko zgodzić się na warunki, jakie...

- Will, posłuchaj mnie choć przez chwilę. Chciałabym... chciałabym to zrobić, ale nie mogę. Naprawdę nie mogę!

Jej agent milczał bardzo, bardzo długo. Kiedy w końcu się odezwał, miał pełen goryczy, przepełniony rezygnacją głos:

- Czy to ostateczna decyzja?

- Tak - odparła, niemal dławiąc się tym słowem. - Ostateczna.

- Dobrze, to ty jesteś szefem. - Zrobił pauzę. - Ale na twoim miejscu poradziłbym się psychiatry. Bo jest z tobą naprawdę źle, chociaż pewnie sama tego nie widzisz.

Odłożył słuchawkę, a Anna jeszcze przez chwilę wsłuchiwała się w sygnał. Starła się panować nad sobą. Nie była głupia. Wiedziała, że teraz będzie musiała poszukać nie tylko nowego wydawnictwa, ale i nowego agenta.

Nowy początek. Tak długo walczyła o to, żeby w końcu zaczęli ją wydawać! Teraz znowu będzie musiała do tego wrócić.

- Nawet się nie pożegnał? - zapytał Dalton, chociaż znał już odpowiedź. - Nigdy go nie lubiłem, Anno. Ani ja, ani Bill. Aroganckie chamidło.

Próbowała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało.

- Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale parę razy potraktował mnie niegrzecznie przez telefon - ciągnął Dalton. - Jest nie tylko nadęty i głupi - dodał, zniżając głos - ale również, moim zdaniem, nienawidzi homoseksualistów. Jestem tego pewny.

Szkoda tylko, że jest tak dobrym agentem, pomyślała. Szanowanym przez wydawców. Takim, który wie, jak sprzedawać książki.

Zobaczyli wchodzącą do kwaciarni kobietę. Dalton zerknął na Annę.

- Zajmę się nią, a ty się pozbieraj.

Skinęła głową, natomiast on uściśnął ją krzepiąco i podszedł do lady. Jednocześnie odezwał się dzwonek. Podniosła słuchawkę z nadzieją, że to Will z przeprosinami.

- „Perfect Rose“, słucham?

- Anna? Tu Ben Walker. Zaczekaj! Proszę cię, nie odkładaj słuchawki, dopóki nie usłyszysz, co mam do powiedzenia.

Kurczowo zacisnęła dłoń wokół przenośnego telefonu. Miała ochotę rozłączyć się w taki sposób, jak przed chwilą zrobił to jej agent. Ale ponieważ właśnie sama przeszła przez to upokarzające doświadczenie, nie chciała odgrywać się na innych. Nie przeszkadzało jej, że Walker zaczął mówić jej na „ty“, ale sama postanowiła nie zostawać w tyle.

- Dobrze - powiedziała. - Ale zrób to szybko, bo jestem w pracy.

- Przepraszam, że wlałem z buciorem w twoje prywatne życie. Wiem, że było to niegrzeczne i mało delikatne. Za bardzo zależało mi na twojej relacji. Bardzo przepraszam.

Poczuła się usatysfakcjonowana tymi przeprosinami, chociaż nie do końca.

- Tak się składa, że nie lubię mówić o przeszłości. Mam to już za sobą.

- Niestety, mijasz się z prawdą. Nie rozumiesz? Jeśli boisz się przeszłości i ukrywasz

się przed nią, to znaczy, że stanowi ona część twojej teraźniejszości.

Jaye wytknęła jej prawie to samo, użyła tylko innych słów. Zresztą Willowi chodziło w gruncie rzeczy o coś podobnego. „Na twoim miejscu poradziłbym się psychiatry. Jest z tobą naprawdę źle“. Słowa agenta jeszcze dźwięczały jej w uszach. Kto bardziej może jej pomóc niż lekarz z taką specjalizacją?! Z pewnością wie dużo więcej o podobnych przypadkach niż ona, która była ofiarą, gdy zaś on - obserwatorem.

Spotkaj się z nim, nakłaniała samą siebie. Co ci zależy? Albo będzie niewypał, albo coś zyskasz.

- Powiedz raz jeszcze, o co ci konkretnie chodzi? - poprosiła już całkiem spokojnie.

- Chętnie spotkałbym się z tobą i opowiedział o wszystkim. Jeśli uznasz, że to ci nie odpowiada albo po prostu nie interesuje, nie będę cię do niczego nakłaniał.

Wyczuła jego podniecenie i stwierdziła, że ona też jest podekscytowana. Wciąż jednak się wahała. Czas włókł się niemiłosiernie.

Co mi zależy? - pomyślała. Straciłam Jaye, anonimowość i możliwość wydawania książek. Może rzeczywiście powinnam porozmawiać z psychiatrą.

- Dobrze, możemy się spotkać - zgodziła się w końcu. - Czy może być „Café du Monde“, dziś o piątej? Kto przyjdzie pierwszy, zajmuje stolik.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czwartek, 18 stycznia, godz. 16.45

Anna pierwsza pojawiła się w „Café du Monde“. Lokal znajdował się przy Jackson Square w Dzielnicy Francuskiej. Słynął z jednej rzeczy - beignetów. To wystarczyło, żeby stał się legendą Nowego Orleanu. Żaden z turystów odwiedzających to miasto nie mógł się im oprzeć. Zresztą sami nowoorleańczycy również je uwielbiali i korzystali z każdej okazji, żeby posilić się nimi właśnie w „Café du Monde“. Po co zadowalać się innymi, skoro ma się w pobliżu te najlepsze?

Anna, mimo chłodu, wybrała stolik na zewnątrz, z widokiem na St. Peter's Street. Uwielbiała tę porę, późne popołudnie, kiedy większość ludzi spieszyła z pracy do domu. I te półcienie, powolne umieranie dnia i początek zmroku. Zamówiła kawę z mlekiem i usiadła, obserwując tłum. Zwracała szczególną uwagę na mowę ciała i twarze przechodzących osób. Uchem łowiła strzępy rozmów, starając się zapamiętać niektóre zwroty z zamiarem wykorzystania ich w książkach.

Ludzie fascynowali ją, ale i przerażali. Byli nieustającym źródłem radości, zdziwienia i zauroczenia. Czy tak właśnie myślał psycholog lub psychiatra o swoich pacjentach? Czy tak właśnie myślał doktor Benjamin Walker?

Ucieszyła się, gdy wreszcie dostała parującą filiżankę kawy. Zaczęła grzać o nią rękę, zdziwiona, że jest aż tak zdenerwowana. Jeszcze parę lat po porwaniu chodziła na wizyty do różnych lekarzy „od czubków“, jak mawiał ojciec. Po raz ostatni zdarzyło się to, gdy miała szesnaście lat i zupełnie sobie nie radziła. Bała się ludzi i czuła, że w każdej chwili może się z nią stać coś złego. Zupełnie straciła poczucie bezpieczeństwa. Rodzice byli zajęci sobą i rozwodem, a jednak zauważyli, że coś jest nie tak. Stąd nowa pani psycholog. To ona, w ich zastępstwie, miała ją zrozumieć, poznać jej najczarniejsze myśli i pomóc pogodzić się ze światem. Tyle, że nic nie rozumiała, bo jej najgorsze życiowe doświadczenia ograniczały się do nieudanej fryzury. Poza tym była niemila i obcesowa, co jeszcze bardziej zniechęcało Annę.

Była zła na rodziców za tę nieudaną terapię i kiedy w końcu zgodzili się ją przerwać, ślubowała sobie, że już nigdy nie pozwoli na tak niedelikatne i prostackie grzebanie w swoim życiu.

Więc co, do licha, tu robiła? Spojrzała na zegarek. Doktor Walker spóźnił się już dziesięć minut. Mogłaby uciec. Wstać i pójść sobie. Czemu nie? Jego spóźnienie stanowiło

dogodny pretekst i nie miałyby później najmniejszych wyrzutów sumienia. Wzięła torebkę i wyjęła z niej portmonetkę, żeby zapłacić za niedopitą kawę. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że trzęsą jej się ręce.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie. - Ben minął ją i usiadł naprzeciwko. - Nie mogłem znaleźć kluczy. Miałem je przy sobie dziś rano, a potem nagle zniknęły. Dziś rano! - jęknął. - To był dopiero koszmar! Budzik nie zadzwonił i zasnęłam. Nic dziwnego, bo siedziałam całą noc w Internecie, szukając materiałów. - Zaśmiała się. - Dobrze, że nie przyjąłem posady na uniwersytecie. Byłbym przysłowiowym roztargnionym profesorem...

Nagle urwał, kiedy zobaczył otwartą portmonetkę w jej dłoniach i dwu dolarowy banknot obok kawy. Mina mu zrzędła.

- Ile się spóźniłem?

- Nie za bardzo - odparła, nieco uspokojona jego zachowaniem. Jak mogła się bać takiego fajtlapy? Wciągnęła powietrze, czując się trochę jak dziecko, które przyłapano na łasowaniu w spizarce. - Tak naprawdę to zmieniłam zdanie. Miałam złe doświadczenia z psychologami i psychiatrami.

- Masz wśród przyjaciół psychiatrów?

Ściągnęła brwi.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

- Więc masz?

- Nie, ale...

- To może przynajmniej kogoś w rodzinie? Albo twój narzeczony jest psychologiem? - Znowu zaprzeczyła i Ben zrobił wielkie oczy. - A, więc chodzi ci o doświadczenia jako pacjentki?

- Tak. - Wysunęła do przodu brodę. - Miałam ich nawet sporo, kiedy byłam młodsza.

- Zaraz po porwaniu?

- To chyba oczywiste. - Spojrzała na niego z politowaniem.

Pojawił się kelner i Ben zamówił kawę z mlekiem i talerz beignetów. Następnie zwrócił się do niej:

- Ale ja przecież wcale nie chcę, żebyś była moją pacjentką. Chodzi mi o zupełnie inną relację.

- Inną? - zdziwiła się. - A jaką?

- Chciałbym z tobą porozmawiać jak autor z autorem, czy dziennikarz z ciekawą osobą. I może, jeśli będę miał szczęście, przyjaciel z przyjacielem.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. Czy to możliwe, żeby polubiła tego śmiesznego

facecika? Zdecydowanym ruchem zamknęła portmonetkę i włożyła z powrotem do torebki.

- Jesteś niezły - zauważyła.

Podziękował jej ze śmiechem, a następnie pochylił się, patrząc jej w oczy.

- Przecież wiesz, że mówię szczerze. Posłuchaj, nie chodzi mi o to, żeby cię wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o twoim życiu i wyborach. O tym, dlaczego zrobiłaś to, a nie co innego.

- Obawiam się, że moje życie nie było szczególnie interesujące - rzekła sucho.

- Mylisz się. Dla mnie i dla moich czytelników będzie fascynujące. - Zreflektował się szybko. - Ale najpierw powinienem ci chyba powiedzieć, kim jestem i czym się zajmuję.

To powinno jej pomóc zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy mu na tych informacjach.

Zaczął opowiadać o sobie. Był jedynakiem wychowanym przez samotną matkę, którą uwielbiał. Matka nigdy nie opowiadała mu o ojcu, a poza jednym wujkiem nie miał żadnej rodziny. Prawie nie pamiętał wczesnego dzieciństwa, poza tym, że ciągle się gdzieś przeprowadzali.

- Nie miałem rodziny ani przyjaciół - ciągnął. - Czułem się samotny. Odżyłem dopiero wtedy, kiedy zaczęła się szkoła, bo świetnie radziłem sobie z nauką. Książki stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi. Już mi tak nie przeszkadzało, że ciągle się gdzieś przenosimy, bo nie byłem sam.

Anna wsłuchiwała się w jego melodyjny głos, opierając brodę na dłoni. Jego historia naprawdę ją zaintrygowała.

- Skąd pomysł z psychologią? - spytała.

- Chciałem pomagać ludziom, ale nie znoszę widoku krwi. - Uśmiechnął się przeprasząco. - Poza tym ludzie mnie fascynują. Ich decyzje, ich sądy, co powoduje, że są, kim są.

Musiła przyznać, że ją, jako pisarkę, interesują te same sprawy, dlatego starała się tworzyć prawdziwe postaci - ani do końca dobre, ani złe, wyposażone w ludzkie potrzeby i słabości. Oczywiście nad tym wszystkim wisiało zawsze jakieś fatum. Tragedia. Zło wcielone, które miało dla niej zawsze jedno imię: Kurt.

- A skąd zainteresowanie traumatycznymi doświadczeniami z dzieciństwa?

- Bo to absolutna podstawa. Pierwsze, formacyjne lata. To one wyznaczają późniejszy szlak dorosłego życia. - Wypił trochę kawy. - Zająłem się tym z powodu niezwyklego przypadku, z którym zetknąłem się w czasie praktyki w szpitalu. To było dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

- Możesz mówić w ludzkim języku?

- Rodzaj wielokrotnego zaburzenia czy raczej rozszczepienia świadomości.

Anna zastanawiała się chwilę, starając się przypomnieć sobie, co o tym wie. Ponieważ nie wiedziała nic, powiedziała o tym Benowi.

Skinął głową.

- To zaburzenie, które powstaje w wyniku powtarzających się aktów sadystycznych wobec dzieci. Żeby chronić się przed tym, przed czym nie mogą uciec, dzieci wytwarzają sobie zupełnie nową osobowość. Taką, w którą mogą uciekać przed aktami gwałtu. Chociaż powiedziałem, że „wytwarzają sobie“, najczęściej dzieje się to zupełnie bez udziału ich świadomości.

Zrobił przerwę.

- Ta kobieta miała osiemnaście różnych osobowości, z których każda spełniała oddzielną, określoną rolę.

Oboje umilkli, nie słysząc nawet odgłosów ulicy. Anna, wstrząśnięta tą informacją, czuła, że powinna coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wzięła więc zimną kawę i wypła parę łyków, patrząc na rozsypany na stoliku cukier puder.

Po chwili chrząknęła i spojrzała na Bena. Zauważyła, że dziwnie patrzy na jej okaleczoną dłoń. Zesztywniała i cofnęła rękę.

- Wiesz, kim jestem i jak to się stało - mruknęła cicho. Ponieważ nie odpowiedział, chrząknęła raz jeszcze. - Ben!

Zamrugął tak, jakby obudziła go ze snu.

- Słucham?

- Gapiłeś się na moją dłoń!

Najpierw się zdziwił, a potem bardzo zawstydzil.

- Naprawdę? Czasami, kiedy zaczynam myśleć o pracy, zapominam o bożym świecie.

Przepraszam.

Tylko machnęła ręką.

- Nie ma o czym mówić. Po tylu latach nauczyłam się z tym żyć.

- Z okaleczeniem, czy z ludzką ciekawością?

- Mam mówić prawdę? Czasami trudno mi znieść, jak się na mnie gapią.

- Zdarzało się, że ktoś cię potraktował po chamsku dlatego, że masz cztery palce?

- Tak, ale rzadko.

Trochę się odprężyli i Ben znowu zaczął opowiadać o kobiecie z zaburzeniem tożsamości. Była to niezwykła historia i Anna z otwartymi ustami wsłuchiwała się w jego

słowa.

- Rozumiem, czemu cię to tak interesuje - szepnęła, kiedy skończył. - To fascynujący temat.

- W sam raz do twojej nowej książki.

- Chyba czytasz mi w myślach. - Zaśmiała się i z podziwem potrząsnęła głową. - Właśnie się nad tym zastanawiałam.

- Wiesz co, jeśli pomożesz mi z moją książką, dostarczę ci materiałów do twojej - zaproponował.

Już chciała się zgodzić. Otworzyła nawet usta, żeby to powiedzieć i poprosić o radę w rozwiązywaniu swoich problemów, ale zamiast tego zadała mu pytanie dotyczące jego praktyki w Nowym Orleanie. Ben zaczął o tym mówić, a ona słuchała jednym uchem, starając się zrozumieć powody swojego wahania. Polubiła go. Był zabawny i inteligentny, a jednocześnie rzeczowy i otwarty, czego się nie spodziewała. Wierzyła, że potrafi pomóc innym. A gdyby poprosiła, również jej.

Więc dlaczego miała takie opory?

- Coś cię powstrzymuje?

- Tak.

- Może przekona cię to, że moja książka nie tylko będzie zawierała informacje dotyczące traumatologii dziecięcej. Moim zdaniem powinna również pomóc dorosłym, którzy mieli jakieś straszne doświadczenia w dzieciństwie. Wierzę w to, że wiedza potrafi uzdrawiać. Przynosi ona zrozumienie i pogodzenie z losem, a wtedy można mówić o rozpoczęciu terapii.

- Pacjencie, lecz się sam?

- Tak, do pewnego stopnia. - Spojrzał jej szczerze w oczy. - Przecież wszyscy mamy zdolności samo lecznicze. Organizm broni się przed każdą dolegliwością, dotyczy to również, i to w szczególności, chorób psychicznych. Najważniejsze, to zdać sobie z tego sprawę.

- I do tego potrzebna jest pomoc psychologa?

- Albo informacje z poradnika - dorzucił.

- Twoja książka ma być właśnie takim domowym poradnikiem?

- Tak. - Zaczął bawić się serwetką. - Powiedz, co mam zrobić, żeby cię przekonać?

Przez moment patrzyła na ulicę, a potem znowu zwróciła się do niego.

- Sama nie wiem. Nie lubię mówić o mojej przeszłości. Nie lubię nawet o niej myśleć.

- Lecz ona i tak powraca w snach? Jestem tego pewien. Ta przeszłość wciąż jest w twojej podświadomości i rozpaczliwie próbuje przebić się do świadomości. Szepcze ci różne

rzeczy do ucha i wpływa na to, co robisz. A to nie jest dla twojej przeszłości ani dobre, ani bezpieczne miejsce.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. I z niechęcią.

- Mogłabym powiedzieć, że to nieprawda.

- Ale tego nie zrobisz, bo starasz się być uczciwa wobec siebie.

Nagle parsknęła śmiechem, co ją samą bardzo zaskoczyło.

- Widzę, że wiesz wszystko.

- No cóż, jestem dosyć inteligentny. - Koło jego ust pojawił się mały dołek. - I dosyć bystry, chociaż ciągle siedzę w książkach.

Położyła dłonie na stoliku.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, jak udało ci się mnie znaleźć...

- Znajoma ze Stowarzyszenia - przypomniał jej.

- Nie, wcześniej. Po prostu włączyłeś telewizor i właśnie nadawali ten program?

Ben niespokojnie spojrział na swoje dłonie, a potem znowu na nią.

- Akurat czytałem „Śmiertelną pieśń” i wszystko złożyło się w jedną całość. - Splótł dłonie. - Od dzieciństwa fascynowała mnie twoja historia. Już wcześniej myślałem o tym, jak włączyć ją do mojej książki, bo uważam, że twoje przeżycia są zupełnie wyjątkowe.

- Rzeczywiście, porwana i okaleczona księżniczka z Hollywood to rzadkość.

Ben spojrział na nią poważnie.

- Większość porwanych dzieci nigdy nie wraca do domu.

Tak jak Timmy, pomyślała, czując, że coś ją dławi w gardle. To prawda, że miała szczęście.

- Więc jak? - podjął Ben. - Solennie przyrzekam, że to będzie całkowicie bezbolesne.

Anna wątpiła w prawdziwość jego słów. Już samo myślenie o tym przyprawiało ją o drżenie.

- Zastanowię się nad tym. Naprawdę.

Popatrzył na nią zgnębiony.

- Często pierwszy krok jest najtrudniejszy, ale nie mam zamiaru do niego cię zmuszać.

Uśmiechnęła się, czując, że trochę wbrew sobie lubi go coraz bardziej.

- Doceniam to, ale jeszcze muszę wszystko dokładnie przemyśleć. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany?

- Jestem już duży. Jakoś sobie poradzę.

Zapłacili i wyszli z kawiarni.

- Ja idę tędy. - Wskazała St. Louis Cathedral. - A ty gdzie zaparkowałeś?

- Przy Jax Brewery.

- Wobec tego musimy się pożegnać. - Włożyła ręce do kieszeni i zadrżała, czując na nogach zimny powiew wiatru.

- Tak, na razie. - Pochylił się i musnął wargami jej policzek. - Było mi bardzo miło. Będę czekał.

Odwrócił się i szybko odszedł, nie czekając na odpowiedź.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czwartek, 18 stycznia, godz. 19.15

Ben leżał w ciemnościach na swoim łóżku. Wolno i głęboko oddychał przez nos. Kompres na jego czole rozgrzewał się szybko. Zbyt szybko. Ból głowy, który opuścił go na cały dzień, powrócił w czasie spotkania z Anną i stopniowo, z minuty na minutę, narastał. Jednak najgorzej poczuł się, kiedy dotarł do samochodu.

Sam nie wiedział, jak udało mu się dojechać do domu. Najważniejsze, że zdołał otworzyć wóz, a potem nie spowodował żadnego wypadku. W ogóle nie pamiętał drogi, ale to, że znalazł się w swoim łóżku, wskazywało, że jakoś ją pokonał.

Ben przymknął oczy, czując, że zaczyna działać przepisany przez lekarza środek przeciwbólowy. Myślał o Annie, o spotkaniu z nią w „Café du Monde“ i o tym, jak się skończyło. Patrzyła za nim, kiedy odchodził. Czuł na sobie jej spojrzenie. Było na tyle intensywne, że w końcu zerknął do tyłu. Anna stała, dotykając policzka, w który ją pocałował. To jasne, że była zaskoczona, ale również zadowolona. A w każdym razie tak mu się wydawało.

Zastanawiał się nad złymi i dobrymi momentami ich rozmowy. Anna nie ukrywała, że jest zainteresowana jego pracą, natomiast on podzielił się z nią informacjami, które zazwyczaj pozostawiał dla siebie. Doskonale do siebie pasujemy, pomyślał.

Nagle skrzywił się, gdy przypomniał sobie, jak przyłapała go na tym, że gapi się na jej okaleczoną dłoń. Trochę ją to zaniepokoiło, chociaż doskonale poradziła sobie z tym uczuciem. Z tego wniossek, że jest opanowana i ma dużą dyscyplinę. Gdyby nie to, jej wewnętrzne rozedrganie wcześniej czy później wzięłoby górę, co miałyby fatalne skutki.

A on wcale nie skłamał, kiedy powiedział jej, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Przez całe życie cierpiał na chwilowe zaciemnienia świadomości. Podobnie jak bóle głowy, od kilku miesięcy nawiedzały go dużo częściej niż poprzednio. Zaniepokojony zwrócił się do lekarza, który kazał mu zrobić przeróżne badania, w tym rezonans magnetyczny i tomografię komputerową mózgu. Bał się, że to rak albo jakiś tętniak, ale ku jego uldze wyniki badań nie wykazały niczego szczególnego. Następnie lekarz wypytał go o sposób odżywiania, alkohol i stresy. Wprawdzie Ben unikał niezdrowej żywności i whiskey, ale nie mógł powstrzymać ciągu nieszczęśliwych zdarzeń, które destabilizowały jego życie. Stan matki ciągle się pogarszał, a on musiał ponownie zaczynać swoją karierę zawodową. Z całą pewnością nie brakowało mu stresów. W końcu lekarz zalecił mu ograniczenie kawy i

jogę albo jakieś inne ćwiczenia medytacyjne, które miały wpłynąć na zmniejszenia napięcia. Kiedy poszedł za jego radą, bóle głowy rzeczywiście stały się rzadsze, ale nigdy do końca nie ustąpiły.

Ben starał się teraz o tym nie myśleć, tylko próbował skoncentrować się na Annie. Czy pozwoli mu opisać swój przypadek? Czy wyjawi mu wszystkie szczegóły? Czy na tyle się przed nim otworzy, by mógł wykonać jej dokładny wizerunek psychologiczny w jego dynamicznym, trwającym długie lata, rozwoju? Być może za mocno na nią naciskał. Wyraźnie ją wystraszył. I, na dodatek, nie powiedział prawdy.

Poczuł mocniejszy, rwący ból nad oczami i jęknął. Zawsze uważał, że najważniejsza jest szczerłość. Jako terapeuta wiedział, do jakiego stopnia nawet małe kłamstwa potrafią zniszczyć ludzkie życie, dlatego jego podstawowym zadaniem było wydobyć ze swoich pacjentów prawdy. Więc dlaczego skłamał, kiedy Anna zapytała go o program z udziałem jej matki? Udawał, że to był przypadek, i niezgodnie z prawdą powiedział, że już wcześniej czytał jej książki!

Bał się, że jeśli wyzna prawdę, to ją spłoszy. Lecz i tak ją spłoszył.

Gdyby tak bardzo nie bolała go głowa, ukarałby siebie za własną bezdenną głupotę. Anna bardzo mu się spodobała. Była inteligentna, z subtelnym poczuciem humoru, które bardzo mu odpowiadało. Poza tym miała zasady, których brakowało wielu innym ludziom. Była osobą głęboko moralną, to się od razu czuło. Zaslugiwała na to, żeby znać prawdę.

Jest jeszcze coś. Gdyby był zupełnie szczerzy wobec siebie, musiałby przyznać, że Anna interesuje go nie tylko jako źródło informacji.

Ból w cudowny sposób zniknął w jednej chwili i zaskoczony Ben odetchnął z wielką ulgą. Zdjął ciepły kompres z głowy i usiadł. Uśmiechnął się, a potem zaśmiał głośno, czując, że i tym razem udało mu się przegnać diabła.

Zdecydował, że zadzwoni do Anny. Zaprosi ją na wystawną kolację i wyzna wszystko. Opowie o kopercie i tajemniczej notatce. A potem się zobaczy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Czwartek, 18 stycznia, godz. 19.50

Po wyjściu z „Café du Monde“ Anna poszła na mszę do katedry. Drzwi do budynku były otwarte i dzwoniły dzwony, więc pod wpływem nieodpartego impulsu wśliznęła się do zacisznego wnętrza. Niezmienny od wieków rytuał religijny podziałał na nią kojąco i pozwolił dojść do siebie. Wychodząc, poczuła się pewniej. Była rozgrzana i gotowa stawić czoło przeciwnościom losu.

Jakoś pogodzi się z Jaye. Znajdzie sobie nowego agenta. Program na Kanale E! spowoduje, że stanie się bardziej niezależna. Nic więcej.

Mimo chłodu Anna wybrała okreźną drogę do domu. Szła przez ulice ze sklepami, skręcając co jakiś czas w willowe zaułki. Znała je wszystkie jak własną kieszeń. Wiedziała, że gdy dotrze do domu, będzie musiała zająć się kolacją i przejrzeć korespondencję. Teraz mogła podumać.

W ciągu ostatniej godziny jej myśli krążyły wokół Bena i ich spotkania. Naprawdę bardzo go polubiła. Odpowiadał jej jego sposób bycia, fascynowała praca i to, co o niej mówił.

Raz jeszcze dotknęła policzka w miejscu, gdzie ją pocałował. To było odważne zachowanie, ale jednocześnie romantyczne. Taki gest stanowił przypieczętowanie przyjaźni, a nawet czegoś więcej...

Musiała przyznać, że ten pocałunek na nią podziałał. Poczła ciepło rozchodzące się po całym ciele i radosne oczekiwanie. Tylko co dalej? Bo zarazem trochę ją zdeprymował. Być może dlatego, że takie zachowanie zupełnie nie pasowało do mężczyzny pokroju Bena Walkera.

Anna zmarszczyła czoło. Do licha, przecież widziała go drugi raz w życiu i rozmawiali niecałą godzinę. Mogła się tylko domyślać, jaki jest i co sobą reprezentuje, a jednocześnie miała dziwne uczucie, jakby znała go od bardzo dawna.

Zadrzała i postawiła kołnierz kurtki. Zrobiło się już ciemno, a temperatura spadła do jakichś czterech stopni. Wydawać by się mogło, że to jeszcze nie mróz, ale powietrze było przesiąknięte obrzydliwą wilgocią, która wdzierала się dosłownie wszędzie, również pod ubranie.

Dosyć tego włóczenia się, pomyślała, drżąc z zimna. Najwyższy czas wracać do domu.

Dotarcie do budynku zajęło jej niecałe dziesięć minut. Anna szybko otworzyła drzwi, rzuciła pocztę na stolik w przedpokoju i powiesiła kurtkę. Zmarznięta pospieszyła do kuchni, chcąc jak najszybciej zrobić sobie herbaty. Zatrzymała się tylko przy termostacie, żeby zwiększyć temperaturę. Czekając na wrzątek, włączyła odsłuchiwanie automatycznej sekretarki. Pierwsza dzwoniła matka. Znalazła wizytówkę szefa ekipy filmowej i od razu przypomniała sobie, że nazywał się zupełnie idiotycznie, czyli Peter Peters. Potem odezwał się Dalton, zaciekawiony tym, jak poszło jej spotkanie z Benem. Dzwoniła też recepcjonistka dentysty, żeby przypomnieć o jutrzejszej wizycie.

Ostatnia informacja pochodziła od przybranej matki Jaye. Fran prosiła, żeby zadzwoniła do nich jak najszybciej.

Czajnik już się wyłączył, ale Anna nie zwróciła na to uwagi. Wybrała numer. Matka Jaye podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Fran? Tu Anna North. O co chodzi?

- Czy nie ma u ciebie Jaye? - zmęczonym głosem spytała Fran Clausen.

- Nie, w ogóle się z nią nie widziałam. - Anna zmarszczyła brwi. - Wróciła ze szkoły?

- Nie. Najpierw się nie przejmowałam, bo czasami zagląda do koleżanek albo do czytelnicy. Ale zna zasady i wie, że bez uzgodnienia pod żadnym pozorem nie może być poza domem dłużej niż do pół do szóstej. Wtedy jemy obiad.

Anna spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma, a na dworze było zupełnie ciemno.

- Pewnie wstąpiła do jakiejś koleżanki i zapomniała o czasie - dodała Fran. - Ale jako jej prawny opiekun powinnam wiedzieć, gdzie się znajduje.

Prawny opiekun. Nie matka. Nie bliska osoba, pomyślała gorzko Anna. Potrząsnęła głową, chcąc przepędzić te myśli. Clausenowie naprawdę dobrze opiekowali się jej „młodsza siostrą“.

- Nie wiesz, do kogo mogła pójść? - ciągnęła Fran. - Dzwoniłam pod wszystkie możliwe adresy i nic więcej nie mogę zrobić.

- Wiesz co, spróbuję się sama dowiedzieć - zaproponowała Anna. - Zaraz do was oddzwonię.

Dziesięć minut później musiała wyeliminować wszystkie możliwości. Skontaktowała się z Jennifer, Tiffany, Carol i Sarah, czyli najlepszymi przyjaciółkami Jaye. Żadna nie widziała jej ani w szkole, ani poza nią, co bardzo zaniepokoiło Annę. Przypomniała sobie zbrojeńca, o którym wspominała jej Jaye.

Ze ściśniętym sercem raz jeszcze wybrała numer Clausenów. Miała nadzieję, że być może Jaye już wróciła do domu. Kiedy okazało się to nieprawdą, powiedziała Fran, że

przejdzie się po mieście i sprawdzi wszystkie ulubione miejsca Jaye.

- Czy wspominała wam, że parę dni temu jakiś mężczyzna ją śledził?

Kobieta milczała przez chwilę.

- Nie - odparła w końcu. - Pierwsze słyszę.

- Jaye specjalnie się tym nie przejęła, ale teraz...

- Zaczekajmy z ostatecznymi wnioskami, Anno. Myślę, że lada chwila powinna się pojawić w domu.

Anna mogła mieć tylko taką nadzieję. Kiedy odłożyła słuchawkę, natychmiast sięgnęła po torebkę i kluczyki od samochodu.

Poddała się dopiero o wpół do jedenastej. Nie ze zmęczenia, ale dlatego, że zabrakło jej pomysłów. Sprawdziła pod arkadami, „Rock’n Bowl“, dwie kawiarnie „CC“, a nawet czytelnię, czyli wszystkie miejsca, w których Jaye bywała sama lub z koleżankami. Nikt nie widział jej przez cały dzień. Czternaście godzin! Trochę za długo jak na piętnastoletnią dziewczynę. Zbyt wiele złych rzeczy mogło się wydarzyć w tym czasie.

Zrozpaczona Anna skręciła w lewo z Carrollton Avenue i pojechała do Clausenów. Jaye musiała dotrzeć już do domu i teraz pewnie wścieka się, ponieważ Fran zrobiła jej awanturę i wyznaczyła karę. Słusznie, skoro dziewczyna zdecydowała się pójść na wagary. Być może jej przyjaciółki nawet o tym wiedziały, tylko nie chciały ujawniać prawdy dorosłym.

Co prawda Jaye od dawna nie zachowywała się tak nieodpowiedzialnie, ale mogła wrócić do starych nawyków. W końcu była nastolatką!

Fran Clausen otworzyła drzwi, zanim zdążyła zapukać. Mina gospodyni zrzędła, kiedy zobaczyła, że Anna jest sama.

- Nie znalazłaś jej, prawda?

Anna potrząsnęła głową.

- Miałam nadzieję, że zastanę ją w domu.

- Nie wróciła. - Bob Clausen stanął w drzwiach po jej lewej stronie. - I pewnie już nie wróci - dodał ponuro.

Anna obróciła się w jego stronę. To był wielki mężczyzna, miał pewnie ponad metr osiemdziesiąt. I surową, zaciętą minę.

- Słucham?

- Na pewno znowu uciekła.

Anna westchnęła głośno i spojrzała na Fran.

- Czy... czy coś się stało?

Fran otworzyła usta, ale jej mąż był szybszy:

- Chyba nie jesteś zaskoczona? Przecież robiła to już wcześniej.

- Jest teraz znacznie dojrzała. Przemyślała całe swoje postępowanie i już wie, że niczego w ten sposób nie osiągnie.

Anna znowu uniosła głowę.

- Czy Fran mówiła ci, że parę dni temu jakiś mężczyzna śledził Jaye w drodze do szkoły?

Bob wywrócił oczami.

- Bzdura! Gdyby to była prawda, na pewno by nam o tym powiedziała.

- Ja też na początku nie chciałam uwierzyć, że uciekła - wtrąciła Fran. - Ale potem dowiedzieliśmy się, że nie było jej w szkole.

Bob Clausen skrzywił się z niesmakiem.

- Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają. Jaye pozostała egoistycznym, zapatrzonym w swoje problemy bachorem.

Anna gwałtownie się wyprostowała, czując, jak płoną jej policzki.

- Jaye nie jest egoistką! - zaprotestowała. - To nieprawda!

- Bob wcale nie chciał tego powiedzieć. - Fran nerwowo ścisnęła dłonie. - Ale nie poznałaś jej tak dobrze jak my. Była bardzo zdecydowana, wręcz buntownicza. Kiedy czegoś chciała, szła prosto do celu, nie zważając na konsekwencje.

Anna z trudem panowała nad sobą.

- Gdyby była inna, nie przetrwałaby tego, co zafundował jej ojciec. Tylko dzięki tym cechom wyszła z tego prawie bez szwanku!

Clausenowie spojrzeli po sobie. Bob zaczerpnął powietrza, żeby jej odpowiedzieć, ale tylko sapnął gniewnie. Obrócił się na pięcie i poszedł oglądać jakiś program w telewizji.

Fran patrzyła za nim, a potem rzekła do Anny:

- Zadzwonimy do ciebie, jeśli wróci. Albo... czegoś się dowiemy...

To znaczy, że mam się od nich odwalić, pomyślała. Jednak zdecydowała, że najpierw sama poszuka Jaye. Coś jej tutaj nie pasowało, po prostu ta ucieczka nie miała najmniejszego sensu.

- Czy mogłabym zajrzeć do pokoju Jaye? - spytała, tknięta nagłym przeczuciem.

- Do jej pokoju? - Fran szybko zerknęła w stronę telewizora. Anna nie wiedziała, czy szukała wsparcia męża, czy tylko chciała sprawdzić, czy słyszy ich rozmowę. - Po co?

- Chciałabym tylko zobaczyć, co Jaye z sobą wzięła, gdy rano wychodziła z domu. -

Zniżyła głos: - Proszę, bardzo mi na tym zależy.

Fran wahała się przez dłuższą chwilę, ale potem skinęła głową.

- Dobrze, w końcu nic się nie stanie.

Poprowadziła ją do pokoju Jaye, a sama stanęła w drzwiach. Podobnie jak wiele innych sypialni, w których mieszkają nastolatki, pomieszczenie wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Anna stanęła na środku, a jej serce gwałtownie załomotało. Poczła zapach Jaye, woń jej lekkich perfum. Na krześle leżał sweterek, w którym widziała ją po raz ostatni, a na nocnej szafce stały trzy puste puszki po coli light, plastikowe opakowanie po krakersach i stojaki z kompaktami. Anna podeszła do nich i ze ściśniętym gardłem zaczęła przeglądać płyty. Niektóre z nich Jaye po prostu uwielbiała. Dlaczego więc je zostawiła, skoro planowała ucieczkę? Miała przecież discmana, z którym prawie się nie rozstawała. Lecz nie mogła go zabierać do szkoły. Zabroniono tego od razu na początku semestru, by uczniowie nie słuchali muzyki na lekcjach. Jaye wpadła wtedy we wściekłość i napisała list protestacyjny do dyrekcji.

Anna spojrzała na podłogę przy łóżku. Zobaczyła tam książkę z biblioteki, trzy kolorowe gumki do włosów, papierek po batonie i kupione za własne pieniądze martensy. Jaye uwielbiała te buty. Musiała oszczędzać na nie cztery miesiące. Odmawiała sobie wszystkich przyjemności. Nie piła nawet mochasippi, bez której, jak utrzymywała, nie mogła żyć.

Anna z trudem przełknęła ślinę i zaczęła rozglądać się dookoła, szukając czegoś, co wskazywałoby na to, że jej „młodsza siostra“ jednak uciekła. Albo czegoś, co wskazywałoby na to, że stało jej się coś złego. W końcu znalazła to pod materacem. Płaskie, blaszane pudełko, pełne pamiątek. Była tam obrączka matki Jaye i jej fotografia, a także zdjęcie kobiety trzymającej malutką dziewczynkę na rękach. Poza tym znalazła świadectwo urodzenia Jaye i dwa wiersze, które wydrukowano jej w szkolnym magazynie literackim. A także zdjęcie, na którym stały razem, zaróżowione i objęte.

Anna wzięła je do ręki, czując, że ma oczy pełne łez. Pamiętała dzień, kiedy je zrobiono. To było na krótko po tym, jak zostały prawdziwymi przyjaciółkami. Po tym, jak runął ostatni, dzielący je mur.

Zaczęła się wiosna i dzień był naprawdę piękny i rześki. Pojechały do zoo i cały dzień się włóczyły, obserwując zwierzęta, jedząc same niezdrowe rzeczy i ciesząc się swoim towarzystwem.

Anna odłożyła zdjęcie na miejsce, czując gwałtowny ból w piersiach. Jaye nigdy nie zostawiłaby tych pamiątek z własnej woli. Nie miała nic cenniejszego, bo te rzeczy łączyły ją z przeszłością, a raczej tą jej częścią, o której chciała pamiętać.

Zastygła przerażona, czując macki chłodu na całym ciele, chociaż tak naprawdę w pokoju było bardzo ciepło. Skoro Jaye nie uciekła ze szkoły, co się z nią mogło stać?!

Zamknęła pudełko i podeszła do drzwi. Fran czekała na zewnątrz, oparta plecami o ścianę.

- Widziałaś to? - Pobladła i drżąc, wyciągnęła pudełko w jej stronę.

- To? - powtórzyła z niepewną miną Fran. - A co to takiego?

- Pamięć Jaye - odparła Anna, pokazując opiekunce jego zawartość. - Znalazłam to pod jej materacem. Nie wzięła tego.

Fran poruszyła się nerwowo.

- I co z tego?

- Jestem pewna, że nigdzie by się bez tego nie ruszyła. Te rzeczy są dla niej bardzo cenne. Więcej, są najcenniejsze. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Jaye nie uciekła z domu.

Twarz Fran nabrała koloru ściany, przy której stała.

- Tru... trudno mi w to uwierzyć.

- Czy wzięła ze sobą jakiś plecak?

- Nie, po prostu torbę z książkami, ale...

- Właśnie. Nie widziałam w jej pokoju żadnych podręczników. Po co miałyby brać je ze sobą? Gdyby planowała ucieczkę, wzięłaby trochę ubrań, swoje martensy, przybory toaletowe i na pewno to. - Potrząsnęła pudełkiem. - Zastanów się, Fran! Nie uciekałyby ze szkolnymi książkami!

- Na miłość boską! Daj spokój mojej żonie! - Bob Clausen pojawił się w przedpokoju.

Anna stanęła przed nim twarzą w twarz.

- Chcę po prostu, żeby zrozumiała...

- Jaye uciekła od nas i koniec!

- Rozmawialiście z Paulą? - Chodziło jej o Paulę Perez, kuratorkę Jaye. - Myślę, że powinna wiedzieć, co się...

- Już do niej dzwoniłem - przerwał jej Bob. - Ona też uważa, że Jaye uciekła. Zresztą pierwsza na to wpadła. Jeśli Jaye nie pojawi się do północy, ma to zgłosić na policję.

- Ale ona nie wiedziała o tym. - Wyciągnęła w ich stronę blaszane pudełko. - Nawet wy nie mieliście o tym pojęcia.

- Sama jej o tym powiedz, jeśli uważasz, że to takie ważne. Mnie wszystko jedno.

- Dobrze - powiedziała spokojnie, zerkając w stronę drzwi wyjściowych. - Właśnie widzę, że wam jest wszystko jedno.

Bob zamarł na chwilę, a potem z groźną miną zrobił krok w jej stronę.

- Co powiedziałaś?

Anna uniosła podbródek, nie chcąc, żeby dostrzegł, jak bardzo się boi. Bob Clausen był od niej o głowę wyższy i zbudowany jak atleta . W dodatku w tej chwili wyglądał tak, jakby chciał ją udusić.

- Przecież jesteście zastępczą rodziną Jaye. To... dziwne, że się nią nie interesujecie. Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy.

- Jak śmiesz nas pouczać?! Jak śmiesz sugerować, że się nie...

- Daj spokój, Bob - jęknęła jego żona.

Machnął na nią ręką i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Anny.

- Nie rozumiesz, że to zdarzyło się nie pierwszy raz?! Że już przez to przechodziliśmy?! Dziewczyny takie jak Jaye uciekają, kiedy coś zaczyna iść nie po ich myśli. I nawet się nie obejrzą na ludzi, którzy się nimi zajmowali! - Zbliżył się do niej jeszcze trochę i Anna odruchowo się cofnęła. - Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Anna spojrzała błagalnie na Fran.

- Proszę... Dobrze znam Jaye i... i wiem, że nigdy by tego nie zrobiła.

Opiekunka potrząsnęła głową i spojrzała w bok.

- Zawiadomimy cię, kiedy tylko czegoś się dowiemy - obiecała.

- Dziękuję. - Anna zacisnęła palce na pudełku. Sama nie wiedziała, dlaczego, ale za nic nie chciała go oddać. - Mogę to jej... przechować?

- W tej sytuacji powinniśmy oddać wszystkie rzeczy Jaye do opieki społecznej.

Anna z trudem się opanowała. Te słowa zabrzmiały tak złowrogo, tak ostatecznie. Jakby rozmawiali o rzeczach kogoś zmarłego.

- Bardzo mi na tym zależy. Przekażę je później Pauli. Naprawdę.

Fran wahała się jeszcze przez chwilę, a potem skinęła głową. Clausenowie, niczym dwoje strażników, odprowadzili ją do drzwi i patrzyli, jak wychodzi z pudełkiem przyciśniętym do piersi. Kiedy dotarła do samochodu, zobaczyła, jak małżonkowie wymieniają ukradkowe spojrzenia.

Nagle zastygła w przerażeniu. Nie mogła się ruszyć ani myśleć. Nie mogła nawet otworzyć wozu. Kiedy tak stała, ze wzrokiem utkwionym w Clausenów, po głowie krążyło jej tylko jedno pytanie: Co się stało z Jaye?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czwartek, 18 stycznia, godz. 23.50

Jaye obudziła się z jękiem. Bolała ją głowa i plecy. Usta miała wyschnięte i szorstkie, jak spieczona słońcem ziemia. Przewróciła się na bok i znów jęknęła. Poczula kwaśny zapach i otworzyła oczy.

Wtedy sobie przypomniała. Idzie do autobusu. Patrzy przez ramię, czy wciąż ma za sobą tego zbrojnego. Uśmiecha się do siebie, bo znów go zgubiła. Tak jej się przynajmniej wydaje. Nagle ktoś ją wciąga w krzaki, przytykając do ust i nosa jakąś szmatę. Próbuje krzyczeć, ale tylko wciąga w płuca obrzydliwy zapach.

Ciemność.

Przeżrana Jaye gwałtownie usiadła, czując, że serce chce jej wyskoczyć z piersi. Gdy tylko zdołała się trochę opanować, rozejrzała się po ciemnym pokoju. Była sama.

Parę minut oddychała przez nos, żeby się uspokoić. Instynkt podpowiadał jej, co ma robić. Uspokój się. I zorientuj w sytuacji.

Siedziała na składanym łóżku, na nagim, brudnym materacu. Zaciśnęła usta, żeby się nie rozplakać. W pokoju znajdował się jeszcze ogrodowy leżak z aluminium, umywalka i sedes. Na jego zbiorniku leżała rolka papieru toaletowego, a na umywalce nierozpakowana szczoteczka i pasta do zębów. Obok wisiał ręcznik.

Jaye zaczęła rozglądać się po pokoju. Tapeta odchodziła płatami od ścian, odsłaniając tynk. Okno zabito deskami, ale przez szpary wślizgiwało się do środka przyciemnione światło księżycy.

Jaye na palcach podeszła do drzwi i sięgnęła do klamki. Przypomniała sobie horror, który oglądała parę tygodni wcześniej. Tam też dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, próbowała wydostać się z pustego pomieszczenia, ale gdy dotknęła klamki, ta przemieniła się w węża.

To tylko film, przekonywała siebie, lecz jej obecna sytuacja wydawała się równie przerażająca. Drzwi były zamknięte. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Powstrzymała następne, łajac siebie za niewczesne nadzieje. Jaki porywacz zostawiłby otwarte drzwi?! Chyba tylko jakiś wariat!

Będzie musiała poszukać innej drogi ucieczki. Spojrzała w dół i dostrzegła, że u dołu drzwi znajduje się wejście dla kota. Uklękła i obejrzała klapkę. Wyglądała na zupełnie nową, jeszcze nieużywaną. Przycisnęła ją, ale okazało się, że jest zablokowana od zewnątrz.

Nacisnęła mocniej i zasuwka zaczęła się poddawać. Mogłaby ją rozwalić kopniakiem, ale i tak nie precyzyjnie się przez taki mały otwór. To nie miało sensu.

Wstała i podeszła do zabitego na głucho okna. Przytknęła oko do szpary, lecz na zewnątrz było ciemno. Światło nie pochodziło, jak jej się zdawało, od księżyca, ale od samotnej lampy ulicznej. Poza tym wszystko tonęło w mroku.

Słyszała jednak ruch uliczny i przytłumione ludzkie głosy. A więc ktoś mógł ją usłyszeć i może nawet uwolnić, lub przynajmniej zawiadomić policję.

- Na pomoc! - krzyknęła podniecona i zaczęła walić pięściami w deski.

Krzyknęła jeszcze dwa razy, robiąc przerwy, żeby usłyszeć reakcję. Nie było żadnej. Szmer głosów nie zmienił się ani na jotę. Nikt nie zawołał. Nikt nie przyszedł do jej więzienia.

Nie słyszą mnie, pomyślała. Są zbyt daleko.

Wpadła w szal. Podbiegła do drzwi i zaczęła je kopać, dziko przy tym wrzeszcząc. Po chwili zachrypla. Dłonie ją bolały, ramiona osłabły. Wciąż jednak wołała, aż jej głos stał się ledwie słyszalny. W końcu, zupełnie wyczerpana, opadła na podłogę i zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Piątek, 19 stycznia

Dzielnica Francuska

Nazywała się Evelyn Parker. Była piękna, lubiana, bystra i pełna energii. Co tydzień bywała w śródmiejskich lokalach, żeby się zabawić. Pracowała jako pomoc u pewnego dentysty i mieszkała w dzielnicy Bywater. Zginęła w swoje dwudzieste czwarte urodziny.

- Ale pech, co, Malone? Rozstać się z życiem akurat w dniu urodzin! - westchnął Sam Tardo, jeden z członków ekipy technicznej. - Nie dotykaj niczego. Musimy jeszcze zbadać ciało.

Quentin mruknął coś w odpowiedzi i kucnął obok ofiary. Przeglądał centymetr po centymetrze, szukając jakichś śladów: urwanego guzika, kawałka papieru, jakiejś plamy, odcisków palców.

- Myślisz o tym, co ja? - spytał Terry, nachylając się, żeby lepiej przyjrzeć się ofierze.
- Nancy Kent.

- Tak. - Quentin zmarszczył brwi. - Evelyn Parker też była ruda, tyle że bardziej marchewkowa. I też bawiła się tej nocy, kiedy ją zamordowano. Wygląda na to, że ktoś najpierw ją zgwałcił, a potem udusił. Podobnie jak Nancy Kent, znaleziono ją w pobliżu klubu.

- Kapitan będzie wkurzona. - Johnson wzruszył ramionami. - Jakby to była nasza wina!

- Kto ją znalazł? - spytał Quentin.

- Biegaczka.

Malone wytrzeszczył na niego oczy.

- Co biegaczka robiła o tej porze za klubem?

- Ta dziewczyna zawsze biega wcześniej rano, razem z psem myśliwskim, bo tak jest bezpieczniej. Właśnie ten pies oszalał, zanim jeszcze dotarli do klubu. Biegał tam i z powrotem, więc postanowiła sprawdzić, co się stało.

- Walden spisał jej zeznania?

- Taa... - Johnson wskazał budynek klubu. - Teraz przesłuchuje właściciela. Gdzie byliście wcześniej? Musieliśmy odwalić z Waldenem praktycznie całą robotę.

- Odpieprz się. - Terry skrzywił się z wyraźną niechęcią. - Obaj jeszcze spaliście, kiedy my już mieliśmy trzy trupy w Desire. Prawdopodobnie porachunki narkotykowe.

Część śródmieścia, nosząca nazwę Desire, była jednym z najniebezpieczniejszych miejsc Nowego Orleanu. Żaden policjant nie zapuszczał się tam samotnie. Mieszkańcy też najchętniej chodziliby w zbrojnej asyście, ale niewielu mogło sobie na to pozwolić.

- Szczęściarze - mruknął Johnson i owinął się mocniej jesionką. - Zawsze omijam Desire szerokim łukiem.

Walden, który stanął w drzwiach klubu, pomachał ręką, żeby przyszedł. Johnson przeprosił ich i ruszył w tym kierunku. Quentin znowu spojrzał na ofiarę. W przeciwieństwie do Kent walczyła z całych sił o życie. Miała siniaki i obtarcia na twarzy, szyi i piersiach. Nosila obcisłe dzinsy i sądząc z położenia jej ciała, napastnik miał spore trudności z tym, żeby je ściągnąć. Były skręcone wokół jej kolan, a majtki zupełnie podarte.

Quentin zerknął na Terry'ego, żeby powiedzieć mu o dzinsach, ale zamilkł, widząc, jak bardzo jest zmęczony. Oczy nabiegły mu krwią. Nic nie mówił i tylko patrzył na Malone'a.

Quentin zmarszczył brwi. Byli w Desire ze dwie godziny, a przedtem Quentin spał sobie smacznie, więc nie czuł się senny. Ale gdzie wobec tego był wcześniej jego partner?

- Nic ci nie jest?

- O tyle, o ile. - Terry przetarł oczy. - Nie mam domu i prawie nie śpię, więc jak mam się czuć?!

Ekipa techniczna skończyła swoją robotę i Sam dał im znak, że mogą zaczynać. Nie zostało wiele do zrobienia. Później powinni się zająć przesłuchaniem świadków i sprawdzeniem wszystkiego, co wiązało się z Evelyn Parker.

Quentin ściągnął brwi i spojrzał na kumpla.

- Wydaje mi się, że jednak nie zdołał jej zgwałcić, Ter. Byłoby mu bardzo trudno z tymi dzinsami. Chyba że sam je później wciągnął, co zupełnie nie ma sensu. Myślę, że tylko ją zabił.

- Więc możemy się pożegnać z wynikami DNA.

- Właśnie. - Przeszli parę kroków. - Trudno nam będzie powiązać oba zabójstwa.

- Tak, to prawie niemożliwe - powiedział Terry i zamilkł na chwilę. - Co nie pomoże w mojej sprawie. - Znowu przerwa. - Cholera, mam nadzieję, że nie chcą mnie w to zrobić.

Quentin spojrzał na kolegę.

- Po co mieliby to robić?

- Oczywiście ze względu na Nancy Kent.

- Przecież zostałeś oczyszczony.

Terry wbił ręce w kieszenie kurtki i skrzywił się z goryczą.

- Tak, tylko że to wszystko zmienia. - Wskazał kciukiem za siebie. - Nie rozumiesz? Znowu zaczną się w tym grzebać. Przecież wiesz, że przesłuchają nas jako świadków w poprzedniej sprawie, gdy tylko dotrzemy do pracy.

Quentin przyznał w duchu, że Terry prawdopodobnie ma rację.

- No tak. Co powiesz, kiedy szefowa cię spyta, gdzie byłeś dziś w nocy?

- Prawdę. Że siedziałem przed lustrem z butelką bourbona w moim zawszonym mieszkaniu. A wcześniej widziałem się z Penny.

Dotarli do miejsca, gdzie zaparkowali obok siebie samochody.

- Udało ci się ją wreszcie przekonać, że powinna do ciebie wrócić?

- Wrócić? Do mnie? A po co?! - Terry zaśmiał się gorzko. - Bawi się teraz za wszystkie czasy. Bierze jednego faceta po drugim. Dziwka! Chce pewnie nadrobić stracony czas.

Quentina uderzyły nie tylko same słowa Terry'ego, ale również ton, jakim je wypowiedział. Był w tym śmiertelny jad, dławiąca nienawiść i porażająca wściekłość, a tego się po swoim kumplu nie spodziewał. To niemożliwe, pomyślał, przypominając sobie żonę Terry'ego. Penny nie jest dziwką. Zawsze była oddaną żoną i matką.

- Pieprzę to! - Terry z furią wypluł z siebie kolejne przekleństwo. - Nie chce wpuścić mnie, swojego męża, do mieszkania, a kotłuje się z przypadkowymi facetami. Jak ostatnia zdzira, którą zresztą się stała. Wyszło z niej całe kurestwo babskiej natury.

- Masz jakieś dowody, Ter? Penny nigdy się tak nie zachowywała.

- Jasne, że mam. Aleks mówił, że mama często wychodzi wieczorem i że wtedy zajmuje się nimi babcia. Podobno wraca bardzo późno.

- I to wszystko? To cały twój dowód? - spytał Quentin, otwierając swoje auto. - Pamiętaj, ile lat ma twój Aleks, i jak traktujemy w policji zeznania sześciolatków.

- Wiem, ale ja mu wierzę. Penny na pewno gdzieś wychodzi wieczorami, a po co miałyby to robić, gdyby nie spotykała się z różnymi fajfusami, którzy lecą na łatwe okazje? A ona stała się łatwa, więc wszystko pasuje. - Terry zacisnął pięści. - A może gzi się z jednym facetem? Sam już nie wiem, co gorsze...

- Może spotyka się z koleżankami albo stała się kinomanką? To wcale nie znaczy, że w grę wchodzi jakiś facet.

- Wiem, że wchodzi - powtórzył z uporem Terry i spojrzał mu w oczy. - Musisz z nią porozmawiać. Penny cię lubi i szanuje. - W głosie przyjaciela pojawiły się błagalne nutki. - Proszę cię. Chcę, żeby do mnie wróciła.

Kiedy się wahał, Terry złapał go za ramię.

- Quen, musisz mi pomóc - powiedział z rozpaczą w głosie. - Penny powinna zrozumieć, że tak nie można. Musi do mnie wrócić, choćby ze względu na dzieci. - Obejrzał się przez ramię. - Przede wszystkim ze względu na nie. Czują się zagubione, straciły poczucie bezpieczeństwa, a ja nic nie mogę na to poradzić. Sam nie wiem, jak długo jeszcze tak wytrzymam.

- W porządku. - Quentin skinął głową. - Chociaż sam nie wiem, czy powinienem się wtrącać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Piątek, 19 stycznia

Centrum Biznesu

Minęły dwadzieścia cztery godziny, a Anna wciąż nic nie wiedziała o Jaye. W tym czasie utwierdziła się w przekonaniu, że jej „młodsza siostra“ nie uciekła z domu, a także stwierdziła ze smutkiem, że Clausenom wcale nie zależy na dziewczynie. Ponadto, kiedy przypominała sobie fragmenty rozmowy oraz ich miny i spojrzenia, doszła do wniosku, że coś przed nią ukrywają.

Wnioski, jakie z tego wyciągnęła, wydały jej się przerażające.

Pełna rozpacz, postanowiła zwrócić się do Pauli Perez, kuratorki Jaye. I właśnie teraz wsunęła głowę do boksu bez okien, w którym urzędowała Paula.

- Puk, puk.

- Proszę. - Kobieta rozpromieniła się na jej widok. - Cześć, Anno. Jaka miła niespodzianka.

- Recepcjonistka gdzieś wyszła, dlatego przyszedłam od razu do ciebie. Nie przeszkadzam?

Paula wskazała swoje biurko, gęsto usłane różnymi papierami.

- Widzisz, w opiece społecznej zawsze jest coś do zrobienia. Lepiej nie pytaj, tylko od razu siadaj.

Zrobiła to, kurczowo ściskając w dłoniach metalowe pudełko.

- Chciałam porozmawiać o Jaye.

- Tak sądziłam. Nic jeszcze nie wiemy, Anno.

- Tak, domyślam się. - Anna spojrzała na pudełko, a potem znowu na kuratorkę. - Chciałam ci pokazać te rzeczy. Należą do Jaye.

Podła jej pojemnik. Paula otworzyła go i zaczęła przeglądać zawartość. Po chwili spojrzała na Annę.

- Skąd to masz?

- Od Clausenów. Wzięłam wczoraj.

- Muszę to zatrzymać. Nie powinnaś...

- Wiem - przerwała jej Anna. - Ale bałam się. - Wzięła głębszy oddech. - Bałam się, że gdzieś się... zawieruszy, więc zaopiekowałam się tym.

Paula ściągnęła brwi.

- Nie rozumiem.

- No właśnie. A przecież to pudełko świadczy o tym, że Jaye nie uciekła.

- Rozmawialiśmy już o tym przez telefon. Wiem, że nie chcesz się pogodzić...

- Nigdy nie zostawiłaby tych rzeczy. Naprawdę! Tylko one miały dla niej jakąś wartość.

- Jaye dobrze wie, że opieka społeczna przechowa wszystkie rzeczy, które zostawi. Musimy je trzymać, aż się po nie zgłosi. Dostanie je nawet za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat.

Nie zrażona Anna wysunęła natychmiast inne argumenty:

- Ale skoro miała zamiar uciekać, mogła przynajmniej wziąć jedzenie i ubrania zamiast książek. To przecież nie ma sensu.

- Fran i Bob dzwonili dziś rano z informacją, że brakuje wielu rzeczy z ich spiżarki.

- Tak twierdzą?

Paula zeszywniała, a jej policzki nabiegły krwią.

- Co ma oznaczać to pytanie, Anno?

- Mam wrażenie, że kręcą. W tym wszystkim jest coś podejrzanego...

- Daj spokój! - Paula wstała i spojrzała na nią z góry. - To porządni ludzie. Są rodziną zastępczą od ponad dwudziestu lat. Wszyscy ich tutaj bardzo cenimy. Jak śmiesz insynuować, że...że są nieuczciwi i nas oszukują.

Anna również wstała.

- Chodzi mi tylko o to, żeby sprawdzić wszystko, co wiąże się ze zniknięciem Jaye - powiedziała. - Koniecznie trzeba przesłuchać Clausenów i zawiadomić policję...

- Już to zrobiłam. Mam taki prawny obowiązek.

- Znam Jaye i zapewniam cię, że nigdy by, ot tak, nie uciekła. Jestem pewna, że coś się jej stało. Ktoś ją napadł. - Pochyliła się w stronę Pauli. - Mówiła mi o mężczyźnie, który ją śledził. Powinnaś wspomnieć o tym policji...

- Też to zrobiłam. Fran przekazała mi tę informację. - Kobieta westchnęła ciężko. - Myślę, że znasz Jaye słabiej, niż ci się wydaje. Ma złożoną i trudną osobowość. To prawda, można się po niej spodziewać wiele dobrego, lecz tyle samo złego.

- Znam jej przeszłość. Wiem o wszystkich ucieczkach i o tym, że zaatakowała kiedyś swoją nauczycielkę. Nawet o próbie samobójstwa. Jednak w ciągu dwóch ostatnich lat wiele przemyślała i bardzo dojrzała. Nie mogłaby...

Kuratorka wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać potok jej wymowy.

- Zanim powiesz coś więcej, chciałabym, żebyś zastanowiła się, czy sama masz czyste

sumienie wobec Jaye. Czy przypadkiem nie jest tak, że czujesz się winna i dlatego upierasz się przy swojej absurdalnej wersji.

- Ja? Winna? - powtórzyła.

- Podobno ostatnio się pokłóciliście. Jaye poczuła się oszukana.

- To nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem!

- Tak sądzisz? A nie przyszło ci do głowy, że Jaye uciekła, ponieważ zataiłaś przed nią swoją przeszłość? Uznała, że jej nie ufasz i tylko udajesz przyjaźń? To prawda, że od kiedy zaczęłaś się z nią spotykać, bardzo wydorosłała i stała się dojrzała, szczególnie w stosunkach z tobą, ale wynikało to z wzajemnego zaufania i zrozumienia. A ty ją zawiodłaś i wszystko się rozpadło. Jaye stała się znów taka jak kiedyś, czyli nieufna i agresywna wobec świata dorosłych, od którego należy uciekać. I dlatego uciekła. Przypuszczam, że tak to wygląda. A ty nie oskarżaj innych, tylko zastanów się, jaką rolę w tym odegrałaś.

Anna otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale szybko je zamknęła. Przez moment walczyła ze łzami.

- Nie chciałam jej skrzywdzić - wydusiła z siebie w końcu, pociągając nosem. - Staralam się jej wytłumaczyć, dlaczego nie powiedziałam jej wszystkiego.

- Tak, ja cię rozumiem - powiedziała rozbrojona Paula. - Ale pamiętaj, że nie jestem skrzywdzoną, sponiewieraną nastolatką.

Wyrzuty sumienia mieszały się w Annie z żalem i strachem.

- Naprawdę nie chciałam jej skrzywdzić - powtórzyła. - Kocham Jaye.

Paula pokiwała ze współczuciem głową. Wzięła pudełko i podała je Annie.

- Zatrzymaj to na jakiś czas. Myślę, że Jaye nie miałyby nic przeciwko temu.

Anna wyszła. Idąc, modliła się o to, by okazało się, że Jaye naprawdę uciekła. I żeby opamiętała się jak najszybciej i wróciła do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Piątek, 19 stycznia

Siódmy Wydział policji

Quentin zauważył Annę North, gdy tylko weszła do budynku. Stała w tłumie, przyciskając do piersi blaszane pudełko. Widział ją z profilu. Jej postawa i mina świadczyły o tym, że nie czuje się tu zbyt swobodnie, co nie było niczym dziwnym, zważywszy, że niewiele osób przychodziło na policję z dobrymi wiadomościami.

Uniósł głowę, przyglądając jej się uważnie. Co miała takiego w sobie, że przyciągała wzrok? To prawda, była ładna, może nawet bardzo ładna, ale przecież w tym lokalu było co najmniej kilka efektowniejszych kobiet, a on wcale nie zwracał na nie uwagi. Nie był to też strój, gdyż Anna włożyła tego dnia prosty niebieski sweter, džinsy i skórzaną kurtkę. Ani nawet wspaniałe, lśniące włosy. Więc co takiego?

Quentin uśmiechnął się lekko do siebie. Sądząc po ostatnim spotkaniu, panna North nie była zachwycona jego metodami działania. Pewnie zmartwi się, jeśli znowu do niego trafi. Ale on lubił wyzwania, zwłaszcza gdy wiązały się z tak atrakcyjnymi kobietami. Wiedział, że to poważna wada, ale wcale się tym nie przejmował.

Podszedł do oficer dyżurnej.

- Cześć, Violet - rzekł, pochylając się nad jej biurkiem. - Pięknie dzisiaj wyglądasz.

Violet DuPré już dawno przekroczyła pięćdziesiątkę i bardzo sprawnie radziła sobie nawet z najbardziej wygadаныmi policjantami z Siódemki.

- Przestań mi wciskać kit, Malone, i gadaj, o co chodzi - mruknęła, obrzuciwszy go wzrokiem.

- Cieszę się, że spodobał ci się mój komplement. - Pochylił się jeszcze bardziej w jej stronę i zniżył głos. - Czego chciała ta ruda? Czeką na kogoś?

- Tak jak my wszyscy, tylko że Pan Bóg nie zawsze chce przyjąć zamówienie. - Wyszczrzyła do niego zęby. - A ta ruda chciała rozmawiać z którymś ze śledczych.

- Nie podała mojego nazwiska?

- Przykro mi, Romeo, ale nie.

- Źle mnie zrozumiałaś. Spotkałem się z nią już w Ósemce. Opowiadała o tym, że ktoś uprowadził dziewczynkę, której nie widziała na oczy. Chciałbym zaoszczędzić kolegom tego rodzaju historii.

Violet skrzywiła się szyderczo.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Już taki jestem. Zawsze myślę o innych.

Energicznie potrząsnęła głową, patrząc na niego z dużym niesmakiem.

- Wiesz co, Malone, miałam cichą nadzieję, że po tym ostatnim morderstwie będziesz miał trochę więcej pracy i odejdziesz ci ochota na głupie żarty.

Quentin wyprostował się i posłał jej pewny siebie uśmiech.

- Nie doceniasz mnie. Zrobiłem już prawie wszystko, co mogłem.

Nie kłamał. Przesłuchał dziesięciu barmanów i wynotował te informacje, które mogły mieć znaczenie w sprawie Evelyn Parker. Miał rysopisy mężczyzn, z którymi tańczyła w swoje urodziny. Rozmawiał z całą jej rodziną, a także dentystą, u którego pracowała, oraz z koleżankami. Zaczął nawet rozpisywać jej ostatni wieczór, a przecież zajmował się tym zaledwie od ośmiu godzin.

Znowu spojrzał na Violet.

- To jak, kotku? Dasz mi ją?

Potrząsnęła głową i z przebiegłym uśmiechem sięgnęła po słuchawkę.

- Skoro ją znasz, to zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu.

- Jesteś słodka.

- Idź do diabła, a zanim to zrobisz, zapamiętaj sobie, że jestem poważnym pracownikiem policji, a nie jakimś „słodkim kotkiem“ - rzekła z obrzydzeniem. - To te twoje białe cizie mogą być słodkie.

Zaśmiał się i pocałował ją w pulchny, czekoladowy policzek.

- Dobrze, będę pamiętał.

Podszedł do Anny, świadomy tego, że Violet obserwuje go i zapewne kręci z dezaprobatą głową.

- Dzień dobry, panno North - zaczął oficjalnie. - Co panią znowu do mnie sprowadza?

Spojrzała na niego wyraźnie rozczarowana. Pewnie liczyła na to, że już nigdy go nie spotka.

- Chciałam rozmawiać z którymś ze śledczych...

- Czyli ze mną - wpadł jej w słowo.

- Ee, myślałam, że tym razem dostanę kogoś innego. Przecież to zupełnie inny posterunek...

Quentin zerknął na Violet i zobaczył, że śmieje się z nich, czy raczej z niego.

- To te komputery. Skoro już raz na kogoś pani trafi, trudno to zmienić...

- Jakbym się nadziała na haczyk, co?

Zrobił uprzejmą minę.

- Proszę za mną.

Przeprowadził ją przez całe biuro do swojego gabinetu i, nadal nadzwyczaj uprzejmy, szarmanckim gestem wskazał krzesło. Kiedy usiadła, przysiadł na biurku tuż przed nią.

- Jak pani idzie pisanie?

- Dziękuję, bardzo dobrze. Ma pan ładny krawat. Taki kolorowy.

Spojrzał w dół i uśmiechnął się.

- Dzięki.

- Nie każdy dorosły mężczyzna zdecydowałby się na wzorek w raki i strzelające szampanem butelki - dorzuciła.

- A zauważyła pani karnawałowe maski? - Pochylił się ku niej i nagle poczuł niepokojący zapach jej perfum. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Ta kobieta rzeczywiście miała w sobie coś... intrygującego.

- Jak mogłabym nie zauważyć? Są fioletowozłote. Czy wszyscy w wydziale zabójstw takie noszą? Jako odtrutkę na ponury zawód?

- Nie, cher - przeszedł na kajuński żargon. - To krawat od N'awlinsa. Laissez les bon temps rouler.

Przez moment milczała, a potem chrząknęła poirytowana.

- Czy w ogóle pana interesuje, po co tu przyszedłam? A może woli pan pogadać o krawacie?

- Przecież nie ja zacząłem ten temat. - Wyjął notes i długopis z kieszeni na piersi. - Czym mogę służyć, panno North?

- Zaginęła moja przyjaciółka. To moja „młodsza siostra“.

- Młodsza siostra? - zdziwił się.

- Tak, ze Stowarzyszenia Starszych Sióstr i Braci Ameryki - odparła. - Opiekowałam się nią od ponad dwóch lat.

Quentin zanotował imię i nazwisko Jaye, a także jej wiek i adres. Następnie podniósł głowę.

- Kiedy zaginęła?

- W czwartek rano wyszła do szkoły. Miała torbę z podręcznikami i torebkę. Pożegnała się ze swoją zastępczą matką i nikt od tej pory jej nie widział. - Anna potarła gładką, blaszaną przykrywkę. - Już pierwszego wieczoru sprawdziłam miejsca, w których bywała, dzwoniłam też do jej przyjaciółek. Niestety bez rezultatu. Jak kamień w wodę. Nikt nic nie widział, po prostu Jaye wyszła z domu i się rozplynęła.

- A dlaczego nie przyszli tu jej rodzice? Poza tym opieka społeczna powinna zgłosić...

- Oni są przekonani, że Jaye uciekła - przerwała mu Anna. - Na pewno znajdzie pan ich wcześniejsze zgłoszenie. Chodzi o to... - Znowu pogładziła pudełko - Jaye miała bardzo złe doświadczenia. Uciekała już wcześniej z rodzin zastępczych.

- Ile razy?

Nawet nie mrugnęła okiem.

- Sześć.

Coś sobie zapisał, a potem uważnie spojrzął na Annę i zapytał z naciskiem:

- Ale pani uważa, że tym razem było zupełnie inaczej, prawda?

Skinęła głową.

- Oczywiście! Niech pan zobaczy, co znalazłam pod jej materacem. - Podała mu otwarte pudełko. - Jaye miała trudne dzieciństwo. Straciła wszystko, poczynając od matki. Dlatego te rzeczy są dla niej tak niezwykle ważne. To jej jedyna więź z przeszłością. Jedyne rzeczy, o których chce pamiętać. Na pewno by tego nie zostawiła.

Zaczął przeglądać pamiątki i zdjęcia.

- To wszystko?

- Nie. Mniej więcej tydzień temu mówiła, że śledził ją jakiś mężczyzna.

- Zgłosiła to na policję?

- Nie - odrzekła z westchnieniem.

- Czy zdarzało się to wcześniej lub później?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Powiedziała mi tylko o tym jednym razie.

- To trochę mało - mruknął.

- Ale wyszła z torbą pełną książek! Gdyby planowała ucieczkę, zabrałaby ze sobą jakieś ubrania i jedzenie. I swoje ulubione kompakty. To przecież nie ma sensu!

- Czy jej przyjaciółki coś wiedzą? Może zostawiła ubrania u którejś z nich?

- Nie sądzę. Rozmawiałam z jej koleżankami. Nie kłamią, bo widać, że są wystraszone. Widziałam lęk w ich oczach. Poza tym to by nie wyjaśniało, dlaczego zostawiła swoje pamiątki.

Quentin raz jeszcze przejrzał zawartość pudełka. Nie mógł nic zarzucić logice Anny North. Ta dziewczyna musiała bardzo długo przechowywać niektóre z tych rzeczy. Poza tym, według słów Anny, trzymała je pod materacem, co znaczyło, że są dla niej szczególnie ważne.

- Znam Jaye - rzekła poważnie. - Wiem, że nie mogła uciec. Naprawdę.

Zamknął pudełko i zwrócił je Annie.

- Więc przypuszcza pani, że ktoś ją porwał? Że ją gdzieś zamknął?

Po jej policzkach pociekły łzy.

- Wolałabym, żeby uciekła. Mogłabym przynajmniej liczyć...

Nie dokończyła zdania i zaczęła wycierać łzy. Malone czekał cierpliwie, aż skończy i dojdzie do siebie.

- Naprawdę zrobiłam wszystko, co mogłam - podjęła słabym głosem. - Rozmawiałam z jej przyjaciółkami i sprawdziłam ulubione miejsca Jaye. Nie wiem, co dalej. Dlatego tu przyszedłam.

Quentin wstał, obszedł biurko i usiadł na swoim miejscu. Swój notes rzucił na gładki blat.

- Chciałbym zastanowić się z panią nad pewną koncepcją. Tylko po to, żeby ją sprawdzić - zaczął. - Widziałem się z panią dwa dni temu. Dostała pani listy od wielbicielki, która, pani zdaniem, jest w niebezpieczeństwie.

- Nazywa się Minnie - wtrąciła.

- Mówiła pani, że nie tylko ona jest zagrożona, ale też jakaś inna dziewczyna, czy tak?

- Tak, ale nie wiem, do czego pan...

- Czy Minnie pisała, ile ma lat?

- Tak, jedenaście.

- A ile lat ma Jaye?

- Piętnaście.

- A ile lat miała pani, kiedy panią porwano?

Anna zerwała się na równe nogi, czując, jak płoną jej policzki.

- Już widzę, o co panu chodzi! To nie tak!

Malone siedział spokojnie na swoim miejscu.

- Może ma pani po prostu obsesję na temat zagrożonych dzieci?

- Nie, niech pan posłucha... - Zmęczonym gestem przeciągnęła dłońią po twarzy. - Jaye naprawdę zniknęła. Gdyby uciekła, nie zostawiłaby rzeczy, które są dla niej bardzo ważne, wręcz najważniejsze. Poza tym jej zastępczy rodzice zachowywali się dziwnie. Traktowali mnie nonszalancko albo złościли się, że się wtrącam. Odniosłam wrażenie, jakby coś przede mną ukrywali!

- Proszę! Chce pani powiedzieć, że mogą być zamieszani w tę sprawę?

Zastanawiała się przez chwilę. Po raz pierwszy musiała odpowiedzieć na tak bezpośrednie pytanie dotyczące Clausenów.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno, a mianowicie, że ich reakcja była dziwna.

Może mógłby pan z nimi porozmawiać?

Quentin nie odpowiedział. Wciąż myślał o tym, czego się od niej dowiedział. Z jednej strony Jaye miała za sobą już parę ucieczek z podobnych miejsc, ale z drugiej coś mu jednak w tym wszystkim nie pasowało. W końcu wstał.

- Zajmę się tym.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę?!

- Sprawdzę papiery Jaye, porozmawiam z policjantem, który zajmuje się jej sprawą, z jej kuratorką i rodziną. Czy to wystarczy?

- Oczywiście. - Nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi. - Dziękuję.

Odprowadził ją do wyjścia, a potem jeszcze długo za nią patrzył. Musiał przyznać, że naprawdę ta kobieta go zaintrygowała. Z powodu przeszłości i tego, co przeszła. Z powodu swego obecnego zawodu. Zmrużył oczy, wracając myślami do jej sprawy. Już dwukrotnie w ciągu tygodnia prezentowała mu niewyważone teorie i daleko idące podejrzenia. Czy powróciły zmyły z przeszłości? Czy gnębią ją wytwory własnej fantazji? A może... zaczęło się wokół niej dzieć coś niedobrego?

Terry przystanął obok i cmoknął ustami.

- Nie wiem, ale coś mnie zawsze pociągało w rudowłosych kobietach.

Quentin pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Na miłość boską! Gadasz co ci ślina na język przyniesie!

- No, co? - Terry zrobił niewinną minę. - Powiedziałem, że lubię rude.

- Tak, podobnie jak tamten facet. - Quentin wykonał ruch głową w kierunku centrum miasta.

Kumpel zrobił się biały jak kreda.

- O Boże, nie chciałem...

- Wiem. - Quentin zerknął mu przez ramię. - Ale powinieneś pamiętać, że niektórzy policjanci nie mają poczucia humoru.

- Na przykład szefowa - jęknął Terry. - Tak mi zmyła głowę dziś rano, że proszę siadać.

Weszli do pokoju Malone'a.

- Za co?

- Mam wrażenie, że po prostu chciała się na kimś wyżyć, a pod ręką byłem akurat ja.

Kochana ciotka Patti. Zawsze dbała o swoich ludzi i teraz nie chciała dopuścić, żeby jeden z jej oficerów zszedł na psy.

- A jak twoje przesłuchanie?

- W porządku, chociaż byłoby lepiej, gdybym był w domu z Penny. Te głąby nie chciały uznać towarzystwa Jacka Danielsa za wystarczające alibi.

Quentin usiadł za biurkiem.

- Szefowa wściekła się, kiedy się dowiedziała, że byłeś na miejscu zbrodni.

- Mhm. - Terry opadł bezwolnie na krzesło. - Mam trzymać się z daleka od sprawy Kent i Parker. Przecież ciągle jestem podejrzany.

Malone doskonale o tym wiedział.

- Dowody potwierdzą twoją niewinność.

- Guzik prawda. Sprawdziłem informacje na temat tej Parker. Miałaś rację, nie była zgwałcona. Te dzinsy zadziałały jak pas cnoty.

- Ale i tak ją zabił. - Zmarszczył brwi. - Dlaczego wybiera rude?

- Bo miał rudą matkę. Albo pogryzł go pies sąsiada Irlandczyka. Albo ma mentalność byka i źle reaguje na ten kolor. - Terry potarł szczękę. - Poza tym możesz się mylić. Evelyn Parker była znacznie jaśniejsza.

- Hej, Malone. - Johnson zajrzał do jego pokoju. - Pani kapitan chciałaby cię widzieć. Zabierz notatki dotyczące tych zabitych kobiet.

- Do diabła, jakie to dołujące - westchnął Terry. - Czuję się jak chłopak, którego nie wybrali do drużyny, albo jakbym był trędowaty.

Quentin wstał, wkładając notes z powrotem do kieszeni.

- To przejdzie.

- Tylko mów mi, co się dzieje.

- Nie przejmuj się. - Poklepał go po łopacie. - Mam przeczucie, że wrócisz do tej sprawy.

Quentin poszedł za Waldenem i Johnsonem do gabinetu szefowej i zamknął drzwi, świadomy tego, że Terry wciąż ich obserwuje. Zdusił przekleństwo, podszedł do ciotki i spojrzał jej poważnie w oczy.

- Chcę, żeby Terry z nami pracował. Jest dobrym gliną.

- Raczej był dobrym gliną - poprawiła go. - Zupełnie się załamał. A poza tym jest jednym z podejrzanych, więc to w ogóle nie wchodzi w grę.

- Ależ to bzdura! Doskonale o tym wiesz. Landry nie ma nic wspólnego...

Podniosła dłoń.

- Już podjęłam decyzję. Zamknij się i siadaj, jeśli nie chcesz dołączyć do Terry'ego. Jasne?

Zamilkł, ale wciąż stał, opierając się o framugę.

- Dobrze, więc co mamy w tej sprawie? - spytała rzeczowym tonem, natychmiast zapominając o wszelkich urazach.

- Zamordowana nazywała się Evelyn Parker - podjął Johnson. - Biała, dwudziestoczteroletnia, bardzo atrakcyjna. Pracowała poza centrum w gabinecie stomatologicznym, a mieszkała w Bywater.

- Lubiła się zabawić - dodał Walden. - Tak jak Kent. Często wypuszczała się na miasto i szukała łatwych okazji. Była w klubie bezpośrednio przed morderstwem.

- To wszystko już wiedzieliśmy - mruknęła szefowa. - Macie coś jeszcze? Poszlaki, teorie. - Zmierzyła ich wzrokiem. - Jakieś przypuszczenia.

Quentin skinął głową.

- Moim zdaniem łączy je to, że były rude. Musimy dojść do tego, dlaczego ten facet wybiera właśnie takie kobiety.

- Rude? Jedna była ciemna, a druga jasna marchewka. - Johnson zrobił zdziwioną minę.

- Ale obie były rude - upierał się Quentin.

Walden potrząsnął głową.

- A moim zdaniem łączy je tylko to, że często wychodziły z domu i lubiły zabawę.

Quentin spojrzał na niego.

- Więcej jest takich, i dlatego ktoś może sobie wybierać ofiary. Ale to jeszcze nie wyjaśnia, czemu to robi.

- Spokojnie, z kim rozmawialiście? - wtrąciła się kapitan O'Shay.

- Spytaj raczej, z kim nie rozmawialiśmy. - Johnson rozłożył ręce. - Mamy parę poważnych tropów, chociaż nie udało nam się połączyć obu morderstw. Ale to nie znaczy, że związki nie istnieją.

- Mam wrażenie, że morderca pokazywał się wcześniej z ofiarami, ale nie za często. - Quentin włączył się do rozmowy. - Jest ostrożny i nie chce zwracać na siebie uwagi. Może z nimi zatańczyć raz czy drugi, trochę poflirtować, postawić piwo... Ktoś powinien go zapamiętać.

- Te kobiety zostały zabite w pobliżu uczęszczanych lokali. - Kapitan obrzuciła wzrokiem całą trójkę.. - Zastanawialiście się, czym je udusił? Chyba nie poduszką, na miłość boską!

- Może ręką? - bąknął Walden.

- Kogoś, kto walczył jak ta Parker? - Quentin pokręcił głową. - Chyba że ma ogromne

łapska, ale wtedy ofiary miałyby więcej siniaków w okolicy ust. Przecież wszyscy umiemy czytać obrażenia.

- Wobec tego jakaś plastikowa torba albo worek, chociażby na śmieci. Łatwo go schować do kieszeni kurtki czy marynarki.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów plastiku w pobliżu denatek, a byłyby na pewno, bo uderzyły głową o asfalt. - Johnson spojrzał na Waldena. - Trzeba przeszukać pojemniki na śmieci wokół obu tych knajp. Może coś znajdziemy.

- Jeśli idzie o Kent, to już za późno, ale da się to zrobić z Parker. - Walden podrapał się w głowę. - Zwykle, jeśli ktoś używa torby, to zostawia ją przy ofierze. Czasami trudno ją zabrać i można w ten sposób zostawić więcej śladów.

- Myślę, że mamy do czynienia z kimś bardzo sprytnym - powiedziała szefowa. - Boi się zostawiać ślady i wie, jak je zacierać. Na przykład zabiera torby i wyrzuca je, kiedy czuje się już bezpieczny. W innej dzielnicy, albo w ogóle poza Nowym Orleanem.

- Prostota jest najlepsza. Musimy założyć, że ten facet wybiera najprostsze rozwiązania.

- Chcesz powiedzieć, że to nie Jaś Fasola zbrodni? - syknął złośliwie Johnson. - A to pech!

- Wobec tego może dusi je w rękawiczkach. Jest tak zimno, że nikt nie zwróci na to uwagi. Nawet ofiary mogły uznać to za zupełnie naturalne.

Quentin ściągnął brwi.

- Albo używa do tego celu kurtki. Wszyscy teraz chodzą w kurtkach.

- A co ze śladami? Przecież zostawiłby w ten sposób jakieś fragmenty materiału lub nitki. Ekipa techniczna nie znalazła niczego takiego.

Quentin opuścił swoje miejsce przy drzwiach i podszedł bliżej.

- A może nosi skórzaną kurtkę?

Na moment w pokoju zapanowała cisza. Policjanci wymienili spojrzenia.

- Nosi ją cały czas. Jest zimno, więc nikogo to nie dziwi - ciągnął Quentin. - Jest miękka, ale nie przepuszcza powietrza. Łatwo ją umyć. A poza tym cały czas ma narzędzie zbrodni ze sobą, dlatego może działać, gdy tylko nadarzy się okazja.

- To dobra teoria - zgodził się Johnson. - Ale plastikowa torba też nie jest zła. Warto sprawdzić te pojemniki.

Walden skinął głową.

- W każdym razie ma to dużo więcej sensu niż poduszka.

Kapitan O'Shay rozsiadła się wygodnie w swoim krześle.

- Musicie jak najszybciej rozwiązać tę sprawę. Media zaczynają coś kombinować. Jeśli okaże się, że to seryjny zabójca, całe miasto wpadnie w panikę. Już miałam telefon z szefostwa, od Penningtona, i nie była to przyjemna rozmowa.

Johnson chrząknął. Walden zakaszłał. Quentin zmrużył oczy.

- Mamy sporo śladów. Jestem pewny, że szybko sobie poradzimy.

- Oby, oby - powtórzyła. - I dajcie znać, jakby pojawiło się coś nowego.

Johnson i Walden wstali, a Quentin znowu ruszył w stronę drzwi. Jednak kapitan pokazała mu gestem, żeby do niej podszedł. Po chwili zostali sami.

- Posłuchaj, pod żadnym pozorem nie wolno ci nic powiedzieć Landry'emu - zaczęła ciotka. - Jest wyłączony z tej sprawy, jasne?

Quentin zmarszczył brwi. Nie podobało mu się to, co właśnie usłyszał. Może znaleźli coś na Terry'ego, ale nie chcą o tym mówić?

- Może chociaż powiesz mi, co się dzieje?

- Na razie nie mogę. - Spojrzała na niego przeciągle. - I jak, zgadzasz się, czy rezygnujesz z tego śledztwa? Wcale nie będę miała pretensji, jeśli...

- Nic mu nie powiem - mruknął niechętnie. - Ale już teraz oświadczam, że to nonsens. Terry jest czysty!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Piątek, 19 stycznia, godz. 15.00

Dzielnica Francuska

Anna siedziała, patrząc na pusty ekran komputera. W ciągu dwóch ostatnich godzin napisała kilkanaście akapitów, a potem, niezadowolona z efektów, wszystko wykasowała.

Zwykle przeznaczala wolne popołudnia na pisanie. Starala się wykorzystać każdą chwilę. Jednak dzisiaj jakoś jej nie szło. Nie mogła się skoncentrować. Cały czas myślała o spotkaniu z Malone'em, o Jaye oraz o problemach z agentem i wydawnictwem.

Dzisiaj? - pomyślała z niechęcią. Prawda wyglądała tak, że nie napisała niczego od momentu, kiedy Cheshire House wystąpiło ze swoją ofertą. Po co miałyby to robić? Jeśli odmówi, i tak nie będzie miała gdzie publikować, a w dodatku straci agenta. Nie było sensu spieszyć się z następną książką. Chciało jej się płakać, ale tylko wyrzuciła z siebie przekleństwo. Nie będzie użalać się nad sobą. Jeśli już ma płakać, to z powodu Jaye albo Minnie, a nie z tak błahej przyczyny, jak problemy z aroganckim agentem i wydawnictwem.

Błahej? Jej książki i kariera wciąż były dla niej ważne. Nie mogła ich zbyć ot, tak sobie.

Jednak nie tak ważne jak Jaye. Musi się dowiedzieć, co się z nią stało. Dobrze, że śledczy Malone zajmie się tą sprawą.

Anna nie sądziła, żeby uwierzył w podejrzanе zachowanie Clausenów czy w porwanie, ale przynajmniej wszystko sprawdzi.

Oparła brodę na dłoni, przypominając sobie rozmowę z nim. Ich słowne potyczki. O co jej wówczas chodziło? To prawda, że jest bardzo przystojnym mężczyzną, a swoim uśmiechem mógł podbić niejedno kobiece serce... oczywiście tylko wtedy, gdy gustuje się w takich narzucających się facetach. A ona ich nie znosiła. Skąd więc to dziwne uczucie erotycznego pobudzenia? Przecież poszła tam jedynie w sprawie Jaye. Co się z nią wtedy stało?

Powiedziała sobie, że ma dużo ważniejsze sprawy, i z niechęcią spojrzala na ekran. Napisała jedno zdanie. Potem drugie. Zdania tworzyły dłuższe fragmenty, a te całe strony. Tyle że był to głupi, pretensjonalny bełkot. Zniesmaczona skasowała wszystko i sapnęła ze złością. Dobry Boże, kiedy w końcu zacznie naprawdę pisać?!

Zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę, jakby to była ostatnia deska ratunku.

- Tak, słucham?

- Tu Ben Walker, witaj.

Anna ucieszyła się, słysząc jego głos, chociaż jednocześnie poczuła się trochę winna. Od zniknięcia Jaye wcale nie myślała ani o nim, ani o jego propozycji. Chociaż było to zupełnie zrozumiałe, jednak miała wyrzuty sumienia.

- Cześć, Ben - rzuciła do słuchawki.

- Jak się miewasz?

- W porządku. Tylko mi trochę głupio, bo to ja miałam zadzwonić.

- Nie przejmuj się.

Westchnęła z żalem.

- Ostatnio strasznie dużo się działo i po prostu nie miałam czasu na tego rodzaju przemyślenia. - Opowiedziała mu o zniknięciu Jaye, swoich obawach i wizycie na posterunku policji.

- Do licha, mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, chyba że wiesz, gdzie jest Jaye. Cieszę się, że przynajmniej ten policjant obiecał mi, że wszystko sprawdzi. Co nie znaczy, że mi uwierzył.

Przez chwilę milczał, a potem chrząknął.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Choćby rozmowy. W każdej chwili, kiedy tylko zechcesz.

- Nawet w nocy? - zaśmiała się. - Wziąwszy pod uwagę to, że ostatnio prawie nie śpiam, sporo ryzykujesz.

- Od tego jestem terapeutą - odparł ze śmiechem, ale zaraz dodał: - Mówię poważnie, Anno. Dzwoń, gdyby coś się działo.

Serdecznie mu podziękowała, a potem zamilkła. Cisza trochę się przedłużała, aż w końcu Ben rzekł niepewnie:

- Ale to nie znaczy, że odrzuciłaś moją propozycję? Albo mnie, prawda?

Spodobało jej się, że traktuje tę sprawę tak otwarcie.

- Nie. Jasne, że nie.

- To dobrze, bo chciałem cię zaprosić na kolację.

- Na kolację? - powtórzyła zaskoczona.

- Dziś wieczorem. - Zrobił przerwę. - Oczywiście jeśli nie masz innych planów. To nic wielkiego, po prostu przyzwoite jedzenie i butelka niezłego wina. Co ty na to?

Wcale się nie wahała. Po ostatnich przeżyciach miała ochotę się odprężyć, a Ben Walker wydawał się wprost stworzony na taką okazję.

Trzy godziny później Anna przyjechała do „Arnaud“, starej nowoorleańskiej

restauracji z kreolską kuchnią. Umówili się w okolicach tego lokalu i Ben czekał przed wejściem. Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i krawat w różnych odcieniach czerwieni. Wyglądał na zmarzniętego. Podeszedł do taksówki i pomógł jej wysiąść.

- Mogłeś zaczekać w środku - westchnęła z żalem. - Zrobiło się strasznie zimno.

- Nie chciałem dać ci szansy, żebyś zmieniła zdanie. - Z uśmiechem podał jej ramię. -
Idziemy?

Zaprowadził ją do środka i pomógł zdjąć wierzchnie okrycie. Szef sali poprowadził ich do stolika w zacisznym miejscu sali, tuż przy wychodzącym na ulicę witrażowym oknie.

- Uwielbiam „Arnaud“ - rzekła półgłosem. - Tak tu ładnie, a poza tym jedzenie jest naprawdę doskonałe.

- Daj spokój, to wewnątrz... - nagle urwał, wyraźnie zmieszany.

- Tak? Co chciałeś powiedzieć? - spytała.

- Nic takiego. Tyle, że to wewnątrz błędnie przy twojej urodzie. - Cały się zaczerwienił.

- O Boże, nie wierzę, że mi to przeszło przez usta.

- Och, to bardzo miły komplement. - Dotknęła lekko jego dłoni. - Dziękuję.

Przy stoliku pojawił się kelner, który się przedstawił, a następnie przyjął wstępne zamówienie. Czekając na drinki, rozmawiali o menu, przerzucając się anegdotami na temat różnych potraw, jak na prawdziwych nowoorleańczyków przystało.

- Jak tam twoja książka? - spytała, kiedy już dostali wino i wybrali potrawy.

- Nic z tego. - Ben pogroził jej palcem. - Cały czas mówiłem ja, teraz twoja kolej. -
Uśmiechnął się. - Powiedz lepiej, jak tobie idzie?

Anna pomyślała o straconych godzinach.

- Wcale mi nie idzie - mruknęła i wypła łyk wina. - Nie mam podpisanej mowy, a wkrótce zostanę bez wydawnictwa.

- Jaka to możliwe?! Przecież świetnie piszesz! Jesteś równie dobra jak Sue Grafton czy Mary Higgins Clark.

Podziękowała mu za komplement i wyjaśniła:

- Widzisz, oni koniecznie chcą wywlec do mediów moją przeszłość i w ten sposób wywindować mnie na listę bestsellerów. Złożyli mi ofertę nie do odrzucenia. Nawet bym ją przyjęła, ale...

- Ale? - podchwycił, kiedy zamilkła. - Ciężko się z nimi pracuje?

- Nie, lubię to wydawnictwo. Do tej pory dobrze nam się wszystko układało.

- Więc o co chodzi?

Spojrzała na swoje dłonie zaciśnięte na podolku.

- Zamierzają zbić majątek na moim porwaniu i śmierci Timmy'ego. Jeśli przyjmę ich ofertę, będę musiała jeździć po całym kraju i występować publicznie... Mój agent uważa nawet, że mogłabym trafić do najślynniejszych talk show'ów.

- I to cię przeraża - domyślił się.

- Tak - spojrzała mu w oczy. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak bym to wszystko wytrzymała. Mówić nie o książkach, ale... ale o przeszłości. Odslaniać się przed tymi wszystkimi świrami, którzy mogą mnie oglądać. - Aż zadrżała. - Pomóż mi, Ben. Powiedz, co powinnam zrobić.

- Z tą propozycją? - Zaśmiał się ponuro. - Przecież sama wiesz, jak powinnaś postąpić, tylko wcale ci się to nie podoba.

- Cholera - mruknęła. - Bałam się, że powiesz właśnie coś takiego. Więc nie ma dla mnie cudownego leku?

- Niestety - rzekł ze współczuciem. - Nie jesteś jeszcze gotowa na to, żeby stawić czoło żądaniom pazernego wydawnictwa.

- Ale dlaczego? - jęknęła. - Wszystko już szło tak dobrze. Moje książki, moja kariera...

- Naprawdę?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Niewiele się przecież zmieniło. Tyle że stanęłaś przed wyborem.

- Ale to straszny wybór!

- Nie z punktu widzenia wydawnictwa. Ci ludzie pewnie uważają, że są zupełnie w porządku. Nie tylko proponują ci, jak mówiłaś, większe pieniądze, ale i szansę na zrobienie kariery.

- Mówisz jak mój agent - zauważyła.

- Przepraszam. - Pochylił się w jej stronę. - Cała sprawa polega na tym, że twój strach jest większy niż ambicje pisarskie. To zrozumiałe, zważywszy, co przeszłaś, ale nie jest do końca ani rozsądne, ani racjonalne. Ani zdrowe.

Podniosła kieliszek i z przerażeniem stwierdziła, że ręce jej się trzęsą.

- Więc uważasz, że powinnam przemóc strach i się zgodzić? Przyjąć ich warunki?

- Nie, tego nie powiedziałem. Samej byłoby ci trudno. Moim zdaniem powinien ci pomóc dobry terapeuta. Nie możesz, jak chce twój agent i wydawnictwo, zmuszać się do pokonania strachu.

Zamilkli, kiedy kelner przyniósł kolację: gęstą kajuńską zupę z owoców morza dla Bena i krewetki dla niej.

- Wiem, że nie lubisz terapeutów, Anno - podjął, zanurzając łyżkę w zupie. - Ale

mogłabyś brać udział w zajęciach grupy ludzi z tym samym problemem. Spotykamy się w czwartki wieczorem. Może zajrzysz, żeby sprawdzić, czy ci się to podoba? Jeśli nie chcesz pracować ze mną, znajdziesz wiele innych takich grup. Mógłbym popytać, gdzie warto się zgłosić.

Grupa ludzi, którzy też się czegoś boją? Którzy przeszli przez jakieś straszne doświadczenia? Czy zdoła się przed nimi otworzyć? Czy naprawdę mogłoby to jej pomóc?

Przez chwilę szukał jej oczu.

- No i co ty na to?

- Trochę się boję, ale jednocześnie jestem ciekawa - wyznała, a potem przygryzła górną wargę. - Na pewno bardzo bym się denerwowała.

- To dobrze. - Posłał jej uspokajający uśmiech. - Tak się właśnie zaczyna.

- Czy mam teraz podjąć decyzję?

- Jasne, że nie. To ma być tylko twoja decyzja. Nie wymuszona.

Moja decyzja? - pomyślała. Tak miło myśleć o własnych decyzjach i wolnej, całkowicie swobodnej woli, lecz Annę od lat prześladował „niewidzialny terrorysta“, jak go nazywała.

- Jeśli zdecydujesz się spróbować, daj mi znać. Grupa jest niewielka i opiera się na zasadzie całkowitego zaufania. Będę musiał wcześniej opowiedzieć o tobie i uzyskać zgodę uczestników na twój udział w terapii.

Spodobało jej się takie podejście i zaraz mu to powiedziała. Obiecała też, że przemyśli tę sprawę. Jeszcze jedną sprawę.

Potem zajęli się już tylko posiłkiem, który był tak świetny, jak się spodziewała. W czasie jedzenia Ben opowiadał o różnych miejscach, w których mieszkał, jednak Anna słuchała go tylko jednym uchem. Myślała o Jaye i o obietnicy Malone'a.

Ciekawe, czego dowie się o Clausenach? - myślała.

O Boże, żeby tylko Jaye nic się nie stało, powtarzała sobie w duchu.

- Anno? Anno, nic ci nie jest?

Wyrwana z głębokiej zadumy, zamrugła, a potem uśmiechnęła się do Bena.

- Przepraszam, ale nie mogę przestać myśleć o tym, co się stało.

- To zrozumiałe. Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

- Wystarczy, że ze mną wytrzymujesz.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

- To nic trudnego.

Przez resztę wieczoru starała się myśleć tylko o nim. Wreszcie Ben zapłacił rachunek i

wstali. Zanim Anna zdążyła poprosić szefa sali, by zadzwonił po taksówkę, jej towarzysz zaproponował, że ją odwiezie.

- To nie ma sensu. Wprawdzie mieszkam niedaleko stąd, ale w przeciwnym niż ty kierunku.

- To ja cię zaprosiłem, wobec tego mam obowiązek odstawić cię bezpiecznie do domu - nalegał. - Obowiązek i przyjemność.

Wahała się tylko przez moment.

- W porządku.

Jazda zajęła im zaledwie parę minut. Gdy wysiedli, stanęli przy ogrodzeniu. Anna spojrzała na Bena.

- To był naprawdę miły wieczór. - Uśmiechnęła się. - Właśnie tego mi było trzeba.

Dotknął lekko jej policzka, a potem opuścił rękę.

- Czuję się teraz trochę winny - rzekł głębokim głosem. - Miałem pewien cel, zapraszając cię dziś na kolację.

Ben już parę razy czynił aluzje do tego, jak bardzo Anna mu się podoba. Czy postanowił zrobić to już bez osłonek? Jeśli tak, to co mu odpowie?

Jej serce zaczęło bić szybciej, a policzki nabiegły krwią. Próbowała spojrzeć mu w oczy. Był oświetlony tylko w połowie światłem z sąsiedniego ganku. Nie wyglądał już na roztargnionego psychologa, lecz na tajemniczego nieznajomego.

Tak, nieznajomego. Człowieka, którego widziała do tej pory raptem trzy razy i o którym tak niewiele wiedziała. Poczowała, że na myśl o tym dostaje gęsiej skórki. Wstrzymała oddech, ani na moment nie odrywając od niego wzroku.

- Chciałem ci coś wyznać - ciągnął. - I mam nadzieję, że się na mnie nie pogniewasz.

Anna z namysłem zmarszczyła czoło. Dlaczego miałyby się na niego złościć? A może jednak chodziło mu o coś innego?

Ben wziął ją za rękę.

- W czasie naszego poprzedniego spotkania nie byłem z tobą do końca szczery - wyznał. A więc to jednak chyba jakiś inny „cel“, a ona wyobrażała sobie już nie wiadomo co! Aż zachichotała na tę myśl.

Ben spojrzał na nią ze zdziwieniem i urazą.

- Co ja takiego powiedziałem?

- Nic, nic. Myślałam o twoim celu... - Znowu się zaśmiała.

Ben przez moment wyglądał na zdezorientowanego, ale potem zrozumiał i na jego wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Mam nadzieję, Anno, że jestem jednak trochę bardziej subtelny - rzucił lekko.

- Cieszę się, że tak jest w istocie. Inaczej byłoby mi bardzo przykro.

- Więc odmówiłabyś?

Nie odpowiedziała. Po części z kobiecej kokieterii, ale przede wszystkim dlatego, że sama nie знаła odpowiedzi.

- Może raczej wrócisz do swojego celu - zaproponowała.

- No zobacz, przez cały wieczór odsuwałem to od siebie, a teraz już się żegnamy, a ja wciąż nie mogę tego z siebie wydusić.

- Po prostu mi powiedz. Jakoś to przełknę.

- Dobrze. - Zebrał się w sobie. - Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że trafiłem przypadkowo na program o tajemnicach Hollywood?

Skinęła głową, czując, jak strach przesuwają swój zimny palec po jej plecach.

- To nie była prawda. Jak również to, że czytałem wcześniej twoje książki. Do niedawna w ogóle nie słyszałem o Annie North.

Chciała poruszyć ustami, ale poczuła, że straciła nad nimi panowanie. Dopiero po chwili zdołała wydobyć z siebie głos:

- Więc jak... jak to się...?

- W piątek po pracy znalazłem u siebie w poczekalni kopertę. Była w niej...

- Moja ostatnia książka i informacja o programie na Kanale E! - dokończyła za niego i złapała się za głowę. - Dobry Boże!

Jaki zasięg miała ta kampania terroru? O co chodzi jej prześladowcy? I dlaczego Ben też dostał przesyłkę?

- Tak - potwierdził ze zdziwieniem. - Przykro mi, że zrobiło to na tobie takie wrażenie. Pomyślałem, że pewnie zostawił ją któryś z moich piątkowych pacjentów. Pytałem całą szóstkę, ale żaden nie chciał się przyznać.

Któryś z jego pacjentów? Może ten filmowiec? Podniecona wciągnęła głęboko powietrze.

- Czy masz pacjenta, który nazywa się Peter Peters?

Powtórzył nazwisko, a potem potrząsnął głową.

- Nie - odparł krótko.

- Jesteś absolutnie pewny? A może któryś nazywa się podobnie?

Jeszcze jeden przeczący gest.

- Zupełnie pewny. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ kopertę z taką zawartością dostali wszyscy, którzy coś znaczą w moim

życiu: rodzice, przyjaciele, wydawca i agent, a także moja „młodsza siostra“ Jaye...

Skuliła się i parę razy przestąpiła z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Była zadowolona, że z powodu zimna może na chwilę przerwać wyjaśnienia.

- Nie tylko ty miałaś obejrzeć ten program, aby dowiedzieć się, że jestem Harlow Grail - podjęła. - Ten wywiad nakręcił niejaki Peter Peters.

Skinął głową, patrząc na nią poważnie.

- A kto wiedział o tobie wcześniej?

- Tylko rodzice. Bardzo się starałam, żeby nikt się nie domyślił. Żeby nie łączono mnie z porwaną księżniczką z Hollywood.

Westchnął ciężko.

- Tak mi przykro, Anno. To na pewno było bardzo nieprzyjemne doświadczenie.

Nagle wpadła we wściekłość.

- Gorzej niż nieprzyjemne! - warknęła. - Byłam przerażona. Zaszokowana. - Uniosła wyżej brodę. - Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?

- Nie chciałem cię przestraszyć, nie chciałem, abyś uznała, że zagraża ci któryś z moich pacjentów, bo wtedy w ogóle nie chciałabyś ze mną rozmawiać.

- Jasne. To bardzo rozsądnie z twojej strony. Wielkie dzięki.

- Anno, proszę. - Znowu złapał ją za rękę. - Nie sądzę, żeby coś ci groziło. Terapia pomogłaby ci uporać się z własnymi uczuciami. Prawdopodobnie ktoś uznał, że jest ci to potrzebne.

Wyswobodziła rękę.

- Dlaczego teraz powiedziałaś prawdę? Przecież nie musiałam jej znać. To by ci ułatwiło zadanie...

- Ponieważ nie jestem kłamcą i nie wierzę, że można do czegoś dojść, opierając się na nieprawdzie. - Zrobił pauzę. - No i bardzo cię lubię.

To ostatnie wyznanie podziało na nią tonizująco. Anna owinęła się mocniej kurtką.

- Nie wierzę, że chodzi o terapię - mruknęła. - No i naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego ty też dostałeś tę przesyłkę.

- Mam wrażenie, że zrobił to któryś z moich pacjentów. Spróbuję go znaleźć, a potem będziemy mogli dochodzić, dlaczego tak postąpił. - Po raz drugi dotknął jej policzka. Palce miał zimne jak lód. - Poradzimy z tym sobie we dwoje. Zobaczysz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sobota, 20 stycznia, godz. 2.00

Jaye przebudziła się z głębokiego snu. Przerażona, wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Coś ją obudziło. Może to było skrzypnięcie klapki w drzwiach lub trzeszczenie podłogi w drugim pomieszczeniu? Te odgłosy słyszała już wcześniej.

Porywacz przychodził do niej tylko w nocy. Jedzenie i picie wsuwał przez wejście dla kotów. Czasami dostawała też papierowe ręczniki. Nigdy jednak nie odezwał się do niej choćby słowem. Jego milcząca obecność napełniała ją strachem.

Słyszała go też na dole, jak przestawiał krzesła, wchodził i wychodził. Słyszała jego oddech po drugiej stronie drzwi. Tak jakby nasłuchiwał i cierpliwie na coś czekał. Tylko na co? - zastanawiała się, kuląc się na łóżku. Czego od niej chce? Nie dotykał jej i nie kontaktował się z nią bezpośrednio, wiedziała jednak, że to zrobi. Jak powinna się wtedy zachować?

Strach zupełnie ją sparaliżował. Starła się oddychać równomiernie, żeby dojść do siebie. Była okryta jednym jedynym kocem, jaki dostała. Jej ręce były podrapane od desek i posiniaczone od walenia w drzwi.

Chciała wrócić do domu. Chciała spotkać się z Anną, rodzicami i przyjaciółmi. Chciała obudzić się w swoim łóżku w otoczeniu swoich rzeczy. Nie chciała już się bać.

Jęknęła ze strachu, a potem jeszcze raz i jeszcze. Zakryła usta, nie chcąc, żeby ją usłyszał. Żeby się domyślił, jak jest przerażona i bezbronna. Ale on wiedział. Wiedział wszystko. Nie, bo nie był w stanie przeniknąć jej myśli i uczuć. Nie mogła na to pozwolić.

Jaye przełknęła ślinę i trochę się przesunęła, starając się myśleć o tym, co sama wiedziała. O tym, nad czym wciąż panowała. O ile nie straciła zupełnie poczucia czasu, prześladowca trzymał ją tutaj już trzy dni. Odkryła, że jej więzienie znajduje się na poddaszu, parę pięter nad ulicą. Co jakiś czas dobiegały do niej dźwięki jazzowej orkiestry. Czasami ktoś przechodził w pobliżu. Parę razy miała wrażenie, że czuje zapach smażonych ryb lub krewetek.

Przemyślawszy to wszystko, doszła do przekonania, że znajduje się w Dzielnicy Francuskiej, w jakiejś uliczce niedaleko Bourbon Street albo Jackson Square, być może w części dzielącej strefę handlową od mieszkalnej.

To była dobra wiadomość. Porywacz nie wywiózł jej daleko za miasto. Wokół wciąż było pełno ludzi. Na pewno szuka jej już policja, a także opieka społeczna i Anna.

Serce jej się ścisnęło na myśl o przyjaciółce. Żałowała, że się pokłócili. Żałowała swoich słów. Chciałaby jeszcze raz porozmawiać z Anną i przeprosić ją za wszystko.

Przykre myśli spowodowały, że znowu poczuła się przybita. Starła się nie poddawać temu uczuciu, skupiając się na tym, co było najważniejsze, by przeżyć.

Znowu pomyślała o Annie. Gdyby poddała się strachowi, na pewno nie wyszłaby cało z tamtego porwania. Zginęłaby, jak tamten chłopiec. Po ich kłótni Jaye zaczęła przeglądać archiwalne gazety z tamtego okresu. We wszystkich można było przeczytać o porwaniu Harlow Grail. Przeraziło ją zwłaszcza to, jak zginął Timmy i historia z małym palcem Harlow. Z trudem wyobrażała sobie, ile musiała znieść Anna, żeby pokonać swoich prześladowców. Podziwiała ją za to, chociaż wciąż nie mogła darować przyjaciółce tego, że nic jej nie powiedziała.

Dopiero teraz jej wybaczyła. I zrozumiała.

Zamknęła oczy, starając się pokrzepić myśleniem o porwaniu Anny. Zaczęła zastanawiać się, co wie o porywaczu. Widziała tylko jego dłonie. Wyglądały na silne, chociaż niezbyt duże. Ich wierzchy pokryte były ciemnymi włoskami, z czego wywnioskowała, że jest brunetem lub szatynem. Poza tym przypuszczała, że jest średniego wzrostu i może mieć od trzydziestu do pięćdziesięciu lat.

To porwanie było zaplanowane już wcześniej. Kłapka w drzwiach była nowa, a okno dopiero niedawno zabito deskami. Porywacz wiedział, czego będzie potrzebowała. Miała toaletę, umywalkę, ręczniki i zmianę ubrania, której jednak nie tknęła. Znaczyło to, że jest uważny i przewidujący. Z całą pewnością upatrzył ją sobie już wcześniej. To na pewno on był tym zbrojeńcem, który ją śledził. Dowiedział się, gdzie się uczy, kiedy kończy i zaczyna lekcje. Złapał ją wtedy, kiedy zupełnie się tego nie spodziewała.

Ale dlaczego właśnie ją? Co w niej go pociągało?

Jaye wiedziała, że nie może być zupełnie normalny... Nie miała forsy, więc nie chodziło mu o okup, tylko o coś innego... Obrzydliwego. Zbrozonego. Z trudem przełknęła ślinę. Nie była naiwna i wiedziała, co działo się z porwanymi dziećmi. Niestety!

Nagle usłyszała jakieś szmery po drugiej stronie drzwi. Ktoś szedł wolno, z wahaniem, może nawet ze strachem. Nie tak jak porywacz.

- Hej, jesteś tam?

Jaye poczuła, jak ścisła jej się gardło. Ten głos należał do jakiejś wystraszonej dziewczynki. Czy to możliwe? Jeszcze jedna ofiara? Wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Serce waliło jej jak młotem. Może to jakaś pułapka? A może wyobraźnia płata jej figła?

Znowu usłyszała drżący głos dziecka:

- Jesteś tam...? Mam mało czasu... Jeśli mnie znajdzie...

- Tak, jestem - odparła, czując, jak łzy płyną jej po policzkach. Była wdzięczna Bogu za to, że zesłał jej pomoc. - Otwórz te drzwi. Wypuść mnie.

- Nie mogę. On ma klucz.

Jaye aż jęknęła, nie mogąc ukryć rozczarowania i przemożnego strachu.

- Nie możesz go wziąć? Proszę, zrób to. Musisz mi pomóc!

- N... nie mogę - bąknęła przerażona dziewczynka. - Przyszłam, bo on... On chce, żebyś była cicho. Bardzo się złości. A kiedy się złości, to jest... jest straszny.

Jaye złapała za klamkę i potrząsnęła nią.

- Pomóż mi! Wypuść mnie stąd!

Dziecko po drugiej stronie zaczęło płakać i odsuwać się od drzwi.

- Musisz być cicho - niemal szeptało. - Nic nie rozumiesz. Nic nie wiesz.

- Kim jesteś? - Zawiedziona Jaye raz jeszcze pociągnęła za klamkę. - Gdzie jestem?

Dlaczego mnie porwał?

- Źle zrobiłam, że tu przyszłam. On... on się dowie. On na pewno...

Głos dziewczynki wciąż się oddalał i Jaye niemal go już nie słyszała. Zdesperowana, zaczęła walić w drzwi i krzyżeć:

- Nie odchódź! Proszę, nie odchódź!

Odpowiedziała jej cisza. Znowu była sama.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sobota, 20 stycznia, godz. 8.15

Anna obudziła się, zmęczona po kolejnej nocy przewracania się z boku na bok. Była wyczerpana i powinna dobrze spać, ale przez całą noc dręczył ją koszmar z dziećmi, które bawiły się w chowanego z niewidocznym potworem. Anna wyczuwała tylko jego obecność. Wstała, włożyła kordonkowy szlafrok i ciepłe kapcie. Następnie podeszła do wychodzących na balkon drzwi. Dzień zaczynał się słonecznie i rześko. Na niebie w ogóle nie było chmur.

Na podwórku przed domem siedzieli okutani aż po same nosy Dalton i Bill. Na stoliku przed nimi stały parujące kubki kawy i taca z rogalikami i owocami. Anna uśmiechnęła się do siebie i wystawiła głowę na zewnątrz.

- Cześć, chłopaki! - zawołała. - Chyba postradaliście zmysły! Za chwilę zamrzniecie!

Dalton wytarł usta chusteczką i z uśmiechem spojrzał w jej stronę.

- W radiu powiedzieli, że ma się dzisiaj ocieplić - odparł. - Temperatura ma dojść aż do dziesięciu stopni.

- To prawdziwy upał. - Zadrżała z zimna. - Uważajcie, żeby wam się masło nie roztopiło.

- Wszystko jest kwestią silnej woli. - Bill machnął w jej stronę. - Chodź do nas!

- Chłopaki, naprawdę bardzo was lubię, ale wolę posiedzieć w cieple. Innymi słowy, figa z makiem.

Dalton zrobił obrażoną minę.

- Nie masz nad nami litości, a my koniecznie chcemy się dowiedzieć, jak ci się udało randka.

- To chodźcie na górę. Zrobię kawę z mlekiem.

Cofnęła się i zamknęła drzwi, ale tylko na klamkę. Szybko umyła zęby i pospieszyła do kuchni, żeby wstawić kawę. Właśnie wkładała zamrożone kostki kawy do kubków, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Wpuściła przyjaciół, którzy jeden przez drugiego przepychali się do wnętrza. Szybko zdjęli kurtki i zaczęli rozcierać ręce.

- Do licha, ale tam zimno!

- Straciłem czucie w palcach!

Anna, która właśnie wieszala okrycia, spojrzała na nich przez ramię.

- A co z waszą silną wolą?

- Skonała z zimna - mruknął poirytowany Bill. - Mam już dosyć tej ohydnej pogody! Przecież to Nowy Orlean, na miłość boską, a nie Alaska! Powinno być ciepło!

Dalton poklepał przyjaciela po plecach, chcąc go pocieszyć.

- Wybacz mu, Anno. Przechodzi kryzys. Wiesz, jak lubi śniadania na świeżym powietrzu.

- I szorty. Co z tego, że mam ładne nogi, skoro nie mogę ich pokazać? - Bill wręczył jej tacę z rogalikami i owocami. - Pomyśl, tylko po to smażymy się w lipcu i sierpniu, żeby marznąć w styczniu. To niesprawiedliwe!

Dalton ponuro skinął głową.

- To rodzi bunt. I złość.

- Właśnie. - Bill zatarł zgrabiałe ręce. - Nie zdziwiłbym się, gdyby pojawił się morderca, który uderza tylko wtedy, gdy robi się zimno.

Podniecony Dalton aż zaklaskał w dłonie.

- Oczywiście! Musi to robić, żeby się rozgrzać. Albo z nudów. Zaczyna się niewinnie, a potem ludzie padają...

- Jak muchy! - Bill aż zakręcił się z podniecenia. - I co ty na to, Anno? Dobre?

Spojrzeli na nią wyczekująco. Anna naląła gorącego mleka do kubków.

- Świetne, chłopaki, kombinujcie dalej. Bardzo potrzebuję nowych pomysłów.

Zanieśli kawę do kuchennego stołu i usiedli. Przez moment rozkoszowali się parującym płynem.

- No, a jak twoja randka? - spytał Dalton, grzejąc dłonie o kubek.

- To wcale nie była ran... - urwała, ponieważ przyszło jej do głowy, że jednak była. Dlaczego więc odruchowo zaprzeczyła? Czy dlatego, że nie czuła się z Benem tak, jakby byli na prawdziwej randce?

Potrząsnęła głową i sięgnęła po rogalik.

- W porządku. Było naprawdę fajnie.

Bill i Dalton spojrzeli po sobie, a potem wbili w nią wzrok.

- Więc opowiedz wszystko. Ze szczegółami.

Zamiast tego opowiedziała o tym, jak Ben dowiedział się o jej istnieniu.

- Cholera jasna! - sapnął Dalton.

- Nie żartuję - powiedziała, odkładając rogalik. Nagle poczuła, że nie ma apetytu. - Ben uważa, że za tym wszystkim stoi któryś z jego pacjentów. Ale nie wie, który i dlaczego miałby to zrobić.

- Czy podałaś mu nazwisko tego dziennikarza od matki?

- Tak, ale Ben nie ma pacjenta, który nazywałby się Peter Peters lub podobnie. -
Westchnęła z rozpaczą. - Obiecał, że zajmie się tą sprawą.

- Człowiek czynu. - Dalton wypił jeszcze trochę kawy. - Właśnie to cenię w
mężczyznach.

- Dzięki. - Bill pocałował go w policzek, a potem zwrócił się do Anny: - Podoba ci się
ten Ben?

- Jasne. Jest bardzo miły - odparła bez wahania. Przyjaciele mruknęli coś i spojrzeli po
sobie.

- Chyba wystarczy, nie? - rzuciła.

- Lepiej, żeby był czarujący, a jeszcze lepiej seksowny - mówili jeden przez drugiego.

Zaśmiała się i z rozbawieniem potrząsnęła głową. Przez chwilę milczeli. Anna
spojrzała w bok, ale kątem oka zauważyła, że Bill trąca przyjaciela łokciem. Dalton zgromił
go wzrokiem i potrząsnął głową. Zmarszczyła brwi.

- Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywacie...

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Nie chcieliśmy cię martwić.

- Wiemy, że niepokoisz się o Jaye.

- A ten list wcale nie poprawiłby ci humoru.

- To... od twojej małej wielbicielki.

Poczuła, jak nagle ścisnął jej się żołądek.

- Kiedy przyszedł? - szepnęła.

- Wczoraj po południu - odrzekł Dalton. - Mogłem go przynieść od razu po pracy,
ale...

- Ale miałaś randkę - podjął Bill. - Nie chcieliśmy ci jej zepsuć.

- Doceniam waszą troskę, chłopaki, ale jakoś sobie poradzę. - Wyciągnęła rękę. -
Proszę o list.

- Obawiam się, że Dalton zostawił go w „Perfect Rose“ - powiedział Bill, uciekając
wzrokiem. - Tak, na pewno go tam zostawił.

Anna nie cofnęła ręki.

- Nie zepsujecie mi dnia. Poproszę o list.

Zakłopotany Dalton wyjął go z tylnej kieszeni spodni.

- Mam nadzieję, że nie będziesz na nas zła?

- Nie, jeśli obiecacie, że nie będziecie więcej robić mi takich numerów. Bo inaczej się
wścieknę. - Spojrzała na niech groźnie. - Jasne?!

Skinęli niechętnie głowami, chociaż Anna nie wierzyła, by dotrzymali obietnicy. Postanowiła, że jeszcze z nimi o tym porozmawia. Teraz miała ważniejszą sprawę.

Otworzyła kopertę, czując mrowienie na karku. Ręce jej się trzęsły. Żałowała, że nie może odesłać Minnie listu, wcale go nie czytając. Coś jej jednak mówiło, że nie powinna tego robić.

Przede wszystkim wiedziała, że dziewczynka jej potrzebuje. I chociaż nie miała pojęcia, jak mogłaby jej pomóc, wciąż szukała sposobu. Nie mogła przecież opuścić Minnie w potrzebie!

Wzięła do ręki pojedynczą kartkę papieru w linie i zaczęła czytać:

Kochana Anno!

Tak dużo się ostatnio zdarzyło. On już wie, że do ciebie pisałam. Nie mam pojęcia, czy wiedział od początku. I co planuje. Boję się, że mnie teraz skrzywdzi. Albo tę drugą dziewczynę. Tę, która ciągle płacze. Uważaj, Anno. Obiecuj. A ja obiecuję, że też będę uważać.

Jak zwykle Minnie ozdobiła list stokrotkami i sercami oraz dopisała słowo: „Czekam“.

- Mój Boże, Anno - szepnął Bill, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha. Co tam jest napisane?

W milczeniu podała mu list i obaj mężczyźni pochylili się nad nim.

- Myślisz, że... że to prawda? - Dalton pierwszy uniósł głowę.

- Oczywiście. A... ty?

- Sam nie wiem. Na początku też mi się tak wydawało, ale teraz... - Spojrzał na Billa. - Ten policjant mógł mieć rację. To może być jakiś psychopata. Tego... tego już za wiele.

- Zgadza się - dodał Bill. - Jeśli tajemniczy „on“ z listów wie o korespondencji, to dlaczego pozwolił Minnie wysłać ten list? A jeśli ją więzi, to w jaki sposób Minnie wysłała te wszystkie listy?

- I dlaczego to ty masz uważać? - Dalton potrząsnął głową, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. - To nie ma żadnego sensu!

Bill dzielnie mu sekundował:

- Poza tym gdyby porwano jakieś dziecko z tego rejonu, na pewno byśmy o tym wiedzieli.

- Racja - podjął Dalton. - Jeśli ginie dziecko, policja i media natychmiast podnoszą alarm. - Spojrzał na nią współczująco. - Przykro mi, Anno.

Zaczęła to wszystko rozważać i stwierdziła, że muszą mieć rację. To wszystko rzeczywiście nie trzymało się kupy. Ktoś specjalnie pisał te listy, żeby ją przestraszyć, a ona

dała się nabrać. Stało się tak, jak planował tajemniczy prześladowca. Udało mu się, bo tak bardzo chciała pomóc więzionym dzieciom.

Zmiała list i cisnęła go na stół.

- Czuję się jak idiotka. Przecież poszłam z tym nawet na policję!

- Nie przejmuj się, Anno. My z Billem też daliśmy się nabrać.

- Tyle że to nie was chciał oszukać! Nie wy byliście celem!

Dalton podszedł do niej i przytulił ją do siebie.

- Przynajmniej to się już skończyło. Możesz o tym zapomnieć i zająć się innymi rzeczami.

- Na przykład zniknięciem Jaye i moją nieistniejącą karierą? Rzeczywiście mam czym!

- Nie przejmuj się - powiedzieli jednogłośnie. - Tak nie lubimy, kiedy się przejmujesz.

- Dlatego chcemy, żebyś poszła z nami do „Tipitiny“ i trochę się rozerwała.

- Dzisiaj noc z Zydeco Kings!

- Zydeco Kings będą grali!

- Prosto z Thibodaux.

- Prosimy, Anno. Dziś sobota, a ty jesteś zupełnie wolna...

- Sama nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Nie jestem w nastroju.

- Właśnie dlatego powinnaś z nami pójść. Trochę się zabawisz. - Dalton złapał ją za rękę. - Poza tym masz na nas zbawienny wpływ. Jeśli pójdziesz, nie będziemy za dużo pić i jeść, no i wrócimy przed świtem do domu.

- Możesz zaprosić tego Bena. Obiecuję, że nie będę go obmacywał.

Anna wybuchnęła śmiechem. śmiechem.

- Uwielbiam was, chłopaki.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? Proszę!

- Dobrze, pójdę z wami - skapitulowała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Sobota, 20 stycznia

Dzielnica Francuska

Kiedy Bill i Dalton o siódmej zapukali do jej mieszkania, już była gotowa. Czuła się wyśmienicie. Miała wrażenie, że jest lekka i... atrakcyjna. Stwierdziła, że zasługuje na odrobinę rozrywki. W czasie tego wieczoru nie chciała myśleć o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru dni. Skorzystała nawet z zachęty Billa i zadzwoniła do Bena.

- No i jak tam twój terapeuta? Przyjdzie? - spytał Dalton, jakby czytał w jej myślach.

- Postara się do nas później dołączyć, bo ma jeszcze parę spraw do załatwienia. - Zamknęła mieszkanie i włożyła klucze do torebki.

- Jego strata - mruknął Bill, przyglądając się jej obcisłym džinsom, czarnej bluzce i skórzanej kurtce. - Świetnie wyglądasz.

- Bardzo panu dziękuję. - Uroczo dygnęła i wszyscy się roześmieli, po czym ruszyli zgodnie na dół. - Szkoda tylko, że dwaj najprzystojniejsi faceci, jakich znam, są gejami. Tym bardziej że spędzam z wami większość czasu.

- Dlatego właśnie warto wyrwać się z domu - rzucił Dalton.

- I potańczyć - dodał Bill, poruszając dwuznacznie biodrami. - Może właśnie dzisiejszego wieczoru znajdziesz Tego Jedynego.

Anna zaśmiała się razem z nimi, ale nie miała zamiaru zbyt intensywnie szukać. Nawet Ben, oczywiście jeśli się zjawi, nie ma żadnych szans, bo przypadkowy seks nie był w jej stylu.

Opuścili budynek i ruszyli w kierunku „Tipitiny“. Ten słynny muzyczny klub znajdował się zaledwie kilkanaście przecznic dalej. Mimo chłodu zdecydowali się pójść pieszo, rozgrzani swoim towarzystwem i perspektywą fajnej zabawy.

Kiedy weszli do środka, tańce już się rozkręciły. Zydeco Kings zawsze przyciągali sporą publiczność, zwłaszcza w sobotnie wieczory w Dzielnicy Francuskiej. Tłum składał się z miejscowych i turystów, a jeśli idzie o wiek, była tam zarówno młodzież tuż po osiemnastce, jak i starcy stojący nad grobem. Bill zauważył parę osób z komisji zajmującej się sztuką i ruszyli w tamtą stronę. W ten sposób zdobyli stół, do którego dostawiło się dodatkowe krzesła. Dołączył do nich jeszcze ktoś z sąsiedztwa, a potem znajomy tego znajomego.

W czasie pierwszej godziny Anna rozglądała się za Benem, w końcu jednak

stwierdziła, że pewnie nie przyjdzie. Mimo rozczarowania dała się wciągnąć w zabawę. Piwo lało się strumieniami, a muzyka grała tak, że nogi same rwały się do tańca, jak to w Nowym Orleanie. Anna wraz z przyjaciółmi piła i jadła za dużo, a także śmiała się głośno. Bawiła się lepiej niż kiedykolwiek, tańcząc ze wszystkimi, którzy o to prosili.

W końcu wróciła do stolika, spocona i zziębnięta.

- Wody! - jęknęła i opadła na krzesło obok Daltona, wachlując się dłonią.

Kiedy dostała szklanekę, opróżniła ją do dna.

- Ani śladu twojego terapeuty, co?

- Nie. Rozglądałam się za nim.

Dalton spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Kiedy?

- No, w czasie tańca - odparła. - Między kolejnymi wygibasami.

- Aha. Może to i lepiej - mruknął bardziej do siebie niż do niej i podsunął jej swoją szklanekę. - Pij.

Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. Wypiła spory łyk i spojrzała zaczepnie na Daltona.

- Niby dlaczego?

- Bo od jakiegoś czasu uważnie ci się przygląda nieprawdopodobnie przystojny facet. Popatrz, prawdziwe чудо, nie uważasz?

- Mnie? - zdziwiła się, patrząc dookoła. - Nie widzę go. Gdzie on jest?

- Przy barze. Ale nie patrz na niego teraz. Niech nie myśli, że jesteś łatwa.

Nie posłuchała go, ale przy barze był ogromny tłok i Anna nie zauważyła nikogo interesującego. Mina jej zrzędała.

- Pewnie patrzy na ciebie, Dalton - mruknęła. - Tak się pechowo składa, że w tym mieście wszyscy interesujący mężczyźni to geje.

- Nie, ten jest stuprocentowym hetero. Chyba że po raz pierwszy zawodzi mnie mój nieomylny instynkt, ale to niemożliwe. O, idzie tutaj. Tylko nie rzuć mu się od razu na szyję.

- Idzie tu? - spytała, starając się dojrzeć coś poza parą, która zaczęła tańczyć tuż przed nią. - Jesteś pewny?

Mężczyzna pociągnął kobietę na bok i tłum się rozstał. Serce zamarło Annie w piersi. Śledczy Malone. Tak, rzeczywiście szedł w jej stronę. Z trudem się opanowała, wprost nie mogąc oderwać od niego oczu. Do licha, Dalton miał absolutną rację. W niebieskich dżinsach i gładkiej koszuli wyglądał naprawdę wspaniale.

Zdecydowała, że za dużo już dzisiaj tańczyła i wypiła zbyt wiele piw.

- Cześć, Anno - rzekł, zatrzymawszy się przy stoliku.

- Witam, panie Malone - powiedziała nerwowo.

Nawet ona zauważyła, że ma nienaturalny głos. Co się z nią, do diabła, dzieje?!

- Mów mi Quentin. - Pokazał jej w uśmiechu wszystkie zęby.

Dalton szturchnął ją łokciem.

- Anno, przedstaw mnie swojemu znajomemu.

Zaczerwieniła się jak piwonia, chociaż nie miała ku temu żadnych powodów.

- Oczywiście. Dalton, to oficer śledczy Quentin Malone. Opowiadałam ci o nim.

- A tak. - Wyciągnął do niego rękę. - Anna nie powiedziała mi, że z pana taki przystojniak.

Zupełnie niezmiyszany Quentin energicznie potrząsnął jego dłonią.

- Bardzo mi z tego powodu przykro.

- Być może powinien pan dać jej szansę, żeby mogła lepiej się panu przyjrzeć. Może...

- Dalton! - Zgromiła go wzrokiem. - Powinieneś chyba trochę wytrzeźwieć!

- Bardzo chętnie - powiedział Quentin, zupełnie nie zwracając uwagi na jej słowa. -

Może zatańczymy, Anno?

Chciała odmówić, ale nieoceniony Dalton pchnął ją do przodu.

- Łap szansę - szepnął jej do ucha.

- Zabawny facet - mruknął Quentin, biorąc ją w ramiona. - Dobry przyjaciel?

- Tak. - Buntowniczo wysunęła do przodu brodę, spodziewając się, że zaraz zacznie kpić z „kochających inaczej“. Jednak tego nie zrobił, tylko przyciągnął ją bliżej.

- Pięknie pachniesz.

- Tylko spokojnie. Gdyby Dalton nie wypchnął mnie z miejsca, nigdy bym z panem nie zatańczyła!

- Będę musiał mu później podziękować.

Zakręcił nią, a potem przytulił. Ich biodra zetknęły się na moment i poczuła, jak dziwne wibracje rozeszły się po jej ciele.

- Lepiej się nie spiesz, bo może jeszcze będziesz tego żałował. - Anna również zaczęła mu mówić po imieniu.

- Aw, cher - zaczął w kajuńskim żargonie, przyciągając ją jeszcze bliżej. - Chyba nie chcesz złamać mi serca?

Poczuła jego oddech na swoim uchu. Było to zmysłowe, pełne erotyzmu doznanie.

- Przykro mi, ale twoje wdzięki nie robią na mnie żadnego wrażenia.

- Naprawdę? Myślę, że chcesz mnie okłamać - rzucił głębokim męskim głosem.

Miał rację. Niestety, miał rację. Spojrzała mu w oczy, udając chłód i rozdrażnienie.

- Nudzą mnie zbyt pewni siebie mężczyźni. Lepiej poszukaj sobie jakiejś łatwiejszej sztuki, która da się nabrać na twoje chwytaki.

Chciała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

- Zlituj się nad kajuńskim chłopcem i zatańcz ze mną do końca.

- Z takim nazwiskiem wątpię, żebyś miał choć odrobinę francuskiej krwi w żyłach.

Już raczej irlandzką whiskey!

Zaśmiał się.

- Źle mnie oceniasz, Anno.

- Dalton mówił, że mnie obserwowałeś. Dlaczego?

- A jak sądzisz?

- Nie wygłupiaj się. I nie mów mi tylko, że jestem najładniejszą dziewczyną w „Tipitini”, bo i tak w to nie uwierzę.

Malone nagle spoważniał.

- Może uznałem, że potrzebujesz ochrony...

- Przed kim miałbyś mnie chronić? Przed Daltonem? - prychnęła pogardliwie. - Daj spokój!

Mocna ręka zacisnęła się na jej talii.

- Przed kimś, kto przychodzi w takie miejsca na łowy. Przed drapieżnikiem, który szuka rozbawionych, nieuważnych kobiet. Takich jak ty.

- O ile wiem, tylko ty na mnie patrzyłeś.

- Tak, ale ja jestem twoim sprzymierzeńcem.

- Skąd mam to wiedzieć? - spytała, zła na niego za to, że usiłuje ją przestraszyć. -

Tylko dlatego, że jesteś policjantem?

- Chociażby.

- Przykro mi, ale to nie budzi mojego zaufania. - Nagle z wściekłością mu się wyrwała. - I co to znaczy, że jestem „rozbawiona i nieuważna”? Może chciałeś powiedzieć: „łatwa“?

- Nie, wcale nie o to chodziło. Posłuchaj, zginęły dwie rudowłose kobiety. Obie spędzały wieczór w towarzystwie przyjaciół, świetnie się bawiąc. Obie były ładne. Oczywiście nie ma w tym nic złego. Tyle że przyciągnęły uwagę mordercy.

Poczuła na całym ciele gęsią skórę. Potrząsnęła głową i spojrzała na niego.

- Chcesz mnie przestraszyć?

- Tak. Ci, którzy się boją, są ostrożni.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przed oczami stanęły jej obrazy z przeszłości. Ufna trzynastoletnia dziewczyna i niewinny sześciolatek chłopiec. Nigdy tego nie zapomni.

- Czasami ostrożność nic nie znaczy - powiedziała drżącym głosem. - Czasami wszystko dzieje się przypadkiem. Nic mi nie jest, panie Malone. Chcę być sama.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, potrącając tańczące pary. Niektórzy patrzyli na nią ze zdziwieniem, inni z irytacją. Jednak Quentin nie zostawił jej samej. Dogonił ją przy zejściu z parkietu dla tańczących.

Złapał ją za łokieć, więc musiała się do niego odwrócić.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

- Dobrze. A teraz daj mi spokój. - Wyswobodziła się i podeszła do Daltona. - Wracam do domu. Daj mi torebkę.

- Naprawdę? - Patrzył zmieszany to na nią, to znów na Malone'a. - Czyżby coś nie tak? Nic nie rozumiem. Co się...?

- Nic, po prostu tak działam na kobiety - mruknął Quentin. - Za dużo gadamy. To przekleństwo klanu Malone'ów.

Anna nawet się nie uśmiechnęła, tylko wyciągnęła rękę.

- Poproszę o torebkę. I kurtkę.

Dalton podał jej te rzeczy.

- Zaczekaj, poszukam Billa i pójdziemy razem.

- Nie ma potrzeby. Bawcie się dobrze. - Pocałowała go w policzek. - Pożegnaj ode mnie Billa. Cześć, do jutra.

Dalton wahał się i w tym momencie raz jeszcze wtrącił się Malone:

- Niech się pan nie przejmuje, sam ją odprowadzę. Dam tylko znać partnerowi.

Anna nie sądziła, że stać go będzie na taką bezczelność. Natychmiast zaprotestowała:

- Nic z tego! Pożegnamy się tutaj!

Ruszyła do wyjścia, a on za nią.

- Wiem, że jesteś zła, ale nie bądź głupia. Zginęły już dwie kobiety.

Nie bała się, nie chciała dać się zastraszyć. Dzielnica Francuska była jej domem, miała tutaj mnóstwo przyjaciół. Z powodu tego, co się kiedyś stało, bała się wielu miejsc, ale nie tego.

- Posłuchaj, zwalnięm cię z wszelkiej odpowiedzialności. Spocznij. I dobranoc - rzuciła.

Podeszła do drzwi. Malone był tuż za nią.

- Wobec tego wezwę taksówkę.

- Nie.

- Anno, to nie są żarty. W tym mieście grasuje morderca.

- A także gwałcieciel i porywacz - rzuciła rozpaczliwie i wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. - Ale ja nie mogę żyć w ciągłym strachu. Ta dzielnica to mój dom, a do siebie mam zaledwie parę przecznic. Wszędzie tutaj mieszkają moi przyjaciele. Mogę ich wezwać w razie potrzeby. Poza tym chodziłam tędy setki razy i nigdy nie miałam problemów.

Gdy te argumenty nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, postanowiła zmienić taktykę.

- Dobrze, możesz mnie odprowadzić, jeśli ci to pomoże - rzekła z udawanym rozdrażnieniem. - Powiedz o tym swojemu partnerowi, a ja zaczekam. - Zmarszczyła groźnie brwi. - Byle nie trwało to zbyt długo.

Z ulgą skinął głową.

- Świetnie, zaraz wracam. - Chciał już odejść, ale jeszcze spojrzał na nią. - Tylko obiecaj, że mi nie uciekniesz.

Wyciągnęła dwa palce do góry.

- Skautowskie słowo honoru.

Gdy tylko zniknął jej z oczu, natychmiast odwróciła się i wyszła. Uśmiechnęła się, zadowolona z własnego pomysłu, chociaż czuła się też trochę winna. A przecież nie powinna robić sobie żadnych wyrzutów. W końcu to on narzucił jej swoje towarzystwo. No i nigdy nie była skautem.

Szła szybko w obawie, że Malone zacznie ją gonić. Zacisnęła ze złością szczęki. Co za pewny siebie, nadęty głupek! Być może przy takim uporze i determinacji jest niezłym gliną, ale zupełnie nie nadaje się na podrywacza.

Skurczyła się w swojej skórzanej kurtce. Brakowało jej towarzystwa Daltona i Billa. Jednak ulice, ich odgłosy i zapachy wciąż wydawały się przyjazne. Nagle coś zaczęło ją niepokoić. W czasie kiedy bawiła się w „Tipitinię“, spadł zimny, rześisty deszcz. Chodniki były mokre i śliskie jak brzuchy ryb, a jej cienkie buty zaczęły przemiękać. Zrobiło się jeszcze zimniej.

Skreśliła w Jackson Square. Sklepy były pozamykane. Spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Myślała, że jest znacznie wcześniej.

Dwie rudowłose kobiety zostały zamordowane, pomyślała. Obie bawiły się z przyjaciółmi. Anna zakłęła pod nosem i przyspieszyła. Teraz nie czuła się już tak bezpiecznie. Cholerny Malone! Przeklęty traf, że akurat na niego musiała się natknąć! A tak było jej

przyjemnie tego wieczoru. Jej myśli wciąż krążyły wokół zamordowanych kobiet. Czytała o nich w „Times Picayune“, ale nie było tam żadnej wzmianki o ich włosach. Dziennik nie kładł też nacisku na to, że obie wcześniej bawiły się w lokalach. Pisał za to, że je uduszono. A wcześniej brutalnie zgwałcono.

Anna zadrżała. Cisza, która panowała dookoła, wydała się nienaturalna, a puste ulice nieprzyjazne. Zaczęła wsłuchiwać się w odgłosy swych kroków i wydało jej się, że słyszy za sobą ciężkie, męskie stąpanie.

Potęga sugestii!

Po chwili usłyszała je jednak wyraźniej. Zaledwie kilkadziesiąt metrów za sobą! Jeszcze raz przeklęła Malone'a i przyspieszyła. Kroki za nią również stały się szybsze. Zatrzymała się. Znow otoczyła ją cisza, słyszała tylko walenie swego serca. Z trudem zdołała zerknąć za siebie. Chodnik wyglądał na pusty. Spojrzała nieco dalej i cienie wokół placu wydały jej się żywe i przerażające. Otworzyła usta, ale powstrzymała krzyk. Pomyślała, że musi nad sobą panować. Ruszyła naprzód, przyspieszając w chwili, gdy znow znow usłyszała za sobą męskie kroki.

Zginęły dwie rudowłose kobiety.

Naprawdę przerażona, zaczęła biec. Przecięła Jackson Square, minęła przytłaczającą w swym ogromie katedrę i skręciła w St. Ann, a potem Royal. Z każdym krokiem zbliżała się do swego mieszkania, ostatniego bezpiecznego azylu. Mężczyzna wciąż szedł za nią.

Czółenka, które miała na nogach, tylko spowalniały jej bieg, dlatego zrzuciła je, ale zaraz krzyknęła, gdy coś ostrego wbiło jej się w stopę. Biegła, ciężko dysząc. Serce waliło jej jak młotem, a głowę wypełniał szum krwi. Teraz nic już nie słyszała. Prawie dotarła do domu, zostały tylko cztery przecznice. Po lewej miała wąską uliczkę, biegnącą między dwoma rzędami budynków. Skrót, pomyślała. Gdyby pobiegła tędy, dotarłaby na miejsce znacznie szybciej. Robiła to tysiące razy. Bez dłuższego namysłu skręciła w uliczkę. Otoczyła ją ciemność. Anna próbowała skoncentrować się wyłącznie na biegu. Za sobą usłyszała odgłos toczącej się po asfalcie metalowej puszki.

Znalazł ją. Była z nim sam na sam.

Dobry Boże! Zamiast go zwieść, sama wpakowała się w pułapkę. Narastał w niej strach, który odbierał władzę nad ciałem. Nie mogła racjonalnie myśleć. Traciła cenne sekundy. Rzuciła się przed siebie, oczami duszy widząc, jak morderca ją dogania.

Jej prześladowca opuścił swą kryjówkę w cieniu. Zobaczyła wreszcie koniec uliczki. Pospieszyła w tamtym kierunku i wpadła wprost na Quentina Malone'a. Zaczęła płakać ze szczęścia, kiedy zacisnęły się wokół niej jego silne, męskie ramiona. Uniósł jej głowę.

Zobaczyła, że patrzy na nią bardzo poważnie.

- Anno, co się stało?

Z trudem złapała oddech.

- K... ktoś m... mnie gonił!

Odsunął się od niej i spojrzał w dół uliczki.

- Gdzie to było? - spytał rzeczowo.

- T... tu - pokazała ręką. - I wcześniej.

- Zostań tutaj. Zobaczą tylko...

- Nie! Nie zostawiaj mnie!

- Muszę, Anno. - Odsunął jej rękę. - Stań tutaj. W świetle będziesz bezpieczna.

Wciąż chlapiąc, stanęła pod latarnią, tak jak jej kazał. Szczękała zębami, ale nie dlatego, że było jej zimno. Wciąż myślała o swoim prześladowcy. Malone wrócił, jak powiedział, po paru minutach, chociaż miała wrażenie, że trwało to całą wieczność.

- Nikogo tam nie ma - powiedział. - Nie widziałem nic niezwykłego. Jesteś pewna, że ktoś cię gonił?

- Tak. - Skurczyła się jeszcze bardziej. - Słyszałam go...

- I co jeszcze?

- Najpierw usłyszałam za sobą jego kroki.

- Kiedy to było?

- Zaraz po tym, jak... jak wyszłam.

Spojrzał na nią przeciągle, jakby rozważał wszystkie szczegóły związane z tą informacją. Również ton jej głosu.

W końcu skinął głową.

- Odprowadzę cię do domu.

Tym razem już się nie sprzeczała. Szła blisko, wdzięczna za to, że zechciał jej pomóc.

- Dlaczego dzwonisz zębami? - spytał. - Tak ci zimno?

- Jestem bosa - wyjaśniła.

Dopiero teraz spojrzał na jej stopy i aż gwizdnął ze zdziwienia.

- Przecież ty nie masz butów! - wykrzyknął.

- Właśnie mówiłam. Musiałam je zrzucić w czasie ucieczki.

- Poszukam ich.

- Nie, to nie ma sensu. Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

Spojrzał na nią, marszcząc czoło.

- Mógłbym cię ponieść.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Miał taką minę, jakby chciał zacząć kłótnię, ale w końcu skinął głową. Popatrzył na nią, a potem na ciemną uliczkę.

- Chciałbym dokładnie usłyszeć, co się stało.

Opowiedziała mu o mokrych ulicach, narastających krokach i ucieczce.

- Jesteś pewna, że ktoś cię cały czas ścigał?

- Tak - odparła bez wahania. - Kiedy dobiegałam do końca uliczki, usłyszałam stukot. Musiał wpaść na jakąś puszkę.

- Ale nie słyszałaś kroków?

Potrząsnęła głową.

- Nie, szumiało mi w uszach i ciężko dyszałam. Słyszałam tylko siebie.

Milczał przez chwilę, rozważając wszelkie możliwości tego wydarzenia.

- A może to byłem ja? - mruknął.

Aż się zatrzymała i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co takiego?!

- Kiedy zorientowałem się, że wyszłaś, spytałem Daltona, jak mogę do ciebie dotrzeć. Szłaś przez St. Peter i St. Ann? - Potwierdziła. - Być może do tej uliczki słyszałaś moje kroki...

- A puszka?

- Jakiś kot wskoczył do pojemnika na śmieci.

Znowu ruszyli. Czy rzeczywiście wyobraźnia podsunęła jej najgorszy scenariusz? Czy niepotrzebnie się bała?

- Sama nie wiem. Zwykle tak nie reaguję...

Chyba że jest noc i myślę o Kurcie, pomyślała. Wtedy dopadają mnie zmyły przeszłości.

- To twój dom? - spytał, wskazując ciemną bryłę budynku.

Potwierdziła, a potem wydała okrzyk bólu, bo znowu trafiła na coś ostrego.

- Uu! Zaczekaj.

Złapała go za ramię, a potem spojrzała na swoją stopę, z której powoli kapła krew. Uniosła głowę, krzywiąc się z bólu.

- To musiało być szkło. Jakiś duży kawałek.

- Zaraz sprawdzę.

Obejrzał stopę Anny, mruknął coś pod nosem i już bez pytania wziął ją na ręce. Aż krzyknęła zaskoczona.

- Daj spokój! Postaw mnie!

- Nic z tego. - Ruszył do furtki. - Powinienem był to zrobić wcześniej.

- Będzie głupio, jak ktoś nas tak zobaczy.

- Pomyślą, że jesteśmy nowożeńcami. Poza tym nie tak często mam okazję pomóc cierpiącej damie.

- Przecież jesteś policjantem.

- Tak, ale wołają mnie do nich, kiedy są już martwe. Ty jesteś wyjątkiem. Masz klucze?

Sięgnęła do torebki.

- Okrągły jest od furtki, a prostokątny od mieszkania - wyjaśniła.

Po paru minutach znaleźli się w jej łazience. Anna siedziała na jednym brzegu wanny, a Malone, który trzymał jej stopę, na drugim. Wcześniej zadzwonił do Ósemki, wyjaśnił, co się stało i poprosił, żeby paru umundurowanych policjantów przeszukało okolice „Tipitiny“. Prosił też o kilka informacji z klubu.

Teraz oglądał uważnie jej stopę.

- Ech, to naprawdę szkło - mruknął. - Zdaje się, że po butelce piwa. Taka już jest ta nasza Dzielnica Francuska.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Myślisz, że trzeba to szyć?

Quentin zmarszczył brwi, słysząc jej drżący, wystraszony głos.

- Mam nadzieję, że nie zemdlejesz.

- Spróbuję - szepnęła i zagryzła wargi. - Trudno mi znieść widok krwi. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Wiesz, dlaczego...

- Domyślam się.

Wstał i namoczył ręcznik zimną wodą, a następnie zaczął bardzo delikatnie przemywać ranę. Prawie nie bolało.

- Rozcięcie nie wygląda na głębokie. Myślę, że sam sobie poradzę.

To była jej jeszcze jedna obsesja. Nienawidziła wizyt w szpitalach czy choćby u lekarza.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Raz jeszcze wstał i sięgnął do apteczki. - Potrzebuję czegoś, żeby odkazić skaleczenie, jałowej gazy i plastra. Przydałyby się też szczypce. Masz to wszystko?

Skinęła głową.

- Na górnej półce. W jednym pojemniku.

Po chwili rozpoczął operację.

- Złap się za coś. To może trochę boleć.

Polał szczypce spirytusem. Anna zamknęła oczy i chwyciła za uchwyt przy wannie, spodziewając się przeszywającego bólu. Gdy Malone pociągnął za szkło, krzyknęła.

- Mam to. Chcesz zobaczyć?

- Nie, tylko nie to. - Gwałtownie odwróciła głowę, żeby przypadkiem nie spojrzeć na kawałek butelki. - Na pewno zemdleję.

- Dobrze, że mnie uprzedziłaś. Uwaga, teraz najgorsze. Muszę odkazić skaleczenie.

Zacisnęła zęby. Ból był jeszcze gorszy niż poprzednio, jakby płonęła jej cała stopa.

- Au, uważaj!

- Przepraszam. Najgorsze masz już za sobą.

Anna wolno otworzyła oczy. Malone uśmiechał się do niej tym swoim zabójczym uśmiechem. Jej serce zabiło mocniej. Z radości, że to już koniec, zapewniła samą siebie, bo tak naprawdę Quentin Malone wcale jej się nie podobał.

- Niezły z ciebie lekarz - zauważyła, siląc się na lekki ton. - Może minąłeś się z powołaniem?

Policjant pokręcił głową.

- Nie bardzo lubiłem się uczyć. Strasznie się namęczyłem, robiąc specjalizację - wyznał, sprawnie opatrując jej stopę. - Masz ibuprofen?

- Na dolnej półce.

Szybko znalazł buteleczkę i wytrząsnął na dłoń dwie pigułki. Następnie w plastikowym kubku do zębów podał jej wodę do popicia.

- To powinno zlikwidować ból - powiedział, odstawiając lek. - Ale proponuję, żebyś na jakiś czas zrezygnowała z „Tipitiny“.

- Może już na zawsze - mruknęła, stawiając obandażowaną stopę na podłodze. Syknęła z bólu. - Nie mam jakoś ochoty na tańce.

- Następnym razem po prostu weź taksówkę albo przyjdź z chłopakiem.

- Chciałam to zrobić, ale się nie pokazał - rzuciła, wolno podchodząc do drzwi.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi było szczególnie przykro. - Uśmiechnął się do niej. - Rzadko mam okazję bawić się w doktora.

Serce znowu zabiło jej mocniej, ale teraz musiała przyznać sama przed sobą, że stało się tak przy delikatnej aluzji do seksu.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- To dlatego, że widzisz ludzi gorszymi, niż są w rzeczywistości - stwierdził.

- Chyba odprowadzę cię do drzwi - mruknęła.

- To raczej ja zapakuję cię do łóżka. - W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

Czy chciałaby, żeby to zrobił? Z pewnością nie byłoby to rozsądne. Powinna uważać, żeby Quentin Malone nawet nie zbliżał się do jej łóżka.

- Nie, dziękuję. Sama sobie poradzę.

- W porządku.

Anna nagle poczuła, że ma do niego żal o to, iż poddał się tak łatwo. Kuśtykając, odprowadziła go do drzwi.

- Dziękuję ci. Jestem naprawdę... wdzięczna.

- Policja zawsze do usług.

- Dzisiaj to było więcej niż tylko wykonywanie rutynowych obowiązków - rzekła z pełnym przekonaniem. - Gdyby nie ty... Kto wie...

- Zbadam tę sprawę. Dam ci znać, jeśli tylko dojdziemy do czegoś konkretnego. - Zatrzymał się jeszcze w drzwiach. - Tak swoją drogą, sprawdziłem rodzinę zastępczą Jaye Arcenaux.

- I? - Poczowała, że robi jej się sucho w ustach.

- Nic szczególnego. Ci Clausenowie wydają się zupełnie normalni.

Ścisnął jej się żołądek. Z jednej strony poczuła ulgę, ale z drugiej narastającą rozpacz.

- Jesteś pewny?

- O tyle, o ile mogę być. Przyjęli na wychowanie ponad dziesięcioro dzieci. Rozmawiałem z niektórymi z nich. Bardzo chwalili przybranych rodziców. Według opieki społecznej, mają na swoim koncie więcej sukcesów niż porażek.

- Czy któreś z tych dzieci uciekło z domu?

- Tak. Zdarzyło się to parę razy, ale potem te dzieciaki wracały całe i zdrowe. - Spojrzał na nią ze współczuciem. - Wygląda na to, że twoja przyjaciółka naprawdę uciekła. Jeśli tak, to pewnie niedługo pojawi się z powrotem.

- Chciałabym w to wierzyć - westchnęła Anna. - Tak byłoby znacznie lepiej.

- Jasne. - Dotknął palcem jej policzka. - Będziemy w kontakcie. Śpij spokojnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sobota, 20 stycznia

Noc

Jaye obudziła się, ponieważ ktoś w pobliżu zaczął płakać. Beznadziejne chlipanie wypełniało nocną ciszę. Był to płacz zrozpaczonego, zagubionego dziecka, takiego, jak ona sama. To na pewno ta dziewczynka, z którą rozmawiałam, pomyślała.

Wstała i na palcach podeszła do drzwi. Przycisnęła ucho do drewna, współczując koleżance w niedoli. Nikt nie rozumiał jej tak dobrze jak ona. Nikomu, tak jak jej, nie było żal tej małej. Była pewna, że dziewczynka też ma ograniczoną swobodę ruchów. Ciekawe, czy kiedykolwiek wychodzi na zewnątrz? Czy może pójść do parku lub kina? Jaye zastanawiała się też, czy została, podobnie jak ona, porwana prosto z ulicy.

Jak długo już tu siedzi? Miesiące? Lata?

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej robiło jej się żal. I siebie, i tamtego nieszczęsnego dziecka. Przycisnęła dłonie do drzwi i zawołała, najpierw cicho, potem trochę głośniej:

- Hej! Hej! To ja! Przestań płakać i chodź tutaj porozmawiać!

Szlochanie ustało. Jaye przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę.

- Chodź na górę! - krzyknęła jeszcze. - Pogadamy sobie! Zostaniemy przyjaciółkami.

Wciąż czekała. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Jaye zaczęła się modlić, czując, jak serce wali jej w piersi.

- Proszę! - w końcu nie wytrzymała. - Proszę, chodź ze mną porozmawiać!

Ktoś na dole głośno trzasnął drzwiami. Dźwięk był ostateczny i ogłuszający. Jaye oparła się bezsilnie o drzwi i zamknęła oczy. Nie przyjdzie, pomyślała. Aż jęknęła, kiedy ta prawda dotarła to do niej w całej pełni. Sama. Jest zupełnie sama.

Nagle głośny śmiech przeszył ciszę. To jej pomogło jakoś dojść do siebie. Nie, nie podda się jak tamto dziecko. Musi wzbudzić w sobie całą odwagę i zdecydowanie, i będzie walczyć z tym potworem aż do zwycięstwa!

Znowu usłyszała śmiech. Jakaś rozbawiona grupa przechodziła tuż pod jej oknem. Ci ludzie byli tak blisko. Gdyby tylko zdołała zwrócić na siebie ich uwagę. Jaye podbiegła do okna i rzuciła się na deski. Zaczęła je walić i szarpać, krzycząc przy tym wniebogłosy, aż w końcu otworzyły jej się stare rany i ręce znów zaczęły krwawić.

Gęsta krew zaczęła skapywać jej z palców. Jaye z płaczem zerwała płat odstającej

tapety i wytarła w niego dłonie. Krew zmieszała się z łzami, tworząc nieregularny, widoczny nawet w mroku wzór na gładkiej tapecie. Wyglądało to jak pismo bardzo starej osoby. Pismo! No tak! Szybko wytarła oczy i wpatrzyła się w linie utworzone przez krew. Ręce zaczęły jej drżeć. W końcu znalazła odpowiedni kawałek tapety i zaczęła go ostrożnie odrywać.

Tapeta rozsypywała się ze starości. Nie zrażona tym Jaye chwyciła następny i następny, aż w końcu miała w dłoniach odpowiedni kawałek papieru, który wielkością przypominał kartkę z zeszytu.

Rany zaczęły już jej zasychać, musiała więc nacisnąć koniec prawego wskazującego palca, żeby wytoczyć z niego trochę krwi. Następnie zaczęła pisać pierwsze słowo. Co chwilę wyciskała następne krople krwi, a kiedy palec zaczął mocno boleć, użyła innego.

W końcu zdołała napisać: *Pomocy! Jestem uwięziona. Jaye Arcenaux*

Budynek był stary, a rama źle dopasowana. Może uda jej się wysunąć papier przez szczelinę? Jednak najpierw będzie musiała włożyć rękę między deski. Udało się, chociaż było to bardzo bolesne i nie wiedziała, jak długo zdoła tak wytrzymać. Nie za długo. Energicznie popychała papier palcami, aż wreszcie poczuła, że znalazł się za oknem.

Oderwała się od parapetu i dopiero teraz zauważyła, że cały czas płacze. Były to łzy nadziei, przez którą przebijało jednak gorzkie, obezwładniające poczucie zwątpienia.

Opadła na podłogę i zaczęła rozcierać bolącą dłoń. Cała była posiniaczona i pokryta licznymi rankami, na szczęście żadna z nich nie była głęboka. Byle tylko nie wdała się infekcja, pomyślała Jaye.

Następnie przyciągnęła kolana do siebie i oparła o nie głowę. Znowu zaczęła się modlić. Do Boga, Jezusa, Jego Matki i wszystkich świętych, by spowodowali, żeby ktoś znalazł kartkę i zaniósł ją na policję. By zaczęli tu szukać Jaye Arcenaux.

Musi się tak stać. Po prostu musi!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Niedziela, 21stycznia

Dzielnica Francuska

Anna obudziła się skacowana. Nie był to kac alkoholowy, chociaż wypła więcej niż zwykle, ale przede wszystkim moralny. Nie chciało jej się wstać. Myślała z niechęcią o nadchodzącym dniu. Bolała ją stopa i głowa, miała zapuchnięte oczy i była w fatalnym nastroju.

Z zaciśniętymi powiekami przypominała sobie wydarzenia minionego wieczoru: swoje zachowanie w klubie, słowa Quentina dotyczące zamordowanych kobiet i to, jak bardzo się przeraziła, gdy ktoś zaczął za nią iść.

Co naprawdę zdarzyło się wczoraj? Czy rzeczywiście ktoś ją śledził? Czy też po prostu dała się ponieść wyobraźni?

Wolałaby wierzyć w tę drugą ewentualność, ale nie mogła. Starła się tylko nie wpadać w histerię. Tak, bała się Kurta, ale nie mogło to rzutować na jej życie. Odgłosy kroków cichły, kiedy się zatrzymywała, a potem prześladowca ruszał wraz z nią. Malone na pewno by tak nie robił.

Skrzywiła się. A jeśli tylko jej się tak wydawało? Była zestresowana, zaś głowę miała pełną opowieści o zamordowanych kobietach. To Malone zasiał w niej ziarno niepokoju, które wybujało tak szybko, że nawet nie zdołała się obejrzeć.

Wreszcie wygrzebała się z łóżka. Pragnęła kawy i było to ważniejsze od niechęci do wstawania. Jęknęła, stając na podłodze, ale zacisnęła zęby i pokuśtykała do kuchni. Ostatnia msza w katedrze zaczynała się o jedenastej, miała więc jeszcze mnóstwo czasu na wypicie kawy, lekturę „Timesa Picayune“ i prysznic.

Po wstawieniu ekspresu zeszła na dół po gazetę. I zastała przed furtką Bena, który właśnie do niej dzwonił. Nie było to łatwe, ponieważ w lewej ręce miał kilka toreb z „La Madeline“, a w prawej dzierżył tacę z piciem.

Więc wydaje mu się, że może ją zostawić samą wieczorem i ponownie wkupić się w jej łaski śniadaniem?! Nic z tego!

- Co tutaj robisz, Ben? - spytała chłodno.

Zaskoczony uniósł głowę.

- Jeszcze nie dzwoniłem. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Przeszła obok i wyjęła gazetę z przegródki. Zrozumiał i zaczerwienił się.

- Przyniosłem ser i świeże bagietki. Nie jadłaś jeszcze śniadania, prawda? - Nie odpowiedziała, a Ben uniósł wyżej tacę. - Mam też kawę cappuccino. Mogę wejść?

- Niestety, fatalnie się dzisiaj czuję.

- Jesteś na mnie zła. Za ten wieczór.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Gdybyś chciał się ze mną spotkać, przyszedłbyś do „Tipitiny“. Dzisiaj jest już za późno.

Z każdym jej słowem stawał się coraz bardziej markotny.

- Staralem się wyrobić, ale miałem nagły wypadek. Pojawił się pewien pacjent, a... a potem byłem w złym nastroju. Nie chciałem psuć ci zabawy. - Zawahał się. - Bardzo mi przykro, Anno. Naprawdę chciałem przyjść.

Patrzył na nią oczami smutnego szczeniaczka, którego zła pani właśnie wyrzuciła z domu. Anna westchnęła i zrobiła mu przejście.

- No dobra, ale naprawdę czuję się kiepsko.

Uśmiechnął się, bo doskonale ją rozumiał, i ruszył w stronę wejścia. Kiedy znalazł się w środku, uniósł głowę, podziwiając belkowanie, wysokie sufity i kute poręcze.

- Uwielbiam stare budynki. Mają w sobie niepowtarzalną atmosferę.

- Masz rację, ale pospiesz się. Nie mogę tak stać. Boli mnie noga.

Spojrzał na jej stopy i zobaczył bandaż.

- Co się stało? - spytał zatroskany.

Opowiedziała mu w drodze do mieszkania. Kiedy skończyła, Ben pokiwał głową.

- Masz rację, że się na mnie gniewasz. Powinienem był tam przyjść.

Ale wtedy nie poznałaby bliżej Malone'a.

Weszli przez otwarte drzwi do środka.

- To nie twoja wina, Ben. Kuchnia jest tam.

Kiedy się w niej znaleźli, rzuciła gazetę na stół.

- Usiądź. Wyjmę talerze i serwetki.

Ben zaczął rozpakowywać szeleszczące torebki.

- Mam brie, goudę i twarożek z ziołami. Nie miałem pojęcia, co najbardziej lubisz.

Uniosła brwi na tę oczywistą próbę przekupstwa.

- Raczej nie wiedziałeś, jak mnie udobruchać.

Uśmiechnął się do niej.

- Czy to takie oczywiste? - spytał, kładąc kolejne produkty na stół. - O mój Boże! - wykrzyknął nagle. - Widziałaś to?

Anna podeszła do stołu, a Ben podsunął jej gazetę. Od razu zauważyła wielki nagłówek na pierwszej stronie. *Napad na kobietę w Dzielnicy Francuskiej.*

- O Boże! - Opadła na krzesło. - To było wczoraj wieczorem?

Ben przysunął do siebie gazetę i zaczął czytać.

- Tak. Wracała właśnie z „Cat’s Meow“. Jest tam kelnerką. Zaatakował ją od tyłu.

Anna zakryła usta dłonią.

- I co jeszcze?

Czytał dalej, przekazując jej kolejne informacje:

- Nie widziała go. Coś go wystraszyło, ale nie wie co. Pamiętasz, kiedy cię śledził?

Myślała przez chwilę.

- Po pierwszej. Dobrze pamiętam, bo spojrzałam na zegarek.

- A ten napad był parę minut po drugiej. O drugiej zamknęli klub.

Czuła, jak ściska jej się gardło.

- My... myślisz, że to... ten sam?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Ale zbieżność jest zastanawiająca.

Tak, pomyślała, wręcz uderzająca.

- Jakie miała włosy?

Ben spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nic nie ma na ten temat. Dlaczego pytasz?

- Nieważne. - Potrząsnęła głową. - Muszę zadzwonić do Malone’a.

- Malone’a? - Ben zadrżał, jakby ogarnął go chłód. - A, twego wybawcy.

W jego głosie pojawiły się nieznane jej tony, jakby Ben był o nią zazdrosny. O dziwo, wcale nie poczuła się tym pochlebiona.

- O ile dobrze pamiętam, właśnie z tobą chciałam spędzić ten wieczór - rzekła poirytowana. - Więc jeśli uważasz, że Malone nie powinien...

- Nie powinien? - wpadł jej w słowo. - Wręcz przeciwnie. Napijesz się cappuccino?

Kawa była letnia, ale smaczna, więc piła ją z przyjemnością. Ben również zajął się piciem. Oboje wybrali brie, który jedli z bagietką, wymieniając co jakiś czas parę słów na temat pogody. Kiedy skończyli, Ben odsunął talerz i chrząknął.

- Zastanawiałem się, kim mógł być człowiek, który rozsyłał informacje o programie na Kanale E! i mam parę uwag.

- Słucham. - Anna wyprostowała się.

- Jak wiesz, rozmawiałem z moimi piątkowymi pacjentami i żaden nie przyznał się do zostawienia koperty z książką i notatką. Oczywiście mogą kłamać, a po tym, co się później

stało, nie sędzę, żeby ktoś dobrowolnie się do tego przyznał.

- Więc co zrobimy? Będziemy ich torturować?

Uśmiechnął się lekko na ten dowcip.

- Tortury zostawmy na koniec, a na razie chcę sprawdzić ich szczerość.

- W jaki sposób?

- Nie ograniczę się tylko do tych sześciu pacjentów, bo mógł to zrobić ktoś inny. -

Uśmiechnął się chytrze. - Skorzystam z obserwacji psychologicznej.

- Nie rozumiem.

Pochylił się do niej z błyskiem w oku.

- Kiedy pytałem moich pacjentów o tę kopertę, nie powiedziałem im, co w niej jest.

Teraz położę książkę w widocznym miejscu w gabinecie, żeby dobrze ją widzieli. To rutynowa psychologiczna sztuczka. Osoba, która jest winna, nie będzie potrafiła się powstrzymać, by nie patrzeć na twoją powieść, a przynajmniej co jakiś czas na nią zerkać. Być może nawet coś na ten temat powie.

Anna myślała chwilę, a potem skinęła głową.

- Dobry pomysł, ale...

- Żadne „ale“. Jestem pewny, że to się uda.

- Tylko skąd pewność, że zrobił to któryś z twoich pacjentów? Przecież do poczekalni mógł wejść ktoś obcy, prawda?

- Ale po co? Długo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że zostałem poinformowany o tobie jakby na dokładkę.

Zmarszczyła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ten pacjent zaczął się ze mną spotykać z twojego powodu. To powinno wszystko wyjaśnić...

- To znaczy?

- Chodzi o moją specjalizację - odparł z triumfem. - W książce telefonicznej jest informacja, że specjalizuję się w traumatycznych przeżyciach z dzieciństwa. Książkę mógł podłożyć również jeden z uczestników zajęć, które prowadzę dla szerszego kręgu ludzi. Dzwoniłem już do organizatorów z prośbą o listę uczestników. Wysłali ją Fed Exem. Powinna dotrzeć jutro.

- Jesteś wspaniały!

- Dzięki. - Nasunął na czoło nieistniejący kapelusz. - Sherlock Psycholms do usług.

Rozmawiali jeszcze parę minut, a potem odprowadziła go do wyjścia.

- Dzięki, Ben. Czuję się teraz lepiej, kiedy wiem, że zacząłeś działać.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił ją. - Sprawdzimy, kto cię prześladowuje i dlaczego.

Zanim zdążyła jeszcze raz podziękować, pochylił się i pocałował ją w usta. Zastygła na moment, niemile zaskoczona, jednak rozluźniła się i też go pocałowała.

Po chwili już go nie było. Anna popatrzyła na furtkę, a potem uniosła dłoń do ust. Co, do licha, stało się z jej cichym i spokojnym życiem?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Poniedziałek, 22 stycznia, godz. 9.20

Zgodnie z obietnicą lista uczestników seminarium poświęconego zdrowiu psychicznemu dotarła do niego wcześniej rano. Ben niecierpliwie rozerwał kopertę Federal Express i wyjął z niej kartkę ze stu pięćdziesięcioma dwoma nazwiskami.

Ponieważ pierwszy pacjent miał przyjść za dziesięć minut, na razie mógł tylko pobieżnie przejrzeć spis nazwisk. Szukał Petera Petersa. Niestety bez skutku.

Cholera! Rozczarowany rzucił listę na biurko. Miał wielką nadzieję, że znajdzie szybką i łatwą odpowiedź, lecz jak to najczęściej bywa w takich przypadkach, zawiódł się. Niestety, będzie musiał jeszcze poczekać. Będą musieli poczekać.

Anna. Od wspólnego śniadania myślał praktycznie tylko o niej. Uśmiechnął się. Ten nagły pocałunek zupełnie ją zaskoczył. Prawdę mówiąc, zaskoczył również jego.

Bardzo ją lubił. Nie było to ani mądre, ani bezpieczne. Przecież Anna mogła złamać mu serce.

Potrząsnął głową. Nie sądził, by tak się stało. Jeżeli naprawdę są sobie przeznaczeni, nic ich nie rozdzieli, a jeśli odnajdzie prześladowcę Anny i doprowadzi do jego unieszkodliwienia, będą mogli lepiej się poznać. Tego właśnie brakowało w ich kontaktach, bo wciąż nie są sobie zbyt bliscy, a ich znajomość oparta jest nie na uczuciu, tylko na wspólnym interesie.

Znowu pomyślał o swoim planie. Wszystko wydawało się zapięte na ostatni guzik. Wyłożył książkę Anny na stoliku przy kanapie, czyli w dobrze widocznym, ale nie ostentacyjnie eksponowanym miejscu, a notatka o programie wystawała pomiędzy jej stron. A gdyby to nie zagrało, była też żółta koperta, leżąca koło pudełka z chusteczkami.

Usłyszał dzwonek do drzwi i zajrzał do kalendarza. To była Amy West, gospodyni domowa, matka trojga dzieci, cierpiąca na depresję wywołaną doświadczeniami z dzieciństwa i nieszczęśliwym małżeństwem.

Wstał i podszedł do drzwi, żeby się z nią przywitać. Nie sądził, żeby to Amy podrzuciła książkę, bo walka z głęboką depresją niemal całkowicie ją pochłaniała. Amy zupełnie nie pasowała do wizerunku prześladowcy Anny, jaki sobie wytworzył, chociaż nie wykluczał, że mogła być to kobieta. Najpewniej był to człowiek podstępny i inteligentny, a przy tym emocjonalnie chłodny. Potrafił kłamać prosto w oczy, nie troszcząc się o czyjeś podeptane uczucia, bo los innych ludzi zupełnie go nie obchodził. Kierował się własnym

kodeksem i w bezwzględny sposób egzekwował coś, co w swym chorym umyśle uważał za słuszne i sprawiedliwe. Jednym słowem, klasyczny socjopata.

Amy West była zupełnie inna. Najprawdopodobniej była zupełnie inna, bo Ben niczego z góry nie zakładał. Właśnie tego nauczył się w czasie kolejnych lat zawodowej praktyki: prawdziwa natura pacjenta ujawnia się dopiero po jakimś czasie i często przeczy wszystkim naszym domysłom. Nic co ludzkie już go nie dziwiło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Poniedziałek, 22 stycznia, godz. 11.30

Malone wszedł do kwaciarni „Perfect Rose“. Dzwonek zatańczył nad drzwiami, ale Anna nawet nie rzuciła na niego okiem, tylko siedziała za kontuarem i patrzyła przed siebie, całkowicie pogrążona w swoich myślach.

Quentin stanął, ponownie porażony jej szlachetnym w swej prostocie pięknem. Wystarczyło spojrzeć na tę kobietę, żeby zacząć cieszyć się życiem. Jakby wypilo się łyk źródlanej wody albo wciągnęło haust krystalicznie czystego powietrza.

Po raz pierwszy doświadczył tego, kiedy patrzył, jak tańczyła w klubie, a potem gdy bandażował jej stopę. Łazienka wydała mu się nagle bardzo mała, a sytuacja nad wyraz intymna. I groźna, gdyż wiedział, że nie powinien poddawać się takim silnym uczuciom.

A jednak wystarczyłby jej najmniejszy gest i natychmiast skorzystałby z okazji, zapominając o swoich służbowych obowiązkach.

Anna nagle musiała wyczuć jego obecność, bo uniosła głowę. Wyglądała na zaskoczoną, ale też, jak mu się wydawało, zadowoloną.

- Cześć - rzucił.

- Chciałam do ciebie zadzwonić dziś rano.

- Tak? Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Coś mi wypadło. - Wskazała torbę, którą niósł w lewej ręce. - Co tam jest?

- To dla ciebie - powiedział, wręczając jej z uśmiechem reklamówkę.

Zajrzała do środka, a potem przeniosła na niego zdziwiony wzrok.

- Moje buty? Wróciłeś tam tylko po moje buty?

- Mam siostry i wiem, jak bardzo kobiety przywiązują się do takich rzeczy. - Oparł się o ladę. - Dlaczego chciałaś zadzwonić? Wciąż o mnie myślisz? Chcesz zaprosić do siebie na kolację?

- Pudło. Strzelaj dalej.

- Przeczytałaś o ataku na kobietę i zaczęłaś się zastanawiać, czy to nie był ten sam facet, który cię śledził.

Na moment ją zamurowało, a potem wciągnęła ze świstem powietrze.

- Czy... czy była ruda?

- Nie.

- Dzięki Bogu! Czy...?

- Czy nie uważam, że to ten sam facet?

- Właśnie.

- To możliwe, chociaż nie mamy pewności. Paru świadków z „Cat’s Meow“ twierdzi, że jakiś typek obserwował ją cały wieczór. Jeden widział go nawet na zewnątrz bezpośrednio po zamknięciu.

- To znaczy, że nie mógł iść za mną?

- Jeśli się nie mylą. I jeśli napadł ją rzeczywiście ten facet.

- Sama nie wiem, dlaczego przyjąłem to z taką ulgą. - Zaśmiała się nerwowo. - Nie mogłam wczoraj zasnąć.

- Wcale się nie dziwię. - Przyjrzał się jej uważniej. - A jak się czujesz teraz?

- Nie najgorzej. - Głęboko nabrała powietrza. - Czy sądzisz, że facet, który napadł na tę kobietę, to morderca?

- Nie, raczej nie. Inaczej pracuje. Ponadto ta kobieta nie była ruda i nie tańczyła.

- Może... Może zmienił metodę - rzuciła. - Albo to przypadek, że dwie pierwsze kobiety były rude.

- Może, ale...

Urwał, bo właśnie wrócili z kawy Bill i Dalton. Śmiali się, ale umilkli, gdy zobaczyli Malone’a. Quentin skinął im przyjaźnie głową.

- Dzień dobry.

Dalton spojrzał na przyjaciela.

- To właśnie on uratował Annę. Nasz bohater!

Bill rozpromienił się i z wyciągniętą ręką ruszył do policjanta.

- Bill Friends - przedstawił się. - Jestem panu bardzo wdzięczny.

- Już nigdy nie pozwolimy, żeby chodziła sama po zmroku - rzekł i spojrzał na Annę. - Pamiętaj, maleńka, nigdy.

Quentin uściskał dłoń Billa, a następnie przywitał się z drugim mężczyzną.

- Nie złapał pan jeszcze tego psychopaty? - spytał Bill.

- Przykro mi, ale nie. Prawdę mówiąc, nie mamy na to zbyt dużych szans. Brakuje nam śladów.

Zapadła długa chwila ciszy, aż wreszcie Quentin spojrzał na zegarek.

- Muszę wracać do pracy. - Uśmiechnął się do Anny. - Trzeba łapać przestępców, nieprawdaż?

- Prawdaż - potwierdziła, wychodząc zza lady. - Odprowadzę cię do drzwi.

Nie protestował, chociaż nie było to konieczne.

Spojrzał jeszcze na jej przyjaciół, którzy patrzyli na nich z dwuznacznymi uśmiezkami.

- Było mi bardzo miło. - Skinął im głową.

Odpowiedzieli mu uśmiechami, a Anna podeszła do drzwi. Quentin po chwili stanął przy niej.

- Chciałam ci jeszcze raz bardzo podziękować za pomoc.

- Nie ma za co. Naprawdę.

- I za buty. Za to, że je zwróciłeś.

- Drobiazg, rozstałem się z nimi bez żalu. - Zrobił efektowną pauzę. - Nie chciały mi wejść na nogę.

Zaśmiała się i zerknęła przez ramię na przyjaciół.

- Zadzwonisz, jeśli pojawi się coś nowego?

- Jasne. I prosiłbym, żebyś zrobiła to samo, dobrze? - Uśmiechał się, ale oczy miał poważne.

Skinęła głową i wróciła na miejsce. Quentin wyszedł, żalując, że nie zdołał wymyślić jakiegoś pretekstu, by zostać dłużej. Ze względu na Annę, ale nie tylko, bo zamierzał teraz, zgodnie z obietnicą daną Terry'emu, odwiedzić jego byłą żonę.

Odkładał tę wizytę tak długo, jak tylko mógł, lecz dłużej już się nie dało. Dlatego zadzwonił dziś rano do Penny i spytał, czy może wpaść. Powiedziała mu, że jest kompletnie wykończona, ponieważ dzieci chorowały na grypę i z radością spotka się z kimś dorosłymi zdrowym. Quentin podszedł do samochodu, wsiadł i zapalił silnik.

Dom Terry'ego i Penny znajdował się w Lakeview, wybudowanym głównie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Ta zielona i niemal całkowicie willowa dzielnica szczyciła się najlepszymi w mieście państwowymi szkołami. Osiedlała się tam głównie klasa średnia. Było to jedno z niewielu miłych i niedrogich miejsc, na które mogli sobie pozwolić tak zwani zwykli ludzie, którzy pragnęli żyć na przyzwoitym poziomie, ale nie zarabiali kroci.

Quentin skoncentrował się na jeździe, specjalnie nie zastanawiając się nad tym, co powie Penny. Z Terry'm pracował od wielu lat i z czasem stali się dobrymi przyjaciółmi. Quentin wspierał go duchowo w czasie jego zalotów, był świadkiem na ślubie i ojcem chrzestnym starszego dziecka. Na tyle, na ile to możliwe z żoną kumpla, zaprzyjaźnił się również z Penny i ta od razu by go przejrzała, gdyby zaczął jakąś dętą mowę. A poza tym z pewnością zasługiwała na coś lepszego.

Penny czekała na niego przed jednopiętrowym, otynkowanym domem. Gdy tylko zobaczyła jego samochód, pomachała ręką.

Zatrzymał się, wyskoczył z wozu i już po chwili trzymał ją w mocnym uścisku.

- Ogromnie się cieszę, że zadzwoniłeś - powiedziała. - Bardzo mi ciebie brakowało.

Odsunął się od niej, czując coraz większe wyrzuty. Nie tylko z powodu długiego milczenia, ale też z powodu dzisiejszej wizyty. Obrzucił ją wzrokiem. Miała brązowe włosy, jasną cerę i świetną figurę. Nawet cienie pod oczami nie mogły zmienić tego, że była prawdziwą pięknoscią.

- Jak się miewasz?

- Głównie siedzę w domu. - Zaprosiła go gestem do środka. - Chodź, zaparzyłam kawę. Dzieci śpią, więc staraj się mówić cicho.

Poszedł za nią do kuchni. Tak jak w jego rodzinnym domu, panował tu twórczy bałagan.

- Siadaj. Wciąż słodzisz?

- Im słodsza, tym lepsza.

- Mówiłam o kawie, Quen, nie o kobietach - zaśmiała się.

- A, to może być gorzka. - Machnął ręką.

Ponownie się zaśmiała, nalała mu kawy, wsypała dwie łyżeczki cukru i zamieszała. Zawsze tak robiła. Nigdy nie podawała mu cukru. Było to zupełnie naturalne i oczywiste, jak wszystko, co dotyczyło Penny.

- A tak swoją drogą, jak tam twoje życie uczuciowe? Zakochałeś się wreszcie?

Przed jego oczami natychmiast pojawił się obraz Anny.

- Cały czas ganiam złodziei, zbrodniarzy i różnych świrusów. - Wzruszył ramionami. - O jakich uczuciach można tu mówić?

- Tak, jasne. - Westchnęła. - A jak Terry?

- Jak to Terry - rzucił. - Przecież go znasz.

- Tak, znam - zgodziła się z goryczą.

Nic z tego nie będzie, pomyślał. Penny wciąż ma pretensje do byłego męża. Obiecał mu jednak, że z nią porozmawia, i musiał to zrobić.

- Wiesz - zaczął - nie przyjechałem tu tylko po to, żeby zobaczyć, jak się miewasz...

Spojrzała w bok, w stronę okna.

- Terry cię przysłał.

Pochylił się w jej stronę.

- On bardzo cierpi bez ciebie i dzieci. Tęskni za wami. Chce wrócić do domu.

Zaśmiała się szorstko.

- To prawda, że cierpi, ale nie ma to nic wspólnego ze mną i dziećmi.

Quentin wziął ją za rękę.

- On cię kocha, Pen. Od kiedy go wyrzuciłaś, jest zupełnie nie w sosie. Zaczął pić, prawie nie sypia. Po prostu powoli sam siebie zabija. Nigdy nie widziałem go w takim stanie.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- To masz szczęście.

- Pen...

- Nie! - Wyrwała mu rękę, wstała i podeszła do wychodzącego na małe podwórko okna. Bez słowa patrzyła w szarą przestrzeń.

W końcu obróciła się do niego z twarzą naznaczoną piętnem bólu.

- Tyle razy powtarzałam sobie, że Terry kocha mnie i dzieci, że jest nam lepiej razem. Że przynajmniej ciężko pracuje i sporo zarabia. Wreszcie, że powinnam z nim być, bo przysięgałam to przed obliczem nie tylko ludzi, ale również Boga. I że to wszystko z powodu jego fatalnego dzieciństwa. - Westchnęła głośno i znowu spojrzała na zimowy pejzaż za oknem. - Ale już nie mogę. Wcale nie jest nam z nim lepiej. I nie wierzę, żeby Bóg chciał, abyśmy się z nim dalej męczyli. - Uniosła dłoń do ust, a potem ją opuściła. - Quen, słusznie zauważyłeś, że Terry dąży do samozniszczenia, ale tak było zawsze, a nie dopiero od chwili, gdy go wyrzuciłam z domu. Nie chcę, żeby Matti i Aleks oglądali, jak ich ojciec się zabija.

Quentin zmarszczył brwi.

- Samozniszczenia, Pen? Nie wydaje ci się, że przesadzasz? To prawda, że z nim teraz gorzej, ale...

- Daj spokój! - Aż się zaczerwieniła z gniewu. - Przestań go usprawiedliwiać. Wszyscy przeżywamy trudne chwile, ale co z tego? Co z tego, że miał ciężkie dzieciństwo? To odległa przeszłość, a on jest już dorosły, więc powinien sam kierować swoim życiem. - Cała wściekłość wyparowała z niej nagle. Penny wyglądała teraz tylko na zmęczoną i zagubioną. - Nie mogę już walczyć z jego demonami. Przykro mi, ale nie mogę.

Quentin podszedł do niej. Przez dłuższą chwilę trzymał drżącą kobietę w mocnym uścisku. W końcu puścił ją i spojrzał jej w oczy.

- Co wiesz o jego matce, Pen? Słyszałem tylko, że było między nimi bardzo źle...

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie znosiłam tej kobiety, chociaż widziałam ją zaledwie parę razy. To ona, właśnie ona spowodowała, że Terry nienawidzi sam siebie!

- Co takiego zrobiła? Jak...

- Jak mogła go tak okaleczyć? Nie znam szczegółów, bo Terry nigdy o tym nie mówił. Nie pozwalał jej w ogóle zbliżyć się do dzieci. Nie chciał nawet, żeby przysyłała im kartki. -

Penny pokiwała smutno głową. - Podobno bez przerwy go wyśmiewała i upokarzała. Wciąż powtarzała, że się do niczego nie nadaje i że powinna zrobić skrobankę, zamiast urodzić takie zero...

Malone z trudem przełknął ślinę. Wystarczy, żeby złamać nawet najsilniejsze dziecko. Tak, to wiele wyjaśniało.

- Bardzo mi przykro, Penny.

- Mnie bardziej - mruknęła. - Chciałam...

- Mamo!

To wołała młodsza Matti. Penny spojrzała w stronę drzwi.

- Przepraszam, muszę iść.

Złapał ją za ramię.

- Tylko jedno pytanie. Obiecałem to Terry'emu. Czy się z kimś spotykasz? Czy wychodzisz wieczorami? Aleks mówił ojcu...

- Chcesz spytać, czy z kimś romansuję? Ciekawe, kiedy? Mam dom i dzieci, dzieci i dom. Tyle mam. - Urażona, gwałtownie wyszarpnęła ramię. - Spójrzmy prawdzie w oczy, Quen. To Terry miał czas na romanse, nie ja. Możesz mu to powiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Poniedziałek, 22 stycznia, godz. 21.00

Ben wrócił późno do domu. Miał za sobą naprawdę ciężki dzień. Nie tylko musiał biegać ze spotkania na spotkanie, ale jeszcze zrezygnował z lunchu, żeby ratować załamane go pacjenta. Później, mimo zmęczenia, kupił pikantnego kurczaka z różną, ulubione danie swojej matki, i poszedł do szpitala, żeby zjeść z nią kolację.

Teraz westchnął, szukając kluczy. Jego plan, żeby złapać prześladowcę Anny, zupełnie się nie powiódł, bo żaden z jego pacjentów nie zwrócił najmniejszej uwagi na książkę.

Postanowił się jednak nie poddawać. Co prawda nie znalazł winnego, ale wyeliminował przynajmniej siedem osób z listy. To już coś! Jakiś krok do przodu. Jutro zajmie się następnymi.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i nagle stanął, czując, jak jeżą mu się wszystkie włosy. Coś się nie zgadzało. Obejrzał przedpokój, spojrzął w stronę salonu i jadalni. Drzwi, które oddzielały oba pomieszczenia, były zamknięte, a tuż pod nimi widać było smugę światła. To nie on zamknął te drzwi.

Z bijącym sercem ruszył w stronę salonu. Poruszał się wolno, prawie nie robiąc hałasu. Podeszedł do kominka i wziął ze stojaka pogrzebacz. Następnie zbliżył się do drzwi. Otworzył je lekko i ściskając w dłoni pogrzebacz, zrobił krok do przodu. Przestań się bawić w Rambo, Beniaminie, mówił sobie. Wezwij policję.

Nie cofnął się jednak. Szedł przed siebie, czując gwałtowne bicie serca. Pokój był pusty. Wszystko leżało na swoim miejscu. Nagle usłyszał jakieś dźwięki, które dochodziły z zamkniętej sypialni. Zakradł się tam i wciąż drżąc, zajrzał do środka.

Sypialnia również wyglądała na pustą. Telewizor był włączony na Discovery. Ben z uśmiechem opuścił pogrzebacz. Nie pamiętał, żeby zostawił włączony odbiornik, co wcale nie znaczyło, że tego nie zrobił. Podeszedł do telewizora i wyłączył go.

Uśmiechnął się pobłaźliwie do siebie. Jednak, kiedy spojrzął na łóżko, uśmiech natychmiast zgasł. Na pościeli leżała żółta koperta. W jej lewym górnym rogu widniało jego nazwisko. Ben z obawą patrzył na obcy przedmiot. Nie chciał go widzieć. Bał się dotknąć. Jednak w końcu zwyciężyła ciekawość.

Podeszedł do łóżka i wziął kopertę do ręki. W środku znajdowała się duża fotografia jego i Anny w „Café du Monde“. Towarzyszyła jej krótka notatka: *Wiedziałem, że ci się*

spodoba. Będę patrzył.

Ręce zaczęły mu się trząść. Szybko schował zdjęcie i kartkę do koperty. Powinien zadzwonić na policję. I do Anny.

Zaczęła go boleć głowa i podniósł dłoń do skroni. Nie, jeśli zwróci się do policji, zażądamy listy jego pacjentów, a przecież nie może jej nikomu udostępniać. Poza tym Anna nie ufa policji, a on nie może jej narażać na kolejne przesłuchania. Zdenerwuje się, będzie zmartwiona i przerażona. Razem tak miło jadło się im śniadanie. A pocałunek był... więcej niż przyjemny. Dotąd nie myślał tak o żadnej kobiecie. Nie chciał stracić Anny. Wyglądało na to, że ona czuje to samo.

Ale kto przysłał ten list? I dlaczego?

Usiadł ciężko na łóżku, czując, że coraz bardziej boli go głowa i że zaczynają go piec oczy. Pomyślał, że powinien od razu zażyć przepisane przez lekarza środki przeciwbólowe, ale tylko wyciągnął się na pościeli i patrzył w sufit.

Kto to robi? I dlaczego?

Jęknął i zasłonił oczy dłonią. A poza tym jak ta osoba zdołała dostać się do jego mieszkania?! Przecież drzwi wejściowe były zamknięte na klucz! Może boczne zostawił otwarte? - pomyślał. Albo któreś z okien? Musiał to sprawdzić, chociaż był przekonany, że nie popełnił takiej nieostrożności. Życie w Atlancie nauczyło go dbania o bezpieczeństwo.

Klucze! Te, które zginęły na cały dzień! Tego dnia zamknął mieszkanie i poszedł do gabinetu, gdzie rzucił je na biurko. Jednak później nie mógł ich znaleźć. Dopiero wieczorem potknął się o nie, gdyż leżały na podłodze. Uznał, że ktoś musiał je zrzucić. Jednak teraz wiedział, że ukradł je któryś z pacjentów. Ten sam, który zostawił książkę Anny! Ten sam, który ją prześladował!

Przez moment widział przed sobą tylko rozmyte kształty, ale potem wzrok mu się znacznie wyostriżył. To był znak, że za chwilę ból głowy stanie się nieznośny. Zaczął krążyć po domu, sprawdzając drzwi i okna. Nie chciał się poddać. Pragnął do końca zbadać tę sprawę.

Jak przypuszczał, wszystko było pozamykane. Po drodze wziął tabletki przeciwbólowe i powlókł się do telefonu. Znalazł w książce całodobowy zakład ślusarski i zadzwonił po ślusarza. Kiedy już ślusarz wymieni mu wszystkie zamki, on weźmie książkę z wpisami i sprawdzi, kogo przyjmował tamtego dnia, kiedy zginęły mu klucze.

Tym razem jego sprytny pacjent z pewnością mu się nie wymknie. Musi się dowiedzieć, kto gra z nimi w kotka i myszkę. Po prostu musi!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Wtorek, 23 stycznia, godz. 1.00

Tym razem obudziło ją lekkie stukanie do drzwi. Cisza i ciemność panująca wokół powiedziały jej, że jest środek nocy. Ponownie usłyszała stukanie, a potem miauknięcie kota.

- Cicho, Tabby. Ona śpi.

Jaye natychmiast wyskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi.

- Nie - szepnęła, przywierając do nich. - Wcale nie śpię. Nie odchodź.

Ku jej rozpaczy, odpowiedziała jej cisza. Boże, bądź tam, moja mała słodka przyjaciółko, zawołała w duchu i powtórzyła:

- Nie śpię, jestem tu.

- Przyszłam sprawdzić, czy nic ci nie jest.

- Nic. Ale nie odchodź, proszę, zostań choć przez chwilę. - Przyłgnęła jeszcze mocniej do drzwi. - Porozmawiaj ze mną.

- Sama nie wiem. - Głos dziewczynki drżał ze strachu. - Nie wolno mi tego robić. On będzie bardzo zły, jak się dowie.

- Na pewno się nie dowie - uspokoiła ją Jaye. - Będę bardzo cicho.

Dziewczynka długą chwilę się wahała, ale w końcu się zgodziła.

- Ale naprawdę cicho? - upewniła się jeszcze.

Jaye potwierdziła i klękła przy klapce dla kotów.

- Jak się nazywasz?

- Minnie. A moja kotka nazywa się Tabitha. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Jaye zdołała nie krzyknąć.

- To ładne imię. Jak wygląda?

- Jest bura. Ma zielone oczy i miękką sierść.

Jaye uśmiechnęła się.

- Ile masz lat, Minnie?

- Jedenaście. Tak jak Tabitha.

Jaye przycisnęła się jeszcze bliżej klapki. Teraz słyszała nawet mruczenie kota.

- A ja jestem Jaye. Mam piętnaście lat.

- Wiem. On mi powiedział.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- To znaczy, kto? Twój ojciec czy...?

- Adam. Nie wiem, jak ma na nazwisko.

- Jak długo z nim jesteś?

- Bardzo długo - odparła zmieszana dziewczynka. - Chyba od zawsze.

Jaye wiedziała, że nie od zawsze. Adam porwał Minnie, tak jak ją!

- Musisz mi pomóc, Minnie. Mam przyjaciół, którzy mieszkają w pobliżu. Jeśli się stąd wydostaniemy, będziemy wolne.

- Nie mogę. On by się bardzo złościł. Skrzywdziłby Tabithę, jak wcześniej moich przyjaciół...

Jaye zacisnęła mocno powieki.

- Mogłabyś wrócić do domu, Minnie. - Głos zaczął jej drżeć, ale starała się nad nim zapanować. Czowała, że dziewczynka będzie jej bardziej ufać, jeśli nie okaże strachu. - Zadbałabym o to.

- Do domu? - szepnęła. - Nie pamiętam domu.

Jaye ogarnęła wściekłość i nienawiść. Kim jest ten potwór, który porwał tak małe dziecko? Nieważne, zrobi wszystko, żeby za to zapłacił! Nie chciała jednak o tym mówić, żeby nie wystraszyć dziewczynki.

- Opowiedz mi więcej o sobie, Minnie. Chodzisz do szkoły?

Nie chodziła, ale umiała czytać i pisać. Zaczęła zadawać małej kolejne pytania i wkrótce miała już gotowy obraz Minnie. Była zahukana i niska. Miała jasne włosy. Adam, jeśli to było jego prawdziwe imię, trzymał ją w zamknięciu, od kiedy skończyła pięć albo sześć lat.

Jaye również opowiedziała Minnie o sobie, o swoim życiu i przyjaciołach, za którymi tak tęskniła. Wspomniała też Annę. W tym momencie Minnie zaczęła płakać.

- Nie płacz - prosiła Jaye. - Przecież nic nie powiedziałam. Nie chciałam, żebyś...

- To on kazał mi napisać te listy. To on! Dlatego tu jesteś! To moja wina!

Jej głos narastał i Jaye próbowała ją uciszyć. Nie chciała, żeby Minnie obudziła Adama. Nie chciała znowu zostać sama.

- O czym ty mówisz? Jakie listy?

- Listy do Anny! To przez niego! Powiedział, że skrzywdzi Tabithę, jeśli ich nie napiszę!

Jaye zamarła z przerażenia.

- Do Anny? Nie rozumiem.

Ależ tak, listy od wielbicielki, które bardzo zaniepokoiły Annę. Listy od Minnie! O Boże, tylko nie to!

Z drugiej strony drzwi dobiegły do niej jakieś odgłosy. Wyglądało na to, że Minnie też uklękła i pochyliła się do klapki.

- Anna jest w niebezpieczeństwie. Adam cały czas o niej mówi. Ma taki... plan...

Minnie mówiła coraz ciszej i Jaye mocniej przywarła do drzwi.

- Dlatego cię porwał. Żeby dostać Annę.

Jaye pomyślała o kłótni z Anną i okropnych rzeczach, które jej powiedziała. Poczula się winna. Więc okazuje się, że Anna miała rację, ukrywając swoją prawdziwą tożsamość. Jej koszmar wcale się nie skończył i jako przyjaciółka powinna była ją zrozumieć. Ale nawet tego nie próbowała. A teraz znalazła się na jej miejscu.

Musi ją ostrzec! Musi jakoś jej pomóc!

- Minnie, co on chce jej zrobić? - szepnęła. - Musisz mi powiedzieć! Musimy ratować Annę!

Odpowiedziała jej cisza. Znow została sama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wtorek, 23 stycznia, godz. 19.00

Anna wróciła do domu po pracowitym dniu. Zwykle wtorki w „Perfect Rose“ należały do spokojnych, ale ten był wyjątkowy. Cały dzień albo przyjmowała zamówienia, albo pomagała Daltonowi w zdobieniu wiązanek, dmuchała balony i bez przerwy cięła wstążki. Wyczerpany Dalton, którego zaczęły boleć palce, wyszedł wcześniej. Przekonana, że na godzinę przed zamknięciem nie będzie miała zbyt wielu klientów, zapewniła go, że sobie poradzi. Chciała posprzątać i przygotować wszystko na następny dzień. Niestety, gdy tylko Dalton zniknął, w kwaciarni pojawiło się dwóch zaaferowanych mężów. Jeden potrzebował kwiatów na urodziny żony, a drugi na rocznicę ślubu. Na szczęście poprosili o róże, z którymi radziła sobie najlepiej, ale to zamówienie zajęło jej prawie całą godzinę. Została więc dłużej, wiedząc, że jeśli jutrzejszy ranek okaże się równie pracowity, będą musieli mieć z Daltonem wszystko pod ręką.

W końcu dotarła do mieszkania. Była zmęczona i głodna. Czowała się podle. W ciągu dnia odebrała telefon od agenta, który poinformował ją o ostatecznej propozycji Cheshire House. Warunki były nawet nieco lepsze niż poprzednio, tylko musiała się na nie natychmiast zdecydować. Odmówiła.

Z westchnieniem rzuciła klucze na stolik przy wejściu. Chciała podpisać tę umowę. Pragnęła tego z całego serca, lecz wiedziała, że nie podoła wymaganiom wydawnictwa. Nie mogła sobie wyobrazić, by miała odpowiadać na pytania czytelników związane z przeszłością. Nie mogła i już!

Beznadziejność takiej sytuacji działała na nią wyjątkowo depresyjnie. Chciała zrobić sobie kanapkę i sięść do komputera. Miała nadzieję, że praca poprawi jej nastrój. Żeby tylko udało jej się napisać choćby z jedną stroną przyzwoitej prozy!

Włożyła legginsy i sweter, i ruszyła do kuchni. Po drodze zerknęła jeszcze na automatyczną sekretarkę, ale nikt się nie nagrał. Włączyła radio i podeszła do lodówki.

Kuchnię wypełniły dźwięki „Mardi Gras Mambo“. Anna zanuciła pod nosem, biorąc kolejne rzeczy. Wzięła najpierw indyka, potem dużo warzyw i słoik majonezu. Zdecydowała się jeszcze na koper i trochę chipsów. Wyłożyła wszystko na talerz, po czym sięgnęła na półkę po dzbanek z wodą. I wtedy to zobaczyła...

Na ozdobnej serwetce w kształcie serca, na deserowym talerzyku, spoczywał palec. Mały palec. Serce podskoczyło jej do gardła. Złapała się za skronie i krzyknęła przeraźliwie.

Cofnęła się, a dzbanek wypadł jej z ręki. Zimna woda oblała jej stopy.

Kurt! Więc ją znalazł!

Znów krzyknęła histerycznie i zaczęła uciekać. Wypadła ze swojego mieszkania i przebiegła przez korytarz do drzwi Daltona i Billa. Z płaczem zaczęła w nie walić. Żeby tylko byli w domu, modliła się w duchu. Boże spraw, żeby byli!

Jej modlitwy zostały wysłuchane. Przyjaciele wpuścili ją i cierpliwie czekali, aż się pozbiera i wyjaśni, co się stało. Gdy to nastąpiło, zadzwonili do Malone'a. Dalton został z Anną, obejmując ją opiekuńczo, a Bill poszedł do jej mieszkania, żeby sprawdzić, co tam się dzieje.

Wciąż jeszcze oddychała nierówno, a Dalton tulił ją mocno do siebie.

- Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze - zapewnił, ale bez przekonania. Anna zauważyła, że głos mu lekko drży. Chętnie by go uspokoiła, gdyby sama nie była tak roztrzęsiona.

Kurt ją znalazł. Był w jej mieszkaniu. Chce ją zabić.

Zadrzała i przysunęła się jeszcze bardziej do przyjaciela.

- Boję się.

- Wiem. - Wypuścił nagromadzone powietrze. - Wszyscy się boimy.

Malone, który zaczął od przeszukania jej mieszkania, pojawił się z plastikową torbą. Włożył do niej palec, serwetkę i talerzyk. Zaraz za nim wszedł biały jak trup Bill. Anna z trudem przełknęła ślinę.

- Czy to był...? Czy wiadomo już, do kogo...?

- Jest sztuczny. - Quentin potrząsnął głową, podchodząc do niej. - Podróbka, ale dobra.

Rodzaj gumowej protezy.

Położył torbę na stole. Anna odwróciła od niej wzrok. Proteza nie proteza, wołała na nią nie patrzeć. Malone kucnął przed nią, zasłaniając sobą odcięty palec. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Anno, czy drzwi były zamknięte, kiedy wróciłaś do domu?

Myślała przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Tak jak zwykle. Najpierw otworzyłam drzwi, a potem położyłam klucze na stoliku w holu.

- Nic nie zwróciło twojej uwagi? Nie miałaś wrażenia że coś jest nie w porządku?

Pokręciła głową.

- Nie, nic.

- A czy wiedziałaś, że masz otwarte drzwi na balkon?

- Jesteś pewny? - Zmarszczyła brwi. - To niemożliwe.

- A jednak - wtrąci się Bill. - Sam widziałem.

- Zaraz, zaraz, pamiętasz, jak jedliśmy śniadanie na zewnątrz? - Dalton potarł czoło. -

Wyszłaś wtedy na balkon i rozmawiałaś z nami. Może później zapomniałaś zamknąć drzwi?

A więc jednak było możliwe, choć zupełnie przeciwne jej przyzwyczajeniom.

- Sama nie wiem - rzekła niepewnie.

- Wszystkie okna były zamknięte - dodał Malone. - Nigdzie śladów włamania.

- Myślisz, że dostał się przez balkon?

- Bardzo prawdopodobne. - Quentin wyjął notes i posłał jej uważne spojrzenie. - Jest jeszcze jedna możliwość. Czy ktoś poza tobą ma klucz do tego mieszkania?

- Tylko Dalton.

Malone spojrział w bok, a Dalton pokraśniał jak piwonia.

- Jestem właścicielem budynku, więc mam klucze do wszystkich mieszkań - wyjaśnił.

- Co wcale nie znaczy, że z nich korzysta. - Anna pospieszyła przyjacielowi na odsiecz, zwracając się do Quentina. - Dalton i Bill to moi przyjaciele. Nigdy...

- Tak, jasne. - Malone przeniósł na nią wzrok. - Więc może jakiś eks narzeczony? Albo były partner, który przemieszkiwał z tobą?

Zaczerwieniła się prawie tak samo jak Dalton. Malone miał prawo zadać jej to pytanie, ale mimo to miała mu to za złe.

- Nie miałam żadnego.

- Nie mieszkałaś nawet z koleżankami? - Pokręciła głową, a Malone znowu zapisał sobie coś w notesie. - Więc może masz jakieś podejrzenia, kto mógłby za tym stać?

To pytanie podziało na nią jak cios. Przez moment musiała walczyć ze sobą, żeby nie zacząć krzyczeć.

- Kurt - wydusiła w końcu.

- Kurt? Chyba nie chodzi ci o tego faceta, który cię porwał dwadzieścia trzy lata temu?

- Właśnie o niego - odparła stanowczo. - Wiem, że mnie znalazł.

Malone spojrział na jej przyjaciół, a potem cicho chrząknął.

- Masz na to jakiś dowód?

Na te słowa zaśmiała się ponuro.

- Czy potrzebuję jeszcze jakichś dowodów?! Po tym... co się stało?!

Policjant milczał przez chwilę, w końcu zaczął łagodnym tonem, starannie dobierając słowa:

- To zrozumiałe, że tak czujesz, ale jest bardziej prawdopodobne, że to jednak ktoś

inny. Ktoś, kto ma obsesję na punkcie twojej historii.

- Wspaniale - mruknęła. - To znaczy, że napalił się na mnie jeszcze ktoś inny niż tamten psychopata. Niektóre dziewczyny mają powodzenie, co?

Uśmiechnął się, chociaż wcale nie wyglądał na rozbawionego.

- Z praktyki wiadomo, że najpewniej jest to ktoś, kogo znasz. - Zerknął na Billa i Daltona. - Któryś z twoich przyjaciół lub znajomych. Może jakiś stały klient, kelner z kawiarni, w której bywasz, ktoś w tym rodzaju. Być może widzisz go bardzo rzadko. - Raz jeszcze obrzucił wzrokiem całą trójkę. - To, co się stało, wskazuje, że jest sprytny i zdecydowany. A poza tym sporo wie o tobie. Czy ktoś przychodzi ci do głowy?

Anna zacisnęła palce.

- Nie wiem, po co ktoś, oczywiście poza Kurtem, miałby mnie prześladować! - Spojrzała na Daltona, a potem na Billa. Obaj skinęli głowami na znak, że się z nią w pełni zgadzają.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy. - Bill rozłożył ręce w bezradnym geście. - Bardzo żałuję.

Dalton powiedział to samo. Malone podrapał się po brodzie.

- Dobra, zacznijmy od podstaw. W najlepszym przypadku masz do czynienia z kimś o specyficznym poczuciu humoru. Odpowiada mu to, że się boisz. Terroryzuje cię z daleka i cały czas bardzo uważa, żebyśmy go nie wykryli. To ukrywanie się jeszcze bardziej go podnieca. Ale oczywiście nie zrobi ci nic złego.

- A w najgorszym przypadku? - spytała, dbając o to, żeby nie wyglądać na zbyt przygnębioną.

- W najgorszym przypadku mielibyśmy do czynienia z prawdziwym psychopatą. Chce cię najpierw zastraszyć, powoli nasilając bodźce, ale tak naprawdę chodzi mu o to, żeby cię zabić lub okaleczyć.

- Boże święty! - jęknął Dalton.

Bill opadł na stojący obok fotel.

- Napiłbym się czegoś mocniejszego - mruknął.

Anna poczuła, że robi jej się słabo.

- Więc... co dalej?

- Przede wszystkim powinnaś mi pomóc. Czy w twoim życiu ostatnio wydarzyło się coś niezwykłego? Jacyś nowi ludzie czy dziwne zdarzenia?

- Nic niezwykłego, ale...

- Tak? - Spojrzał na nią ostro.

- To zaczęło się ponad tydzień temu - zaczęła, żałując, że nie powiedziała mu o tym wcześniej. - Dostałam przesyłkę bez adresu zwrotnego. W kopercie znalazłam kasetę wideo z wywiadem z moją matką. Później pokazano go w telewizji w programie na Kanale E!

- Jak się nazywał dziennikarz, który przeprowadził ten wywiad?

Podawała nazwisko, a potem zaczęła opowiadać o ludziach, którzy dostali jej najnowszą książkę z tajemniczą notatką. Zakończyła na najbardziej niezwykłym przypadku Bena Walkera.

- Ben uważa, że książkę zostawił mu któryś z pacjentów, chociaż nie wie, który i dlaczego to zrobił. Pytałam o Petera Petersa, ale nie ma takiego na swojej liście.

Malone spojrział na nią z zainteresowaniem.

- I nigdy wcześniej nie spotkałaś tego doktora Bena Walkera?

- Nie. Odnalazł mnie przez Stowarzyszenie Starszych Sióstr i Braci Ameryki.

- Sprawdzałaś to?

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nie, ale po co miałabym to robić... Ben jest naprawdę sympatyczny.

- Tak jak wielu psycholi - podchwycił Malone.

Czując, że policzki znowu spłonęły jej rumieńcem, postanowiła bronić przyjaciela.

- Proszę bardzo, możesz się z nim skontaktować. Zobaczysz, że jest zupełnie normalny.

- Z całą pewnością. Masz jego telefon?

- Nie, gdzieś mi się zapodział. Ale Ben ma gabinet poza centrum. Nazywa się Walker i jest psychologiem.

Malone zanotował sobie to wszystko.

- Coś jeszcze?

- Listy - podsunął Dalton.

- Te listy od małej dziewczynki, o których mi mówiłaś? - spytał Quentin. Kiedy potwierdziła, zmarszczył brwi. - Myślisz, że w jakiś sposób wiążą się z tą sprawą?

- Sama nie wiem. - Popatrzyła na przyjaciół, oczekując poparcia, a oni pokiwali głowami. - Po ostatnim stwierdziliśmy, że ktoś robi sobie okropne żarty. Tak jak sam to sugerowałaś.

- Ten list był mocno przesadzony. Trudno było w to wszystko uwierzyć - dodał Bill.

- Masz go jeszcze?

- Tak, wszystkie. Zaraz...

- Ja go przyniosę, Anno - powiedział Dalton, wstając. - Czy są w twoim biurku?

- W prawej górnej szufladzie - odparła.

Dalton wrócił po paru minutach z listami, które wręczył Annie. Wyszukała ostatni i podała go policjantowi. Malone najpierw spojrział na adres, a potem znowu na nią.

- Wie, gdzie pracujesz?

Zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.

- Za pierwszym razem odpowiedziałam na papeterii z „Perfect Rose“. Po prostu nie pomyślałam...

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa, a potem zaczął czytać list Minnie.

- Czy dostałaś następny? - spytał.

- Po tym już nie. - Zacisnęła palce. - Czy nie wydaje ci się, że to fałszerstwo?

- Możliwe. - Zamknął oczy, zastanawiając się przez moment nad całą sytuacją. - Ktoś się z tobą bawi w kotka i myszkę, Anno.

- Chyba jednak zrobię sobie drinka - powiedział Bill, przechodząc do kuchni. - Komuś jeszcze?

Malone nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Mogę zatrzymać ten list?

- Jasne. Chcesz poprzednie?

Potwierdził, a następnie włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Macie coś jeszcze? - spytał.

- Chyba nie. - Anna spojrzała na Daltona, który pokręcił głową.

- Nie, nic.

- Dobrze, zgłoszę to teraz u siebie - powiedział i wstał. - Przyślą ekipę techniczną, żeby sprawdziła, czy twój gość nie zostawił jakichś śladów.

- Myślisz, że mogą coś znaleźć? - spytała z nadzieją w głosie.

- Powiedzieć szczerze? Nie, niczego nie znajdą. Ale lepiej to sprawdzić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wtorek, 23 stycznia, godz. 22.35

Quentin zatrzymał się na chodniku przed kamienicą i spojrzał na jasno oświetlone okna. Na jego czole pojawiły się zmarszczki. Nie miał wątpliwości, że Anna padła ofiarą jakiegoś psychologa. Albo z powodu swojej przeszłości, albo książek.

Wciąż jednak nie wiedział, w jakim stopniu jest on niebezpieczny. I czy zdecyduje się na zaostrenie kampanii strachu? Ostatnie posunięcie wydawało mu się wyjątkowo śmiałe. Czy na tym koniec?

Poza tym intrygowała go postać doktora Walkera. Anna od razu stanęła po jego stronie. Było widać, że go lubi, a może nawet więcej... A przecież знаła go zaledwie parę dni! Ciekawe, co ich łączy? To w zasadzie nie powinno go interesować, ale Quentin nie potrafił poskromić ciekawości. Poczul wyraźne ukłucie zazdrości. Anna North bardzo mu się podobała, a nawet bardziej niż bardzo, i absolutnie nie chciał, żeby kręcił się wokół niej jakiś inny mężczyzna. Być może powinien złożyć niespodziewaną wizytę doktorowi Walkerowi?

Znowu uniósł głowę, ponieważ na tle okna pojawiła się Anna. Stała zwrócona w jego stronę. Patrzyli na siebie. Mijały sekundy, a oni nawet się nie poruszyli. Quentin najchętniej ruszyłby z powrotem do jej mieszkania. Stał tak w świetle z jej okna, wyobrażając sobie, jak pędzi na górę, przeskakując po parę stopni, gwałtownie porywa ją w ramiona, a potem niesie do łóżka.

Anna skinęła mu głową, na znak, że go poznaje, a potem zaciągnęła żaluzje. Stał w ciemności. Sprzed oczu zniknął mu obraz nagich ciał, splecionych w miłosnym uścisku.

Quentin pokręcił głową i podszedł do auta, wsiadł i uruchomił silnik, cały czas myśląc o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Przypomniat też sobie koniec wizyty u Penny.

Kiedy poszła do dziecka, patrzył za nią, czując się jak ostatni śmieć. Już wcześniej wiedział, że nie powinien się z nią spotykać, i nie powinien mówić tego, co powiedział. Widział, że nie jest jej lekko, a on tylko pogorszył jej sytuację.

Penny powiedziała, że już wcześniej zupełnie nie panowała nad Terryem. I że jego kumpel dąży do samozniszczenia. Dlaczego on tego nie widział? Czyżby miał, jak twierdziła Penny, wyidealizowany obraz partnera?

Quentin zmarszczył brwi. Nie, przecież Terry nie miał problemów do chwili, aż zaczęło się psuć w jego małżeństwie. To prawda, zdarzało się, że więcej wypił, miewał też dzikie wyskoki, lecz to wiązało się z pracą. Czasami trzeba było odreagować różne stresy.

Policjanci nie stykali się na co dzień z jasnymi stronami życia. Dlatego niektórzy pili, inni poświęcali się rodzinie albo nagle stawali się religijni. Byli też tacy, którzy gonili za dziewczynami, i tacy, którzy gorzknieli w samotności albo niczego nie potrzebowali, bo praca nie pozostawiała najmniejszego śladu na ich psychice. Quentin wybrał numer swojego posterunku. Odebrał oficer dyżurny.

- Cześć, Brad, tu Malone. Możesz sprawdzić mi adres niejakiego doktora Beniamina Walkera? Nie, nie medyk, ale psycholog. Chodzi mi o mieszkanie, gabinet zresztą też. Prawdopodobnie mieści się gdzieś na przedmieściach.

- Już mam - powiedział dosłownie po paru sekundach Brad. - Constance Street. Mieszkanie i gabinet.

Malone zapisał dokładny adres.

- Wszystko w porządku? - spytał jeszcze.

- Tak. Cisza jak w rodzinnym grobowcu. Cześć, Malone. Trzymaj się.

- Ty też. - Quentin rozłączył się i ruszył wolno przed siebie.

Przejechał przez Canal Street, mijając Canal Place i Saks Fifth Avenue. Terry dojdzie do siebie, kiedy sytuacja się wyklaruje. Musi oswoić się z myślą, że Penny już do niego nie wróci, a wtedy szybko dojdzie do dawnej formy. Ale tak naprawdę będą mogli się odprężyć dopiero wtedy, kiedy znajdą zabójcę Nancy Kent i Evelyn Parker.

Media już zrobiły z tych zabójstw główny temat. Jakiś nieodpowiedzialny dziennikarz napisał nawet o „Rzeźniku z Bourbon Street“ i turyści zaczęli się denerwować. Społeczeństwo domagało się zdecydowanych działań, a stary Pennington chciał mieć wyniki. I to na wczoraj.

Quentin zacisnął mocniej dłonie na kierownicy. Wydawało się, że nikt ze świadków nie zobaczył niczego szczególnego, chociaż wokół było pełno ludzi. Przesłuchali już cały personel obu lokali, a także część tych mężczyzn, którzy tańczyli z ofiarami morderstw. Ale, jak do tej pory, nie mieli podejrzanego.

Quentin zatrzymał się na światłach przy Lee Circle. Pomnik generała Roberta Lee w świetle reflektorów błyszczał upiornie. Patrzył na niego przez chwilę, a potem spojrzał na drogę. Zdołał już sprawdzić wraz ze swoim zespołem wszystkie przypadki gwałtów i morderstw z ostatnich paru lat. Godzinami szukał wspólnych punktów.

Przesłuchał raz jeszcze żyjące ofiary, starając się znaleźć napastnika z podobną metodą działania. Sprawdził wyniki badań medycznych i wszystkie dowody znalezione na miejscu zbrodni. I nic.

Quentin spojrzał w przestrzeń. Przecież on też był w tawernie Shannona tej nocy,

kiedy zginęła Nancy Kent, czyli był jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą. Wierzył w to, że morderca był wtedy z nimi w knajpie. Obserwował Nancy, być może zatańczył z nią raz czy drugi. Quentin zapewne go widział. I ta świadomość nie dawała mu spokoju.

Światła zmieniły się i ruszył przed siebie. Obie kobiety zostały ograbione. Pierwsza była bogata, wszyscy to wiedzieli, a kiedy ją znaleziono, miała zupełnie pustą portmonetkę.

Nagle przypomniał sobie Terry'ego, który podawał Shannonowi pięćdziesiątkę! Zatrzymał auto, żeby ochłonąć. Dobry Boże! Co mu chodzi po głowie?! Że to Terry ją zabił? Że ten banknot należał do Nancy Kent? Quentin potrząsnął z niedowierzaniem głową. Nie, Terry nie jest mordercą. To niemożliwe. Poza tym spędzili wtedy razem niemal cały wieczór, a kiedy się rozstawali, Terry był pijany w trupa. Prawie nie mógł chodzić, nie mówiąc o duszeniu. Co się z nim dzieje?! Jak mógł choćby pomyśleć o czymś takim?

Po chwili opanował się i ruszył dalej. Stąd miał już blisko. Zatrzymał się przed typowym nowoorleańskim bliźniakiem i sprawdził adres. Tak, dobrze trafił. Okna domu były ciemne, na podjeździe nie stało żadne auto. Quentin spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Uśmiechnął się lekko. Jaka szkoda, że będzie musiał zbudzić doktora. Naprawdę wielka szkoda.

Wyłączył silnik i ruszył wprost do drzwi frontowych. Zadzwoił, odczekał chwilę i znowu zadzwonił. Żadnego szczekania, żadnych świateł. Zapukał, a ponieważ i tym razem odpowiedziała mu cisza, przeszedł na tyły domu. Wszedł po schodach, zapukał raz, a potem drugi. Bardzo ciekawe, pomyślał, wracając do samochodu. O jedenastej, w zwykły dzień pracy, doktor Walker wciąż był poza domem. Zdaje się, że jest nocnym markiem.

A może zadzwoniła do niego Anna? Może pojechał, żeby ją pocieszyć? - pomyślał, wcale niezachwycony taką perspektywą.

To wykluczone, dodał w duchu. Będę musiał do niego zadzwonić jutro rano.

Pojechał w kierunku St. Charles Avenue pod baldachimem rozłożystych, stuletnich dębów. Mijał posiadłości z przełomu wieków oraz Loyola i Tulane Universities. Znał te miejsca jak własną kieszeń. Mieszkał w tej okolicy, w małym domu w zakolu Missisipi. Niedaleko stąd łączyły się dwa najsłynniejsze nadrzeczne bulwary: St. Charles i Carrollton, przechodząc w ślepą River Road.

Spółeczność była tu mieszana, głównie młode, pracujące małżeństwa, ale także studenci i wykładowcy. Można też było znaleźć bungalowy, stare bliźniaki i domki, wszystkie odnawiane i remontowane. Quentin pojechał w dół i skręcił na podjazd. Zatrzymał się pod daszkiem. Wyłączył silnik i wysiadł. Myśli znów kłębiły mu się w głowie.

Tamtej nocy w tawernie Shannona stracił Terry'ego z oczu na jakąś godzinę. I to zaraz

po incydencie z Nancy Kent!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Środa, 24 stycznia, godz. 6.50

Następnego ranka Quentin powrócił do domu doktora Beniamina Walkera i wszedł po schodach do drzwi wejściowych. Przy okazji zwrócił uwagę na świeżo malowaną fasadę i miły, chociaż dosyć pusty ogród. Nie widział tego wczoraj w nocy. Prawa strona bliźniaka służyła Walkerowi jako dom mieszkalny, a lewa jako gabinet, o czym informowała mosiężna tabliczka.

Quentin zadzwonił do drzwi. A potem jeszcze raz. Myślał, że o tej porze na pewno obudzi psychologa, który wczoraj tak późno położył się spać. Uśmiechnął się do siebie. Chodziło mu właśnie o to, żeby dorwać go, gdy nie będzie jeszcze w pełnej formie, przed poranną kawą, spieszącego się do pracy. Później doktor zacznie przyjmować pacjentów i Quentin wiedział, że będzie musiał na niego czekać.

Usłyszał odgłosy kroków, a potem dźwięk otwieranego zamka. Drzwi się otworzyły. Mężczyzna po drugiej stronie wyglądał tak, jakby właśnie wziął prysznic. Zarzucił sobie ręcznik na szyję, a włosy miał mokre. Ze środka dobiegały dźwięki muzyki poważnej.

- Pan Walker? - Pokazał swoją odznakę. - Jestem Quentin Malone, oficer śledczy SWNP.

- Chodzi panu o Beniamina Walkera? - upewnił się, bardzo zaskoczony.

- Właśnie. - Schował odznakę. - Wygląda na to, że przerwałem panu poranną toaletę. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. - Wytarł dłonie w ręcznik. - Czym mogę służyć?

- Wczoraj wieczorem w mieszkaniu panny North miał miejsce przykry wypadek, a pan...

- Anna?! - przerwał mu Walker. - Wypadek? Coś jej się stało!

- Mogę wejść?

- Bardzo proszę.

Doktor przeszedł do środka, a Quentin ruszył za nim. W końcu znaleźli się w saloniku. Malone od razu domyślił się z wystroju, że Ben Walker żyje samotnie i nie ma żadnych dzieci. Stało tutaj tylko parę mebli, wszystkie dobrej jakości. Nie było tu prawie obrazów ani zdjęć rodziny, ale na ścianach wisiało sporo luster, przez co salonik trochę przypominał wesołe miasteczko.

Ben wskazał mu miejsce i sam też usiadł.

- Co się stało Annie? Czy nic jej nie jest? - powtórzył.

- Nic, poza tym, że na pewno wciąż jest trochę wstrząśnięta. - Quentin spojrział mu prosto w oczy, licząc na to, że go onieśmieli. - Ktoś zrobił jej brzydki kawał. Wszedł do jej mieszkania i zostawił tam na talerzyku mały palec. Znalazła go po powrocie do domu.

Walker zbladł.

- Biedna Anna. Pewnie była przerażona. Czy pan wie, do kogo...?

- To był sztuczny palec. Proteza.

- Dzięki Bogu! - Mężczyzna ściągnął brwi, zastanawiając się nad czymś, a potem spojrział na Quentina. - Zaraz panu coś pokażę. Proszę chwilę poczekać.

Wrócił po chwili i wręczył mu żółtą kopertę.

- Niech pan spojrzy.

Quentin otworzył kopertę. W środku znajdowała się kartka oraz zdjęcie Anny i doktora w „Café du Monde“. Przeczytał notatkę i podniósł oczy na Bena.

- Kiedy pan to dostał?

- Dwa dni temu wieczorem. Ktoś był wcześniej w moim mieszkaniu i zostawił tę kopertę.

Quentin zmrużył oczy, zaniepokojony takim obrotem sprawy.

- Jak pan sądzi, co to może znaczyć?

- Nie mam pojęcia. Osoba, która zrobiła to zdjęcie, musiała śledzić mnie lub Annę, a teraz chce mnie wciągnąć w jakąś niebezpieczną grę. Przepraszam, mnie i Annę.

- Właśnie dlatego tu jestem.

Ben nagle zeszywniał.

- To znaczy?

- Anna mówiła mi, że podejrzewa pan któregoś ze swoich pacjentów. Chodzi o książki i informacje o programie.

- To możliwe - mruknął ostrożnie. - W końcu ja też dostałem tę przesyłkę, chociaż nie znałem Anny.

- Chyba że poprzez pracę.

- Słucham?

- Pańską specjalizację.

- A tak. Chociaż w Nowym Orleanie jest wielu psychologów zajmujących się tym tematem.

- Więc dlaczego ktoś wybrał właśnie pana?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Wówczas, być może znalazłbym tę osobę.

- Być może?
- Nie jestem przecież czarnoksiężnikiem.
- Chciałbym dostać listę pańskich pacjentów.
- Przecież wie pan, że to niemożliwe.
- Jedna z tych osób zagraża Annie North!
- To wcale nie jest takie oczywiste.
- Ten człowiek włamał się wczoraj do jej mieszkania i zostawił upiorny prezent.

Chyba nie sądził, że się z niego ucieszy!

- Niestety, nie mogę dać panu tej listy. - Wstał, aby pokazać, że uważa spotkanie za skończone. - Bardzo mi przykro.

Quentin poszedł w jego ślady.

- Czy aby?

- Muszę przestrzegać zasad etycznych mojego zawodu, podobnie jak pan. Co pan robi, jeśli wie pan, że ktoś jest winny, a mimo to nie chce się do tego przyznać? Bije go pan? Torturuje? Czy może fabrykuje odpowiednie dowody? A może jednak przestrzega pan prawa?

Quentin skrzywił się na tę przemowę.

- Chce pan przez to powiedzieć, że to zapewne któryś z pańskich pacjentów?
- Niech mnie pan nie łapie za słowa.

Quentin uśmiechnął się ponuro.

- To specjalność policjantów. - Wskazał zdjęcie. - Mogę je zatrzymać?
- Tak, oczywiście. Ale mam prośbę. Anna nic o tym jeszcze nie wie i chciałbym sam jej o tym powiedzieć. Wahałem się...Nie chciałbym jej przestraszyć. - Zaczerwienił się, czując, jak absurdalnie brzmią te słowa po tym, co się stało. - Zaraz do niej zadzwonię.

- Koniecznie, bo inaczej nic nie mogę obiecać. - Quentin wręczył mu wizytówkę. - I proszę się ze mną skontaktować, gdyby pan zmienił zdanie.

- Jasne. - Wziął kartonik i podszedł do drzwi.

- Co z tymi lustrami? - spytał Quentin, gdy zauważył jeszcze kilka. - Są dla pana oknami duszy?

- Traktuję je jak oczy. Sam nie wiem, dlaczego je lubię. Zacząłem zbierać stare lustra parę lat temu i mam ich prawie dwadzieścia.

- Ciekawe hobby. A co pan robi, kiedy zabraknie na nie miejsca?

- Nie mam pojęcia. Może się przeprowadzę. - Ben otworzył drzwi. - Bardzo mi przykro, że nie mogłem panu pomóc. Naprawdę.

- Ja też żałuję. - Quentin przekroczył już próg, ale jeszcze odwrócił się. - Byłem u pana wczoraj w nocy, ale nikogo nie zastałem. Chyba pan gdzieś wyjeżdżał, prawda?

Ben nerwowo zamrugął.

- Nie wychodziłem z domu.

- Dzwoniłem i pukałem. Nikt nie otworzył.

- Po prostu mocno śpię.

- To zabawne, bo przed domem nie było pańskiego samochodu.

- Czy chce mnie pan o coś oskarżyć? - najeżył się Walker.

- Nie, po prostu mnie to uderzyło.

- Parkuję na ulicy, dzięki czemu pacjenci mogą wjeżdżać na podjazd, a ja nie muszę przestawiać wozu. - Wskazał sznurek stojących na ulicy samochodów. - O, to mój srebrny taurus.

- Dobrze pomyślane, panie doktorze.

- Dziękuję. - Spojrzał na zegarek. - Przykro mi, ale jeśli nie ma pan dalszych pytań, to chciałbym się przebrać. Za pół godziny mam pierwszego pacjenta.

- Tak, oczywiście. Dziękuję za rozmowę.

Quentin odwrócił się i wyszedł. Coś w doktorze Walkerze wyraźnie mu nie odpowiadało, chociaż nie wiedział, o co chodzi. Facet był przecież bardzo miły i starał się mu pomóc. Ale za mało, pomyślał i przystanął. Był zbyt ugrzeczniwy. Naprawdę wykształcony facet. Na pewno bardzo podoba się Annie.

- Czy coś jeszcze?! - zawołał Ben od drzwi.

- Tak. - Quentin ściągnął brwi. - Na pańskim miejscu sprawdziłbym baterie od czujnika dymu. Śpi pan tak mocno, a przecież zdarzają się różne wypadki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Piątek, 26 stycznia, godz. 3.30

- Minnie! - zawołała cicho Jaye, pochylając się przy klapce. - Śpisz? Chodź do mnie, pogadamy, nie mogę zasnąć.

Odpowiedziała jej cisza. Jaye usiadła na podłodze i czekała. W ciągu paru nocy bardzo zaprzyjaźniła się z Minnie. Dziewczynka przychodziła do niej sama, zawsze w ciemności. Jaye nie wołała jej nigdy wcześniej, dzisiaj jednak czuła się wyjątkowo samotna i nieszczęśliwa. Koniecznie musiała z kimś porozmawiać. Potrzebowała Minnie.

Nigdy nie знаła nikogo tak lękliwego jak Minnie. Bała się dosłownie wszystkiego: różnych dźwięków, ale także próśb czy sugestii. Jaye czuła narastającą agresję, gdy tylko myślała o porywaczu i o tym, co zrobił tej małej.

Czasami zastanawiała się, kim mogą być rodzice Minnie i czy wciąż szukają córki. Założyła, że dziewczynka została porwana we wczesnym dzieciństwie. Jak by ją teraz przyjęła rodzina? Zamierzała to sprawdzić. Chciała uciec i dopilnować, by Minnie trafiła do swego domu.

Do domu.

Poczuła nagle całą beznadziejność swojej sytuacji. Dopiero niedawno dotarło do niej, że nikt jej nie szuka. Wszyscy pewnie uznali, że uciekła. Robiła to przecież tyle razy wcześniej. Nawet Anna niczego nie podejrzewała, zapewne z powodu ich kłótni.

Jaye oparła głowę o drzwi i westchnęła ciężko. Gdyby mogła cofnąć czas, z pewnością nie powiedziałaby Annie tych wszystkich głupstw, a wtedy ona by nie spoczęła, dopóki by jej nie znalazła. Czując narastającą falę przygnębienia, znowu zawołała przyjaciółkę:

- Proszę, Minnie... Słyszysz mnie?

- Jestem tutaj - szepnęła dziewczynka. - Nic ci nie jest?

- Nie, nic. - Przełknęła ślinę. - Wiesz, tylko myślałam o Annie.

- Nie myśl o niej, bo będziesz jeszcze bardziej smutna.

- Nie mogę przestać. Coraz bardziej się o nią martwię. Chciałabym... ją zobaczyć.

- Może, któregoś dnia...

- A jak ty to robisz? - Jaye przywarła jeszcze mocniej do drzwi. Słyszała zarówno oddech Minnie, jak i mruczenie Tabithy. - Po prostu przestajesz myśleć o tych, których lubisz?

- Mhm, to działa. Po prostu... się zapomina.

Jaye poczuła, że bardzo pieką ją oczy, ale nie mogła płakać.

- Ale ja nie chcę zapomnieć! Chcę wrócić do domu!

- Jeśli odejdziesz, znowu zostanę sama. Nie chcę tego. Oprócz Tabithy jesteś moją jedyną przyjaciółką!

- Nie zostawię cię - zapewniła ją. - Uciekniemy razem.

- To nieprawda! Zostawisz! Ona też mówiła, że mnie nie zostawi, ale potem uciekła sama.

Jaye zamurowało.

- Kto? Jak uciekła? Czy to było w tym domu?

- No, ona - odparła dziewczynka. - Nie... nie pamiętam, jak się nazywała. Nic nie pamiętam.

- Musisz sobie przypomnieć, Minnie. Musisz przezwyciężyć strach. Może to by nam pomogło... - Ponieważ mała milczała, Jaye zaczęła ją ponaglać: - No, postaraj się. Proszę.

- Mówiłam, że nie pamiętam - rzuciła podniesionym głosem. - Nic nie pamiętam!

Jaye poczuła, że serce wali jej coraz mocniej. Niemal położyła się na podłodze, starając się mówić wprost do Minnie. Wiedziała, że jeśli ją spłoszy, dziewczynka ucieknie.

- Przepraszam, Minnie. Wcale nie musisz pamiętać. Obiecuję, że nigdy bez ciebie nie ucieknę. Słowo honoru!

- Och, naprawdę mnie nie zostawisz?

- Naprawdę.

- Chciałabym ci wierzyć, ale się boję...

- Rozumiem, ale powinnaś mi zaufać. Jeśli ucieknę, wezmę cię ze sobą.

Minnie uspokoiła się i rozmawiały jeszcze przez chwilę o tym, co zrobią i gdzie pójdą, kiedy już będą wolne. Jaye zapewniła ją, że będą razem i chociaż nie wiedziała, jak to osiągnie, za wszelką cenę postanowiła tego dopiąć.

Potrzebowała jednak pomocy dziewczynki.

- Minnie, musisz znaleźć jakiś sposób, żeby stąd uciec - szepnęła. - Musi tu być jakaś...

- Nie mogę. On zaraz to odkryje i będzie zły.

- Ale przecież nas już tutaj nie będzie. Uciekniemy i nie będziemy się tym przejmować. Już nic nam nie zrobi!

- Sa... sama nie wiem. On... on schował klucz do twoich drzwi.

- Na pewno jest jakiś inny sposób. - Jaye mówiła najłagodniej, jak tylko mogła. -

Mogłabyś wyjść beze mnie i sprowadzić pomoc...

- Nie! Nie wyjdę bez ciebie!

- Dobrze, Minnie. Nie musisz. Ale słyszałam w tym domu telefon. Mogłabyś zadzwonić pod 911 i wezwać pomoc. To numer na policję.

- O, nie! On idzie!

Jaye zamarła ze strachu.

- Jesteś pewna, że to on? Może to tylko...

- Nie, to on! - Minnie jęknęła. - Boże, on wie, że tu jestem! Naprawdę nie wiem, co zrobi...

- Odejdź od drzwi! - chrapliwy męski głos rozdarł ciszę.

Przeżrana Jaye wycofała się na łóżko. Mężczyzna zaśmiał się niczym diabeł.

- No, nie jesteś teraz taka odważna. - Zaczął ją przedrzeźniać: - Nigdy bez ciebie nie ucieknę, Minnie. Minnie, musisz mi pomóc. - Zniżył głos do świszczącego szeptu. - Nigdzie nie pozwolę jej zabrać. Minnie jest moja. Jest częścią mnie. - Zaczął mówić głośniej, wyraźnie się z nią drażniąc: - Jesteśmy nierozłączni, Jaye. Ona nigdzie nie pójdzie. I ty też tu zostaniesz.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała, zebrawszy całą swą odwagę. - Czego chcesz od Anny?

- Musisz zgadnąć albo... zaczekać na dalszy rozwój wypadków. To już niedługo.

Jaye zadrżała, bo zabrzmiało to jak najstraszliwsza groźba. Cały czas myślała o tym, gdzie jest Minnie i co się z nią dzieje.

- Minnie uciekła jak malutka myszka - powiedział, przeniknąwszy jej myśli. - Boi się nawet własnego cienia. - Zaśmiał się, jakby to był dowcip. - Naprawdę sądziłaś, że ona może ci pomóc? Albo ktokolwiek inny? Nie powinnaś się łudzić.

Jaye usłyszała, jak przekręca klucz w zamku, i poczuła, jak narasta w niej krzyk. Zaczęła przesuwać się w kierunku ściany, rozglądając się za czymś, czym mogłaby się bronić, albo miejscem, w którym mogłaby się schować.

Jednak drzwi pozostały zamknięte. Jej prześladowca otworzył tylko kłapkę dla kotów i wrzucił coś do pokoju. Kawałek papieru. Podeszła do niego z bijącym sercem. Kiedy zobaczyła, co to jest, krzyknęła. Kawałek tapety z błaganiem o pomoc!

- Masz robić, co ci każę, bo inaczej zniszczę Minnie. Zrozumiałaś?

Potwierdziła płaczącym głosem.

- Już najwyższy czas, żeby spotkał się z Anną.

- Nie, proszę! Zostaw Annę w spokoju! Przecież nic ci nie zrobiła!

- A skąd to wiesz, mała zmiłko?! - wrzasnął. - Nic nie wiesz o jej grzechach!

Milczał przez chwilę, a potem wrzucił do jej więzienia szminkę i kawałek papieru.

- Masz to przypieczętować pocałunkiem i oddać.

Kiedy wzięła papier do ręki, zobaczyła, że jest to list. List do Anny. Serce zamarło jej w piersi. Pismo na kopercie zdradzało, że napisała go najmłodsza wielbicielka Anny, Minnie.

Adam chciał przechytrzyć Annę. Zastawić na nią pułapkę. Być może zabić...

- Nie! - krzyknęła, cofając się pod ścianę. - Nie zrobię tego. Jesteś potworem! Nie będę ci pomagać!

- Zrób, co każę, bo zabiję Minnie - rzekł zimno. - Przypieczętuj list pocałunkiem. Natychmiast.

Trzęsącymi się z przerażenia dłońmi przeciągnęła czerwoną pomadką po wargach, które następnie przycisnęła do gładkiego papieru. Podeszła do drzwi i przesunęła list na drugą stronę.

- Nie rób tego - błagała. - Wypuść mnie i Minnie. Zostaw Annę w spokoju.

- Nie bądź śmieszna - mruknął rozbawionym tonem. - Czy wiesz, że właśnie podpisałaś wyrok śmierci na Annę?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Poniedziałek, 29 stycznia, godz. 14.00

Anna patrzyła na list z odcisniętym na kopercie krwawym pocałunkiem. Ręce jej drżały. Tylko nie Jaye, pomyślała. To nie może być Jaye!

Schyliła się i wyjęła spod lady swoją torebkę. Przez moment nerwowo ją przetrząsała, aż w końcu znalazła portfel i wyjęła z niego zdjęcie. Zbliżenie Jaye, patrzącej zamglonym wzrokiem wprost w obiektyw. Światło kładło się na jej twarzy, oświetlając ukośną bliznę, która przecinała jej wargi. Sprawdziła list. Blizna znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu!

Anna jęknęła, nie chcąc w to uwierzyć. Strach narastał w niej i podchodził do gardła. Bała się o Jaye. I o Minnie.

- Już wróciłem - rzucił pogodnie Dalton, wchodząc do kwaciarni. Zdjął jesionkę i przerzucił ją sobie przez ramię. - Lunch był naprawdę cudowny. Nigdy w życiu nie jadłem tak dobrej... - urwał nagle. - Mój Boże, Anno! Co się stało?!

To proste pytanie, wypowiedziane po raz kolejny podczas ostatnich dni, wydało się Annie niemal śmieszne. Jej życie stało się jednym wielkim pasmem nieszczęść. Jednak w tej chwili wcale nie było jej do śmiechu. Jak sparaliżowana, zerknęła na list i zdjęcie.

- To on! To on porwał Jaye!

- Kto taki?

- Mężczyzna z listów Minnie - powiedziała, podając mu ze ściśniętym sercem kartkę.

Dalton podszedł do lady. Pobladł, gdy tylko zobaczył upstrzoną kwiatkami kopertę i krwawy pocałunek.

- Miałaś rację, Minnie istnieje, a Jaye wcale nie uciekła. Jak sądzisz, co... - urwał gwałtownie. Nie musiał kończyć tego pytania.

- Nie wiem - odparła bezradnie. - Muszę zadzwonić do Malone'a.

Po półgodzinie Anna i Quentin jechali groblą nad jeziorem Pontchartrain do Mandeville. List i zdjęcie leżały na półce samochodu. Na szczęście złapała Malone'a w pracy i mógł od razu przyjechać. Obejrzał zdjęcie i odcisk, a potem spytał, czy chce z nim pojechać. Anna natychmiast skorzystała z zaproszenia. Nie mogłaby pracować przy takim stanie umysłu.

Po paru pierwszych pytaniach i odpowiedziach prawie ze sobą nie rozmawiali. Anna nie miała nic do powiedzenia. Siedziała, patrząc na drogę, i ścisnęła mocno ręce na podołku.

Malone sięgnął i przykrył je swoją dłonią.

- Sytuacja nie jest wcale taka zła, Anno. Naprawdę, uwierz mi.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie jest zła?! Jakiś psychopata albo zboczeniec porwał Jaye, a ty mi mówisz, że nie jest zła! - Zamilkła na chwilę, porażona własnymi słowami. Szybko jednak doszła do siebie. - Zaginęła osiemnastego i nikt jej nie szukał - podjęła. - Nie masz pojęcia, jak się boję. To wszystko nie mieści mi się w głowie.

- Ty jej szukałaś, Anno. - Ścisnął jej dłoń, a potem przeniósł rękę na kierownicę. - Nie uwierzyłaś w to, że uciekła.

- Ale mogłam zrobić więcej!

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- A niby co? Rozmawiałaś z jej przybranymi rodzicami, kuratorem i policją, nawet z przyjaciółkami. Sprawdziłaś wszystkie tropy. Nic więcej nie mogłaś zrobić, Anno.

Spojrzała w stronę jeziora, wiedząc, że Malone ma rację. Mimo to wciąż miała wyrzuty sumienia.

- Jak gdyby nigdy nic wróciłam do dawnego życia - wydusiła z siebie. - Czuję się winna...

- Rozumiem cię, ale to nie pomoże Jaye. Chcesz się dowiedzieć, dlaczego sytuacja nie jest taka zła?

- Bo Jaye jeszcze żyje...

Potrząsnął lekko głową.

- To też. Ale nareszcie mamy ślad. Coś, na czym można się oprzeć. Coś konkretnego.

- To niesamowite.

Skrzywił się, słysząc tak wiele goryczy i sarkazmu w jej głosie.

- Wiemy teraz znacznie więcej niż poprzednio. To doskonały początek. - Uniósł w górę wskazujący palec. - Rozwiązanie każdej zagadki zaczyna się właśnie od takiego początku.

- A jeśli nie rozwiążemy tej zagadki?

- Przynajmniej będziemy próbować. - Wyjechali z autostrady na groblę. Ich oczy spotkały się na chwilę. - Obiecuję, że się nie poddam. Znajdziemy Jaye. Zobacysz.

Właściciel punktu ksero rzeczywiście ugiął się pod naciskiem władzy. Skrzynka pocztowa należała do Adama Fursta, zamieszkałego przy Lake Street w Madisonville.

Madisonville, małe miasteczko położone niecałe dziesięć kilometrów na zachód od Mandeville, przyciągało ostatnio coraz więcej ludzi. Mogło się poszczycić pięknymi terenami

wokół rzeki Tchefuncte, wciąż odnawianymi domami w stylu wiktoriańskim, świetnymi restauracjami oraz rezydencjami bogaczy położonymi tuż nad rzeką. Jednak dom, w którym mieszkał Adam Furst, znajdował się daleko od tych miejsc. Był to stary bliźniak położony przy ulicy, której jeszcze nie odkryły bogate klasy średnie, uciekające z miasta na wieś. Malone zatrzymał wóz bezpośrednio przed domem. Wyłączył silnik i spojrzął na Annę.

- Zaczekaj tu na mnie - rzucił.

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale policjant potrząsnął głową.

- To rozkaz, jasne?

Przystąpiła na to niechętnie. Patrzyła za nim, jak idzie przez zarośniętą dróżkę do rozwalającego się ganku. Quentin zadzwonił do drzwi, odczekał chwilę, a potem zapukał. Obejrzał się za siebie i pokazał jej, że chce obejść dom od tyłu.

Gdy tylko zniknął jej z oczu, Anna wyskoczyła z wozu. Nie chciała tu siedzieć i czekać. Przecież Jaye mogła się znajdować właśnie w tym domu. Deski na ganku zaskrzypiały, kiedy na nie weszła. Podeszła do drzwi, zadzwoniła, a potem przyłożyła ucho do drewna.

- Tak, słucham?

Anna aż podskoczyła, słysząc ten głos. Odwróciła się i zobaczyła objuczoną torbami kobietę, zmierzającą w stronę drzwi. Była niska i chuda, z prostymi siwymi włosami. Chude ramiona sprawiały wrażenie, że zaraz się złamią pod ciężarem zakupów.

Anna podeszła do niej.

- Może pani pomogę?

- Dziękuję - rzekła podejrzliwie kobieta. - Te torby są rzeczywiście dosyć ciężkie.

Anna wzięła je, a kobieta podeszła do drzwi. Wyjęła klucz, otworzyła, a potem odebrała od Anny kilka toreb.

- Zaraz wrócę. Niech pani tu zaczeka.

Zniknęła w ciemnym wnętrzu, ale po chwili wróciła i wyciągnęła ręce po resztę zakupów. W tym momencie pojawił się Malone.

- Mówiłem ci, żebyś została w wozie - zwrócił się z pretensją do Anny.

- Co to za jeden? - spytała kobieta.

Anna postanowiła zignorować Quentina i zwróciła się wprost do nieznajomej:

- Policja. Szukamy pani sąsiada, Adama Fursta.

Kobieta skrzywiła się na te słowa.

- Macie jakąś legitymację?

Malone wyciągnął odznakę. Kobieta przyglądała się jej przez chwilę, a następnie

skineła głową.

- Wcale się nie dziwię. Ten człowiek był jakiś dziwny. Zawsze wydawał mi się podejrzany.

- Był? - rzucił Malone.

- Bez uprzedzenia wyprowadził się kilka tygodni temu. I nie zapłacił czynszu.

- Pani jest właścicielką domu?

- Właśnie. To jedyna rzecz, której nie przepił mój były mąż. - Przeżegnała się. - Do końca życia będę za to dziękować Bogu.

- Co w nim było takiego dziwnego? - spytała Anna, próbując ukryć swój niepokój.

- Przychodził i wychodził o różnych porach dnia i nocy. Nie widziałam go całymi tygodniami. Nic nie mówił, z nikim się nie spotykał. Miał cały czas zasłonięte okna. Co wcale nie znaczy, że szpieguję lokatorów...

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała z uśmiechem Anna.

- Parę razy zapraszałam go na piwo i próbowałam pogadać, ale odmawiał. Patrzył przy tym tak, że ciarki chodziły mi po plecach.

Anna potarła ramiona, czując, że sama dostała gęziej skórki.

- Kiedy się wyprowadził? - spytał Malone. - Pamięta pani?

- Tak, oczywiście. - Kobieta skinęła z emfazą głową. - Właśnie wtedy chciałam odebrać pieniądze albo go wyrzucić. Osiemnastego.

W dniu zniknięcia Jaye!

Anna spojrzała na Malone'a. On też domyślił się, co to znaczy.

- Mieszkał sam? - spytał.

- O ile wiem, to tak.

- A nie miał ze sobą dziecka? - Anna chrząknęła. - Małej dziewczynki, dziesięć jedenastoletniej.

- Nigdy nie widziałam z nim żadnego dziecka. - Kobieta spojrzała w przestrzeń. - Ale jak tak o tym myślę, to wydaje mi się, że słyszałam płacz. Tak, płacz dziecka, późno w nocy. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wiadomo, różne rzeczy dzieją się po ciemku. Myśli pan...?

- Chciałbym zajrzeć do jego części, pani...

- Nazywam się Blanchard, Dorothy Blanchard.

- Więc chciałbym tu przyjechać z ekipą techniczną, pani Blanchard. Możemy umówić się na popołudnie?

Uśmiechnęła się szeroko, ukazując złoty ząb.

- Będziecie szukać odcisków palców i innych śladów? Tak jak na filmach?

- Tak, proszę pani. Jak na filmach.

- Będę czekała - zapewniła go. - I nie pozwolę nikomu tam wchodzić.

Malone skinął głową i pożegnał się z nią. Ruszył do samochodu, a Anna pobiegła za nim.

- A co takiego zrobił ten Furst? - usłyszeli za sobą głos Dorothy Blanchard. - Obrabował bank czy kogoś zabił? Ciekawa jestem, kogo miałam pod swoim dachem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Poniedziałek, 29 stycznia, godz. 22.20

Ben obudził się i stwierdził, że matka patrzy na niego dziwnie, jak jej się to czasami zdarzało. Twarz miała poszarzałą, a usta w kolorze zblakniętego różu. Mimo że wytrącało go to z równowagi, starał się nie zwracać uwagi na przejawy jej choroby. Osoby chore na Alzheimera łatwo traciły kontakt z rzeczywistością i trzeba było uważać, żeby ich nie przestraszyć.

Wyprostował się, a książka, którą trzymał na kolanach, spadła na podłogę.

- Przepraszam, mamó - westchnął, pochylając się. - Miałem ciężki dzień i jestem zmęczony. Własny głos działa na mnie usypiająco. Nie powinienem był ci czytać.

- On tu był - rzekła. - Wiesz, ten człowiek.

Ben spojrzał na nią, nagle całkowicie przytomny.

- Kto taki? Jaki człowiek?

Potrząsnęła głową.

- Ten diabeł. Był tutaj, kiedy spałeś.

Ktoś tutaj przyszedł, kiedy zasnął? Wątpił w to, chociaż nie mógł tego wiedzieć na pewno. Przyjrzał się matce i zauważył, że naprawdę jest przerażona.

- Znasz go? Czy to ktoś ze szpitala?

Zaczęła drżeć.

- Nie, to zły człowiek.

- Zły człowiek - powtórzył z troską. - Dlaczego jest zły?

- Chce zniszczyć mnie i ciebie. Sam powiedział, że to robi.

Ben zmarszczył brwi i wstał. Wszyscy goście musieli najpierw zgłosić się do recepcji.

- Zaczekaj chwilę, mamó. Chcę porozmawiać z dyżurną pielęgniarką.

- Powiedziałam mu, że nie pozwolisz mnie skrzywdzić, ale się tylko śmiał. Powiedział, że ci się to nie uda. - Zaczęła skubać pled, którym była przykryta. - Że jest silniejszy od ciebie, dużo potężniejszy.

Ben pochylił się i pocałował ją w czoło. Uśmiechnął się do niej, nie chcąc pokazać, jak bardzo jest zmartwiony.

- Dobrze, sprawdzę to. Zaraz wracam.

Wyszedł i skierował się do znajdującej się na końcu korytarza dyżurki. Znalazł tam trzy plotkujące pielęgniarki. Jedna zdjęła buty i rozcierała obolałe stopy.

- Dobry wieczór - uśmiechnął się do kobiet. - Chciałem tylko zapytać, czy oprócz mnie ktoś jeszcze odwiedzał dzisiaj moją mamę?

Spojrzały po sobie zmieszane, więc uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zdrzemnąłem się trochę, a mama twierdzi, że ktoś jej w tym czasie groził - wyjaśnił.

- Któryś z pacjentów?

- Nie, ktoś z zewnątrz.

Kobiety raz jeszcze popatrzyły zdziwione. Wanda, która pełniła dyżur, potrząsnęła głową.

- Nikt tu nie wchodził od ósmej.

Ben zmarszczył brwi i potarł w zamyśleniu czoło.

- To może ktoś odwiedzał ją w ciągu ostatnich tygodni? Mówiła mi, że widziała już wcześniej tego człowieka.

- Zaraz sprawdzę w książce. - Wanda podeszła do biurka i wyjęła gruby zeszyt w twardej oprawie, do którego wpisywało się wszystkie wizyty wraz z nazwiskiem odwiedzanego pacjenta. - Poza panem w zeszłym tygodniu był u niej ksiądz Ray, a dzień wcześniej doktor Levine. I jak zwykle kilka wolontariuszek z Akademii Czystych Serc. To wszystko. - Zaczęła przerzucać kartki. - Tak, nikogo więcej u niej nie było. Zaraz... - Pielęgniarka zatrzymała się przy kolejnym wpisie. - No tak, w poniedziałek zjawił się fryzjer...

- Mama jest bardzo niespokojna. Mówiła, że...

Nagle gdzieś w pobliżu usłyszeli trzask, a potem płacz. Ben błyskawicznie obrócił się w tamtą stronę, a potem spojrzał na Wandę.

- To ona!

Pielęgniarka zerwała się na nogi i oboje pobiegli w stronę pokoju pani Walker. Znaleźli ją skuloną na podłodze przy łóżku. Płakała, kołysząc się niczym dziecko z chorobą sierocą.

- Próbowałam go powstrzymać! - krzyknęła, widząc Bena. - Naprawdę! Popatrz!

Spojrzał we wskazanym kierunku. Mimo osłabienia matka zdołała rzucić ciężkim wazonem w stronę szafki. Wokoło pełno było ceramicznych odłamków, wymieszanych z rzeczami, które stały na szafce: jej kosmetykami, zdjęciem i bibelotami.

Przykucnął przy niej i wziął ją mocno w ramiona. Czuł, że jest kompletnie wyczerpana i słaba. Cała drżała.

- Tak, mamó - rzekł spokojnie. - Nie bój się, już go wygoniłaś. Wszystko będzie dobrze.

Ben opuścił dom opieki pół godziny później. Spojrzał na parking i zatrzymał się na chwilę przy wyjściu. Szukając kluczyków, spojrzał w górę na nieprzeniknione, czarne niebo i westchnął głośno. Było mu żal, że widzi matkę w takim stanie. Że jej demencja postępuje tak szybko. Wiedział, że ją traci. Już niedługo przestanie go w ogóle poznawać. Jej świat zaludnią nagle sami obcy. Jednych będzie tolerować, a innych uzna za wrogów bez żadnej racjonalnej przyczyny.

Dlaczego właśnie ona? - myślał. Pracowała tak ciężko przez całe życie. Była sama, a mimo to dała mu dom i wykształcenie. Kochała go i starała się zawsze mu pomagać. Z całą pewnością nie zasługiwała na taki koniec.

Ben z trudem przełknął ślinę. Jego wujek, brat matki, zmarł parę lat temu. Nie spotykali się zbyt często, ale jednak był jakąś rodziną. Po śmierci mamy zostanie zupełnie sam. Nie będzie miał już absolutnie nikogo.

Nagle stanął mu przed oczami obraz Anny. Był tak bardzo żywy, że miał wrażenie, jakby zjawiała się przy nim. Uśmiechnął się lekko i ruszył w stronę samochodu. Tamtego ranka zadzwonił do niej zaraz po wyjściu policjanta. Opowiedział jej o dziwnym włamaniu i o przesyłce.

Była wstrząśnięta i zła, bardziej na całą sytuację niż na niego. Obiecał jej, że nie spocznie, dopóki nie dowie się, który z jego pacjentów może robić takie makabryczne kawały. Potem się już nie kontaktowali. Zaczynał za nią tęsknić.

Zwolnił, spojrzał na zegarek i stwierdził, że niestety jest już zbyt późno, żeby do niej dzwonić. Bardzo tego żałował. Chętnie powiedziałby jej o matce. Na pewno by go zrozumiała. Już taka była. Czy to możliwe, by się w niej zakochał? Wydawało się to mało prawdopodobne, bo znali się tak krótko i spotkali zaledwie parę razy. Lecz Ben czuł się dziwnie podniecony, gdy o niej myślał, a jej obraz coraz częściej stawał mu przed oczami.

W końcu znalazł się przy samochodzie, chociaż chętnie by jeszcze pochodził. Chciał już otworzyć drzwiczki, kiedy zobaczył reklamówkę za wycieraczką. Sięgnął po nią. Nie, to nie była reklamówka, ale jakaś wiadomość.

Zakochałeś się w niej. Ona zginie jeszcze tej nocy.

Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Ben poczuł, jak strach lodowatą dłonią złapał go za gardło. Nie, to niemożliwe. Tylko nie Anna.

Otworzył wóz i wsiadł do środka. Prawą ręką włożył kluczyki do stacyjki, a lewą sięgnął po telefon komórkowy. Silnik zbudził się do życia, a on zaczął wystukiwać kolejne cyfry.

Pierwszy sygnał, drugi, trzeci. Z bijącym sercem liczył kolejne dzwonki, modląc się,

by podniosła słuchawkę. Lecz nie odebrała telefonu. Również jej automatyczna sekretarka milczała. Miał przeczucie, że stało się coś strasznego.

Anna zginie jeszcze tej nocy.

Zaklął i ruszył z piskiem opon. Kamyki posypały się spod jego kół. Musi ją ostrzec. Obronić ją... Jeśli nie zastanie Anny w domu, będzie czuwał pod jej drzwiami. Nie chciał pozwolić, by spadł jej chociaż włos z głowy. Ben przysięgał sobie, że będzie jej bronił do upadłego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Poniedziałek, 29 stycznia, godz. 23.50

Anna ocknęła się z głębokiego snu. Przerażona, od razu otworzyła oczy. Lampka była wyłączona, a sypialnia pogrążona w mroku. Patrzyła w najciemniejszy róg pokoju, czując, jak jej oszaląca wyobraźnia wydobywa z niego prawdziwe monstrum.

Kurta!

Strach ją unieruchomił. Leżała, słysząc, jak serce szarpie się w jej piersi. Cisza ją ogłuszała, huczała w głowie. Zebrawszy siły i resztki odwagi, obróciła głowę w stronę stolika z podświetloną tarczą zegara. Już prawie północ, pomyślała.

Z głębi domu dobiegły do niej jakieś dźwięki. Obce, zupełnie niespodziewane... Nie była sama.

Przerażenie Anny stało się nagle zupełnie racjonalne. Już prawie je pokonała, a ono znowu siadło jej na piersi z taką siłą, że nie mogła złapać oddechu. Przez moment starała się o niczym nie myśleć, koncentrując się na powolnym wdychaniu i wydychaniu powietrza. Każdy oddech przywracał jej siły i kontrolę nad ciałem.

W końcu mogła wstać. Cicho się uniosła i sięgnęła po telefon. Ten jednak zniknął z jej szafki!

Nagle sobie przypomniała, że przed snem dzwoniła do Daltona i zostawiła przenośny aparat w łazience. Krzyk narastał jej w gardle. Stłumiła go, wiedząc, że musi być cicho. Być może tylko jej się wydaje, że ktoś jest w domu. Przecież już wcześniej tyle razy miała wrażenie, że Kurt ją odnalazł. Nie, to na pewno tylko jej nie dająca się ujarzmić wyobraźnia, a hałasy były złudzeniem albo pochodziły z klatki schodowej.

Muszę teraz wstać, mówiła sobie. Podejść do drzwi i wziąć telefon z łazienki. Pomyślała, że gdy go już będzie miała, poczuje się bezpieczniej. Być może znowu zaśnie, a w każdym razie zapali światło. Anna postawiła stopy na chłodnej podłodze i zadrżała.

Dlaczego jest tak zimno? - zdziwiła się. Czyżby awaria ogrzewania?

Nagle poczuła powiew chłodnego powietrza. Spojrzała w stronę drzwi balkonowych i stwierdziła, że zasłonka lekko się poruszyła. Obserwowała ją jeszcze przez chwilę, żeby stwierdzić, że śliski materiał nadyma się co jakiś czas niczym żagiel pchanej wiatrem łodzi. Jednocześnie czuła zimne powietrze wokół bosych stóp.

Drzwi były otwarte.

Rzuciła się z krzykiem do wyjścia z sypialni. Kiedy była już blisko, drzwi się

zatrzasnęły i silne ramiona złapały ją od tyłu. Męska dłoń zasłoniła jej usta. Napastnik przyciągnął ją do siebie, a następnie pchnął z powrotem w stronę łóżka.

Dłoń zacisnęła się mocniej na jej szyi. Wpiła się w nią paznokciami, a kolorowe drobiny światła zatańczyły jej przed oczami. Osłabiona brakiem powietrza, kopała na oślep.

Uścisk zelżał. Anna chwyciła haust powietrza, a prześladowca pchnął ją twarzą na pościel. Po chwili już na niej siedział, przytrzymując dłonią za szyję i wbijając kolano w kręgosłup. Była zupełnie unieruchomiona.

Zaczął zdzierać z niej piżamę, posapując przy tym tuż nad jej głową. Głowę miała pełną błagań i próśb, których nie mogła wypowiedzieć. Napastnik chciał ją zgwałcić. Tak jak poprzednie kobiety. A potem zabije ją podobnie jak tamte. Rudowłose.

Rozdarł tył piżamy. Zrozumiała, że to już koniec. Najpierw zostanie zbezczeszczona, a potem zginie. Zaczęła łkać z twarzą wciśniętą w poduszkę. Natomiast mężczyzna sięgnął w dół i ściągnął z niej spodnie od piżamy.

Jednym ruchem przerzucił Annę na plecy i rozdzielił jej nogi. Zauważyła, że ma na twarzy pozbawioną wyrazu maskę, tak lubianą przez jeźdźców krewę w czasie Mardi Gras. Wyczuła uśmiech mężczyzny. Wyczuła to, że jest on wcieleniem zła.

- Uwaga, raz, dwa, trzy - wymamrotał - zaczynamy!

Nagle odbyła błyskawiczną podróż w czasie. Cofnęła się o dwadzieścia trzy lata. Timmy leżał bez ruchu, teraz przyszedł czas na nią. Kurt z zimnym uśmiechem spojrzał na Harlow i wyciągnął rękę w jej stronę. „Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy“, rozbrzmiewało jej w głowie.

Anna wydała z siebie przejmujący okrzyk. A potem jeszcze jeden, i jeszcze. Nie mogła się powstrzymać. Napastnik zastygł zaniepokojony i po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy. Jego tęczyówki były pomarańczowe. Jak oczy tygrysa. Albo diabła. Krzyknęła raz jeszcze. Prześladowca zeskoczył z niej i pobiegł do drzwi balkonowych. Zobaczyła jeszcze, jak przechodzi przez poręcz i po chwili zniknął jej z oczu.

Wciąż krzyczała. Dźwięki same wydobywały się jej z gardła. Poderwała się z łóżka i wybiegła do przedpokoju. Zapominając o tym, że jest naga, otworzyła drzwi na klatkę schodową.

Tuż za nimi stał zaniepokojony Dalton. Anna z krzykiem padła mu w ramiona.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Wtorek, 30 stycznia, godz. 0.45

Pół godziny później siedziała owinięta kocem na swojej kanapie z kubkiem parującej ziołowej herbaty w dłoni. Wciąż szczękała zębami. Dalton siedział obok, a Bill krążył niczym dobry, opiekuńczy duszek. Z sypialni dochodziły dźwięki pracy Malone'a i ekipy dochodzeniowej oraz technicznej, które przyjechały parę minut wcześniej. Jak im wyjaśnił śledczy, chodziło o zebranie nie tylko odcisków palców, ale wszystkich możliwych śladów, które mógł zostawić napastnik.

Quentin pojawił się zaledwie dziesięć minut po telefonie Daltona. Anna wciąż była w szoku, ale zdołała mu opowiedzieć, co się stało. Dlatego natychmiast wezwał tu wszystkie dostępne siły.

Anna owinęła się szczelniej kocem. Miała na sobie sweter Daltona i spodnie od dresu, które na jej prośbę wyjął z szafy. Spojrzała na podłogę w sypialni. Leżały tam resztki jej piżamy. Spodenki znajdowały się bliżej łóżka.

Naga. Była zupełnie naga, kiedy wpadła na Daltona. Prześladowca zdarł z niej wszystko, co na sobie miała. Dotykał jej. Chciał dotrzeć do najbardziej intymnych rejonów jej ciała. Na szczęście spłoszyła go. Jej błagania i modlitwy zostały wysłuchane.

Ale czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się bezpieczna lub... czysta?

Zadrzała i jęknęła cicho. Dalton, który doskonale wiedział, w jakim jest stanie, przytulił ją mocniej. Spojrzała na niego. Milczał. Nie musiał nic mówić. Wiedziała, jak bardzo jej żałuje i jak bardzo zależy mu na tym, żeby doszła do siebie. Spróbowała się do niego uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

Jednak bezpieczniej poczuła się dopiero wtedy, kiedy Malone, w towarzystwie innych oficerów śledczych, wyszedł z jej sypialni. Gdy spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że nic już jej nie grozi. Chciała się do niego przytulić. Poczuć na sobie jego silne ramiona. Bo wówczas zrobiłoby jej się ciepło.

Podszedł i przykucnął, opierając dłonie na jej kolanach. Poszukał jej spojrzenia.

- Wszystko w porządku?

Skinęła lekko głową, chociaż wiedziała, że wcale tak nie jest.

- To dobrze. - Wskazał pozostałych śledczych. - Agnew i Davis rozejrzą się po budynku. Sprawdź, czy ktoś coś widział lub słyszał.

Znowu skinęła głową, koncentrując się na jego dłoniach. Po raz pierwszy zauważyła,

że ma długie palce z krótko obciętymi, zadbanymi paznokciami. Były ładne, chociaż ich męski charakter od razu rzucał się w oczy. Takie ręce były szybkie i silne. Stanowiły dobrą obronę.

- Anno?

Spojrzała na niego zdziwiona. Czyżby coś mówił?

- Wspominałem właśnie, że wszedł tu przez drzwi balkonowe. Musiał skorzystać z rynny, przejść po gzymsie i stłuc szybę. Tylko tak mógł otworzyć zamek.

- I tyle pomógł ten cały cud techniki - mruknął Dalton. - A tak go zachwalali.

- Pan go zakładał? - spytał Quentin.

- Tak, to znaczy poleciłem go założyć - poprawił. - Po tym zdarzeniu z palcem. Wymieniłem zamki nawet w furtce przy wejściu.

- Ja też wymieniłam wszystkie zamki - szepnęła Anna. - Jak widać, bardzo pomogło.

Quentin znowu na nią spojrzał.

- Muszę ci zadać parę pytań. Możesz na nie teraz odpowiedzieć?

- Spróbuję.

- Świetnie. - Wyjął notes z kieszeni. - Zacznijmy od ogólnych wrażeń. Powiedz mi wszystko, co pamiętasz. Wszystkie najdrobniejsze, nawet zupełnie nieistotne szczegóły, dobrze?

Skinęła głową i zaczęła opowiadać drżącym głosem o tym, jak się zbudziła i miała wrażenie, że ktoś jest w sypialni. Doszła do tego, jak zrozumiała, że drzwi na balkon są otwarte.

- Chciałam wyjść z sypialni - wyjaśniła. - Podeszłam... a wtedy on.... złapał mnie tak mocno.

Zamilkła, nie mogąc skończyć.

- Zawłókł cię na łóżko, Anno? - spytał.

- Tak... Zawłókł...

Dalton przytulił ją jeszcze mocniej, a Bill położył kojące dłonie na jej ramionach. Chciała podjąć opowieść, ale nie mogła. Coś ścisnęło ją w gardle. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa.

- Patrz na mnie, Anno - powiedział Malone łagodnym, ale pewnym tonem. - Tylko na mnie. Nic ci już nie grozi, ale potrzebuję twojej pomocy. Odetchnij głęboko.

Kiedy wypuściła powietrze, poczuła, że może dalej mówić. Słabym głosem opowiedziała, jak mężczyzna ją przydusił i zerwał z niej piżamę. Wtedy zrozumiała, że chce ją zgwałcić, i zaczęła krzyczeć.

- Cały czas leżałaś twarzą do dołu?

- Nie... obrócił mnie.

- Widziałaś jego twarz?

Potrząsnęła głową.

- Miał maskę z Mardi Gras. Taką, jaką mają jeźdźcy krewa. Ale... ale widziałam jego oczy. Były pomarańczowe.

Malone zmarszczył brwi.

- Pomarańczowe? - upewnił się.

- Wiem, że to dziwne, ale tak naprawdę było.

Otworzyła usta, żeby opowiedzieć mu, co było dalej, ale szybko je zamknęła. Omal znowu nie zaczęła krzyczeć.

„Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy“. Od dwudziestu trzech lat nie wypowiedziała tych słów, które brzmiały jak jakaś upiorna wyliczanka. A wtedy była przerażonym dzieckiem, które tuliło się do kochających rodziców i patrzyło ze strachem na agentów FBI.

- Powiedz mi wszystko, Anno. Proszę.

Znowu zaczęła głośno dzwonić zębami i owinęła się mocniej kocem. Odetchnęła tak samo jak poprzednio. Pomogło.

- To był Kurt. Wiem to z całą pewnością.

- Ależ Anno! - Dalton ścisnął jej dłoń.

- Naprawdę! - Obejrzała się na Billa, szukając sojusznika. - On powiedział...

- Przepraszam, Malone.

Rozzłoszczony Quentin obrócił się w stronę ekipy śledczej.

- No, co tam?!

Pozostali oficerowie nie przejmowali się specjalnie jego nastrojem.

- Już skończyliśmy - poinformował jeden z nich. - Jeśli nie ma nic innego, chyba już możemy jechać do laboratorium.

- W porządku. Chcę mieć wyniki na jutro rano!

- Raczej na dzisiaj rano - poprawił go z westchnieniem ktoś z ekipy. - Dobra, zrobione.

Mężczyźni przeszli przez salon, nie patrząc na Annę. Kiedy wyszli, Quentin znowu zwrócił się w jej stronę.

- Dobrze, teraz przejdźmy do tego, co było później. - Zerknął na swoje wcześniejsze notatki. - Zaczęłaś krzyczeć i to wystraszyło napastnika. Mężczyzna uciekł na balkon i przeskoczył przez poręcz. - Skinęła głową. - A potem pobiegłaś do drzwi wejściowych.

Otworzyłaś je, a za nimi czekał Dalton. Wszystko się zgadza?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, włączył się Dalton:

- Wcale nie czekałem. Byłem na dworze...
- Wyprowadzał nasze psy, Judy i Boo - wtrącił Bill.
- Kiedy wpuszczałem psy do mieszkania, usłyszałem krzyki Anny.
- Właśnie - dorzucił Bill.

Malone spojrzał na niego.

- A pan co wtedy robił?

Bill zeszywniał.

- Oglądałem telewizję.

- „Tajemnice i skandale“ - dorzucił Dalton. - Po prostu uwielbia ten program. Ale zwykle wyprowadzamy razem nasze maleństwa.

Malone cały czas wpatrywał się w Billa.

- „Tajemnice i skandale“ to chyba program na Kanale E!, prawda?

- Tak, to świetny program - odparł Bill, wijąc się pod natarczym wzrokiem śledczego. - Zawsze go oglądam.

- Pożywka dla myśli i... wyobraźni - rzucił prowokacyjnie Malone.

- A żeby pan wiedział. - Obrażony Bill odsunął się trochę od kanapy.

Anna poczuła, że jej serce znowu przyspiesza. Natychmiast domyśliła się, do czego zmierza Quentin, i wcale jej się to nie podobało. Podobnie jak Daltonowi, którego twarz przybrała nagle kolor dojrzałego pomidora.

- Chce pan powiedzieć, że Bill...?! - zaczął.

- Nic nie chcę powiedzieć - mruknął Malone. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Chcę po prostu ustalić, co się tu zdarzyło dziś w nocy. Czy macie panowie coś przeciwko temu?

- Jasne, że nie - odparł Bill, wciąż patrząc z niechęcią w jego stronę. - Uwielbiam Annę. Zrobię wszystko, żeby jej pomóc.

- Ja też - dołączył do niego Dalton.

- Dziękuję. - Malone spojrzał na Annę. - Czy mógłbym porozmawiać z tobą w cztery oczy?

Wahała się przez chwilę.

- Dalton i Bill są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie mam przed nimi nic do ukrycia.

- Jasne, ale mimo to bardzo by mi na tym zależało. - Przeniósł wzrok na obu

mężczyzn. - Rozumiecie, panowie, prawda?

Nie, nie rozumieli. To było oczywiste.

- Quentin... - zaczęła Anna.

- W porządku. - Dalton ścisnął jej dłoń, a potem wstał. - Już wychodzimy. Zawołaj nas później.

Bill schylił się i pocałował czubek jej głowy.

- Możemy spać tutaj, gdybyś tego potrzebowała.

- Albo ty przenieś się do nas - dorzucił Dalton.

- Dziękuję wam, chłopaki. - Patrzyła z żalem, jak wychodzą. Czowała się tak, jakby ją opuszczali.

Malone wyczuł jej nastrój.

- To zajmie parę minut. Nie mam zamiaru was rozdzielać. Po prostu chciałem, żebyś mogła mówić swobodnie.

- I tak mogę. - Wzruszyła ramionami. - Nie przypuszczasz chyba, że mają z tym jakiś związek? Są poza podejrzeniami!

- Jesteś pewna? Dałabyś za to głowę?

Był to jedynie zwrot retoryczny, ale jakże odpowiadał jej sytuacji. Być może dlatego przez moment się zawahała.

- Tak, dałabym - odrzekła w końcu. - Zostaw ich w spokoju.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie uzyskam całkowitego przekonania, że są niewinni.

Natychmiast skinęła głową.

- Są.

- A więc jesteś zupełnie pewna, że to nie Bill cię dzisiaj napadł?

- Bill? - zaśmiała się po raz pierwszy tej nocy. - Poproszę o inny zestaw pytań.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Jesteś zupełnie pewna?

- Całkowicie.

- Tak jak twoi rodzice, którzy twierdzili, że opiekunka nie może być zamieszana w porwanie?

Śmiech zamarł jej na wargach.

- Chcesz mnie przestraszyć?

- Bill jest silny. Chyba trenuje, prawda?

- Tak, dużo biega. - Zadrżała i skuliła się na swoim miejscu. - Trenował regularnie, kiedy był na studiach.

- Naprawdę? Ile ma lat?
- Trzydzieści osiem.
- Więc jest mężczyzną w sile wieku.
- To nie ma najmniejszego sensu. - Potrząsnęła głową. - Naprawdę.
- Zastanów się nad tym, Anno. Dalton stał przed twoim mieszkaniem. Po co?
- Wyprowadzał Judy i Boo.
- Widziałas te psy? Czy miał w ręku smycz?

Nie pamiętała. Przymknęła oczy, usiłując przywołać tę scenę. Psy dużo hałasowały, ale jednocześnie były bardzo tchórzliwe. Jednak nie słyszała wtedy ich szczekania.

- Nie wiem... Byłam przerażona... Krzyczałam...
- A kiedy pojawił się Bill?
- Parę minut później.
- Ile konkretnie?
- Czy ja wiem? Dwie, może trzy...
- Dalton go zawołał?

Potrząsnęła głową.

- To mały budynek. Głos sam się niesie.
- Czy pojawił się jeszcze ktoś z sąsiadów?
- Parę osób, ale Bill ich spławił.
- Kiedy twoi przyjaciele dowiedzieli się, kim naprawdę jesteś?
- Tego dnia, co wszyscy. - Ponownie wzruszyła ramionami. - Dostali książkę i wiadomość o programie na Kanale E!

- Jesteś pewna?

- Tak. - Zaczęła mocniej drżeć i szczekać zębami. - Dlaczego pytasz?
- Próbuję ustalić fakty. - Westchnął i spojrzał na swój notatnik. - Jak Bill i Dalton zareagowali na wiadomość, że jesteś Harlow Grail?

- Oczywiście byli zdziwieni, a jednocześnie dali do zrozumienia, że rozumieją mnie i popierają. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem im za to bardzo wdzięczna.

- Rozumiem. - Zapisał coś w notesie, zamknął go i wstał. - Musisz teraz zachować ostrożność. Zamykaj wszystkie drzwi i okna. Nie chodź sama po zmroku. I uważaj na to, co się dzieje dookoła.

Anna uniosła głowę.

- Boję się.

- To zrozumiałe. - Quentin nagle złagodniał. - Nie przejmuj się. Wszystko będzie

dobrze.

- Czy masz już jakieś hipotezy?

- Nie, jeszcze nie. - Zamilkł na chwilę. - To mógł być przypadek, chociaż raczej nie sądzę...

Anna zacisnęła dłonie na podolku.

- Mówiłeś o tych dwóch kobietach, które... też były rude.

- Właśnie.

- Czy myślisz, że to ten sam mężczyzna, który...?

- Włamał się tutaj? Możliwe, chociaż działał zupełnie inaczej. Jest jednak coś, co łączy te sprawy.

- Moje włosy?

- Tak.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a potem Malone chrząknął.

- To już wszystko. Możesz po kogoś zadzwonić. Zaczekam, aż przyjdzie.

- Nie trzeba. - Spojrzała na swoje zaciśnięte ręce. - Przecież nie mogę oczekiwać, że ktoś mnie będzie bez przerwy niańczył.

Raz jeszcze przykucnął przy niej i spojrzał pełnym współczucia wzrokiem.

- Nie musisz udawać silnej, Anno. To zrozumiałe, że się boisz.

- Już dwadzieścia trzy lata - szepnęła. - Jak długo jeszcze?

Dotknął dłonią jej policzka.

- Bardzo mi przykro.

To był dla niej szok. Przymknęła oczy i otarła się o jego dłoń, jak poszukująca ciepła i poczucia bezpieczeństwa kotka. Przez chwilę nic nie mówiła, czując, że nie byłaby w stanie.

On też milczał.

Nagle poczuła jego męski, podniecający zapach. Usłyszała, że Quentin zaczął szybciej oddychać, jakby on również dawał się unieść fali pobudzenia. W oka mgnieniu zapomniała o przerażających wydarzeniach dzisiejszej nocy. Zapomniała o gwałcie. Myślała tylko o tym, jak dobrze i bezpiecznie byłoby jej w ramionach Malone'a. Jak bardzo pragnęłaby się z nim połączyć w odwiecznym rytuale miłości, o którym już zdążyła zapomnieć.

Pragnęła tego. Chciała, by ją kochał i pieścił. Pragnęła zapomnienia. To wszystko wydawało jej się zadziwiające. Czy to możliwe, że myśli o seksie niedługo po tym, jak ktoś chciał ją zgwałcić? Powinna raczej czuć wstręt. Obrzydzenie... Ale nie czuła. W każdym razie nie wtedy, gdy myślała o Quentinie. Przy nim czuła się bezpieczna. Tylko on mógł sprawić, żeby zapomniała o strachu.

- Anno?

Wyszeptał jej imię, jakby to była modlitwa albo pieśń miłosna.

Nie odpowiedziała. Dotknęła tylko jego policzka i przeciągnęła dłonią po szorstkiej powierzchni. A potem pocałowała Quentina.

Zdała sobie sprawę, że pragnęła tego od momentu, kiedy go zobaczyła. Mimo że budził w niej złość, wydawał jej się nieodparcie pociągający. Długo tłumiała to w sobie, za żadne skarby nie chciała się do tego przyznać. Być może dlatego wybuchło to w niej teraz tak nagle.

- Anno... - Na chwilę oderwał się od jej ust. - Przeżyłaś szok. Sama nie wiesz, co robisz...

- Wiem doskonale. - Położyła palec na jego nabrzmiąłych od pocałunku wargach. - Zostań ze mną dzisiaj, Quen.

- Jutro będziesz tego żałować.

- Możliwe. - Urwała na chwilę. - Ale teraz bardzo tego pragnę.

Zobaczyła, że Malone walczy ze sobą. Poczula do niego tym większy szacunek. Cieszyła się, że nie pociągnął jej od razu do łóżka. To znaczyło, że ma zasady, których się trzyma. Że nie zależy mu tylko na samej przygodzie. Rozumiała go, ale miała nadzieję, że jednak się podda pragnieniu.

Znowu zaczęła go całować, drażniąc delikatnie koniuszkiem języka jego wargi. Odsunął się od niej raz jeszcze, ale jednocześnie patrzył na nią z wielkim pożądaniem w oczach...

- Pragnę cię. Nie z powodu tego, co dzisiaj się stało. Nie dlatego, że boję się zostać sama. W każdym razie nie tylko... - Przesunęła palcami przez jego ciemne włosy. - Chcę cię, Quen...

Poddał się z głębokim westchnieniem. Wziął ją na ręce i posadził sobie na kolanach. Teraz poczuła, że pragnie jej równie mocno jak ona jego.

Przesunęła się i otarła o niego, imitując stosunek. Jej podniecenie rosło z każdą sekundą. Malone zaczął gwałtownie ją całować, ściągając jednocześnie z niej sweter.

Anna zaczęła rozpinać jego koszulę. Po chwili poczuła pod palcami nagą skórę. Gdy tylko ich ciała zetknęły się ze sobą, przywarli do siebie z całą mocą i padli na drewnianą podłogę. Szybko pozbyli się spodni.

Akt miłosny był taki, jak oczekiwała: podniecający i wspaniały.

Quentin zabrał jej pamięć. Zapomniała, kim jest i co się z nią ostatnio działo. Pamiętała tylko, że jest z nim i chciała, by to trwało i trwało. Sama nie wiedziała, jak długo

się kochali. Kiedy się rozdzielili, odpoczywali na podłodze, ciężko oddychając.

Anna przycisnęła głowę do jego ramienia, myśląc o tym, czy kiedykolwiek przeżyła coś podobnego. Wcześniej spotykała się z paroma mężczyznami, ale żadne z jej miłosnych doświadczeń nie było równie poruszające. Zastanawiała się, czy Quentin odebrał to tak samo. Miała nadzieję, że tak, ale wolała się nie oszukiwać. Oficer śledczy Malone miał na pewno wiele przygód i niełatwo można go było zadowolić. Doskonale wiedziała, że takie typy bardzo pociągają kobiety. Nie była tu przecież wyjątkiem.

Jestem po prostu jedną z wielu, pomyślała.

- Wszystko w porządku? - spytał, gładząc ją delikatnie po głowie.

- Tak, oczywiście. - Przywarła do niego jeszcze mocniej.

Przesunął dłoń w stronę szyi.

- Już żałujesz?

Uniósł się lekko na łokciu, chcąc zobaczyć jej twarz.

- Nie.

Dotknął jej ust czubkami palców.

- Powinienem cię przeprosić.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Sama zaczęłam...

- Nie, nie o to chodzi. - Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. - To... to było wspaniałe. Nie spodziewałem się niczego takiego...

Poczuła, że się czerwieni, ale nie z zażenowania, tylko z dumy. Więc dla niego też było to niezwykle przeżycie! On też stracił panowanie nad sobą i zapomniał o bożym świecie. To był najwspanialszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała.

- Dzięki - szepnęła. - Chyba właśnie tego potrzebowałam.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem.

Przytuliła się do niego mocniej.

- Nic nie szkodzi.

Objął ją i przygarnął mocno do siebie.

- Anno?

- Mhm?

- To było wspaniałe doświadczenie, prawda?

- Mhm.

- Nie sądzisz, że warto by to powtórzyć? - Wstał i wziął ją na ręce. - W nieco bardziej dogodnych warunkach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wtorek, 30 stycznia, godz. 7.20

Obudził go sygnalizator w telefonie komórkowym. Ranne słońce wpadało do pokoju, ścieląc się na łóżku. Było jasne, ale dawało mało ciepła. Quentin chwycił nieznośne urządzenie. Sprawdził ekranik, chociaż mógł się założyć, że to praca. Nikt inny nie budziłby go o tej porze.

Gdy okazało się, że ma rację, wygramolił się ostrożnie z łóżka, żeby nie obudzić Anny. Łóżko ugięło się, podłoga zaskrzypiała i zaniepokojony Quentin obejrzał się. Anna poruszyła się, coś nawet wymamrotała, ale się nie obudziła.

Patrzył na nią przez jakiś czas, czując, że robi mu się sucho w ustach, a serce zaczyna bić coraz szybciej. W nocy powiedział jej, że jest piękna, ale tak naprawdę uważał, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką zna. I że jest dla niego za dobra.

W końcu był przecież tylko irlandzkim gliniarzem o niezbyt chwalebnej reputacji. Facetem bardziej znanym jako pogromca kobiet niż miejscowych kryminalistów. Dobrze przynajmniej, że jeśli idzie o seks, mógł ją w pełni zaspokoić.

Poza tym zadba o to, żeby była bezpieczna. Będzie jej pilnował dniami i nocami. Nie pozwoli, aby ten szaleniec zrobił jej coś złego.

W końcu oderwał wzrok od Anny, przeszedł do kuchni i zadzwonił na posterunek.

- Cześć, Malone - usłyszał kobiecy głos, zdecydowanie zbyt rzeński jak na tę porę. - Czas przetrzeć śliczne oczęta.

Quentin nie miał nastroju na błyskotliwą wymianę dowcipów.

- Wypchaj się, Violet, tylko gadaj od razu, co tam masz.

Nagle ogarnęło go bardzo nieprzyjemne przeczucie. Nie, tylko nie to, pomyślał.

- Zabito i zgwałcono jeszcze jedną kobietę. Jeszcze jedną rudą kobietę.

Słowa oficer dyżurnej tylko potwierdziły jego przeczucia. Dziś rano odkryto zwłoki kolejnej ofiary. Niedaleko Esplanade Avenue i Decatur Street, tuż przy rzece. Podobnie jak Kent i Parker, wieczorem bawiła się wraz z przyjaciółmi.

- Wygląda na to, że udusił ją jak dwie pozostałe - ciągnęła Violet. - Walden i Johnson już tam pojechali.

Quentin spojrział na zegarek.

- To wszystko?

- Tak. A raczej nie. Jeszcze jeden drobiazg. Zabójca uciął ofierze mały palec od

prawej ręki...

Znaczenie tych słówomal go nie zważyło z nóg. Quentin oparł się o kuchenny blat, żeby nie upaść.

- Co takiego?

- Ten skurwysyn uciął jej palec! Wyobrażasz to sobie?!

Chwilę później Quentin trzęsącą się ręką odłożył słuchawkę i wyrztał za okno. Dobry Boże, jak ma o tym powiedzieć Annie?!

- W mojej kuchni jest nagi mężczyzna. Chyba powinnam zadzwonić po policję.

Quentin odwrócił się i zobaczył ją w drzwiach. Miała na sobie gładki, biały szlafrok. Wyglądała na rozspaną i mało przytomną. Uśmiechała się do niego tak, że poczuł dławienie w gardle. I przerażenie, czy zdoła unieść ciężar odpowiedzialności. Podeszła do niego i uniosła dłoń. Poły szlafroka rozchyliły się, ukazując jej kuszące kształty.

Malone rozciągnął usta w uśmiechu.

- Ten nagi mężczyzna to policjant - mruknął.

- No tak, zgadza się. To bardzo wygodne. - Przywarła do niego nagim ciałem. - Kto mówił, że nigdy nie można znaleźć policjanta, kiedy jest naprawdę potrzebny?

Sięgnęła po jego męskość. Quentin aż się zachłysnął powietrzem.

- Nie, Anno. Proszę... - Złapał jej dłoń i mocno uściskał.

Spojrzała na niego urażona. Próbowwała nawet się cofnąć, ale ją powstrzymał.

- Nie chodzi o ciebie - rzucił. - Tylko... - zamilkł, nie bardzo wiedząc, jak jej to powiedzieć.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Krew nagle odpłynęła z jej twarzy.

- Co się stało?

- Lepiej usiądź.

- Nie. - Zaczęła drżeć. - Powiedz!

Spełnił jej prośbę. Starał się trzymać faktów i panować nad swoim głosem. Kiedy skończył, podsunął jej krzesło, a ona opadła na nie zupełnie bez siły.

- To miałam być ja - szepnęła zbielełymi wargami. - To był on. Chciał mnie...

- Nie wiemy tego, Anno. Nic jeszcze nie wiemy.

- Ale dlaczego właśnie ja?! - krzyknęła. - To zdarzyło się tak dawno! Czemu nie zostawi mnie w spokoju?!

- To nie Kurt, Anno. - Quentin delikatnym gestem odgarnął włosy z jej twarzy. - Zapewniam cię, że to nie on.

- Nieprawda! - W jej rozszerzonych ze strachu oczach pojawiły się łzy.

- Nie, Anno. Mężczyzna, który zszedł na dół z twojego balkonu, musi być w świetnej formie. Ktoś po sześćdziesiątce raczej by tego nie dokonał.

- Coś przed tobą zataiłam. Ten człowiek powiedział coś, co może wiedzieć tylko Kurt, bo FBI nie rozgłaszało tego. Tej nocy, kiedy... kiedy umarł Timmy... - Chwyciła ustami powietrze, jakby zaczynała się topić. - Tej nocy, kiedy... zabił Timmy'ego i... i kazał mi patrzeć...

Zamilkła na chwilę, a on rozumiał, że musi zebrać siły. Te wspomnienia były dla niej wciąż żywe i przerażająco bolesne.

- Tak, słucham?

- Po... potem, po Timmym, obrócił się do... do mnie i powiedział: „Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy a następnie... zrobił to.

- Twój palec? - spytał.

- Tak - aż nią zatrzęsło - sekatorem.

Chętnie by ją teraz przytulił, wyobrażając sobie, co musiała czuć jako dziecko. Przepęniało go obrzydzenie na myśl o tym.

Chciał bronić jej przed całym światem, ale jednocześnie wiedział, że w pewnych sytuacjach pomoc z zewnątrz jest zupełnie bezużyteczna.

- Aż trudno mi sobie wyobrazić, co przeżyłaś. I jak w ogóle udało ci się uciec. Miałaś przecież tylko trzynaście lat!

- Myślałam o Timmym - powiedziała po prostu. - O tym, co on przeszedł.

- Jesteś bardzo odważna i silna, Anno. - Wziął jej twarz w dłonie. - Silniejsza, niż ci się wydaje.

Zaśmiała się głucho.

- Jestem potworną panikarą. Nie znam nikogo bardziej tchórzliwego. Jak sądzisz, dlaczego ukrywałam się przez te wszystkie lata? - spytała ochryple. - Ale i tak mnie znalazł!

- Gdyby chciał, znalazłby cię już dawno temu.

- Przecież zmieniałam nazwisko...

- Na panięskie nazwisko twojej matki - przerwał jej łagodnie. - Każdy prywatny detektyw z choćby odrobiną oleju w głowie znalazłby cię w ciągu jednego dnia. To nie Kurt, Anno.

- Więc skąd znalazłby jego słowa?

- „Uwaga, raz, dwa, trzy, zaczynamy“? - zacytował. - Wiele osób miało dostęp do tych informacji. Nawet policjanci i agenci FBI rozmawiają o starych sprawach. Przecież minęło już ponad dwadzieścia lat. Nikt nie uważa tego za zdradzanie służbowych tajemnic.

Spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę uważasz, że to nie Kurt?

- Jasne. - Pogłodził ją po policzku. - Powiem ci, co myślę o tej sprawie. Ktoś ma obsesję na twoim punkcie. Z powodu twoich książek, przeszłości lub jednego i drugiego. To rozbudziło jego wyobraźnię, a w czasach globalnej informatycznej wioski bardzo łatwo znaleźć nawet najbardziej poufne informacje. Jednak do dzisiejszej nocy wystarczyło mu samo zastraszanie.

- Ale już nie wystarcza?

- Niestety, nie.

Anna wstała i położyła rękę na jego ramieniu.

- Ciekawe, dlaczego tak bardzo mi zależy na tym, żeby to nie był Kurt? Przecież tak naprawdę niczego to nie zmienia. Jeden potwór wart drugiego.

- Złapię tego faceta, obiecuję. Nie pozwolę, żeby zrobił ci coś złego. - Sygnalizator w telefonie komórkowym znowu się odezwał. Dopiero teraz uświadomił sobie, że czas mija, i zaklął siarczyście. - Niestety, muszę już iść, Anno.

- Tak, oczywiście. - Cofnęła się i zasłoniła nagie ciało połami szlafroka. - Masz przecież pracę.

- Ale nie zostawię cię tu samej. Zaraz zadzwonię po mundurowego policjanta.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie chcę tutaj nikogo obcego. Zadzwonię po Billa i Daltona. Na pewno przyjdą.

- Uniosła brwi, widząc grymas na jego twarzy. - To moi przyjaciele, Quen. Nic mi nie zrobią.

Gdyby miał chociaż najmniejszy dowód na to, że któryś z jej sąsiadów może być groźny, natychmiast by tego zakazał. Jednak w tej chwili nic nie mógł zrobić.

- Dobrze, pójdę się ubrać. Zadzwoni od razu. Nie wyjdę, dopóki...

- Nie będę miała kolejnej niańki? Dziękuję.

Szybko pozbierał swoje ubrania i wziął prysznic, a potem umył zęby, posługując się palcem. Kiedy wyszedł z łazienki, Anna miała na sobie spodnie khaki i biały golf. Uczesowała też włosy i spięła je z tyłu szylkretową klamerką.

Unikała jego wzroku.

- Nie gniewaj się na mnie, Anno - poprosił, wyciągając dłoń w jej stronę. - Wcale nie chcę wychodzić, ale sama...

- Ależ ja się nie gniewam. Nie jestem też rozczarowana. Masz przecież pracę.

Czuł, jak narasta między nimi dystans, a wraz z nim wszechobejmujący chłód.

- Więc dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć? - westchnął. - Dlaczego się ode mnie

odsuwasz?

- Bo wiem, że gdybym cię dotknęła, na pewno bym się załamała, a nie mogę sobie na to pozwolić. Nie teraz. - Zaciśnęła usta, żeby powstrzymać ich drżenie. Usłyszeli głośne pukanie do drzwi, a potem głos Daltona.

- Zadzwoń, jak będę coś wiedział - powiedział Quentin, zbierając się do wyjścia.

Dalton i Bill aż otworzyli usta ze zdziwienia, kiedy go zobaczyli. Gapili się na niego bez słowa. Policzki Daltona zrobiły się różowe, a Bill patrzył to na nią, to znów na Malone'a.

Nie wyglądają na zachwyconych moim widokiem, pomyślał Quentin.

Pochylił się i pocałował Annę. W tym momencie odezwał się jego sygnalizator. Wiedział, że to oficer dyżurna, która chce sprawdzić, gdzie jest, ale nie puścił Anny.

- Uważaj na siebie - rzucił. - Gdybyś czegoś potrzebowała...

- Idź już - mruknęła, odsuwając się od niego. Cała drżała, ale starała się nad sobą panować. - Złap tego mordercę. Pomścij te wszystkie biedne kobiety. I zrób to dla mnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Wtorek, 30 stycznia

Dzielnica Francuska

Quentin ostatni przybył na miejsce zbrodni. Pozdrowił kolegów i podszedł do ofiary. Pochylił się, czując, jak serce skacze mu do gardła.

Na chwilę zamknął oczy, żeby się uspokoić. Musi traktować tę sprawę bezosobowo i profesjonalnie, inaczej nie będzie mógł jej prowadzić. Ale kiedy spojrzął na ofiarę, zobaczył w jej miejscu Annę. Bo to miała być Anna.

Raz jeszcze wciągnął powietrze przez nos, żeby się uspokoić. Nie może stwierdzić tego na pewno. Nie może formułować gotowych wniosków. Musi skupić się na zamordowanej i na tym, co się stało. Intelpekt musi przeważać nad emocjami.

Johnson przykucnął obok.

- Wyciągnęliśmy cię z łóżka, co? - mruknął. - Pewnie nie swojego.

- Pocałuj mnie w dupę.

Kolega ukazał zęby w uśmiechu.

- Nie, dzięki. Wolę wysokie blondynki.

Quentin skrzywił się. Johnson znany był z tego, że bierze babki jak leci.

- Kogo tu mamy?

- Nazywa się Jessica Jackson. Miała dwadzieścia jeden lat. Ładna, inteligentna, bogata z domu. Studiowała w Tulane.

Cholera jasna!

- Za młoda - westchnął Malone. - Za młoda, żeby umierać.

- Tak, to poważna sprawa. Ten facet zaczyna mi już działać na nerwy. - Johnson przeciągnął dłonią po twarzy. - Walden sprawdza okolicę, wypytuje mieszkańców. Może ktoś coś widział lub słyszał.

Quentin spojrzął na zwykle pogodnego kolegę. Johnson słynął ze swego dobrego humoru, ale teraz wyglądał na zmęczonego i przygnębionego.

- Słyszałeś o poprzednim napadzie?

- Na Annę North? Tak, oczywiście. - Spojrzął na Malone'a. - Zupełnie inna metoda pracy. Zaatakował ją w domu, nie na ulicy.

- Ale jest ruda. Tydzień temu była w „Tipitynie“, a potem ktoś szedł za nią, ale na szczęście się wystraszył.

Kolega zmrużył oczy.

- Może warto się tym zająć. Może...

- To jeszcze nie wszystko - przerwał mu Quentin. - Wydaje mi się, że z jej powodu zabójca zmienił sposób działania.

Johnson spojrzał na niego zaskoczony.

- To znaczy?

- Anna North nie ma małego palca u prawej ręki.

Po jego minie widział, jak wielkie zrobiło to na nim wrażenie. Johnson gwizdnął i pokręcił głową.

- Tak jak ta - mruknął.

Pochylili się jeszcze bardziej nad ofiarą. Quentin starał się uchwycić wszystko, co różniło to morderstwo od pozostałych. Oczywiście najbardziej rzucała się w oczy zakrwawiona ręka dziewczyny. Quentin zmarszczył brwi i skupił się na niej. Zabójca nie wykazał się specjalną delikatnością. Niemal wyrwał palec ofierze, zostawiając ohydnie postrzępioną ranę. Prawdopodobnie uciął palec scyzorykiem albo czymś równie mało niebezpiecznym.

Nie był przygotowany. Anna mówiła o sekatorze.

- Sądząc po kolorze i ilości krwi, zrobił to po uduszeniu tej małej - powiedział Johnson.

Quentin skinął głową. Spojrzał na twarz ofiary. Mimo śmiertelnej maski była naprawdę ładna. Delikatne, regularne rysy, niebieskie oczy, naturalnie rude włosy, trochę jaśniejsze niż u Anny.

- Poszło mu znacznie gorzej niż z poprzednimi. - Malone wyciągnął rękę. - Popatrz na siniaki na twarzy i szyi. Tamte ofiary nie miały niczego w tym rodzaju.

- Myślisz, że to ten sam, który załatwił Kent i Parker?

- Raczej tak - odparł. - Ale na razie nie możemy tego stwierdzić na pewno.

- Wygląda na to, że ją zgwałcił.

- Jeśli to ten sam facet, to moim zdaniem był z jakiegoś powodu wściekły. Wyraźnie widać, że nie był tak ostrożny. Być może zdecydował się na to morderstwo pod wpływem impulsu...

- Chcesz powiedzieć, że mu nie wyszło z Anną North i dlatego szybko znalazł inną?

- I uciął jej palec, żeby wyglądała jak Anna North - dodał Quentin.

Być może one wszystkie miały symbolizować Annę, pomyślał.

- Tak. - Johnson podrapał się po głowie. - Tylko jak mu się udało tak szybko znaleźć

następną rudą dziewczynę?

Quentin zmarszczył brwi, wiedząc, że to pytanie należy traktować bardzo poważnie.

- Może wcale nie musiał jej szukać - mruknął. - Może często chodzi do różnych knajp i obserwuje bawiące się kobiety. Może ma nawet listę i zna ich zwyczaje. Nie musi sprawdzać, jak i kiedy wracają do domu.

- No jasne - westchnął ponuro Johnson. - Kiedy nie wyszło mu z North, od razu wiedział, gdzie szukać. To miejsce jest bardzo blisko jej mieszkania, o ile dobrze pamiętam.

Co znaczy, że morderca wkrótce wróci do Anny, przeraził się Quentin.

Johnson natychmiast odgadł, o czym myśli.

- Sądysz, że jeszcze raz napadnie na North?

Malone wstał, czując, że robi mu się niedobrze.

- Tak. Jest wściekły, że mu się wymknęła.

- Więc musimy urządzić zasadzkę i czekać. W ten sposób go złapiemy.

- Tylko nie chcę żadnego ryzyka - mruknął i spojrzał na kolegę. - W tej sprawie nie chcę nawet najmniejszego ryzyka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Wtorek, 30 stycznia

Okolice centrum

Ben wolno dochodził do siebie. Bolała go nie tylko głowa, ale całe ciało. Chciał się przewrócić na drugi bok, ale ból przeszył go niczym prąd elektryczny. Jęknął i otworzył oczy.

Gdzie jestem? - pomyślał.

Przesunął wzrokiem po aseptycznie białych ścianach, zatrzymując się na chwilę na umocowanym przy suficie telewizorze, szafce i metalowej poręczy łóżka. Był w szpitalu.

Zupełnie zdezorientowany, uniósł dłoń do oczu.

Jak się tu dostałem? - zastanawiał się.

- Dzień dobry, panie doktorze. - Pielęgniarka, która pchała wózek z lekarstwami, pozdrowiła go od drzwi, a potem uśmiechnęła się szeroko. - Witamy w świecie żywych.

Podeszła do łóżka i włożyła plastikową osłonkę na końcówkę termometra. Ben otworzył usta. Pielęgniarka wetknęła mu go pod język.

- Jestem siostra Abrams. Jak się pan teraz czuje?

Nie mógł odpowiedzieć z powodu termometra, ale pielęgniarce wcale to nie przeszkadzało. Ben zdołał odczytać z plakietki, że ma na imię Beverly i pracuje w Baptist Mercy Hospital.

Sprawdziła jego tętno, a potem ciśnienie krwi. Wyjęła termometr z jego ust, następnie naniósła wszystkie wyniki na kartę.

- Temperatura normalna. Wszystko w granicach normy. Zaraz przyjdzie tu lekarz - poinformowała.

- Dlaczego tu jestem?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd się tu wziąłem, skoro wszystko jest w porządku?

- Nie pamięta pan, co się stało?

- Nie, gdybym pamiętał...

Nagle jego głowa wypełniła się strzępami obrazów, które przedstawiały to, co wydarzyło się, zanim stracił przytomność.

Zakochałeś się w niej. A ona umrze jeszcze dziś wieczorem.

O Boże, Anna. Odrzucił kołdrę i usiadł na łóżku. Świat wokół niego zawirował i Ben omal nie spadł na podłogę. Pielęgniarka dopadła go w dwóch susach i złapała za ramię.

- Co pan robi?! Nie wolno panu!

- Muszę iść... Moja przyjaciółka... wypadek... - bełkotał.

- Właśnie - rzekła twardo, pomagając mu się położyć - miał pan wypadek. Parę złamanych żeber i wstrząs mózgu. Nigdzie pan nie pójdzie. Najpierw musi pana zbadać doktor Wells.

Ben zamknął oczy. Był zbyt słaby, żeby protestować. Przesunął dłonią po ciele, wyczuwając gips i bandaż. Wypadek, tak, miałem wypadek, pomyślał.

- Co się stało? - spytał. - Nic nie pamiętam.

- Zjechał pan z drogi. Trzeba było rozcinać samochód. Podobno mogło być gorzej, ale trafił pan na ostrokrzew.

Gorzej? A co z Anną?!

- Czy mogę prosić o dzisiejszą gazetę? - spytał nabrzmiałym z bólu głosem. - Najlepiej „Timesa Picayune“.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Nie! - Złapał jej rękę i ścisnął ją bezwiednie. - Czy... czy wczoraj wydarzyło się coś złego?

Pielęgniarka spojrzała na niego niepewnie.

- Przecież mówiłam, że miał pan wypadek.

- Nie chodzi o mnie. - Chciał pokręcić głową, ale poczuł ból w szyi. - O moją przyjaciółkę, Annę North. Czy nic się jej nie stało?

Siostra Abrams zmarszczyła brwi.

- Wydaje mi się, że był pan sam w aucie...

- Nie, Anny nie było ze mną w samochodzie - tłumaczył cierpliwie. - Jechałem do niej, żeby sprawdzić, czy nic jej nie grozi.

- Zadzwoń lepiej po lekarza.

- Nie, proszę! - Zacisnął jeszcze mocniej palce, w ogóle nie czując bólu. Żałował, że nie może dokładniej wyjaśnić, o co mu chodzi, ale myśli mu się mieszały, a język odmawiał posłuszeństwa. - Chcę po prostu znać najnowsze wiadomości. Niech mi pani powie, co... co się zdarzyło. W mieście. Co się zdarzyło, kiedy byłem nieprzytomny?

Widział po minie, że napędził jej stracha. Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czy o to panu chodzi, ale ktoś zabił jeszcze jedną kobietę. W Dzielnicy Francuskiej. Czy o to...?

Jęknął i wypuścił jej dłoń.

- Jak miała na imię? - spytał, walcząc ze słabością. - Czy przypadkiem nie Anna?

- Nie wiem. - Pielęgniarka cofnęła się do drzwi. - Mówili o niej w radiu, ale nie pamiętam, jak się nazywała.

W radiu? No jasne!

Ben wziął pilota ze stolika i włączył telewizor. Przez chwilę skakał po kanałach, aż w końcu trafił na lokalne wiadomości.

- Powtarzamy najświeższe wiadomości. Dziś w nocy została zamordowana Jessica Jackson z River Ridge. Jest to trzecia ofiara psychopatycznego mordercy i gwałciciela. Ta sprawa nie przestaje bulwersować całego Nowego Orleanu.

Na ekranie pojawiło się kolorowe zdjęcie ładnej, młodej dziewczyny w stroju uniwersyteckim. Ben odetchnął z ulgą. Na szczęście nie była to Anna.

- Dzień dobry.

Z wielkim trudem oderwał wzrok od telewizora i próbował się uspokoić. Do pokoju wszedł niewysoki, schludny mężczyzna w białym kitlu ze stetoskopem zawieszonym na szyi.

- Jestem doktor Wells - przedstawił się, wyciągając do niego rękę. - To ja pana wczoraj łątałem.

Ben uściskał jego dłoń i syknął z bólu.

- Bardzo panu dziękuję. Szkoda, że nie mogę jeszcze wstać.

- Jestem lekarzem, a nie cudotwórcą. - Mężczyzna spojrzął na jego kartę. - Muszę powiedzieć, że całkiem nieźle się pan urządził. Cztery złamane żebra, wstrząs mózgu, nadwężony mostek. I dużo rozcięć, które trzeba było zszyć.

Ben zmarszczył brwi.

- Chyba nie wyleciałem przez przednią szybę?

- Nie, na szczęście trafił pan w żywopłot z ostrokrzewu. Ale trzeba było ciąć samochód, żeby się do pana dostać.

Ben pomacał głowę.

- Mogło być gorzej, prawda? - Nie zwrócił uwagi na to, że lekarz skinął głową, tylko znów zerknął na ekran, ale prezenterka przeszła do następnych wiadomości.

Chciał się teraz spotkać z Anną. Zobaczyć na własne oczy, że nic jej się nie stało. Powiedziałby jej oczywiście o kartce, którą znalazł za wycieraczką, a potem zwróciłby się do policji.

Spojrzał na doktora Wellsa.

- Muszę stąd wyjść, panie doktorze. Czy może mnie pan wypisać?

Lekarz uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Oczywiście, ale w odpowiednim czasie. To był bardzo niebezpieczny wypadek.

- Tak, słyszałem od siostry Abrams.

Doktor Wells spojrzał na niego uważniej.

- Nie pamięta go pan?

- Nie.

- Zupełnie nic?

- Nie. - Ben spojrzał na zegar, a potem na lekarza. - Jechałem do przyjaciółki. To była pilna sprawa, ale... no cóż, nie dojechałem.

- Był pan w kiepskim stanie, kiedy zjawilo się pogotowie. A potem też nie było najlepiej. - Doktor Wells zmrużył oczy. - Wstrząs mózgu to poważna sprawa.

Ben mruknął, że rozumie, i spokojnie poddawał się kolejnym badaniom. Następnie odpowiadał na pytania, czy nie ma mdłości, czy dobrze widzi i czy potrafi utrzymać równowagę.

Ben kłamał tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

- Nic mi nie jest, panie doktorze - powiedział w końcu ze sztucznym uśmiechem. - Naprawdę. Czy mógłbym dziś wyjść ze szpitala?

Lekarz westchnął.

- Tak, jeśli ma pan kogoś, kto się panem zajmie. Chodzi o to, żeby się pan nie forsował.

- Ja się nim zajmę, panie doktorze.

Spojrzelili w stronę drzwi. Stał w nich śledczy Malone, opierając się barkiem o framugę. Wyglądał naprawdę świetnie. Ben poczuł, jak jeżą mu się włosy na szyi.

- Cześć, Ben - zwrócił się do niego familiarnie.

- Co cię tu sprowadza, Quentin? - nie pozostał mu dłużny.

Nie było to zwykle, przyjazne przejście na ty, ale wymuszone i... jakby wrogie.

- Oczywiście, ty.

- Dobre wieści rozchodzą się szybko - mruknął sarkastycznie Ben.

Malone wszedł do środka i zatrzymał się przy łóżku.

- Jestem śledczy Quentin Malone z Siódmego Wydziału Nowoorleańskiej Policji - zwrócił się do lekarza. - Czy mogę zadać pacjentowi parę pytań?

- Nie widzę przeciwwskazań. - Doktor Wells odwiesił kartę na swoje miejsce. - Ale pewne rzeczy mogą mu się mylić, bo uderzenie w głowę było naprawdę mocne. - Zwrócił się do Bena: - Niech pan na siebie uważa przez najbliższe dni i nie forsuje się. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Proszę natychmiast się zgłosić, gdyby miał pan mdłości albo inne niepokojące objawy.

- Z całą pewnością. - Ben uściśnął jego dłoń. - Dziękuję, panie doktorze.

Lekarz pożegnał się z Malone'em i wyszedł. Zostali sami. Śledczy spojrział uważnie na Bena.

- Dzwonił pan do mnie wczoraj do pracy. Byłem ciekaw, dlaczego.

- Naprawdę to zrobiłem?

- Powiedział pan tylko, kto dzwoni. Naprawdę pan tego nie pamięta?

Ben pomacał obolałą głowę.

- Muszę pana zmartwić, ale nie pamiętam zbyt wiele z ostatniej...

Nie dokończył. Przed oczami miał ciemną drogę. Wpadł w panikę. Jechał szybko, zbyt szybko, a jednocześnie nerwowo wciskał numery na podświetlonym telefonie.

- Dzwoniłem do Anny - szepnął po chwili. - Nikt nie odbierał. Zacząłem się bać.

- Bać?

Ben zamrugnął oczami.

- Tak, o nią. Dlatego do pana zadzwoniłem.

Malone wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Wciąż patrzył na Bena, a ten poczuł, że znowu podnoszą mu się włosy na szyi.

- A dlaczego się pan o nią bał? - spytał.

- Czy Annie nic się nie stało?

- Fizycznie nic.

Ben poczuł, że serce zaczyna mu bić coraz szybciej.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Porozmawiajmy najpierw o panu, doktorze. - Malone wyjął z kieszeni niewielki notes. - Co mi pan chciał powiedzieć?

Ben podniósł dłoń do skroni i zaczął ją masować, chcąc zniwelować ból. Jednocześnie zaczął mówić:

- Wczoraj wieczorem byłem u mamy. Znajduje się teraz w domu opieki Crestwood przy Metairie Road. Ma Alzheimera.

- Bardzo mi przykro.

Ben skinął głową i ciągnął swoją opowieść:

- Wyszedłem później niż zwykle, bo mama była bardzo niespokojna. Wydawało jej się, że ktoś przyszedł, żeby ją przestraszyć. Uspokojenie jej zajęło trochę czasu.

Quentin spojrział na niego ostro.

- Wydawało jej się?

Ben zaprzestał masażu i spojrział na swoje podrapane dłonie.

- Moja mama... myli osoby i zdarzenia. Ogląda telewizję, a potem wydaje jej się, że przeżyła to naprawdę.

- Dobrze. Proszę dalej.

- Kiedy podszedłem do samochodu, zauważyłem kartkę za wycieraczką mojego wozu. Przypuszczam, że pochodziła od tej samej osoby, która wysłała mi książkę i zostawiła kopertę ze zdjęciem.

- Co tam było napisane?

Ben odwrócił wzrok, czując, że zaczynają mu płonąć policzki.

- Że zakochałem się w Annie i że ona zginie jeszcze tego wieczoru. Właśnie to.

Malone wyprostował się.

- Że zginie poprzedniego wieczoru?

- Tak. Dlatego wpadłem w panikę. Dzwoniłem do niej, ale nie odbierała, więc postanowiłem dojechać do niej jak najszybciej...

- A nie wpadło panu do głowy, żeby zadzwonić na miejscowy posterunek?

- Nie. Byłem w za dużym stresie, żeby normalnie myśleć.

Malone spojrział na notes, a potem podniósł wzrok.

- Czy naprawdę się pan w niej zakochał?

Ben zeszywniał.

- To nie ma nic wspólnego z tą sprawą. - Spojrział mu odważnie w oczy. - Ale... rzeczywiście się zakochałem.

Lekki skurcz przebiegł po twarzy śledczego i Ben uświadomił sobie, że nie jest jedyną osobą, która czuje coś do Anny. Taki chłystek, pomyślał z zazdrością. Nie może go wybrać!

- Jestem wytrwały, panie Malone. Nie poddaję się tak łatwo.

- Jak każdy trudny przeciwnik. - Cień uśmiechu pojawił się na ustach policjanta. - Ma pan jeszcze tamtą kartkę?

- Była w samochodzie. Pewnie wciąż tam jest. - Zaśmiał się ponuro. - Może ją pan spróbować odszukać.

- Nie domyśla się pan, kto ją zostawił?

- Ta sama osoba, która zostawiła poprzednie rzeczy. Prawdopodobnie któryś z moich pacjentów.

- Czy słyszał pan nazwisko Adam Furst?

- Nie, nigdy.

- Jest pan pewien? Nie leczył go pan kiedyś?

- Z całą pewnością. Kto to taki?

Malone nie odpowiedział na to pytanie.

- Wspominał pan, że próbuje zawęzić jakoś krąg podejrzanych pacjentów. Jak rozumiem, albo pan tego nie zrobił, albo się nie udało.

Ben znowu zeszywniał.

- Potrzebuję trochę czasu. Zacząłem to robić, ale nie mogę, ot, tak sobie, kogoś oskarżyć. Udało mi się tylko wyeliminować obecnych pacjentów, co znaczy, że będę musiał pogrzebać w przeszłości. Poddać testowi innych pacjentów...

- Testowi? - powtórzył Quentin. - Może mi pan powiedzieć, na czym on polega?

Psycholog wyjaśnił mu wszystko. Opowiedział o sprawdzaniu z książką i jego wynikach.

- Jeśli zabiorę się szybko do pracy, to powinienem w ciągu tygodnia znaleźć tę osobę - zakończył.

- Do tego czasu może zginąć następna kobieta. Nie mógłby pan tego przyspieszyć? Albo dać nam tę listę?

- Wie pan, że nie mogę tego zrobić. To nieetyczne i nieprofesjonalne.

- A czy uważa pan, że ukrywanie mordercy jest etyczne?

- Mordercy? Chyba za daleko się pan posunął. Ten człowiek tylko straszy...

- Ten człowiek napadł wczoraj na Annę! - przerwał mu Quentin. - Włamał się do jej mieszkania!

Te słowa podziałały jak uderzenie. Ben opadł bezsilnie na poduszkę. Przez moment nie mógł z siebie wydusić niczego.

- Ale... ale mówił pan, że nic jej nie jest?

- Wystraszyła go, zanim zdążył ją zgwałcić. Anna jest w szoku.

Ben odwrócił się, nie chcąc pokazywać, co się z nim dzieje. Przez moment walczył ze swoją słabością, czując, że to wszystko jego wina. Gdyby dotarł na czas, Annie nic by się nie stało.

- Jest coś jeszcze - ciągnął Malone. - Wczoraj w nocy zgwałcono i zamordowano kolejną kobietę.

- Wiem, we Francuskiej Dzielnicy. Widziałem w telewizji. - Ben chrząknął. - Nie sądzi pan chyba, że miało to jakikolwiek związek z...

- Ta kobieta była ruda, doktorze. Jeszcze jedna marchewkowa piękność. Morderca odciął jej mały palec. - Śledczy zrobił przerwę, jakby chciał, żeby do Bena w pełni dotarło znaczenie tych słów. - Czy ciągle odmawia pan udostępnienia listy swoich pacjentów?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Wtorek, 30 stycznia

Posterunek SWNP

Quentin postawił swój samochód w jednym z niewielu wolnych miejsc na parkingu przy posterunku Siódmego Wydziału Nowoorleańskiej Policji. Spotkanie z Benem Walkerem okazało się tylko częściowym sukcesem. Doskonale widział, że psycholog jest naprawdę przejęty tym, co się stało i że zrobiłby wszystko, żeby pomóc Annie. To, że prawdopodobnie krył się za tym któryś z jego pacjentów, przygnębiało go jeszcze bardziej.

Mimo to stanowczo odmówił wydania spisu swoich podopiecznych.

Quentin wyłączył silnik. Doktor obiecał mu, że gdy tylko dowie się, kto jest za to wszystko odpowiedzialny, natychmiast go poinformuje. Twierdził jednak, że nie może narażać innych pacjentów na poważne stresy. Quentin przyjął to z rosnącą irytacją. Dla niego sprawa była jasna. Ktoś w mieście zabijał kolejne kobiety i najpewniej ta sama osoba prześladowuje Annę. Trzeba więc ją odnaleźć i wsadzić za kratki. I niech diabli porwą wszelką etykę!

Ben Walker zakochał się w Annie. Quentin zaklął i wysiadł z wozu. To złościło go bardziej niż wszystko inne, między innymi dlatego, że zaczął się zastanawiać nad nową kwestią. Gdyby Ben dotarł pierwszy na miejsce, czy to właśnie on znalazłby się w łóżku Anny?

Nie chciał o tym myśleć, ale ten problem wciąż do niego powracał. Anna była przerażona. W szoku. A on akurat się przy niej znalazł. Pewnie dlatego zwróciła się do niego, oczekując, że da jej spokój i zapomnienie. Seks był dla niej zasłoną, którą chciała odgrodzić się od upiornych zdarzeń. To samo robili policjanci, wybierając albo kobiety, albo alkohol. On też tak robił.

Zatrzasnął drzwiczki i włączył pilotem zamek. Do licha! Doskonale wiedział, że nie powinien był się z nią kochać, a jednak nie potrafił oprzeć się Annie. Była tak pociągająca! I taka bezbronna! Nie mógł zbyt długo bronić się przed naporem silnego pożądania.

Pragnął jej od samego początku, od ich pierwszego spotkania na policji...

Nic dziwnego, że Ben też to czuł. Cholera, jest doktorem psychologii. Quentin kopnął jakiś kamień. A on tylko nędznym gliną. Nie ma z nim najmniejszych szans.

- Oficer śledczy Malone?

Quentin odwrócił się. Tuż za nim szło dwóch policjantów z sekcji wewnętrznej.

Pokazali mu odznaki, chociaż musieli wiedzieć, że ich poznaje. To oni przesłuchiwali go po morderstwie w tawernie Shannona. Quentin zaklął pod nosem. Ładnie się zaczyna.

Z trudem uśmiechnął się do obu mężczyzn.

- Cześć, chłopaki. O co chodzi?

Pierwszy odezwał się niższy z nich, Simmons.

- Musimy porozmawiać o twoim współpracowniku, Terry Landrym.

- Naprawdę? - Quentin uniósł brwi. - Myślałem, że mam to już za sobą.

- Co mianowicie? - pytał drugi śledczy, Carter.

Więc tak to chcą rozegrać. Oficjalnie, czepiając się wszystkich szczegółów.

- No, sprawę tego zabójstwa koło knajpy Shannona.

- Tym razem interesuje nas coś innego.

Quentin oparł się o swoje auto.

- Dobra, strzelajcie.

- Słyszeliśmy, że Landry ma w tej chwili poważne kłopoty.

- Można tak powiedzieć. Jest w separacji z żoną. - Quentin spojrzał na pierwszego, a potem na drugiego z policjantów. - Ale przecież rozmawialiśmy o tym poprzednio.

- Czyli to zrozumiałe, że dużo teraz pije?

Quentin zeszywniał, lekko zaniepokojony.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

Simmons i Carter wymienili spojrzenia.

- Nie zauważyłeś, że... pije?

Zniecierpliwiony Malone wyprostował się i spojrzał wyzywająco na obu oficerów.

- Posłuchajcie, przestańmy się bawić w kotka i myszkę. Tak, Terry trochę ostatnio nadużywa alkoholu, ale robi to poza służbą i w żaden sposób nie szarga dobrego imienia policji.

- Chcesz powiedzieć, że pracuje tak samo jak kiedyś? - spytał Simmons.

- Oczywiście - odparł Quentin, patrząc mu prosto w oczy.

- Pewnie u niego krucho z pieniędzmi - mruknął Carter. - Musi przecież utrzymywać dwa domy.

- Niestety, tyle zarabiamy. - Quentin uśmiechnął się sztucznie.

- Skarżył ci się?

- Tak, trochę.

- Ale nie wygląda na takiego, któremu brakowałoby gotówki, prawda? - wtrącił się Simmons.

- Nie wiem, o co wam chodzi.

- Więc nie zauważyłeś, żeby Landry dużo kupował albo przepuszczał większą forszę w knajpach?

Quentin przypomniał sobie pięćdziesiątkę, którą Terry podsunął Shannonowi. Do licha, to nie było w porządku.

- Nie, nie zauważyłem. - Spojrzał Carterowi prosto w oczy. - A wy?

Śledczy nie zwrócił uwagi na to pytanie.

- Czy chciałbyś nas może poinformować o czymś szczególnym w zachowaniu swojego partnera? Jakies wyskoki? Dziwne zachowanie?

W co, do diabła, władował się Terry?! Quentin musiał bardzo uważać, by w żaden sposób nie pokazać, jak bardzo jest zaniepokojony.

- Mówiłem już, że nic mu nie jest. Rzeczywiście ma problemy, ale się nie poddaje. - Obrzucił spojrzeniem śledczych. - Możecie mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Simmons uśmiechnął się lekko.

- Dziękujemy za pomoc, Malone.

Carter spojrzał na niego z wyraźną niechęcią.

- Będziemy w kontakcie.

- Liczę na to - mruknął, patrząc na oddalających się kolegów.

W końcu westchnął i ruszył w stronę posterunku. Paru mundurowych policjantów, palących na zewnątrz, skinęło mu głową. Quentin zaklął pod nosem. Ilu jego kolegów widziało, jak rozmawiał z Simmonsem i Carterem? Jeśli nawet niezbyt wielu, to i tak niedługo wszyscy będą o tym mówić. Chłopcy z sekcji wewnętrznej specjalnie wybrali miejsce rozmowy. Chcieli ostrzec innych policjantów przed nim i... Terryem. Quentin wiedział, że chodziło im bardziej o jego kumpla, ale to wcale nie poprawiło mu nastroju.

Cholera! Jakiego haka na niego szykują? Co wiedzą, a czego się domyślają? I czy on, Quentin, nie napyta sobie biedy, kryjąc Terry'ego?

Westchnął ciężko, czując, że ma dosyć zarówno sekcji wewnętrznej, jak i samego Landry'ego. Dlaczego nie powiedział wszystkiego? Dlaczego zdecydował się osłaniać partnera? Dlaczego bezustannie go usprawiedliwia? Jego żona powiedziała, że mu to nie służy i że Terry musi sam poradzić sobie ze swoimi problemami. Słowa Penny do tej pory rozbrzmiewały mu w głowie: „Przestań go usprawiedliwiać, Quen“.

Może najwyższy czas?

Minął właśnie gabinet ciotki. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pominąć drogi służbowej i wejść, żądając wyjaśnień, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że

Patti nie uznaje protekcji i wyrzuci go na zbity pysk.

Podszedł więc do ekspresu, wlał sobie filiżankę smolistego płynu i dodał torebkę cukru.

- Masz trochę czasu? - usłyszał za plecami głos Terry'ego.

Spojrzał przez ramię i uśmiechnął się do niego sztucznie. Kumpel albo widział jego spotkanie z chłopakami z sekcji wewnętrznej, albo się właśnie o nim dowiedział. Sądząc po jego minie, bardzo go to zaniepokoiło.

- Tak, tylko zrobię kawę. - Spróbował i dodał jeszcze jedną porcję cukru. - O co chodzi?

- Widziałem tych dwóch sukinsynów - syknął poczerwieniały Terry. - Czego chcieli?

- Powiedzieli mi dzień dobry i kazali przekazać ci pozdrowienia.

- Przestań się wygłupiać! Przecież chodzi o moją głowę! Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Quentin, zanim odpowiedział, uważnie rozejrzał się dookoła.

- Przede wszystkim nie wpadaj w panikę, bo właśnie o to im chodzi. Po drugie może to ty powiesz mi, o co chodzi. Mnie też mogą odstrzelić, choćby dlatego, że z tobą pracuję. Więc? - Spojrzał mu prosto w oczy.

- Sam jestem jak tabaka w rogu. Nic nie zrobiłem. Tyle, że próbuję się jakoś pozbierać...

Quentin nie spuszczał z niego wzroku.

- Więc dobrze, te łapsy pytały o twoje picie, Terry. I o pieniądze.

- Pieniądze? - Kumpel naprawdę się zdziwił. - Do diabła, jeśli chcesz wiedzieć, to jestem kompletnie splukany. Do ostatniego centa.

- Spokojnie. - Quentin zniżył głos: - Sam widziałem, jak dałeś Shannonowi pięćdziesiątkę. Skąd miałeś te pieniądze?

- Myślisz, że biorę łapówki?! Właśnie to im powiedziałeś?!

- Nic im nie powiedziałem. - Rozejrzał się raz jeszcze. - Nie wiem dlaczego, ale cię kryłem.

Na twarzy Terry'ego odmalował się wyraz ulgi. Zbyt dużej jak na coś błahego, pomyślał Quentin.

- Jak to dlaczego? Bo jesteśmy kumplami. Bo zawsze razem pracowaliśmy.

Quentin pokręcił głową.

- Nic z tego, Terry. Nie o to chodzi. Penny ma rację, nie powinienem cię usprawiedliwiać. To ci wyraźnie źle robi.

- Penny? - powtórzył czerwony ze złości Terry. - Dlaczego, do diabła, łazisz do mojej

żony?!

- Przecież sam mnie o to prosiłeś, nie pamiętasz? - Zauważyli jakiegoś oficera z filiżanką w ręku, który na ich widok odwrócił się i odszedł. - Posłuchaj, Terry, pogadamy o tym później. To nie jest odpowiednie miej...

- Bzdura! Chcę wiedzieć, co powiedziała moja żona? I z kim się szlaja?!

Quentin westchnął. Od spotkania z Penny upłynął ponad tydzień, a on jeszcze się nie zebrał, żeby pogadać z kumplem. Skoro jednak jest to nieuniknione, równie dobrze może to zrobić teraz.

- Z nikim się nie spotyka, Terry. Mówiła, że to raczej ty miałeś ku temu więcej okazji.

- A ty jej uwierzyłeś!

- Tak, uwierzyłem.

Terry spojrzał na niego koso.

- Jak to się stało, że dopiero teraz dowiaduję się o twoim spotkaniu z moją miłą żoneczką, co? Coś przede mną ukrywasz! Na przykład, co z nią wtedy robiłeś...?

Quentin z trudem panował nad sobą.

- Już ci raz mówiłem, że Penny nie jest taka, jak sądzisz. Ani ja.

- Co się tak wściekasz? Prawda boli!

Malone spojrzał na niego z niesmakiem.

- Powiem ci, o czym rozmawialiśmy, Terry. Penny chce rozwodu. Uważa, że dążysz do samozniszczenia, i nie chce w tym uczestniczyć. Bronilem cię, ale teraz sam nie wiem, dlaczego.

Terry zacisnął pięści.

- Powinienem być dobrze się zastanowić, zanim posłałem lisa do kurnika - syknął. - Wszyscy wiedzą, jaki jesteś. I co, sypiasz z moją żoną? I z kim jeszcze? Może z tą swoją rudą pisarką?

Malone aż pobladł ze złości. Przez chwilę walczył ze sobą w obawie, że rzuci się na Terry'ego i rozszarpie go na kawałki.

- Zostaw Annę w spokoju! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Landry spojrzał na niego ze zdziwieniem, a potem tylko pokiwał głową.

- Annę? Więc jesteś z nią po imieniu? - zaśmiał się szyderczo. - Widzisz, trafiłem!

Quentina bardzo zaskoczyła zła wola kumpla. Terry bywał mało delikatny czy wręcz złośliwy, ale nigdy nie posuwał się do czegoś takiego. Quen zupełnie go nie poznawał. A jednak Penny Landry musiała go już wcześniej widywać w takim stanie. Dla niej nie było to nic nowego. Przysunął się do niego bliżej i poczuł alkohol.

- Masz szczęście, że rozumiem twoją sytuację, inaczej już dawno kopnąłbym cię w tyłek. I wiesz co, nie zasługujesz na nic innego!

Terry zachwiał się lekko, ale jego nabiegłe krwią oczy patrzyły zupełnie przytomnie.

- Lepiej pilnuj swojej nowej narzeczonej, stary! Bo słyszałem, że spodobała się też mordercy.

Quentin wciągnął głęboko powietrze i policzył do trzech.

- Mam już tego dosyć - syknął. - Zrozumiałeś?! - Podszedł bliżej tak, że Terry oparł się plecami o ścianę. - Nie będę cię dłużej krył. Nie będę cię usprawiedliwiał! Dlatego lepiej sam uważaj, bo będziesz miał jeszcze większe kłopoty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Wtorek, 30 stycznia, godz. 17.10

Quentin stał przed domem Anny całe pięć minut, dopóki zimno nie przypędziło go do furtki. Nie, nie zimno, poprawił się w duchu. Jej ciepło. Miał za sobą ciężki i nieprzyjemny dzień pracy. A w dodatku zupełnie bezowocny. Po spotkaniu z chłopcami z sekcji wewnętrznej, kłótni z Terryem i nic niewnoszących do sprawy rozmowach z rodziną i znajomymi Jessiki Jackson wszyscy prowadzący śledztwo zostali wezwani na dywanik do starego Penningtona.

Jego zdaniem dochodzenie posuwało się zbyt wolno. Morderca zabił trzy kobiety w ciągu trzech tygodni, a oni nawet w przybliżeniu nie wiedzieli, kogo szukać. Poszlaki prowadziły donikąd, dowody o niczym nie świadczyły. Kapitan O'Shay wraz z zespołem zasługiwała na najniższą ocenę.

Quentin próbował się bronić. Posunął się nawet do tego, że zaproponował szefowi, by znalazł kogoś lepszego do tej roboty. Przeszukali wszystko. Sprawdzili każdą poszlakę. Starali się ustalić powiązania między kolejnymi morderstwami. Opracowywali psychologiczny portret mordercy. Czy w tej sytuacji można było zrobić coś więcej?

Pennington wpadł we wściekłość, ale... wycofał się ze swoich zarzutów. Powiedział jednak, że mają już niewiele czasu i że muszą złapać tego zabójcę, zanim dojdzie do kolejnej tragedii.

Quentin przez cały ten czas myślał o Annie. O jej sytuacji. I o tym, co się między nimi wydarzyło. Nieustannie pamiętał, że to ona mogła trafić do kostnicy zamiast tej nieszczęsnej studentki. Wciąż był wściekły na Bena Walkera. Przecież mógł ukrywać mordercę. Pacjenta, który chciał zabić Annę. Ciekawe, czego trzeba, żeby doktor przekazał mu tę cholerną listę? Czy musi zginąć Anna, którą, jak sam wyznał, podobno kochał?

Quentin spojrzał w stronę zasłoniętych żaluzjami okien. Światło sączyło się jedynie pomiędzy ich szczelinami. Dzwonił do niej już wcześniej, żeby poinformować, że ma ją chronić umundurowany policjant o nazwisku la Salle. To ją przstraszyło. Strach przeszedł w złość, kiedy odmówił podania szczegółów dotyczących śledztwa.

Mogli rozmawiać najwyżej przez parę minut. Nie mówili o tym, co się zdarzyło poprzedniej nocy. Quentin czuł, jak oddalają się od siebie z zawrotną szybkością. Powinienem dać jej spokój, pomyślał. Powinienem pójść do domu i napić się piwa. Nic nas przecież nie łączy...

To nieprawda, pomyślał. A seks? To było niezwykle, cudowne doświadczenie.

Quentin zamknął oczy, rozpamiętując szczegóły. Nigdy wcześniej nie przeżył czegoś takiego. Czuł się przy niej jak nastolatek. To doświadczenie, dosłownie i w przenośni, powaliło go z nóg.

Otworzył oczy i zauważył cień, który przesunął się za żaluzjami. Anna, pomyślał. To, co się między nimi wydarzyło, zupełnie go zaskoczyło. Ta energia i poczucie, że znalazł kogoś, kto tak doskonale do niego pasuje. Jakby byli dla siebie stworzeni.

Dlaczego właśnie Anna, a nie jakaś inna kobieta? Nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł jedynie, że znowu jej pragnie. Że chętnie spędziłby z nią kolejną noc.

Jednocześnie nie mógł się pozbyć wyrzutów sumienia. Miał wrażenie, że skorzystał z chwili jej słabości i że wciąż żeruje na strachu Anny.

Quentin oderwał wzrok od jej okna. Wiedział, że powinien dać jej spokój. Anna wcale nie potrzebowała nowych komplikacji w swoim powikłanym życiu. Potrzebowała policjanta, który jasno, bez osobistego zaangażowania, zajmie się sprawą i znajdzie jej prześladowcę. Nie takiego, którego zaślepi pożądanie.

Tak, chyba już sobie pójdę, pomyślał. Jednak zamiast tego przycisnął guzik przy furtce. A potem jeszcze raz. Po chwili usłyszał jej głos w domofonie.

- Tak, słucham?

- Tu Quentin. - Odpowiedziała mu głucha cisza. Czując gniew w dołku, zapytał: - Mogę wejść?

- To zależy. Czy przyszedłeś, żeby mnie pilnować, jak la Salle, czy żeby się ze mną spotkać.

- Żeby się spotkać - odparł. - Musimy pogadać.

Wahała się przez moment, a potem mruknęła:

- Już cię wpuszczam.

Zadzwoił dzwonek i Quentin pchnął furtkę. Wszedł po schodach. Na ostatnim stopniu, tuż pod drzwiami Anny, siedział la Salle z termosem i otwartą książką. Kiedy usłyszał kroki, wstał, a dostrzegłszy Malone'a, zsalutował.

- Cześć - rzucił Quentin. - Nic się nie działo? Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej.

Malone wskazał książkę.

- Mam nadzieję, że nie jest zbyt dobra.

La Salle chrząknął i zamknął powieść.

- Nie, taka sobie.

- Cieszę się. - Spojrzał na zegarek. - Zostanę tu ze dwie godziny. Może chcesz coś zjeść?

- Chętnie. - Policjant spojrział na niego z wdzięcznością. - Przejdę się jeszcze dookoła i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Świetnie. Życzę smacznego.

Anna otworzyła drzwi. Policzki miała czerwone ze złości. Spojrzała jeszcze za oddalającym ją Salle'em, a potem przeniosła wzrok na Quentina.

- Sprytnie i elegancko pozbyłeś się mojego anioła stróża - powiedziała. - Muszę sobie zapamiętać, jak to się robi.

Miała na sobie proste, sprane dżinsy i powyciągany sweter. Mimo rumieńców wyglądała dosyć blado. Wspaniałe włosy odgarnęła do tyłu i związała w koński ogon. Na jej widok Quentin aż otworzył usta z zachwyty.

- Nawet o tym nie myśl. - Szybko doszedł do siebie.

- La Salle ma cię chronić.

Anna założyła ręce na piersi.

- A ty co? Też masz mnie chronić?

- Dlaczego tak bardzo się złościysz? - odpowiedział pytaniem.

- A dlaczego miałabym się nie złościć?! Obiecałeś, że będziesz mnie o wszystkim informować, a zostałam zamknięta we własnym mieszkaniu. Ty to wymyśliłeś. Tak się nie robi!

- Musimy dbać o twoje bezpieczeństwo. Również moja szefowa uważa, że nie powinniśmy podejmować najmniejszego ryzyka.

- Uważasz, że ten mężczyzna tu wróci, prawda? - Wysunęła podbródek, chcąc pokazać, że wcale się nie boi. - Dlatego La Salle musi mnie pilnować?

Ściągnął brwi, nie chcąc wszystkiego wyjaśniać. Anna powinna po prostu wykonywać jego polecenia i o nic nie pytać. Tak byłoby najlepiej.

- Nie wiemy, czy rzeczywiście wróci, ale gdyby tak się stało, będzie miał niespodziankę.

- I co dalej?

Malone wzruszył ramionami.

- Spróbujemy go złapać - odparł i zamyślił się na chwilę. - Sam nie wiem, czy wczorajsze morderstwo wiąże się z innymi. Jest trochę inne. Być może mamy do czynienia z dwoma mordercami, chociaż intuicja podpowiada mi, że z jednym. Takim, który morduje rude kobiety.

Mina jej nieco zrzędała. Już nie patrzyła na niego tak wyzywająco.

- Czy wiesz może, kto...?

- Przykro mi, Anno, ale nie.

Wyglądała na przybitą tymi słowami i Quentin chrząknął ze współczuciem.

- Miałem nadzieję, że przywiozę ci dobre wieści, ale niestety nic nie mam.

Potarła ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Jak rozumiem, takich spraw nie rozwiązuje się w ciągu jednego dnia.

A czasami nie rozwiązuje się nigdy, pomyślał. Spojrzał w przestrzeń, a potem znowu na Annę.

- Czy wszystko w porządku? - spytał ciepło. Chciał jej dotknąć, ale zabrakło mu odwagi. - Myślałem dzisiaj o... tobie.

Rysy jej złagodniały i na ustach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Czyżby? Może być - mruknęła i otworzyła szerzej drzwi. - Wejdz, proszę.

- Jesteś pewna, że mogę?

- Jasne.

Zamknęła drzwi, gdy tylko przekroczył próg.

- Co jest w tej torbie? - spytała.

- Bulion. Dla ciebie.

Otworzyła szeroko oczy, a potem się zaśmiała.

- Sam go zrobiłeś?

To pytanie jego też rozśmieszyło.

- Nie chcę cię otruć - zapewnił. - To bulion mojej mamy. Zawsze wpycha nam różne rzeczy do zamrażalników. Tak swoją drogą, ciągle jest zamrożony.

- Wpycha wam? - powtórzyła.

- Mam sześcioro rodzeństwa - wyjaśnił. - Jestem drugim dzieckiem. Pięcioro z nas pracuje w policji. Tak jak dziadek, ojciec, trzech wujów i jedna ciotka. Zostawmy kuzynów, bo ich wyliczanie zajęłoby za dużo czasu.

- Ojej!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Właśnie tak wszyscy reagują.

Anna postawiła torbę z zupą na stoliku przy wejściu. Przez chwilę oboje milczeli.

- Co dzisiaj robiłaś? - spytał w końcu.

- Głównie oglądałam się przez ramię. Serce mi zamierało, gdy tylko usłyszałam jakiś hałas.

- Wychodziłaś?

- Miałam już dosyć tego mieszkania, więc poszłam do „Perfect Rose“. Dalton mnie potrzebował.

Quentin spochmurniał. Wiedział, że Anna nie może spędzić całego życia w zamknięciu, ale myślał z niechęcią o tym, jak bardzo się narażała, wychodząc z domu. Zwłaszcza zaraz po wczorajszym ataku.

- Uważałaś przynajmniej?

- Oczywiście. - Już otworzył usta, żeby zadać jej kolejne pytanie, ale Anna wyciągnęła dłoń w proteście. - Nie przejmuj się. Ben odprowadził mnie do kwaciarni, a Dalton z powrotem. Poza tym la Salle nie spuszczał mnie z oka. Byłam najlepiej strzeżoną kobietą w Nowym Orleanie.

Na wzmiankę o psychologu Quentin aż się skrzywił ze złości.

- Był tu Ben Walker?

- Tak, przyszedł mnie odwiedzić. - Znowu potarła ramiona. - Strasznie wygląda. Opowiedział o tym, jak doszło do tego wypadku, no i o kartce. Mówił, że tam było napisane...

- Słowa uwięzły jej w krtani.

Quentin wziął jej twarz w swoje ręce i zmusił Annę, żeby na niego spojrzała.

- Obiecuję ci, że znajdziemy tego faceta. Ja go znajdę. Nie pozwolę, by zrobił ci krzywdę.

Nagły spazm targnął jej ciałem.

- Obiecujesz?!

Dotknął lekko ustami jej warg i poczuł, że drży.

- Tak - szepnął. - Obiecuję.

Westchnęła z ulgą i zarzuciła mu ręce na szyję. Jednocześnie przywarła policzkiem do jego piersi. Zanurzili się w ciszy. Quentin objął ją, ale delikatnie, by nie zauważyła, jak bardzo się o nią boi. I jak bardzo mu na niej zależy.

Po chwili Anna uniosła głowę.

- Ta kobieta... Ta, która wczoraj zginęła...

- Jessica Jackson?

- Właśnie, opowiedz mi o niej.

- Anno...

- Proszę. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Chciałabym ją poznać. W końcu zginęła za mnie.

- Wcale tego nie wiemy. Trudno pow...

- Za to ja nie mam żadnych wątpliwości - przerwała łamiącym się głosem. - Jessica Jackson była ruda i zabójca uciął jej mały palec. Zginęła tej nocy, kiedy na mnie napadnięto. Według kartki, którą dostał Ben, to ja miałam zginąć.

- Tam było napisane, że ma zginąć jakaś kobieta. Nie było tam twojego imienia czy nazwiska. Zabójcy mogło chodzić o Jessikę Jackson.

- Sam w to nie wierzysz. To, co się stało, jest zupełnie oczywiste.

Pogładził ją po policzku.

- Nic nie jest oczywiste. Najłatwiej popełnić błąd, przyjmując jakieś pewniki.

- Opowiedz mi o niej.

Mruknął pod nosem jakieś przekleństwo, ale skinął głową na zgodę.

- Nazwisko już znasz. Studiowała na Tulane University i mimo że była dziana z domu, dorabiała sobie jako barmanka w barze „Omni Royal Orleans Hotel“. Wczoraj skończyła pracę o jedenastej i poszła potańczyć z przyjaciółmi. Nie zamężna, bez dzieci. Zostawiła rodziców i dwie siostry.

- Ile miała lat? - spytała drżącym głosem.

- Dwadzieścia jeden - odparł z wahaniem.

- Boże święty! - jęknęła Anna. - To takie straszne, przerażające... Tak mi przykro... A ja, idiotka, cieszyłam się, że mnie nie zabił... - Zaczęła płakać. - To wszystko moja wina! Jak mam z tym żyć, Quentin?! Jak?!

- Przestań! Przecież jej nie zabiłaś. - Delikatnie wytarł dłonią jej policzki. - To nie twoja wina.

- Ale ta dziewczyna zginęła za mnie. - Spojrzała na niego jasnymi, mokrymi od łez oczami. - Tylko mi nie mów, że tak nie było. W głębi duszy wiesz, że to prawda.

Nie mógł jej powiedzieć nic innego. Uważał, że to Anna miała być ofiarą. Ta świadomość wstrząsnęła nim do głębi. Nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo mu na niej zależy.

Chciał uchronić Annę przed wszelkim złem. Niestety gdzieś w ciemnościach krył się nieznany zabójca. Ktoś, kto z niewiadomych przyczyn postanowił ją zabić.

Quentin pochylił się i pocałował ją prosto w usta. Najpierw delikatnie, a potem mocniej, nie mogąc powstrzymać pożądania.

Anna wydała z siebie cichy, pełen beznadziejnej tęsknoty okrzyk, i przywarła do niego całym ciałem. Kochali się w przedpokoju. Quentin oparł ją o ścianę i uniósł do góry. Po chwili już miała go w sobie. Przyciskała go mocno udami, a on wchodził w nią raz za razem.

Dopiero później, kiedy nieco ochłonął, poczuł jej słony zapach i drzenie jej ust. Nagle

zrobiło mu się żal Anny. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Kiedy ją położył, sam legł u jej boku.

- Nie chciałem, żeby to się stało - szepnął. - Nie w taki sposób.

- Przecież się nie skarżę.

Przesunął delikatnie palcem po jej twarzy i szyi.

- Skrzywdziłem cię.

- Nieprawda!

- Przepraszam.

- Nie musisz. - Położyła palec na jego ustach i uśmiechnęła się. - Chociaż poznałam cię jako zadufanego w sobie męskiego pyszałka, okazuje się, że miły z ciebie facet, Quentin.

Zaśmiała się sztucznie i bez przekonania.

- Naprawdę tak uważasz? Niektórzy uznaliby mnie za niezłego sukinsyna i oskarżyli, że wykorzystuję bezbronne kobiety.

- Naprawdę? - Uniosła trochę brwi. - Wcale tak nie uważam.

- To dlatego, że przeżyłaś szok. Posłuchaj, przyszedłem do ciebie...

- Z bulionem.

- Pogadać - poprawił ją. - Przyszedłem pogadać, a leżę teraz goły w twoim łóżku.

Sprytne, co?

- O ile dobrze pamiętam, to ja zaczęłam. Więc może jestem sprytniejsza?

Oparł się czołem o jej czoło.

- Jeśli tak, to możesz mnie wykorzystywać, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota.

- Obiecanki cacanki - zaczęła się z nim drażnić.

Chciał jej coś odpowiedzieć, ale przerwało mu głośnie burczenie w brzuchu Anny, która aż poczerwieniła na ten dźwięk.

- Jadłaś coś? - spytał z niepokojem.

- Chyba śniadanie. - Jej żołądek odezwał się, gdy tylko wspomniała o posiłku, i Anna zaśmiała się, zażenowana. - Ciekawe, jaki bulion robi twoja matka?

- Najlepszy. Masz jakieś krakersy? - Zaczął podnosić się z łóżka.

Wyciągnął rękę i Anna również wstała.

- Mhm. Jeśli będziesz się przyzwyczajając zachowywał, dostaniesz szklanek mleka.

- To może się ubierz, bo w tej chwili chodzą mi po głowie same nieprzyzwoite myśli.

Dwadzieścia minut później siedzieli po obu stronach kuchennego stołu i wcinali parujący bulion, przegryzając krakersami. Anna rozkoszowała się każdą łyżką pożywnej zupy.

- Och, jest naprawdę wspaniała - powtórzyła po raz kolejny.

Quentin uśmiechnął się.

- Dzięki. Mama jest rzeczywiście dobrą kucharką. Przy siedmiorgu dzieci to chyba zrozumiałe.

- Jaka jest?

- Pełna energii. Ma tylko metr pięćdziesiąt z małym haczkiem, ale...

- Metr pięćdziesiąt? Chyba żartujesz!

- Mój tata jest wysoki, a dziadek i pradziadek byli jeszcze wyżsi. - Quentin przełknął ostatnią łyżkę zupy. - Oczywiście jest najmniejsza wśród Malone'ów, bo siostry też ją przerosły, ale i tak wiadomo, że to mama jest głową rodziny. Jak byliśmy mali, nosiła szeroki skórzany pas, a kiedy chcieliśmy uciec, biła szczotką.

Anna zaśmiała się, wyobrażając sobie Quentina, który zmyka przed laniem.

- Byłeś chyba łobuzem, co?

- Okropnym - przyznał.

Wyjęła krakersa z torebki.

- Opowiedz mi o swoim rodzeństwie.

Zrobił, jak prosiła. Percy był jego zdaniem bardzo otwarty. Spencer kąpany w gorącej wodzie. Shauna uchodziła za niespokojnego ducha. Patrick za bardziej konserwatywnego od Pana Boga, a John był po prostu wielkim misiem. Mary miała małżeńskie problemy, a John oczekiwał trzeciego dziecka.

- Wszyscy jesteśmy glinami, z wyjątkiem Patricka, który został księgowym, i Shauny, która chce być artystką. Więcej czarnych owiec w klanie Malone'ów nie ma - zakończył.

Ponieważ Anna nalegała, opowiedział jej jeszcze o swoich pięciu siostrzenicach i siostrzeńcach oraz bratanicach i bratankach, o ciotce Patti, która była jego szefową, a także o licznych krewnych i powinowatych rozsianych po posterunkach w całym Nowym Orleanie.

- Miła rodzinka - rzekła kpiąco, chociaż wyczuł w jej głosie nutki żalu.

- Kiedy byliśmy mali, bez przerwy się biliśmy. To doprowadzało rodziców do szału.

Anna spojrzała na swój talerz i stwierdziła, że jest pusty. Sięgnęła więc po krakersa.

- Czy zawsze chciałeś być policjantem?

- Nigdy o tym nie myślałem.

- Więc kim chciałeś być?

- W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu nie musiałem.

- Chcesz powiedzieć, że to się samo narzucało? Że nie myślałeś o niczym innym? - dociskała.

- Teraz ty powinnaś opowiedzieć o sobie - rzekł, opierając brodę na dłoniach. - Jak ci się żyło w Hollywoodzie?

- Przed porwaniem wspaniale, a potem byłam bardzo samotna.

- Przepraszam, to było głupie pytanie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się.

Przez moment w kuchni panowało niezręczne milczenie. Następnie Anna wstała i spojrzała na niego pytająco.

- Chcesz dolewkę?

- Nie, dziękuję - odparł, wstając. Spojrzał na zegarek. - Zaraz wróci la Salle.

- Więc powinieneś już iść, bo zaczną gadać w pracy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chyba że ty...

Raz jeszcze wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno.

Zebraли talerze i kubki, i wstawili je do zlewu. Anna odkręciła wodę.

- Ben mówił mi, że zamierzacie sprawdzić, który z jego pacjentów może mnie prześladować - rzuciła.

- Naprawdę?

Spojrzała przez ramię, słysząc jego jadowity ton.

- Nie lubisz go, co?

- Prawie go nie znam.

Anna zakręciła wodę i odwróciła się do niego, unosząc ironicznie prawą brew.

- Więc skąd ta niechęć? Tylko nie zaprzeczaj. To się czuje.

- Nie odpowiadają mi jego zawodowe zasady. Chcę złapać mordercę, a on mi przeszkadza.

- Masz na myśli to, że nie chce ci przekazać listy pacjentów?

- Właśnie.

- Myślisz, że znajdziesz tam Adama Fursta?

- Mam taką nadzieję, chociaż pytałem o to Bena i podobno nie zajmuje się nikim takim. Ale wydaje mi się, że to wszystko jest ze sobą powiązane. Listy, książki, zniknięcie Jaye, sztuczny mały palec i... ta wczorajsza napaść.

- Zabójstwo Jessiki Jackson - dodała łamiącym się głosem i pochyliła nad zlewem. - I tych pozostałych kobiet też. O Boże, co ja mam z tym zrobić?

- Przestań sobie czynić wyrzuty!

Podszedł do niej, wziął za ramię i obrócił do siebie. Oczy Anny były mokre od łez.

- Jesteś tylko ofiarą, Anno - powiedział stanowczo. - To nie ty zabijasz!

Z trudem przełknęła ślinę.

- Tak, ale chciałabym coś zrobić. Nie mogę tak siedzieć i czekać, kiedy giną inne kobiety. Jeśli będziecie mnie cały czas chronić, morderca znajdzie sobie kogoś w zastępstwie. Poza tym jest jeszcze Jaye. Bóg jeden wie, co teraz przeżywa. Czuję, że ten człowiek porwał ją z mojego powodu, chociaż sama nie wiem, dlaczego.

- Chcesz pomóc w śledztwie? Wobec tego skłoń Bena, żeby udostępnił listę pacjentów. Jeśli nie będzie na niej Adama, to na pewno ktoś, kogo poznasz.

- Na przykład Kurt?

- Albo ktoś inny.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeśli myślisz o Billu lub Daltonie, to się mylisz. Ben widział ich po raz pierwszy w „Perfect Rose“.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Zacisnęła pięści. - Tak, do licha!

Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Quentin spojrzał w stronę okna.

- To tylko mój zawód, Anno. Przyglądam się faktom i szukam motywów. Dalton i Bill mieli możliwość.

- Ale żadnych motywów - wpadła mu w słowo. - Są moimi przyjaciółmi. Całkowicie im ufam.

- I na pewno masz ku temu powody. Ale fakty mówią, że w większości przestępstw z użyciem przemocy ofiary znają swoich prześladowców. Nie powinniśmy tego lekceważyć.

Anna pokręciła z oburzeniem głową, chociaż Malone zasiał w niej ziarno wątpliwości.

- Jak uważasz. W każdym razie wydobędę tę listę od Bena i wtedy zobaczysz, że nie miałeś racji!

Wyglądała pięknie. Oburzona, z rozwichrzonymi włosami. Quentin nie mógł się powstrzymać. Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Natychmiast przywarła do niego całym ciałem, wpijając palce w jego sweter.

Po chwili zdołał się od niej oderwać.

- Tylko ta lista, Anno. Obiecuj, że poza tym będziesz trzymać się od tego z daleka. Morderca tylko czeka, żebyś się odsłoniła. Chce, żebyś wyszła i walczyła. Wtedy będzie cię miał jak na patelni.

Anna pokręciła głową. Nagle zrozumiała, o co tak naprawdę chodzi mordercy.

Wiedziała już, czego się po nim spodziewać.

- Znowu się mylisz - powiedziała. - On chce mnie odizolować i zastraszyć. Chce, żebym czuła się tak samo, jak dwadzieścia trzy lata temu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Środa, 31 stycznia, godz. 1.52

- Minnie - szepnęła Jaye.

Usiadła na łóżku i spojrzała w stronę drzwi, zza których dobiegało ciche pochlipywanie. Nie miała żadnego kontaktu z dziewczynką, od kiedy porywacz nakrył je razem i kazał przypieczętować list do Anny pocałunkiem.

Jaye potwornie martwiła się o Minnie. Bała się, że mała cierpi tylko dlatego, że się z nią zaprzyjaźniła, i za karę Adam zrobił jej coś złego. Jednocześnie myślała z troską o Annie. Czy dostała tamten list? I co sobie pomyślała?

Godziny spędzone w samotności były dla niej torturą. Modliła się za obie przyjaciółki albo zastanawiała się nad swoją sytuacją. Prawie nie mogła spać. Godzinami chodziła po pokoju lub siedziała na łóżku oparta o ścianę.

Wciąż nie traciła nadziei. Wiedziała, że musi stąd uciec i uratować Minnie. A następnie ostrzec Annę. Znowu dobiegły do niej jakieś odgłosy. Jakby ktoś pociągał nosem.

- To ty, Minnie? - szepnęła raz jeszcze.

- Tak, to ja.

Jaye odetchnęła z ulgą i zbliżyła się cicho do drzwi. Po chwili przed nimi klęczała z głową tuż przy klapce.

- Bardzo się o ciebie martwiłam. Co ci zrobił? Powiedz mi, czy zbił ciebie?

- Strasznie się złościł. - Tabitha zamiauczała i dziewczynka ją uciszyła. - O mało... o mało bym dzisiaj nie przyszła. Jeśli on dowie się, że tu byłam, to... to... Tak się boję, Jaye!

Jaye zacisnęła ze wściekłości pięści.

- Nienawidzę go - szepnęła przez zaciśnięte zęby. - Nienawidzę go za to, co zrobił tobie i mnie. I za Annę. Kiedy się stąd wydostanę, będzie musiał słono za wszystko zapłacić!

- Nie mów tak. On może słyszeć - przeraziła się Minnie. - Zobaczysz, jak się rozzłości, to zrobi coś strasznego.

Jaye miała ochotę powiedzieć, że jej to nie obchodzi. Chciała na cały głos krzyknąć, żeby przyszedł i spróbował ją tknąć. Musiała jednak myśleć o małej i Annie, a taka brawura z pewnością by im nie pomogła.

- Minnie. - Jaye przywarła jeszcze mocniej do klapki. - Powiedz mi, czy... czy Annie... czy jej nic się nie...? - ostatnie słowo utkwilo jej w gardle. Nie mogła go wypowiedzieć, jakby miało magiczną moc samorealizacji. Czy Anna jeszcze żyje? - myślała intensywnie Jaye. Czy

nic się jej nie stało?

- Myślę, że nie. - Minnie zrobiła przerwę, zapewne po to, żeby rozejrzeć się uważnie dookoła jak zaszczute zwierzątko. Kiedy znowu ją usłyszała, głos małej był lekko stłumiony, jakby przycisnęła usta do samych drzwi. - Jakiś czas temu przyszedł... zmartwiony. Coś mu nie wyszło... Coś z Anną. Mruczał do siebie takie różne... takie różne rzeczy.

Głos Minnie zaczął się oddalać i Jaye położyła dłonie na drzwiach.

- Co... co mówił, Minnie? Co takiego?

Przez moment dziewczynka w ogóle nie odpowiadała, a potem usłyszała jej drżący głos.

- Niedługo nas przeniesie, Jaye. Nie wiem, gdzie ani kiedy, ale... ale to ma związek z Anną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Środa, 31 stycznia

SWNP

- Hej, stary, masz chwilę?

Quentin uniósł głowę. Terry ze skruszoną miną stał w drzwiach męskiej przebieralni. Od czasu ich kłótni minęły dwadzieścia cztery godziny i kumpel najwyraźniej zdołał się opamiętać. Niewzruszony, zamknął swoją szafkę i usiadł na ławce tyłem do Terry'ego.

- Jestem trochę zajęty - mruknął.

Jednak Terry wszedł do środka i zatrzymał się tuż przed nim.

- Nie dziwię się, że jesteś wściekły.

Quentin znowu go zignorował. Zawiązał adidasy, a potem wstał.

- Idę biegać. Przepraszam.

- Zachowałem się jak głupek.

- Mówiłem już, że mam ćwiczenia. - Przeskoczył przez ławkę i ruszył do drzwi. - Chciałem cię przeprosić. - Quentin zatrzymał się, słysząc te słowa, ale się nie odwrócił. - Nie myślałem, kiedy mówiłem to wszystko.

Malone odwrócił się do partnera.

- To było wielkie świństwo. Ani ja, ani Penny nie zasługujemy na takie traktowanie.

- Wiem, ja tylko... - Terry wbił wzrok w ziemię. - Sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

Wszystko zaczyna mi się rozpadać, a ja nie wiem, co robić.

Quentin poczuł, że powoli mija mu cała złość.

- Potrzebujesz pomocy - stwierdził. - Sam sobie nie poradzisz.

- Chodzi ci o terapeutę?

- Tak, przecież mamy w policji...

- Nic z tego. - Terry opadł na ławkę. - Zaraz wszyscy się dowiedzą. Nie chcę, żeby mnie wytykali palcami.

- Sądysz, że teraz nikt nic nie wie? - Podszedł do siedzącego kolegi. - Że o tobie nie gadają? Myślałem, że jesteś mądrzejszy.

Terry ukrył twarz w dłoniach.

- Nie chcę już się tak zachowywać. Nie chcę nikogo obrażać.

- Wobec tego idź do psychologa. Na miłość boską, znajdź sobie jakiegoś terapeutę.

Terry uniósł głowę i spojrzał na niego z nadzieją.

- A pomożesz mi? Czy pogadasz jeszcze raz z Penny?

Quentin wątpił, czy to cokolwiek da, ale skinął głową.

- Dobra, pogadam.

- Dzięki. - Terry zdjął okulary i potarł oczy.

Quentin zmarszczył brwi. Po raz pierwszy widział swego partnera w okularach.

- Co się stało? - spytał, wskazując szkła.

- Dostałem zapalenia spojówek, bo nie zmieniałem szkieł kontaktowych - wyjaśnił. -

Mój okulista mówi, że powinienem je zmieniać przynajmniej raz na miesiąc. Jeszcze jedna rzecz, którą zawałilem.

Quentin przypomniał sobie słowa Anny: „Widziałam jego oczy. Były pomarańczowe“. No jasne, ten sukinsyn użył zabarwionych szkieł kontaktowych! Quentin zaklął i zupełnie zapomniał o bieganiu. Podeszedł do szafki i otworzył ją na oścież.

Terry spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co się stało?

- Muszę coś sprawdzić w związku z tymi morderstwami - mruknął. - Jak chcesz, możesz iść ze mną.

Terry zerwał się na równe nogi.

- No jasne!

Dwadzieścia minut później weszli do sklepu optycznego „Eyeware Showcase“ w New Orleans Center. Przeszli przez wysłaną dywanem część wystawową i podeszli do lady. Quentin pokazał młodemu sprzedawcy odznakę i poprosił, by skontaktował go z szefem.

- O co ci chodzi? - spytał Terry, kiedy młodzieniec wyszedł na zaplecze, żeby zawołać menedżera.

- O pewien trop - odparł Malone. - Zresztą sam zobaczysz.

Po chwili podeszła do nich elegancka kobieta w średnim wieku.

- Panowie są z policji? Nazywam się Pamela Bell. Czym mogę służyć?

- Śledczy Malone, a to mój kolega Landry - przedstawił ich Quentin i raz jeszcze pokazał odznakę. - Chciałem panią spytać o pewną sprawę związaną z prowadzonym przez nas śledztwem.

- Proszę bardzo.

- Interesują mnie barwione szkła kontaktowe. Czy są tylko w tradycyjnych kolorach, czy można też kupić na przykład czerwone lub pomarańczowe?

- W najrozmaitszych kolorach - odparła, sięgając pod ladę.

Po chwili wyjęła stamtąd folder reklamowy wielkości sporej gazety. Były tam

soczewki zarówno niebieskie i zielone, ale też fioletowe, żółte i pomarańczowe. Zwłaszcza osoby, które prezentowały czerwone, wyglądały szczególnie diabelsko.

- Niesamowite - mruknął Quentin. - I trochę przerażające, prawda?

Kobieta skinęła głową.

- Najwięcej niezwykłych szkieł sprzedajemy przed Halloween i Mardi Gras. Poza tym kupują je różni ekscentrycy, wie pan, o kogo mi chodzi.

Quentin zmarszczył brwi.

- Niestety, nie.

Spojrzała w przestrzeń, a potem znowu na niego.

- No, jakieś subkultury. Młodzież, która sama siebie określa mianem Gotów, różni muzycy i performerzy z undergroundu.

Malone skinął głową, a Terry wciąż milczał.

- Czy każdy może je nosić?

- Tak, chociaż najlepszy efekt osiągają ludzie o jasnych oczach.

- A czy łatwo je można kupić? Czy są ogólnie dostępne?

- Tak. I jak większość nowości cieszą się sporym zainteresowaniem. Zwłaszcza że ceny są dosyć umiarkowane.

Quentin podziękował szefowej stoiska. Wyszli z salonu, a następnie opuścili centrum handlowe.

- Cały czas milczałeś - zauważył Malone.

- A co miałem mówić? - Terry wzruszył ramionami. - Zupełnie się na tym nie znam. Czy to miało jakiś związek z zabójstwami Kent, Parker i Jackson?

- Być może.

- Masz podejrzanego?

- Bez komentarza.

- Słyszałem, że podobno ta twoja pisarka widziała tego faceta. I że miał jakieś dziwne oczy.

Malone otworzył wóz i spojrzał na partnera.

- Ciekawych rzeczy można się nasłuchać u nas w pracy. Masz jakieś podejrzenia w związku z tą sprawą?

Wsiedli do terenówki i zapięli pasy. Terry spojrzał w kierunku centrum handlowego i pokiwał głową.

- Myślę, że znalazłeś dobry trop. Chyba że ofierze coś się pomieszało...

- Nie sądzę - rzekł krótko Quentin i spojrzał za siebie, wyprowadzając samochód z

miejsca parkingowego. - A jak sądzisz, dlaczego zabójca zdecydował się zmienić kolor oczu?

- Żeby groźniej wyglądać? Żeby ją zastraszyć? Sam nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- A może czuje się przez to silniejszy, potężniejszy? Nie z tego świata?

- Bardzo możliwe - zgodził się Terry.

Dalszą część drogi do posterunku pokonali w milczeniu i rozstali się zaraz po wejściu do budynku. Terry miał jakiś wyjazd, a Malone postanowił trochę podzwonić.

Nagle, w czasie drugiej czy trzeciej rozmowy, coś sobie przypomniał. W zeszłym roku, podczas hucznie obchodzonego milenijnego sylwestra, Terry przebrał się za Władcę Czasu. Tyle, że zamiast białej brody i powłóczystej szaty miał na sobie strój kolarski, a postawione na sztorc włosy spryskał lakierem. Efekty przeszły najśmielsze oczekiwania. Wyglądał jak postać z filmu fantasy. Szalony Maks czy ktoś w tym rodzaju. I jeszcze oczy. Oczy miał zupełnie czerwone. Kolorowe szkła kontaktowe.

Cholera, Terry! - zaklął w duchu. Dlaczego nie pisałeś o tym choć słówkiem?!

Quentin szybko skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. To nic nie znaczy, powtarzał sobie w duchu. Szefowa salonu okulistycznego powiedziała, że kolorowe soczewki są teraz bardzo popularne. Więc dlaczego Terry wciąż milczał? Chyba nie zapomniał o swoim przebraniu?

- Cześć, stary.

Malone, zdziwiony, spojrzał w stronę drzwi.

- Terry? Już wróciłeś?

- Tak, sprawa okazała się nadzwyczaj prosta. Zaplanowane włamanie. Żadnych śladów ani świadków. Nigdy nie złapiemy złodzieja.

Malone starał się zachowywać swobodnie. Uśmiechnął się i rozparł wygodnie na krześle.

- Założę się, że niezbyt się to spodobało tym biednym okradzionym ludziom.

Terry machnął ręką.

- Mogli się tego spodziewać, jeśli zdecydowali się mieszkać w takiej okolicy. Zresztą i tak są bogaci. Nawet nie zauważą straty. - Przeciągnął się i ziewnął. - Co się z tobą dzieje? Kiedy wszedłem, zrobiłeś taką minę, jakbyś zobaczył ducha. Masz może coś nowego?

- Nie. Jestem po prostu zmęczony. To był ciężki dzień.

Malone spojrzał na zegarek. Chciał znaleźć sposób, żeby wypytać Terry'ego, co robił w czasie, gdy zamordowano Jessikę Jackson, ale tak, żeby nie domyślił się, o co mu chodzi. Chrząknął, czując, że nie ma prawa podejrzewać kumpla i zadawać mu podchwytliwych pytań.

- Co robisz dziś wieczorem? Wybierasz się do Shannona?

Terry skrzywił się.

- Jakoś nie mam ochoty.

- Niemożliwe. - Malone uśmiechnął się. - Każdy, tylko nie ty.

- Chcę zacząć nowy rozdział w moim życiu. - Wyciągnął do góry dwa palce. - Słowo honoru.

- Więc dlaczego jesteś taki złachany? Dobrze się ostatnio bawiłeś?

Na czole Terry'ego pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Po prostu zastanawiam się, ile straciłem. Czemu się tak najeżyłeś? - zaśmiał się.

- Wczoraj byłem z dziećmi na jakimś idiotycznym filmie - odparł, krzywiąc się. - A poprzedni wieczór spędziłem z di Markiem i Tarantinem z Piątki. - Przeciągnął dłonią po zmęczonej twarzy i spojrział na niego nieśmiało. - Boże, jak oni piją. Nie mogłem za nimi nadażyć.

- Ty nie mogłeś nadażyć? - zaśmiał się z ulgą Quentin. - Więc jest dla ciebie jeszcze jakaś szansa.

Terry zbierał się już do wyjścia, ale pokazał mu na odchodnym, gdzie może się pocałować.

- Lepiej się prześpij! - krzyknął jeszcze za nim. - Kiepsko ostatnio wyglądasz.

Terry zniknął za drzwiami. Quentin policzył do stu, a potem złapał kurtkę i podbił swoją kartę zegarową. Jeśli natychmiast wyjdzie i złamie parę przepisów drogowych, z pewnością złapie jeszcze di Marca i Tarantina.

Dopał obu oficerów, gdy właśnie wychodzili z pracy. Parę minut później już by ich nie zastał.

- Cześć, Malone! Co cię tu sprowadza?

- Chcę sprawdzić, jak sprawuje się mój młodszy brat. Czy jest grzeczny i nikomu nie dokucza?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Na szczęście. Ale pamiętaj, że twój braciszek to jeszcze większy rozrabiaka niż ty!

- Dobrze, przekażę mu to. - Udawał, że chce przejść do budynku, ale zatrzymał się jeszcze. - Terry mówił, że pił z wami dwa dni temu.

- To za mocno powiedziane - zaśmiał się Tarantino. - Większą część wieczoru spędził pod stołem. Nie sądziłem, że taki wielki kajuński chłopak może mieć taką słabą głowę!

- Musieliśmy go wynosić - dodał di Marco.

- A w jakim to było barze? - spytał Quentin z nadzieją, że nie wygląda na szczególnie zainteresowanego tą sprawą.

- „Fast Freddie“ przy Bourbon.

Bourbon Street. Dzielnica Francuska.

- To nowa knajpa - mruknął. - Nie byłem tam jeszcze.

- Przyjdź kiedyś, chociaż jest trochę ciasno. Za to mają świetną muzykę i dużo dziewczyn.

- Zobaczysz, upijemy cię do nieprzytomności - odgrażał się Tarantino.

Quentin posłał mu krzywy uśmiech.

- Marne szanse.

- No, miło się gada, ale musimy lecieć.

Ruszyli w stronę parkingu, ale di Marco zatrzymał się nagle i obejrzał przez ramię.

- Spytaj Terry'ego, jak zdołał się tak upić, skoro prawie nie dotykał kieliszka - rzucił na odchodnym.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Czwartek, 1 lutego, godz. 17.45

Przez następne dwadzieścia cztery godziny Anna stosowała się ściśle do zaleceń Malone'a. Ukrywała się w swoim mieszkaniu, pozwalając, by inni zajmowali się jej sprawami. Chodziła z pokoju do sypialni, podskakiwała, słysząc najmniejszy hałas, i tęsknie spoglądała w stronę telefonu. Bez przerwy też martwiła się o Jaye i Minnie.

Po dwudziestu czterech godzinach podjęła decyzję. Miała już dosyć bycia ofiarą. Malutką myszką, która boi się potężnego Kurta. Ukrywała się przez dwadzieścia trzy lata. Nie mogła pozwolić, by teraz Malone znowu robił wszystko za nią. By przejął jej życie. Musi więc przestać się ukrywać i zacząć działać. Miała zamiar pójść za wskazówką Quentina i wyciągnąć od Bena listę jego pacjentów. Tyle że nie chciała go o nic prosić. Nie chciała błagać, żeby dał jej tę listę, gdyż domyślała się, że tego nie zrobi.

Anna podeszła do drzwi swego mieszkania i zerknęła na la Salle'a.

- Hej, Joe! Potrzebujesz czegoś? - spytała, wyjrzawszy na korytarz.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie, ale dziękuję za troskę.

- Kto cię dzisiaj zmienia?

- Morgan. O szóstej.

- Chcę umyć głowę, więc pewnie nie zobaczymy się do jutra. Baw się dobrze.

Cofnęła się i zamknęła drzwi na zasuwę. Wzięła ze sobą przenośny telefon, przeszła do łazienki i zamknęła się w niej. Sama nie wiedziała, dlaczego to robi, ale potrzebowała absolutnego spokoju. Nie chciała, żeby ktokolwiek miał okazję ją podsłuchać.

To nieczyste sumienie, powiedziała sobie w duchu, bowiem planowała niezbyt honorowe posunięcie, zwłaszcza że Ben zawsze był dla niej miły. Jednak się zdecydowała. Nikomu to przecież nie zaszkodzi, nawet Benowi, a z całą pewnością pomoże paru osobom, w tym Jaye i Minnie.

Anna wzięła głęboki oddech i wybrała numer Bena. Odebrał prawie natychmiast.

- Cześć, tu Anna - powiedziała, czując się jeszcze bardziej winna.

- Cześć, Anno. Cieszę się, że dzwonicz - przywitał ją z nieukrywaną radością.

Postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- Jak się czujesz?

- Ciągle jestem obolały - przyznał. - I wściekły na siebie za własną głupotę. A co u

ciebie?

- Nic specjalnego, ale wszystko w porządku.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Dobrze, że zapytałeś, bo właśnie dzwonię do ciebie po pomoc.

- Proś, o co chcesz.

- Ta grupa z lękami, o której mówiłeś... Czy mogę dołączyć?

Przez chwilę milczał.

- No wiesz, zaskoczyłaś mnie.

- Muszę coś zrobić, Ben. Nie mogę się ciągle ukrywać w moim mieszkaniu i bać się każdego dzwonka. Może to by mi pomogło.

- Ależ Anno, w tej chwili masz realne powody, żeby się bać. W czasie tej terapii zajmujemy się urojonymi lękami. Takimi, jak...

- Mój strach, że to Kurt wrócił po dwudziestu trzech latach, aby ukarać mnie za to, że popsułam mu plany? - wpadła mu w słowo. - Albo to, że ktoś poświęca swoją karierę, byle tylko nie ujawnić, że on to właśnie on?

- Tak, ale po tym, co się ostatnio stało...

- Proszę, Ben. - Zniżyła głos: - Mam już dosyć takiego życia. Potrzebuję pomocy.

Przez chwilę się zastanawiał.

- No dobrze - mruknął w końcu. - Spotykamy się dzisiaj o siódmej, ale najpierw muszę uzyskać zgodę grupy na twój udział w terapii.

- Zaczekam w twoim gabinecie - podsunęła mu, czując, że chce jej się rzygać z powodu tego podstępu. - Tyle, ile będzie trzeba.

- To bardzo sympatyczni ludzie - zapewnił ją. - Zdziwiłbym się, gdyby się nie zgodzili.

- Dzięki - powiedziała z wdzięcznością.

Rzeczywiście cieszyła się z tego, że go poznała, i nie omieszkała mu o tym powiedzieć.

- Czy wobec tego wybierzesz się ze mną na drinka po sesji?

- Z przyjemnością - odparła. - A więc jesteśmy umówieni.

Anna pojawiła się w gabinecie Bena za kwadrans siódma. Była bardzo zdenerwowana. Dłonie jej się spociły i nie mogła wytrzymać wzroku osób zgromadzonych w poczekalni. Czowała się jak oszustka. Bała się, że jeśli ktokolwiek spojrzy jej w oczy, natychmiast się domyśli, po co tu przyszła.

Dotyczyło to zwłaszcza Bena, który wyszedł z gabinetu parę minut przed siódmą.

Przywitał z uśmiechem swoich pacjentów, a potem podszedł do niej. Uścisnął serdecznie jej dłoń.

- Jak się miewasz?

Uniosła nieco oczy.

- Strasznie się denerwuję. - Przynajmniej powiedziała prawdę.

- Wszystko będzie dobrze. Członkowie grupy są sympatyczni i otwarci na nowych pacjentów. - Wskazał pokój znajdujący się po prawej stronie gabinetu. - Właśnie tutaj się spotykamy. Możesz poczekać w poczekalni albo w moim gabinecie. Gdzie ci będzie wygodniej.

- W gabinecie. Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Jasne, że nie. - Uśmiechnął się ciepło, a następnie odwrócił się do osób zgromadzonych w poczekalni. - Drzwi są otwarte. Wejdźcie, proszę, do środka. Zaraz przyjdę.

Ben zaprowadził ją do gabinetu. Od razu zauważyła rząd drewnianych szafek, stojących tuż za biurkiem.

- To zajmie kwadrans, może trochę więcej - powiedział. - O nic się nie martw. Na pewno nam się powiedzie.

Obiecała, że spokojnie tu poczeka, a potem patrzyła, jak znika za drzwiami. Gdy tylko usłyszała trzask zamka, wstała, żeby zająć się papierami.

- Anno?

Obróciła się, czując, jak płoną jej policzki.

- Ben? Szybko wam poszło.

Zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- Po prostu mnie wystraszyłeś. - Położyła dłoń na piersi. - Ostatnio bardzo się boję wszelkich hałasów.

Spojrzał na nią, na biurko, a potem znowu na nią. Na jego czole pojawiło się parę zmarszczek. No tak, trudno powiedzieć, żeby działała jak CIA. Anna zaśmiała się nerwowo.

- Czy członkowie grupy podjęli już decyzję?

Zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

- Nie, po prostu chciałem ci powiedzieć, jak się cieszę, że przyszedłaś. To mądra decyzja.

Tylko czy on naprawdę wie, o co jej chodzi?

- Dziękuję, Ben. Cieszę się, że tak uważasz.

Tym razem czekała aż dwie minuty, zanim zdecydowała się podejść do szafek. Czuli się paskudnie, ale wiedziała, że musi to zrobić. Dla Jaye. Kucnęła przy nich i pociągnęła za uchwyt prawej szafki. Ani drgnęła. Była zamknięta! Pozostałe trzy także. Co ma robić?

No tak, biurko. Podeszła do niego i z bijącym sercem otworzyła środkową szufladę. Przez chwilę grzebała w niej, ale ponieważ nic nie znalazła, sprawdziła jeszcze dwie boczne.

Znalazła notatnik, notes z adresami, długopisy, spinacze i parę recept. Żadnych kluczy.

Zniechęcona, zamknęła ostatnią szufladę i ponuro spojrzała na szafki. Czas mijał. No cóż, nie nadawała się na Jamesa Bonda.

Zerknęła na blat biurka. Tuż przed nią leżał pęk kluczy. Złapała je i pospieszyła do szafek. Trzęsącymi się rękami wypróbowała kolejne klucze. Dopiero czwarty pasował. Nareszcie miała przed sobą otwartą szafkę.

Wstrzymując oddech, zaczęła przeglądać nazwiska na A, a potem na B i C. Żadne z nich nic jej nie mówiło. Przechodziła powoli dalej. Te na Q,R i S też były obce. Żadnego Kurta, Adama czy Petera. Nic, pustka. Obejrzała się za siebie i przeszła do ostatnich liter alfabetu. Była właśnie przy T i U, kiedy usłyszała za sobą kroki, a potem odgłos otwieranych drzwi. Za szybko! Zostało jej tak niewiele nazwisk.

Drzwi się otworzyły.

- Mam dobrą wiadomość. Członkowie grupy...

Zamknęła szufladę i skoczyła na równe nogi.

- Co robisz?! - spytał ze zgrozą.

Uśmiechnęła się, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

- To znaczy?

Zacisnął ze złością szczęki. Na jego policzkach pojawiły się ceglaste rumieńce.

- Przeglądałaś rejestr moich pacjentów!

- Nie wyglupiaj się, chciałam po prostu... po prostu... - Jej głos powoli zanikał.

Anna spojrzała na Bena, a potem na klucze, które zostawiła na podłodze przy szafkach. Najchętniej by w tej chwili zemdlała. Ten czarujący, roztargniony Ben wydawał jej się teraz groźny i potężny.

- Przepraszam, chciałam wyjaśnić...

Ben podszedł do szafek i podniósł klucze.

- Nie musisz się trudzić. Wiem, o co ci chodzi. - Zauważyła, że aż drży od tłumionej wściekłości. - Mała policyjna robota, co?! Chciałaś sprawdzić nazwiska moich pacjentów!

Zacisnęła dłonie.

- Przepraszam. Bardzo mi na nich zależało.

- Więc wykorzystałaś mnie i naszą przyjaźń!

- Postaraj się mnie zrozumieć. Miałam...

- Po co w ogóle mam cię słuchać?! Jesteś oszustką! Bez przerwy kłamałaś.

Oszustką! Sama o sobie też tak pomyślała.

- Myślałam, że jeśli zobaczę nazwiska twoich pacjentów, to kogoś sobie przypomnę.

Że będzie tu Kurt albo...

- Czy nie przyszło ci do głowy, że natychmiast poinformowałbym policję, gdybym miał pacjenta o tym imieniu?

Uniosła dłoń w błagalnym geście.

- Naprawdę mi przykro, Ben. Zrobiłam źle, ale miałam swoje powody. Jaye jest w niebezpieczeństwie. Kobiety umierają. Chciałam pomóc.

- Wyjdź stąd. - Obrócił się na pięcie i podszedł do drzwi.

Pobiegła za nim.

- Zaczekaj. Spróbuj mnie zrozumieć. Uważałam, że muszę coś zrobić. Tak długo byłam tylko ofiarą...

Odwrócił się do niej. Jeden mięsień miarowo drgał w jego policzku.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że ci na mnie zależy...

- Przecież jesteśmy. Bardzo mi na tobie zależy.

Przeciągnął dłonią po twarzy. Kiedy ją opuścił, wyglądał inaczej. Opuściła go cała złość. Był tylko nieszczęśliwy i zmęczony.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby mnie poprosić? Tak właśnie postępują przyjaciele.

Miał rację. Zaciśnęła usta, czując się jak ostatnia idiotka. Nie pozostawało jej nic innego, tylko powiedzieć prawdę.

- Byłam pewna, że odmówisz.

- I się myliłaś. - Westchnął, spojrzął na drzwi, a potem znowu na nią. - Idź już. Moja grupa czeka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Czwartek, 1 lutego, godz. 19.20

Quentin nie mógł przestać myśleć o Benie Walkerze. Coś w tym człowieku go niepokoiło. Tylko co?

Szukając odpowiedzi, starał się przypomnieć swoje reakcje w czasie spotkań z psychologiem. Powtórzył też w myśli obie rozmowy, jakie z nim odbył, szukając czegoś dziwnego. Czegoś, co wskazywałoby, że Ben nie jest wcale takim spokojnym i zrównoważonym człowiekiem.

Nic nie znalazł. Wciąż jednak czuł, że coś tu się nie zgadza. Zapewne chodziło o jakiś szczegół. O coś, co Walker powiedział lub zrobił.

Quentin nie wątpił, że psycholog stanowi jakąś zagadkę. Nie wiedział jeszcze jaką, ale miał zamiar ją rozwiązać. I to jak najszybciej.

Światła zmieniły się na czerwone. Quentin zatrzymał wóz, otworzył komórkę i wystukał numer Anny. Po pięciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Znowu. W ciągu ostatniej godziny dzwonił do niej już dwa razy.

Zmarszczył brwi i wybrał numer kolegi.

- Cześć, Morgan. Pilnujesz Anny North?

- Tak, jasne. Siedzę właśnie przed domem tego psychologa.

- Doktora Walkera? Na Constance Street?

- Właśnie. Panna North weszła tam pół godziny temu. Powiedziała, że to może zająć trochę czasu, a potem chce jeszcze pokręcić się trochę po mieście. Cały czas jej pilnuję.

Quentin powiedział, że to świetnie, i się rozłączył. Był na siebie zły, a mimo to nie mógł powstrzymać zazdrości.

Światła się zmieniły i Quentin ruszył przez skrzyżowanie. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Tamta noc w domu opieki! Walker mówił, że wyszedł później niż zwykle, ponieważ jego matka się przestraszyła. Twierdziła, że ktoś był w pokoju i jej groził. Quentin zerknął do tyłu, a następnie zawrócił, lekceważąc ciągłą linię. Ben wspominał, że jego matka przebywa w Crestwood Nursing Home przy Metairie Road. Mógł tam dojechać w ciągu paru minut. Powinien złożyć jej kurtuazyjną wizytę.

Dom opieki był pogrążony w ciszy. Kolacja już się skończyła, ale wciąż można było odwiedzać pacjentów. Jednak w głównym holu panował hałas. To kilku pensjonariuszy oglądało teleturniej z dźwiękiem włączonym niemal na cały regulator. Paru z nich siedziało

na wózkach. Jakaś siwowłosa kobieta w czerwonym szlafroku spojrzała w jego stronę i mrugnęła porozumiewawczo. Quentin zrobił to samo.

Przeszedł do pokoju pielęgniarek i pokazał dyżurującej kobiecie swoją odznakę.

- Quentin Malone - przedstawił się. - Jestem oficerem śledczym. Chciałbym porozmawiać z jedną z pacjentek, Louise Walker.

Pielęgniarka zrobiła zdziwioną minę.

- Z panią Walker?

- Matką doktora Beniamina Walkera.

- Czy mogę wiedzieć, o co panu chodzi?

Mógł odmówić wyjaśnień albo stwierdzić, że to sprawa policji, nie chciał jednak wzbudzać niczyich podejrzeń.

- Jej syn wspominał mi, że jej grożono. Chciałbym to sprawdzić.

- Ach, o to chodzi. - Pielęgniarka potrząsnęła głową. - Pani Walker myli różne rzeczy. Czasami ogląda filmy, a potem uważa, że to wszystko naprawdę się zdarzyło. Ale proszę z nią porozmawiać. Dzięki temu poczuje się bezpieczniej.

- Więc nie sądzi pani, żeby rzeczywiście jej grożono?

- Nie. - Podsunęła mu rejestr gości. - Proszę, żeby pan się tu wpisał. Wszyscy goście muszą to zrobić.

- Czy ktoś się kiedyś wśliznął bez tego?

- Pewnie tak, ale staramy się uważać.

- Jasne. - Quentin wpisał się do zeszytu i jednocześnie przejrzał nazwiska wszystkich gości. Szukał znajomych, ale jedynym był tylko Ben. - Jak widzę, doktor Walker często odwiedza matkę - zauważył.

- Jest bardzo oddanym synem - powiedziała pielęgniarka, podchodząc do niego. - Dobrze by było, żeby inne dzieci poszły w jego ślady. Zaprowadzę pana do jej pokoju. Na szczęście jeszcze nie śpi. Jest nocnym markiem.

- Jak rozumiem, cierpi na chorobę Alzheimera?

- Tak. Proszę tędy.

- Na ile jest świadoma? - spytał, kiedy przechodzili przez długi korytarz.

Drzwi do większości pokoi były pootwierane. Pensjonariusze oglądali telewizję, czytali książki, jakaś kobieta na wózku słuchała muzyki z walkmena, poruszając nogą do taktu.

Pielęgniarka zatrzymała się przed drzwiami z numerem dwadzieścia sześć. Zastukała, a następnie weszła do środka. Louise Walker, siwiuteńka staruszka, oglądała właśnie scenę w

sądzie.

- Pani Walker, ktoś chciałby z panią porozmawiać - rzekła cicho pielęgniarka.

Kobieta oderwała się od telewizora i spojrzała na Quentina.

- Nie znam go - powiedziała, marszcząc brwi. - Po co tu przyszedł?

- To znajomy pani syna. Policjant. Może z nim pani porozmawiać, a ja będę w dyżurce.

- Zna pan Bena?

- Tak. Nazywam się Quentin Malone i pracuję w policji.

Wyjął odznakę, a Louise Walker pokazała gestem, żeby podszedł bliżej. Gdy to zrobił, poczuł woń papierosów. Staruszka musiała kiedyś dużo palić i ten zapach przyłgnał na zawsze do jej ciała. W domu opieki obowiązywał zakaz palenia. Quentin widział znak przy drzwiach. Trochę zdziwił go nałóg pani Walker, ponieważ Ben wyglądał na człowieka, który nienawidzi palaczy.

- Wiem, że on to w końcu zrobi - powiedziała, gdy znalazł się bliżej. - Ma zbrodnię wypisaną na twarzy.

- Słucham?

- Ten okropny Jack Crowley. Pewnie o niego panu chodzi - domyśliła się.

Quentin spojrzał w stronę telewizora. Jakaś kobieta właśnie prosiła Jacka, żeby „tego nie robił“.

- Nie, nie o niego - rzekł spokojnie. - O mężczyznę, który tu był i pani groził.

Nagle w jej oczach pojawił się strach.

- To Ben panu o nim mówił?

- Tak. Wspominał, że była pani bardzo zaniepokojona, czemu się nie dziwię.

- Nikt nie chce mi wierzyć. Nawet Ben. - Zniżyła głos: - Myśla, że zwariowałam.

- Może mi pani o nim opowiedzieć?

- Nie jestem wariatką - ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego słowa. Potem się uśmiechnęła. - Podoba mi się tutaj. Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy.

- Ile razy widziała pani tego człowieka?

Pani Walker znowu spojrzała na niego.

- Sama nie wiem. Wiele razy. - Broda jej zadrzała. - Boję się go. Jest gorszy niż Jack Crowley.

- Gorszy? - Quentin przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł obok. Chciał dociągnąć to do końca, chociaż wydawało mu się oczywiste, że pani Walker straciła kontakt z rzeczywistością. Jednak była sympatyczną staruszką i miał nadzieję, że przynajmniej trochę

jej pomoże. - To chyba niemożliwe.

- Jest zły. - Nacisnęła guzik pilota i wyłączyła telewizor. Cisza, która ich otoczyła, wydawała się złowroga. - On... on mnie przeraża.

- Chciałbym pani pomóc - mruknął Quentin. - Proszę mi o nim powiedzieć wszystko, co pani wie.

- On chce zrobić coś złego Benowi. - Spojrzała nieprzytomnie w oczy Quentina. -
Wiem, że go nienawidzi.

Malone zmarszczył brwi.

- Więc groził Benowi, a nie pani?

- Chce go zabić!

- Ale dlaczego?

- Bo Ben był zawsze od niego lepszy. Ben to dobry chłopiec, a Adam...

Na dźwięk tego imienia Quentin poczuł, jak ciarki przeszły mu po plecach.

- Powiedziała pani...?

- Adam. Ten diabeł wcielony.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Czwartek, 1 lutego, godz. 20.50

Quentin nie zdołał wydobyć więcej nic sensownego z Louise Walker. Im bardziej ją przyciskał, tym bardziej się plątała w swoich wyjaśnieniach. Pielęgniarka zaproponowała, żeby przyjechał rano, bo pacjentka będzie miała wtedy jaśniejszy i świeższy umysł. Przystał na to, ale przed wyjściem raz jeszcze sprawdził rejestr gości. Przejrzał go w całości, ale żaden Adam na niej nie widniał. Czy to możliwe, żeby był to przypadek? Że pani Walker wybrała imię urojonego wroga na chybił trafił? Pielęgniarka przyznała, że niektórym gościom udawało się uniknąć wpisów. Nie było to zresztą takie trudne.

Tak, to mógł być przypadek. Tyle że Quentin nie wierzył w przypadki. Gdy tylko wszedł do samochodu, natychmiast zadzwonił do domu ciotki.

- Patti? Tutaj Quentin.

- Och, cieszę się, że dzwonisz. Nareszcie możemy pogadać normalnie, poza służbą...

- Niestety, a może na szczęście, mam sprawę służbową. Znalazłem coś ważnego w sprawie tych zabójstw.

- Tak, słucham - rzekła, błyskawicznie zmieniając ton.

Quentin przypomniał jej listy, które Anna dostawała od Minnie, a potem przeszedł od razu do rzeczy. Wyjaśnił, kim jest Ben Walker, i opowiedział o rozmowie z jego matką.

- Odwiedziłem ją, bo miałem przeczucie, że może nam coś powiedzieć. - Nie zdradził się ze swoimi podejrzeniami względem Bena. - Nie sądziłem, że powie mi o tym Adamie.

Ciotka milczała przez chwilę, starając się dopasować do siebie kolejne fragmenty układanki.

- Myślisz, że to ten sam Adam, który był właścicielem skrytki pocztowej?

- Dokładnie.

- Jak sądzisz, czy ta staruszka będzie mogła podać jego opis? - Malone wyczuł podniecenie w głosie ciotki.

Nie dziwił się jej, bo sam był jeszcze bardziej podekscytowany.

- Mam nadzieję. Co prawda jest stara i ma Alzheimera, ale chyba świetnie pamięta tego Adama. Chciałbym mieć rysownika jak najwcześniej jutro rano.

- Załatwione. I znajdź kogoś do ochrony Louise Walker. Nie chcę, żeby ten facet ją odwiedził, gdy nie będzie tam nikogo od nas.

Quentin pożegnał się, życząc jej i wujowi dobrej nocy, a potem zadzwonił na

posterunek.

- Cześć, Brad - przywitał się z oficerem dyżurnym. - Tutaj Malone. Rozmawiałem właśnie z kapitan O'Shay. Potrzebuję ochrony dla Louise Walker z Crestwood Nursing Home przy Metairie Road.

- Dobrze - mruknął kolega. - Coś się stało?

- Być może poda nam rysopis tego seryjnego zabójcy.

Oficer aż gwizdnął.

- Zajmę się tym jak najszybciej.

- Świetnie. I zamów mi jeszcze na jutro rano naszego rysownika.

- Przysłać go od razu pod ten sam adres?

- Tak będzie najlepiej. - Quentin spojrzął na zegarek, myśląc o Annie. I o Benie. - Czy ktoś do mnie dzwonił?

- Tak, szukała cię jakaś kobieta. - Brad zamilkł na chwilę, a potem dodał wyraźnie zakłopotany: - Nie powiedziała, jak się nazywa, ale myślę, że to była Penny Landry.

- Penny? Do mnie?

- Tak, do ciebie. Jakies pół godziny temu. - Oficer znowu urwał, zapewne wążąc w myśli słowa. - Odniosłem wrażenie, że ma jakieś kłopoty. Poważne kłopoty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Czwartek, 1 lutego, godz. 21.15

Quentin z bijącym sercem raz jeszcze spojrzął na zegarek. Na szczęście droga z Metairie i Bonnaville Boulevard na Lakeview zajmie mu mniej niż dziesięć minut. Gdyby włączył światła i syrenę, byłby tam nawet prędzej.

Szybko uruchomił silnik i zapalił światła, które zaczęły migać czerwono i niebiesko na bezlistnych gałęziach. Podczas jazdy próbował się połączyć z Penny, ale jej numer wciąż był zajęty.

Stało się coś złego. I miało to związek z Terryem. Inaczej Penny nigdy by do niego nie zadzwoniła. Zatrzymał się z piskiem opon przed domem Landrych i wyskoczył na chodnik. Mimo że było zaledwie dwadzieścia parę minut po dziewiątej, w domu nie paliły się żadne światła. Zadzwonił do drzwi, jednak nikt nie podszedł, żeby mu otworzyć.

Penny jest w domu, pomyślał. Ukrywa się przed Terryem. Nie wiedział dlaczego, ale był tego niemal pewny. Zostawił więc dzwonek i zastukał do drzwi.

- Penny! To ja, Malone! - Załomotał mocniej. - Chcę ci pomóc! Otwórz!

Usłyszał okrzyk ulgi, a potem trzask zamka. Drzwi się otworzyły i zapłakana Penny padła mu wprost w ramiona. Trzymał ją mocno. Po chwili przestała płakać, ale wciąż drżała ze strachu. Quentin zaczął ją głaskać po głowie. W końcu spytał cicho:

- To przez Terry'ego, prawda?

Pokiwała głową i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Co z dziećmi?

- Wysłałam je do... sąsiadów. Nie chciałam, żeby... go widziały, gdyby wrócił.

Boże drogi!

- Powiedz mi, co się stało. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

Dreszcz przeszył jej ciało, ale Quentin widział, że Penny próbuje się pozbierać.

- Przy... przyszedł tutaj zupełnie pijany. Wystraszył dzieci, więc po... poprosiłam, żeby sobie poszedł. I wtedy wpadł we wściekłość... - Wargi zaczęły jej drżeć, więc je ścisnęła i przez moment milczała. - Zaczął na mnie krzyczeć. O... oskarżać...

Znowu przerwała. Quentin czekał chwilę, a potem powiedział:

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale wyrzuć z siebie wszystko.

- Uciekłam do sypialni, a o... on mnie gonił. Za... zamknął drzwi. To nawet lepiej, bo dzieci tego nie widziały. Za... zaczął mnie bić i wyzywać, a po... potem zaciągnął na łóżko. -

Nowe łzy polały jej się po policzkach. Próbowwała jeszcze coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Quentin zamarł ze zgrozy. Wiedział, czego może się spodziewać, ale wbrew wszystkiemu liczył, że do tego nie doszło.

- Co się stało? Czy... czy cię zgwałcił?

- Próbował. Po... podciągnął mi sukienkę i po... podarł majtki. Ale dzieci usłyszały moje krzyki i zaczęły dobijać się do drzwi. Prosiły go, żeby prze... przestał.

Penny znowu umilkła. Quentin przytulił ją mocniej, czując, jak słabnie. Miał już dosyć Terry'ego i jego wybryków. Jeśli był to tylko wybryk.

- Czy coś ci zrobił? - spytał niepewnie.

Potrząsnęła głową.

- Na szczęście nic, jeśli nie li... liczyć paru siniaków. W ko... końcu dotarły do niego krzyki dzieci. Zaczął płakać i wy... wybiegł na dwór.

Quentin zmarszczył brwi, wciąż trzymając Penny przy piersi. Czuł, jak się uspokaja. Kiedy wreszcie się od niego oderwała, zobaczyła rozmazane ślady od makijażu na jego białej koszuli, którą nosił pod kurtką.

- Och, przepraszam. Pobrudziłam ci całą...

- Daj spokój. Nie ma o czym mówić.

Skuliła się w drzwiach.

- O Boże! Sama nie wiem, co robić... Kochałam go. Na... naprawdę go kochałam. Ale Terry nie jest już tym samym człowiekiem. To bardzo bo... boli. - Wzięła głęboki oddech. - Boję się go, Quen. Naprawdę się go boję. W takim stanie może zrobić sobie lub komuś coś złego.

Zaniepokojony, spojrzał jej prosto w oczy.

- Jak sądzisz, co powinienem zrobić? Jak mam ci pomóc?

- Znajdź go i porozmawiaj z nim. Może przynajmniej ciebie posłucha. - Znowu zaczęła płakać, ale tym razem smutno i cicho. - Wiem, że on też potrzebuje pomocy.

Quentin nie musiał długo szukać. Znalazł Terry'ego przy barze u Shannona. Przed sobą miał nietkniętego drinka. Quentin usiadł obok, pokazując barmanowi, że niczego mu nie trzeba. Terry spojrzał na niego, ale nic nie mówił. Przynajmniej na początku. Wyglądał na kompletnie zgnębionego.

- Penny do ciebie dzwoniła - bąknął w końcu.

Mimo że nie było to pytanie, Quentin odpowiedział.

- Widziałem ją. Jest zrozpaczona.

Terry zwiesił głowę. Przynajmniej nie próbował się usprawiedliwiać. Być może wreszcie zrozumiał, że posunął się stanowczo za daleko.

- Co się z tobą dzieje, Terry? - spytał. - Co cię gryzie?

- Sam nie wiem - odparł, patrząc na niego przekrwionymi oczami. - Moje życie stało się koszmarem. Nie mogę spać. Nic nie jem. Ciągłe się złościę. Na Penny. Pracę. Na siebie... - Spojrzał w bok, a potem znowu na Malone'a. - Czasami ta złość narasta i czuję, jak mnie pożera od środka. Tak mnie wyjada, że zostaje tylko zupełnie pusta powłoka. Jakby mnie w ogóle nie było. - Zasłonił twarz dłońmi. - Jest silniejsza ode mnie.

Quentina dosłownie zamuroowało. W końcu odzyskał głos, ale brzmiał on dziwnie obco.

- Musisz uporać się z przeszłością, stary. Nie wiem, co zrobiła ci twoja matka, ale musiało to być coś strasznego. To ciągle w tobie siedzi, bo nie zwalczyłeś upiorów z dzieciństwa. Sam nie dasz rady, bo to zbyt silne. Poszukaj pomocy, stary. Poszukaj pomocy, zanim będzie za późno.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Piątek, 2 lutego, Południe

Lekarz zręcznie i delikatnie badał poszczególne części ciała, które ucierpiały w wypadku.

- Boli? - spytał, uciskając złamane żebra.

Ben syknął.

- Trochę. Ale wyraźnie mniej.

- To dobrze.

Spojrzał mu w oczy.

- Czy miał pan ostatnio jakieś problemy? Zawroty głowy? Mdłości?

- Nie, nic takiego. Tyle, że czuję się obolały. Nie najlepiej też śpię.

- To zrozumiałe. Ten wypadek był naprawdę groźny. Mogło być gorzej.

- Tak, dobrze, że ktoś zadzwonił pod 911. Widziałem to miejsce. Mogłem tam tkwić w nieskończoność.

Lekarz skinął głową.

- I zupełnie się wykrwawić - przyznał. - To się nazywa szczęście. Było już przecież późno.

Ben wstał i zaczął wkładać koszulę.

- No, nie tak bardzo. Zdaje się, że trochę po jedenastej.

Lekarz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Chyba pan żartuje!

Ben zastygł przy kolejnym guziku, czując chłód, który rozchodził się od kręgosłupa.

- Nie, właśnie o tej godzinie wyszedłem od mojej mamy. Wypadek musiał wydarzyć się sporo przed północą.

- Przywieziono pana tutaj koło trzeciej.

Ben wytrzeszczył oczy.

- To chyba jakaś pomyłka.

- Żadna pomyłka. - Mężczyzna zmarszczył brwi. - Może pan sprawdzić w karcie.

Zacząłem operację o trzeciej trzynastce.

Co wydarzyło się po tym, jak opuścił dom opieki? Co wówczas robił?

- Nic panu nie jest? - spytał zaniepokojony lekarz.

Gwałtownie zamrugał, próbując wrócić do rzeczywistości.

- Co? Nie, nic. - Uśmiechnął się do chirurga. - To ja musiałem się pomylić. Pamiętam, że zasnąłem przy łóżku matki. Tylko nie mam pojęcia, co wydarzyło się później.

- Zważywszy okoliczności, nie ma w tym nic dziwnego. - Lekarz posłał mu uśmiech. - Proszę dzwonić, gdyby miał pan jakieś problemy. Powinienem zobaczyć te złamania za jakieś dwa tygodnie, chociaż może to zrobić lekarz pierwszego kontaktu.

Ben podziękował mu i wyszedł ze szpitala. Wsiadł do samochodu, ale przez chwilę tylko siedział, przyciskając dłonie do oczu. Przypominał sobie wszystkie wydarzenia tamtego wieczoru. Zjadł kolację razem z matką, a następnie wywiózł ją na zewnątrz, żeby mogła sobie zapalić. Wrócili po trzech papierosach. Trochę oglądali telewizję, a potem mama stwierdziła, że chce do łóżka. Pomógł jej się położyć, a następnie wziął książkę Danielle Steel i zaczął czytać. W pewnym momencie zasnął. Kiedy się obudził, matka była przerażona. Twierdziła, że ktoś wszedł do pokoju i jej groził.

Ben opuścił dłonie i patrzył tępo przez przednią szybę. Kolejne obrazy powracały do niego jeden po drugim. Poszedł do dyżurki pielęgniarek, żeby sprawdzić rejestr gości, a potem zaczął uspokajać matkę. Martwiły go coraz większe postępy choroby. Zaczęła go boleć głowa. Pożegnał się i poszedł do samochodu. To właśnie tam znalazł notatkę. Pamiętał, że spojrzał wówczas na zegarek.

No, tak. Może się pomylił. Być może wziął wskazówkę minutową za godzinową, lub po prostu zasnął jeszcze raz w samochodzie.

Jednak dlaczego pamiętał, że wyjeżdżał z parkingu, próbując dodzwonić się do Anny? Co się zdarzyło potem, zanim jakiś kierowca zobaczył, jak zjechał z drogi w stronę rzeki?

Nagle zaczął drzeć ze strachu. Te jego utraty świadomości. Te bóle głowy. Noce, które przesypiał jak nieżywy, a potem czuł się tak, jakby rąbał drewno... Co się z nim działo? Czyżby lekarze jednak coś przeoczyli? Czyżby był poważnie chory?!

Z bijącym sercem oparł się czołem o kierownicę. Niepotrzebnie uruchomił swoją wyobraźnię. Lekarz, z którym rozmawiał o tym problemie, na pewno miał rację. Były to zaniki świadomości spowodowane intensywnym bólem, który wynikał ze stresu i napięcia. Ostatnio nie brakowało mu ani jednego, ani drugiego.

Najbardziej stresowało go to, że szalony zabójca zaczął igrzać nie tylko z Anną, ale również z nim i jego pracą. Anna! Powrócił myślami do czwartku, kiedy odkrył, że myszkowała w jego papierach. Był na nią naprawdę wściekły. Poczł się urażony. Anna okazała się oszustką niegodną jego przyjaźni. Podstępna żmija. Jednak z czasem coraz bardziej łagodniał. Żałował wypowiedzianych w gniewie słów. Zrobiła to przecież ze strachu. Ktoś jej bez przerwy zagrażał, więc postanowiła działać. Sam ją utwierdzał w przekonaniu, że

to musi być ktoś z jego pacjentów. Zresztą, wciąż w to wierzył.

Czy nie powinien zatem przekazać listy pacjentów policji?

Jęknął na znak protestu. Przecież nie może tego zrobić! Nie może ot, tak, ujawnić nazwisk cierpiących osób. Ludzi, którzy powierzyli mu swoje najskrytsze problemy.

Jednak wciąż umierają kobiety. Anna może być następna. Nie wolno mu patrzeć na to z założonymi rękami. Co prawda sprawdził już większość swoich pacjentów, ale wyniki testu nic mu nie dały. Mógł popełnić jakiś błąd lub morderca jest sprytniejszy, niż można by przypuszczać. Być może udałoby mu się uzyskać obietnicę od Malone'a, że nie będzie niepokoił nikogo z listy bez wyraźnej potrzeby. I może, kiedy będzie już po wszystkim, uda mu się znowu nawiązać kontakt z Anną.

Poczuł gwałtowny przyływ energii. Nareszcie miał jakiś cel. Jeśli jego plan się powiedzie, zaskarbi sobie wdzięczność Anny i sprawi, że Malone nie będzie już miał pretekstu, żeby się z nią spotykać.

Ben uruchomił samochód i wyjechał z parkingu. Musi działać szybko, zanim opanują go następne wątpliwości. Zatrzyma się tylko w gabinecie, żeby zabrać papiery, i pojedzie prosto na posterunek. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie zdziwienie Quentina Malone'a, gdy wręczy mu w końcu listę, o którą tak zabiegał.

Trzydzieści pięć minut później doktor Walker dotarł na posterunek Siódemki i podszedł do biurka oficera dyżurnego. Przedstawił się i spytał, czy może rozmawiać ze śledczym Malone'em.

- Gdzieś wyszedł - poinformował policjant. - Ale jest jego partner.

Ben wahał się przez chwilę, ale był na tyle zdecydowany, że w końcu skinął głową. Cóż, nie zobaczy miny Malone'a, ale przynajmniej zrobi coś pożytecznego.

- Dobrze, może być.

- Nazywa się Terry Landry. - Oficer pokazał mu, gdzie ma iść. - Na pewno pan trafi. Landry jest wysoki, ma ciemne włosy i kolorową hawajską koszulę.

Ben podziękował mu i udał się we wskazanym kierunku. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy wszedł do zatłoczonego ogólnego pomieszczenia. Od razu zauważył Landry'ego. Tylko on miał taką błękitnożółtoróżową koszulę. Partner Malone'a stał odwrócony do niego plecami i dyskutował o czymś zaciekle.

Psycholog ruszył w jego stronę i w tej chwili śledczy odwrócił się. Ben stanął i wybałuszył oczy. Żaden Terry Landry. Przed sobą miał Ricka Richardsona. Urzędnika średniego szczebla w Departamencie Turystyki.

Rick jest moim pacjentem, pomyślał. Nie, już nie, przecież przerwał terapię jakies

parę tygodni temu, przypomniał sobie.

Ben zaczął liczyć i poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Po raz ostatni widział Ricka mniej więcej w tym czasie, kiedy zginęły mu klucze i kiedy dostał książkę Anny. Mniej więcej wtedy zamordowano pierwszą rudowłosą kobietę.

Z bijącym sercem zaczął sobie przypominać kolejne fakty, które dotyczyły Richardsona. Po pierwsze był wściekły na żonę za to, że go zostawiła i nie chciała zrozumieć. Po drugie był niezadowolony z pracy, a nędzne zarobki raniły jego dumę. Za tym wszystkim stała skrywana nienawiść do matki, która nim przez całe życie pomiatała. Wszystko pasowało.

Ben odwrócił się i z duszą na ramieniu wyszedł z pokoju. Nie sądził, by Rick, czy raczej Terry, go zauważył. Modlił się, żeby tak się nie stało. Bo jeśli jego podejrzenia się potwierdzą, to właśnie on może być seryjnym mordercą i na pewno nie ucieszy się z tego, że Ben go rozpoznał.

Podbiegł do samochodu, chociaż nogi miał jak z waty. O dziwo nic go jednak nie bolało. Dopiero kiedy znalazł się w bezpiecznym miejscu, spojrzał w stronę wejścia do budynku.

Terry Landry stał na szczycie schodów i rozglądał się uważnie dookoła, jakby kogoś szukał.

- Sukinsyn! - Ben przekręcił kluczyki i silnik natychmiast zaczął pracować.

Wystartował z piskiem opon. Chciał jak najszybciej uciec. Uwolnić się od prześladowcy. Gdy przejechał parę przecznic i nie zauważył nikogo, kto by za nim jechał, odetchnął z ulgą. Zerknął jeszcze do wstecznego lusterka, a potem otworzył telefon i wybrał numer posterunku. Odebrał ten sam oficer dyżurny, z którym rozmawiał kilka minut temu.

- Tu Benjamin Walker - powiedział. - Chciałbym skontaktować się jak najszybciej ze śledczym Malone'em. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o atak na Annę North. I że mam to, o co mu chodziło.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Piątek, 2 lutego, godz. 14.00

Quentin zatrzymał się przed posterunkiem SWNP. Wyłączył silnik, ale nie wysiadł. Patrzył tylko przed siebie, starając się pogodzić z tym, co przed chwilą usłyszał od Bena Walkera. Rozmowa była krótka, ale nadzwyczaj treściwa.

Psycholog poinformował go, że Terry pod przybranym nazwiskiem był jego pacjentem, ale zrezygnował z terapii w tym samym czasie, gdy ktoś zaczął nękać Annę i dokonał pierwszego zabójstwa. Quentin zacisnął palce na kierownicy. Czuł, że przygniata go ciężar tego, co usłyszał. Wszystko świadczyło przeciwko jego partnerowi. Jego kłótnia z Nancy Kent. Barwione szkła kontaktowe. Złość i niechęć, do których sam się przyznawał. Atak na Penny. Pieniądze, które skądś nagle wziął... Lista była długa.

Quentin zaklął pod nosem. Wszystkie drobiazgi łączyły się w spójną całość. Mógł teraz jedynie pójść z tym do Terry'ego. Wymagały tego lata łączącej ich przyjaźni. Miał nadzieję, że partner wszystko wyjaśni, że w sposób nie budzący wątpliwości potrafi się przed nim wytłumaczyć.

Nie może przecież być mordercą!

Quentin znowu zaklął, tym razem głośniejszym głosem. Nie, nie może tego zrobić, bo sprawy zaszyły zbyt daleko. Musi iść prosto do szefowej i poinformować ją, czego się dowiedział. Zginęły przecież niewinne kobiety! Jeśli Terry nie popełnił tych zbrodni, na pewno potrafi się wytłumaczyć. Są przecież wyniki laboratoryjne, poza tym musi mieć jakieś alibi...

Wysiadł z wozu i pewnym krokiem ruszył w stronę posterunku. Szedł korytarzem, nie odpowiadając na pozdrowienia kolegów. W końcu dotarł do gabinetu szefowej i zastukał. Wszedł, nie czekając na zaproszenie. Patti O'Shay spojrzała na niego znad papierów.

- Musimy pogadać - rzucił.

Skinęła głową.

- Zamknij drzwi.

Zrobił, jak prosiła, a potem podszedł do jej biurka i usiadł ciężko na krześle.

- Chodzi o zabójstwa kobiet.

Położyła dłonie na gładkim blacie.

- Mów.

Quentin międlilił dłonie, nie bardzo wiedząc, jak zacząć.

- Najlepiej wyrzucić z siebie to, co najgorsze - dodała Patti po przedłużającej się ciszy.

- Im szybciej, tym lepiej.

Zrobił, jak radziła. A kiedy skończył, wcale nie wyglądała na zaskoczoną. Spojrzał więc na nią, mrużąc oczy.

- Co na niego masz, Patti? Ostatnio bardzo interesowała się nim sekcja wewnętrzna. Może znaleźli coś poważniejszego niż kłótnia po pijanemu? Mam prawo wiedzieć!

- Porozmawiajmy najpierw o tym, z czym przyszedłeś. Czy doktor Walker jest pewny, że Landry to jego dawny pacjent Rick Richardson?

- Całkowicie.

- I wciąż wierzysz, że Anna North jest ogniwem łączącym te wszystkie morderstwa? Z powodu rudych włosów?

- Tak. I obciętego palca ostatniej ofiary.

Ciotka uniosła brwi.

- Ale po co zabijał te kobiety? Dlaczego nie zaczął od Anny North?

Quentin poczuł, że robi mu się niedobrze. Patti mówiła o tym bez zbędnych emocji, a on nie mógł sobie wyobrazić tego, że kumpel zabił aż trzy kobiety. Co gorsza, w jakiś sposób mu w tym pomagał, broniąc go przy każdej okazji.

- Po prostu ćwiczył. Przygotowywał się do tego, co najważniejsze, a przy okazji wyżywał się na innych kobietach. Zdarzały się już takie przypadki.

Kapitan skinęła głową, więc wyrzucił z siebie wszystkie dręczące go podejrzenia:

- Możliwe, że tej nocy, kiedy napadł na Annę, wcale nie chciał jej zabić. Włożył szkła, żeby ją sterroryzować. Żeby puściły jej nerwy. - Quentin z trudem złapał oddech. - Kiedy myślałem o tamtym wieczorze u Shannona, przypomniałem sobie jedną godzinę, w czasie której Terry zniknął mi z pola widzenia. To mogła być właśnie ta godzina - rzekł z naciskiem.

- Miał wystarczająco dużo czasu, by zgwałcić i zabić Nancy Kent...

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Kiedy zabito Jackson, był z di Markiem i Tarantinem z Piątki.

- Chciał sobie załatwić alibi - mruknęła.

- Ale kiepsko mu wyszło. - Quentin potarł uda. - Di Marco mówił, że Terry spił się do nieprzytomności, chociaż przez cały wieczór nie widział go z drinkiem.

- To wszystko?

- Są jeszcze kolorowe szkła kontaktowe. Terry miał takie na sylwestra w zeszłym roku. Nic jednak nie mówił, kiedy byłem u optyka.

- Sporo ci się zebrało - zauważyła. - Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

- Wydawało mi się, że są to rzeczy bez znaczenia. Nie układały się w żadną całość.

Być może, gdybym wiedział o wynikach śledztwa sekcji wewnętrznej...

Kapitan O'Shay nie zamierzała się z nim spierać.

- Oficerowie prowadzący śledztwo nie chcieli, żebym cię informowała.

- Uważali, że nie będę lojalny?

- To oczywiste, bo przez wiele lat przyjaźniłeś się z Landrym.

Quentin zeszywniał.

- A ty co uważałaś?

Ciotka uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Wiesz co, zmieniałam ci pieluchy i patrzyłam, jak zaczynasz chodzić. Jestem twoją matką chrzestną. Zawsze wiedziałam, że zrobisz to, co uznasz za słuszne i zgodne z prawem.

Quentin nieco się rozluźnił.

- Dobrze, więc opowiedz mi o wynikach śledztwa sekcji wewnętrznej - poprosił.

- Po pierwsze zabójstwo Kent. Grupa krwi się zgadza, ale to jeszcze nic nie znaczy.

Wciąż czekamy na wyniki testów DNA.

- Rozumiem.

- Około trzydziestu ośmiu procent nowoorleańczyków ma grupę krwi O Rh+, ale ze względu na kłótnię Landry'ego z tą kobietą zaczęliśmy zbierać kolejne dowody.

- I co się okazało? - spytał, chociaż już znał odpowiedź.

- Sam zadzwoń do sekcji wewnętrznej. Poproś o nakaz aresztowania Landry'ego i nakaz rewizji. Będę go chciała przesłuchać.

Właśnie tego najbardziej się obawiał.

- Chciałbym sam to zrobić. Chciałbym poprowadzić przesłuchanie.

- Quen, nie sądzę...

- To będzie teraz moja sprawa.

- Przypominam, że jesteś w nią osobiście zaangażowany i to mocno. Nie chciałabym, żebyś nagle się wycofał...

- Do diabła, nie zrobię tego! - Zacisnął pięści. Nigdy jeszcze nie był tak bardzo zły i rozczarowany. - Jasne, że jestem zaangażowany. Nadstawiałem za niego karku i jeśli okaże się, że kłamał, chcę, żeby za to zapłacił.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, a potem skinęła głową.

- Dobrze, ale musisz to zrobić z Johnsonem. Wszystko ma być zgodnie z przepisami.

- Dobra. - Wstał i podszedł do wyjścia. - Zaraz zadzwonię do chłopaków z wewnętrznej.

- Ja to zrobię - powiedziała, sięgając po słuchawkę. - I jeszcze jedno...

Spojrzał na nią od drzwi.

- Dobrze się spisałeś. Wiem, że nie było ci łatwo.

Skrzywił się smutno i poczuł się nagle potwornie przygnębiony.

- Przecież jestem policjantem. Nie mogłem zrobić nic innego.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Piątek, 2 lutego, godz. 16.00

Dwie godziny później Quentin usiadł na składanym metalowym krześle naprzeciwko Terry'ego. Jego partner zajmował takie samo krzesło, stojące tak, że niemal stykali się kolanami. Malone specjalnie je tak ustawił. Chodziło mu o to, żeby przesłuchiwany nie czuł się zbyt swobodnie i patrzył tylko na niego.

Terry wyglądał na zmęczonego i przybitego. Nie powinien więc mieć trudności z wydobyciem z niego prawdy.

- O co w tym wszystkim chodzi, Quen? - Terry spojrzał na Johnsona, który stał po lewej stronie Malone'a, opierając się o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na potężnej piersi. - Czy to oficjalne przesłuchanie?

- Sprawa jest bardzo poważna.

- No jasne, poważna. Pewnie znowu jakieś bzdury z sekcji wewnętrznej.

- Skąd to przypuszczenie?

- Inaczej byście mnie nie przesłuchiwali. - Z widoczną pogardą spojrzał prosto w stronę kamery wideo. - Czy mamy dziś publiczność?

- A jak sądzisz?

Terry zasalutował kamerze, a potem zwrócił się do Quentina:

- Może powinienem zażądać prawnika?

- Masz do tego prawo.

Terry rozparł się na krześle, demonstracyjnie pokazując, jak bardzo jest pewny siebie. Jedynie niewielki tik w prawym oku wskazywał, że musi być zdenerwowany.

- Szkoda czasu, dawajcie te swoje pytania. Nie mam nic do ukrycia.

- Terry, słyszałeś kiedyś o Beniaminie Walkerze? - Malone postanowił nie bawić się w subtelności i od razu przystąpił do rzeczy. - O doktorze Beniaminie Walkerze?

- Jasne. - Terry ostentacyjnie wzruszył ramionami. - To psycholog, przyjaciel tej pisarki Anny jakiejś tam. Co to ma wspólnego ze mną?

Quentin zignorował jego pytanie.

- I wiesz, że naszym zdaniem jest on powiązany z morderstwami w Dzielnicy Francuskiej?

- Nie wiem, co najwyżej się domyślam. Przecież zostałem wyłączony z tej sprawy. - Znowu prowokująco spojrzał prosto w kamerę wideo. - Docierają do mnie tylko strzepy

informacji, jak to na posterunku bywa.

- Więc chcesz nam powiedzieć, że słyszałeś o doktorze Walkerze jedynie w związku z tą sprawą? Nie miałeś z nim żadnych osobistych kontaktów?

Quentin wstrzymał oddech. No, dalej, Terry. Nie bądź idiotą. Nie próbuj się z tego wyłgać.

- Właśnie to chcę powiedzieć.

Ta odpowiedź wstrząsnęła Malone'em. Czuł, że Terry pograżył się na dobre. Jedno małe kłamstwo pociągało za sobą następne i w krótkim czasie lawina pochłaniała kłamcę. Jednak nie dał nic po sobie poznać, tylko dalej ciągnął przesłuchanie:

- Porozmawiajmy przez chwilę o szklach kontaktowych - zaczął z innej beczki. - Takich z barwionymi soczewkami w dziwnych kolorach.

- Pomarańczowym albo czerwonym - dorzucił Johnson. - Nosi się je na balach maskowych.

Terry wzruszył ramionami.

- No i co z tego? Rzeczywiście mam takie szkła. Słyszałeś, co powiedziała tamta sprzedawczyni, robią się coraz bardziej popularne.

- Nie w tym rzecz. - Quentin pochylił się jeszcze bardziej w jego stronę. - Dlaczego o nich nie wspomniałeś, kiedy byliśmy w „Eyeware Showcase“? Dlaczego nie połączyłeś tych dwóch rzeczy?

Terry pokazał zęby w uśmiechu.

- Czy muszę wszystko robić za ciebie? Wydawało mi się, że sam powinieneś o tym pamiętać i dodać dwa do dwóch. To była twoja sprawa, nie moja.

Malone wziął głęboki oddech.

- Gdybyś powiedział mi o tych soczewkach, nie musiałbym jechać do New Orleans Center!

Terry zamarł na swoim miejscu.

- Ile razy mam wam jeszcze przypominać, że wyłączyliście mnie z tej sprawy?

- Nie gadaj bzdur, stary.

- Tak właśnie było, stary!

Quentin poczuł, że ma już dość kłamstw dawnego partnera, i spojrzał na niego ze złością.

- A czy słyszałeś może o Ricku Richardsonie?

Terry zbladł. Na jego górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

- Może.

- Może? - powtórzył Johnson. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- To co powiedziałem. Richardson to popularne nazwisko. Pewnie miałem do czynienia z przestępcą, który tak się nazywał.

Terry kłamał. Przekonująco, ale nie na tyle, żeby ich zwieść.

- A może mówi ci coś nazwisko Adam Furst?

Terry ściągnął brwi i przez chwilę mocno się zastanawiał.

- Nie, nic - odparł w końcu.

- Gdzie byłeś w nocy z jedenastego na dwunastego stycznia? Czyli z czwartku na piątek. Właśnie wtedy zginęła Nancy Kent.

- Przecież wiesz. Z tobą w tawernie Shannona.

- A po północy dziewiętnastego stycznia? To był piątek, kiedy zabito Evelyn Parker.

- W domu, z potężnym kaczem. - Zrobił minę do kamery. - Pewnie już o tym wiecie, chłopaki.

- A w nocy cztery dni temu? Pamiętasz, wtedy zginęła Jessica Jackson i jednocześnie ktoś napadł na Annę North.

- Piłem z di Markiem i Tarantinem z Piątki.

- W barze „Fast Freddie“ przy Bourbon?

- Niewykluczone.

- Tak czy nie?

- Tak, właśnie tam. - Terry oparł się o tył krzesła. - O co znowu chodzi?

- Jessica Jackson też tam była. Właśnie tej nocy.

- To teraz bardzo popularne miejsce. Ktoś, kto tak jak ona lubił się bawić, na pewno często tam zaglądał.

- Jessica Jackson lubiła się bawić?

- Inaczej chyba by tam nie poszła, nie?

- Rozumiem. - Quentin zerknął na stojącego policjanta, a potem znowu na Terry'ego, przechodząc do ostatecznego natarcia. - Lubisz rude, Terry?

- Jasne. Czemu nie?

Quentin uniósł brwi.

- Czy nie powiedziałeś kiedyś: „Te rude naprawdę mnie kręcą“? Chyba zacytowałem w miarę dokładnie, co?

Terry poruszył się niespokojnie.

- Mogłem tak powiedzieć.

- Powiedziałeś tak. Wtedy „U Shannona“.

- Nie pamiętam.

- Chodziłeś kiedyś z rudą?

- Chodziłem z różnymi dziewczynami. Na pewno zdarzały się i rude. Nie pamiętam.

- Tak czy nie?

- Tak, raczej tak.

Quentin postanowił strzelać. Niewiele ryzykował, gdyby nie trafił, ale celny strzał mógł okazać się decydujący w tej sprawie. Na jego podstawie można było bowiem zbudować podstawy rysunku psychologicznego Terry'ego Landry'ego, seryjnego mordercy kobiet z Dzielnicy Francuskiej.

- A twoja matka, Terry? Czy nie farbowała się na rudo?

Były partner zerwał się na równe nogi.

- Ty skurwysynu! Ty bydlaku! Myślałem, że jesteś moim przyjacielem!

Jeszcze godzinę temu Quentin poczułby się fatalnie, słysząc te słowa, ale nie teraz, po tych wszystkich kłamstwach i nędznych wykrętach, które słyszał nie tylko on i Johnson, ale również całe szefostwo zgromadzone w pokoju obok.

- Czy uczestniczyłeś kiedyś w terapii, Terry? A może wolisz, żeby mówić ci Rick?

- Nie powiem już ani słowa. Chcę się widzieć z prawnikiem. - Obrócił się w stronę kamery. - No i macie, sukinsyny. Będę milczał jak grób.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Sobota, 3 lutego

Dzielnica Francuska

Dwadzieścia cztery godziny później Terry został aresztowany pod zarzutem zabójstwa Nancy Kent. Był również głównym podejrzanym w sprawach Evelyn Parker i Jessiki Jackson. Przeprowadzone badania wykazały, że zarówno na jego skórzanej kurtce, jak i w samochodzie znajdują się szczątki włosów, które prawdopodobnie pochodziły od Nancy Kent. Poza tym na kurtce znajdowały się też włókna z sukienki pierwszej ofiary. Wszystkie dowody wysłano do dalszej analizy. Jednak śledczy uważali, że najpewniej potwierdzi ona tylko ich domysły.

Terry Landry zamordował trzy kobiety.

Quentin zgodził się poinformować o tym Penny, odmówił jednak udziału w oficjalnym aresztowaniu Terry'ego. Nie chciał widzieć kumpla w kajdankach. Wiedział, że Terry jest winny. Wszystkie fakty świadczyły przeciwko niemu, ale nie potrafił się z tym pogodzić. Nie mógł uwierzyć, że jego partner dopuścił się tak strasznych czynów. Może z czasem jakoś się z tym oswoi.

Wyjechał spod domu Penny i włączył się w ruch uliczny, wciąż myśląc o Terry'm. Znał go przecież od wielu lat. Co się stało, że tak bardzo się zmienił? Dlaczego stał się potworem? Kogo za to winić? Jego matkę? Za śmierć tych kobiet i zmarnowane życie syna?

Quentin zjechał na bok i wyłączył silnik. Przez moment patrzył tępo przed siebie, ściskając w dłoniach kierownicę. Mógł ocalić te kobiety, a przynajmniej dwie z nich, gdyby zwrócił baczniejszą uwagę na Terry'ego. A wówczas może i on nie byłby w tak beznadziejnej sytuacji jak teraz. Dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego tak pobłażał Terry'emu? Przecież powinien był dostrzegać, co się wokół niego dzieje. Jest w końcu policjantem, na miłość boską!

Quentin rozejrzył się dookoła. Dopiero teraz zauważył że nie wrócił do pracy, ale pojechał zupełnie gdzie indziej.

Anna, pomyślał. Zaklął pod nosem i odwrócił wzrok od jej kamienicy. Nie jest jej już potrzebny. Nie ma po co do niej chodzić. Nic ich nie łączy. Zaśmiał się ponuro, myśląc, że jednak coś. Seks. Anna może to nawet przez jakiś czas nazywać miłością.

Powinien stąd odjechać, zanim zdecyduje się na jakieś głupstwo, ale wysiadł z wozu i podszedł do furtki. Była otwarta, podobnie zresztą jak drzwi do samego budynku. Quentin

poszedł więc od razu na górę. Anna otworzyła drzwi, zanim zdążył do nich zapukać. Po jej minie widział, że słyszała już o Terry. Podejrzewał, że dowiedziała się od la Salle'a albo z radia.

Jednak z uwagi na to, co ich łączyło, on powinien jej powiedzieć pierwszy.

- Anno - zaczął ochryplym głosem.

Wyciągnęła dłoń i zaprosiła go do środka. Wszedł, a ona zamknęła drzwi. Następnie wzięła go za rękę i bez słowa poprowadziła do swojej sypialni. Sprężyny jęknęły pod ciężarem ich ciał.

Pogłaskała go delikatnie po twarzy.

- Tak mi przykro - szepnęła.

A potem się z nim kochała. Rozebrała go, zdejmując po kolei wszystkie części garderoby. Pieściła go i tuliła się do niego, aż wkrótce poczuła, że jest podniecony tak jak ona. Jego ból stał się jej bólem. Kobiece ciało mówiło mu, że rozumie, jak on się czuje, i że zrobi wszystko, żeby było mu jak najlepiej. Quentin miał wrażenie, że nagle zaczęło z niego opadać zmęczenie i poczucie winy. Kochał się z nią tak, jak z żadną kobietą. Nie starał się udawać, że jest silnym mężczyzną, ale pokornie przyjął pociechę, jaką chciała mu dać. Akceptując i Annę, i siebie samego. Oddał się jej cały.

A potem leżeli na łóżku, patrząc na siebie i milcząc. Czas płynął wolno. Quentin przyglądał się jej uważnie i po raz pierwszy zobaczył delikatne fioletowe plamki w jej zielonych oczach, a także krój ust i delikatny, brzoskwiniowy odcień skóry.

Czuł się z nią wspaniale. Znali się zaledwie od paru tygodni, a miał wrażenie, że Anna poznała go lepiej niż jakakolwiek kobieta spoza rodziny.

Znał Terry'ego dziesięć lat i całkowicie mu ufał. Jednak dawny kolega przestał nagle istnieć, a na jego miejsce narodziło się monstrum. Quentin westchnął ciężko i położył się na plecach. Czuł się zdradzony i opuszczony. Nie, stanowczo nie powinien myśleć o Terry.

Anna lekko dotknęła jego piersi. Spojrzał w jej stronę.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła. - Wyrzuć to z siebie.

Przez chwilę czuł, że ma ściśnięte gardło i nie wydusi z siebie ani słowa. W końcu jednak skinął lekko głową.

- Byłem u Penny - szepnął. - To... to żona Terry'ego. To... było okropne.

Urwał i głęboko zaczerpnął tchu. Przed oczami miał jeszcze płaczącą Penny. Początkowo nie chciała mu uwierzyć, a potem nie mogła pogodzić się z okrutną prawdą. Tak jak on.

- Sama nie wie, jak o tym powiedzieć dzieciakom. Co zrobić, żeby się nie bały. Nawet

jeśli go uniewinnią, co jest bardzo wątpliwe, to i tak będą musiały przejść przez piekło mediów. Wiesz, złośliwe pytania, niewłaściwe sugestie...

- Tak, wiem. - Skinęła głową. - Ale pamiętaj, że to nie twoja wina.

Quentin zacisnął zęby w bezsilnej złości.

- Mogłem jednak temu przeciwdziałać - wyrzucił z siebie. - Widziałem, co się święci, a ciągle starałem się go chronić. Nie sądziłem, że mógłby... - Urwał i spojrzał w przestrzeń. - Wciąż w to tak do końca nie wierzę.

- Może wcale nie zabił tych kobiet. Może to pomyłka...

- Dowody świadczą przeciwko niemu, Anno - rzekł twardo, nagle przypomniawszy sobie, że jest przede wszystkim policjantem. - Będzie mu trudno wyjść z tego cało.

- Czy... czy jest ich dużo? - spytała z nadzieją.

Wyglądała teraz pięknie i młodo. Młodszej niż kiedykolwiek.

- Aż za dużo, zwłaszcza jeśli chodzi o pierwsze morderstwo.

Westchnęła lekko, chyba z ulgą. Quentin zdał sobie sprawę z jej wewnętrznego rozdarcia. Z jednej strony żałowała jego kumpla, ale z drugiej cieszyła się, że skończył się jej koszmar.

- Co dalej?

- Czekamy jeszcze na wyniki szczegółowych analiz. Szukamy też czegoś, co mogłoby go łączyć z pozostałymi zabitymi.

- I ze mną - dodała.

- Tak.

Znowu zapatrzył się w przestrzeń. Słyszeli tylko tykanie zegara. Anna cały czas myślała o Terry.

- Dlaczego wybrał właśnie mnie? - spytała w końcu. - Za co mnie tak nienawidził?

- Nie mam pojęcia. Terry odmówił wyjaśnień, więc będziemy musieli sami do tego dojść.

- Ale jeśli... - urwała, jakby nie do końca wiedząc, co chce powiedzieć. - Jeśli to nie on wysłał kasetę wideo i książki z informacjami? Jeśli to nie on więzi Minnie i Jaye?

Quentin pogładził ją po policzku.

- Wiele wskazuje, że to jednak on, Anno. Tylko się zastanów. Terry jest jedynym ogniwem między tobą a Benem Walkerem. Ben nigdy nie pasował do tej sprawy. Nie znał cię i nikt nie wiedział, dlaczego dostał książkę z notatką o programie na Kanale E! Ktoś starał się go w to wmieszać. Ben myślał, że to któryś z jego pacjentów, i miał rację.

- Ale po co?!

- Tylko on to wie. Ale mam nadzieję, że wkrótce poznamy prawdę. Na to trzeba czasu.
Spojrzała mu w oczy z nadzieją i rozpaczą.

- Quen, gdzie jest Jaye?! Nie mamy już czasu, musimy ją znaleźć...

- Obiecuję, że ją znajdziemy.

- Ale jak?! - podniosła nieco głos. - Jeśli Terry nie będzie chciał mówić, to nic z niego nie wyciągniecie. A może Jaye brakuje już jedzenia i wody?! Jeszcze parę dni... - Głos się jej załamał.

- Przeszukujemy wszystko, co się z nim wiąże. W końcu musimy trafić na ślad. -
Dotknął delikatnie jej ramienia. - Cieszę się, że przynajmniej dla ciebie się to skończyło. Że
jesteś bezpieczna.

- Nic się nie skończyło. - W jej oczach pojawiły się łzy. - I się nie skończy, dopóki nie
znajdziecie Jaye i Minnie! Wciąż się boję, choć sama nie wiem dlaczego!

Quentin przesunął dłoń w stronę jej szyi. Cóż miał jej odpowiedzieć? Obawiał się, że
Anna być może już na zawsze utraciła spokój ducha...

- Jakie masz teraz plany? - spytał, chcąc zmienić temat.

Wzruszyła ramionami.

- Spróbuję znaleźć nowe wydawnictwo. I agenta. - Zaśmiała się ponuro. - Jeśli uda mi
się jeszcze kiedykolwiek napisać coś dobrego.

- Tak mi przykro, że to z jego powodu.

- Nie twoja wina.

- Był moim przyjacielem.

- Nie twoja wina - powtórzyła i ścisnęła mocno jego dłoń. - Poradzisz sobie?

- Zawsze sobie radzę.

- Kłamca!

Przysunął się do niej i lekko ją pocałował.

- Nie słyszałaś, cher? Malone nigdy niczym się nie przejmuje. Kosi panienki jedną po
drugiej. Życie dla niego to jeden wielki ubaw.

- Nie, wcale taki nie jesteś.

Zauważył wyrzut w jej oczach i natychmiast poczuł się winny. I słaby. Wcale mu się
to nie spodobało. Znowu pocałował ją w policzek, a potem wstał i zaczął się ubierać.

- Niepotrzebnie pytałam?

- Nie o to chodzi.

- Nie?

- Po prostu muszę wracać do pracy. Wzywają mnie zbrodnia i kara.

- Wierzę w ciebie, Quen.

Nie spojrział na nią. Włożył przez głowę koszulkę polo i sięgnął po kaburę pistoletu.

- Tylko nie stawiaj na mnie forsy, bo możesz pożałować.

Usłyszał szelest pościeli, a potem tupot stóp na drewnianej podłodze. Anna już była przy nim. Objęła go z tyłu. Poczul, że zdążyła narzucić na siebie szlafrok.

- Wierzę w ciebie - powtórzyła. - Wcale nie jesteś taki, jak mówisz.

Poczul nagły gniew. Nie na nią, lecz na siebie. Chciał uciec stąd gdzie pieprz rośnie.

- Kobiety znają mnie głównie z moich wyczynów w łóżku. Miło mi, że też to doceniasz.

Nawet nie drgnęła.

- Muszę cię rozczarować, ale nie chodziło mi o twoje seksualne możliwości. W każdym razie nie tylko. Wierzę...

- Muszę już iść - przerwał jej.

Lecz ona jakby go nie słyszała. Mocno złapała Quena za rękę i nie puszczała, dopóki na nią nie spojrział.

- Masz tyle zalet. Jesteś mądry i szczerzy. I wierny. Potrafisz być zabawny i kochający...

- Mówisz tak, jakbym był czymś pieskiem - zaśmiał się. - Daj spokój.

Zachmurzyła się i puściła jego dłoń.

- O co chodzi? Co ja takiego powiedziałam?

Sięgnął po spodnie.

- Nie powinienem był przychodzić.

- Ale przyszedłeś. - Patrzyła na niego, przechyliwszy lekko głowę. Po jej minie widział, że zaczyna rozumieć. - Chciałeś coś zrobić, prawda? Coś mi powiedzieć?

Zapiął spodnie i wziął do ręki klamrę paska.

- Muszę już iść.

- Uciec. Przede mną czy przed prawdą?

- I kto to mówi? Przecież to ty przez całe życie uciekałaś!

Ten cios dosięgnął celu. Anna uniosła głowę i spojrzała na niego z urazą.

- O co ci chodzi? Czy chcesz mi powiedzieć: „Cześć, do zobaczenia jutro albo kiedy indziej“, tylko nie wiesz, jak to zrobić?

- Przecież było nam dobrze. Ty czułaś się bezpieczniej, ja mogłem zgrywać bohatera. Ale to już się skończyło. Nie ma sensu dłużej tego ciągnąć.

Spojrziała na niego tak, jakby ją spoliczkował.

- Masz rację. Zaraz dam ci kurtkę.

Wyszła do przedpokoju i podniosła ją z podłogi. Otrzepała i rzuciła w jego stronę.

- Dzięki za ochronę.

- Przecież nigdy nie mówiłem, że będzie trwała wiecznie.

- To prawda. I dlatego nie mogę mieć do ciebie pretensji. - Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. - No już, wynocha. Chcę być sama.

Quentin poczuł dziwną gorycz w ustach.

- Nie chciałem cię urazić, Anno.

- Ale doskonale ci się to udało. Odepchnąłeś mnie, bo stałam się zbyt bliska. Dostrzegłam za maską człowieka. Świetna robota, panie śledczy.

Cofnął się do przedpokoju. Anna ściągnęła szlafrok paskiem i wyszła za nim.

- Myślałam, że stać cię na szczerłość - rzuciła za nim. - Ale widocznie takim twardełom nie pasuje ona do maski.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Sobota, 3 lutego, godz. 14.00

Przedmieścia

Ben otworzył drzwi do swego gabinetu, wszedł do środka i podszedł do biurka. Jednym ruchem umieścił bukiet w koszu i usiadł ciężko na krześle. Chciał zrobić Annie miłą niespodziankę. Chciał uczcić schwytanie Terry'ego i koniec jej koszmaru. Chciał zaproponować, żeby zapomnieli o tym, co się zdarzyło, i zaczęli wszystko od początku.

Zarówno furтка, jak i drzwi do jej kamienicy były otwarte. Wszedł na korytarz i wtedy zobaczył ich razem. Annę i Malone'a. Stali w przedpokoju i nie troszczyli się o otwarte drzwi. Od razu stało się dla niego jasne, co robili.

Ben zamknął oczy i natychmiast zobaczył Annę w białym szlafroku na nagim ciele. Włosy miała potargane, a jej oczy błyszczały dziwnym blaskiem. Wyglądała jak kobieta, która przed chwilą się kochała. Jak zakochana kobieta.

To go dobiło. Ben jęknął i otworzył oczy. Czuł się jak głupiec. Jak ostatni idiota. Już wcześniej podejrzewał, że Anna czuje coś do Malone'a, ale starał się tym nie przejmować. Chciał wierzyć, że ma jeszcze u niej szanse.

Nie, on po prostu w to wierzył. Ludzki umysł osiągnął chyba szczyt, jeśli idzie o samooszukiwanie! Wmówił sobie, że Anna jest tą jedną jedyną, i w ogóle nie zauważał, co się z nią dzieje. Głupiec!

Zaczął oddychać przez nos, starając się stłumić narastający w nim gniew. Jednocześnie pragnął wyprzeć czający się gdzieś blisko ból głowy. Zrobiło mu się zimno. Potwornie zimno. Zadrzał, czując, jak gabinet zaczął nagle od niego odpływać, a kiedy sprzęty wróciły na swoje miejsca, poczuł dziwne mrowienie w rękach i na karku.

Rozejrzał się szybko dookoła. W pomieszczeniu nic się nie zmieniło. Wciąż siedział przy biurku. Zegar wskazywał pół do trzeciej. Tyle, że naprawdę zaczęła go boleć głowa. Wstał, chcąc wziąć lekarstwo i w tym momencie jakiś kawałek papieru pofrunął wprost na podłogę.

Pochylił się i podniósł go. Kartka była wypełniona dużym, dziecięcym pismem.

Kochany Benie!

Musisz pomóc. Bardzo Cię proszę. Przeczytaj nasz pamiętnik, a będziesz wiedział, co zrobić. Proszę, ja nie chcę umrzeć.

Ben przeczytał ten list trzy razy. Podniósł lewą dłoń do skroni, czując narastający ból.

Żadnego podpisu, ale wnosząc z kropek w kształcie serca nad „i“ oraz „j“, napisała go dziewczynka. Mogła mieć od dziesięciu do trzynastu lat, chociaż nigdy nie zajmował się grafologią i nie był w tej dziedzinie ekspertem. Ale kim jest to dziecko? I dlaczego zwróciło się do niego? Zmarszczył brwi i rozejrzał się uważnie dookoła. Nie zauważył niczego dziwnego. Jego biuro było zwykle zamknięte, więc jak ta mała zdołała się tu dostać?

Kiedy wpadł na rozwiązanie, włosy zjeżyły mu się na karku. Przypomniał sobie skradzione klucze. Wymienił wówczas zamki do mieszkania, ale nie do biura. Idiota. Włamano się do mieszkania, więc tylko je zabezpieczył. Zawsze widział jedynie koniec własnego nosa. Dupek!

Starał się nie zwracać uwagi na głos, który odzywał się w jego głowie. Miał teraz inny problem. Być może ten list pochodził od córki któregoś z pacjentów. Tego, który ukradł klucze. Ale to był przecież Terry Landry. Skoro trafił za kratki, nie stanowił już dla nikogo zagrożenia. Chyba że Terry Landry nie popełnił tych wszystkich zbrodni.

Ben poczuł mrowienie wokół kręgosłupa. Potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał wyrzucić z niej tę myśl, a potem skrzywił się z bólu. Przecież policja ma dowody. Śledczy Johnson mówił, że Terry się z tego nie wywinie.

Tak, ale wszystkie poszlaki dotyczyły jedynie Nancy Kent i nic nie wskazywało na to, że Landry terroryzował Annę lub porwał Jaye. Gra się jeszcze nie skończyła. Ben spojrzął na swoje ręce i ze zdziwieniem zauważył, że drżą. Anna wcale nie była bezpieczna. Ani on. W pierwszym odruchu chciał do niej zadzwonić i uprzedzić o tym. Pomyślał też o policji. Śledczy na pewno będą wiedzieli, co robić dalej.

I wszystko zacznie się od nowa. Znowu będą go nachodzić, wypytywać, żądać różnych rzeczy. Zaraz. Zasłonił oczy wierzchami dłoni. Być może to fałszywy alarm. Ktoś robi sobie głupie dowcipy. Po chwili musiał jednak przyznać, że sprawa jest poważna. Kto mógłby zrobić mu taki kawał? Tylko osoba doskonale znająca całą sprawę: któryś ze śledczych, sama Anna albo Bill i Dalton.

Znowu spojrzął na list. Dziewczęce pismo. Ma przeczytać jakiś pamiętnik i wtedy dowie się, co powinien robić. Pamiętnik. Ta dziewczynka musiała zostawić go gdzieś tu, w gabinecie. Zapewne w pobliżu listu, który jednak upadł na podłogę. Obok biurka, pomyślał. Oczywiście.

Nie znalazł go jednak na podłodze. Szuflady i szafki też były puste. Odnosił wrażenie, że dziewczynka chciała go z jakichś powodów ukryć.

Tylko dlaczego? - zastanawiał się, marszcząc brwi.

Musiał wczuć się w jej sposób myślenia. Gdzie takie dziecko mogło coś schować? Pod

biurkiem, przyszło mu nagle do głowy. Bezpośrednio pod biurkiem.

Ben uklęknął i zajrzał pod drewniany blat. Dostrzegł tam plastikową torbę przytwierdzoną taśmą klejącą. Trafiony! Sprytny dzieciak.

Odlepił torbę i usiadł na swoim miejscu. Mógł się założyć, że list leżał na jego krześle i po prostu go nie zauważył, kiedy przyszedł tu załamany. A kiedy wstał, kartka spadła na podłogę. Wziął głęboki oddech i wyjął zeszyt z torby. Spodziewał się czegoś elegantszego, w rodzaju ozdobnych pamiętników dorastających pańienek, ale miał przed sobą powycierany zeszyt, zapisany mniej więcej w trzech czwartych.

Ręce znowu zaczęły mu się trząść. Być może znajdzie tu odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania. Dowie się, kto jest prześladowcą Anny. I dlaczego ten potwór wybrał właśnie jego. Nareszcie.

Ben pochylił się nad zeszytem i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Niedziela, 4 lutego, godz. 2.00

- Minnie! - krzyknęła Jaye i podbiegła do drzwi. - Czy to ty?! Jesteś tam?!

- Ciszej, to ja - odpowiedziała dziewczynka. - Nic ci nie jest?

Jaye przycisnęła się mocniej do drzwi.

- Jestem strasznie głodna. Od jakiegoś czasu nie dawał mi nic do jedzenia.

- Wiem, przyniosłam ci coś. - Jaye usłyszała szelest sreberka z folii aluminiowej. - Mam czekoladę. Ukradłam, kiedy sobie poszedł.

Wsunęła ją dołem pod drzwiami. Tabliczka z trudem zmieściła się w małym otworze. Jaye niemal ją wyrwała. Zjadła szybko połowę, a następnie rozkoszowała się małymi kawałkami.

- O co mu chodzi? - spytała. - Czy chce mnie zagłodzić?

- Sama nie wiem, co robił. Nic nie słyszałam. Ostatnio uważa, żeby mnie nie wypuszczać.

- Ale teraz ci się udało!

- Tak, oszukałam go i uciekłam. - Zniżyła głos do drżącego szeptu. - Jestem coraz silniejsza, Jaye. Naprawdę. I coraz odważniejsza. Poznaje jego słabości. Nie pozwolę, żeby zrobił ci coś złego.

Oczy Jaye napędlły się łzami. Nagły strach sparaliżował jej ciało. Coś się zmieniło. Nie chodzi tylko o jedzenie, ale o coś więcej. Poczula, że wszystko zbliża się do końca. Zostało jej mało czasu.

- Obiecuj, Minnie... Obiecuj, że nie pozwolisz mnie zabić.

- Obiecuję, Jaye! Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził. - Dziewczynka zamilkła na kilkanaście sekund, a potem dodała nabrzmiałym z emocji głosem: - Kocham cię, Jaye. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Poniedziałek, 5 lutego

Dzielnica Francuska

Dwa dni po ostatnim spotkaniu z Quentinem, które okazało się definitywnym rozstaniem, Anna spotkała go przed swoją furtką. Gawędził sobie w najlepsze z Alphonsem Badeaux i karmił Pana Bingle'a czymś, co wyglądało na orzeszki pistacjowe. Jej serce zaczęło szybciej bić. Sterane, pełne nadziei serce. Bała się, że już nigdy nie zobaczy Quentina. I trochę się nawet z tego cieszyła, ponieważ to, co do niego czuła, napępniało ją lękiem. Za bardzo się od niego uzależniła. Za bardzo tęskniła, czekając na kolejne spotkanie.

Jednak w głębi duszy bardzo żałowała tego, co się stało. I to dokładnie z tych samych powodów.

Alphonse wstał, kiedy się do nich zbliżyła.

- Cześć, Anno. Właśnie bawiłem twojego znajomego rozmową.

Nie wątpiła w to. Alphonse słynął z gadulstwa.

- To była bardzo interesująca pogawędka. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy - potwierdził Quentin, podnosząc się z kucek.

- Dziękuję. - Alphonse aż się rozpromienił. - To dobrze, kiedy ma się zaprzyjaźnionego policjanta. Człowiek czuje się bezpieczniej...

Co miało znaczyć: „Uważaj, żeby go nie stracić!“. Za późno, pomyślała. A może jednak nie. Na szczęście, nie.

- Jasne, też tak myślę - rzuciła z uśmiechem. - No, bawcie się dobrze.

Pan Bingle zachował się tak, jakby doskonale rozumiał swego pana, bo podniósł się i potruchtał przed nim do mieszkania. A potem obejrzał się za siebie, kiedy znalazł się już na szczycie schodów. Alphonse chrząknął.

- Dostałaś w końcu te kwiaty?

- Jakie kwiaty? - Anna pokręciła głową, nie wiedząc, o co mu chodzi.

- No, od tego doktora - powiedział staruszek, czerwieniąc się trochę. - To było wtedy, kiedy spotkałaś się ostatnio z panem śledczym. - Spojrzał niepewnie na Malone'a.

Anna zmarszczyła czoło. Więc Ben był tu dwa dni temu? Czemu więc do niej nie zapukał? Czemu... Nagle coś sobie przypomniała i żal chwycił ją za gardło. Stali wtedy w otwartych drzwiach i robili to, co robili...

- Doktor Walker wybiegł wtedy od ciebie, jakby się czegoś przestraszył - ciągnął

Alphonse. - Nawet mi nie pomachał, chociaż zwykle to robi. Myślałem, że dał ci później te kwiaty. To był taki piękny bukiet!

Zażenowana Anna przestąpiła z nogi na nogę.

- Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Zaraz zadzwonię do niego.

Staruszek skinął głową i ruszył do swego mieszkania. Buldog szczeknął radośnie. Anna i Quentin patrzyli za nim, aż zniknął w kamienicy.

- Usiądziemy na chwilę? - Quentin wskazał na stojącą przed domem ławkę.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Jasne. Przecież wieczór jest taki ładny. Nareszcie się ociepliło.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że cała się trzęsie. Powiedziała sobie w duchu, że choćby nie wiem co, musi się twardo trzymać, i usiadła. Ławka wciąż była trochę nagrzana słońcem.

Quentin podsunął jej torbę z orzeszkami.

- Masz ochotę na pistacje?

- Dziękuję. - Zacerpnęła całą garść. - Bardzo je lubię.

- Tak myślałem.

Uniosła nieco głowę.

- Niby dlaczego?

- Zajrzałem kiedyś do twojego zamrażalnika. Były tam lody pistacjowe i pistacjowo karmelowe. - Kąciki jego ust uniosły się lekko. - Widzisz, jestem w końcu oficerem śledczym.

- A ja jestem pisarką. I miałam wrażenie, że napisaliśmy już zakończenie tej historii.

- Ale bardzo mi się nie spodobało. - Zamilkł i spojrzał w stronę zachodzącego słońca. Niebo na zachodzie lśniło ciepłymi kolorami, niczym paleta artysty. - Nie miałabyś ochoty dopisać nowego?

- To zależy. - Zerknęła na niego. - Musiałoby być w lepszym stylu i nastroju.

Spojrzał w bok, na nią, a potem znowu przed siebie. Twardy glina był wyraźnie speszony.

- Chciałem kiedyś być prawnikiem. Prokuratorem, najlepiej okręgowym - zaczął wreszcie.

- I co ci przeszkodziło?

- Po prostu znałem swoje ograniczenia. I znam je do dzisiaj.

- To znaczy?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Przestań, proszę.

- Co mam przestać?

- Ciągłe zadawać mi pytania! Czuję się jak na kanapce u psychiatry. Nie mam ochoty, żeby ktoś mnie bez przerwy analizował.

- Przepraszam, po prostu nie wiedziałam, jakie ograniczenia masz na myśli.

Rysy mu stężały.

- Moi przyjaciele mówili: Malone nie jest może zbyt bystry, ale za to jaki silny. Albo: Malone to niezły pistolet, ale tylko w pochwie.

Anna skrzywiła się z niesmakiem.

- Mając takich przyjaciół, wcale nie potrzebowałeś wrogów.

- Niestety, Anno, to prawda. Cały rozum poszedł mi w mięśnie. - Obrócił się do niej. - Z trudem przeszedłem przez szkołę średnią. Koledzy plotkowali, że spałem z nauczycielką od angielskiego, żeby mnie przepuściła.

- A spałeś?

- Do diabła, nie! Zlitowała się nade mną i tak długo męczyła, aż mi w końcu coś wtoczyła do głowy.

- Więc zostałeś policjantem. Wydawało ci się, że to łatwa robota?

- Właśnie. - Zacisnął dłoń. - Przecież wyrosłem w tym środowisku, no i ojciec chciał, żebym poszedł w jego ślady.

- I nigdy nikomu nie powiedziałaś, co naprawdę chciałbyś robić?

- Nie, nigdy.

Spojrzała na ciemniejące niebo.

- Sama nie wiem, co powiedzieć...

- Jeśli ktoś zna swoje ograniczenia, to nie znaczy, że tchórzy.

- Wcale nie powiedziałam, że stchórzyłeś. - Spojrzała na niego. - A ty tak uważasz?

- Lubię moją pracę. Jestem w niej niezły.

- Ale to cię powoli zaczyna nudzić. - W gasnącym świetle dostrzegła napięte rysy jego twarzy. Było w nich niespełnienie i skrywana złość. - Gniewasz się? Na mnie?

- Nie, na... - Wypuścił ze świstem powietrze. - Po prostu jestem, kim jestem, Anno. Już się nie zmienię. Praca w policji mnie nie nudzi, ale i specjalnie nie ciekawi... Nic już się nie da zrobić.

- Przecież nie jest jeszcze za późno.

- Jest. - Przeciągnął dłonią po włosach. - Mam już trzydzieści siedem lat.

- To niewiele.

- Jesteś bardziej uparta niż buldog Badeaux.

- I mam nadzieję, że ładniejsza.

- Jasne. - Chwył jej dłoń i złożył na niej solenny pocałunek. - Powiedz, Anno, co myślisz o policjantach? Czy mogłabyś się związać się z jednym z nich?

- To zależy od policjanta.

- Tak?

- Oczywiście. - Ścisnęła mocno jego dłoń. - Ale znam pewnego Irlandczyka, który bardzo mi się podoba. Gdyby tylko chciał uwierzyć w siebie i spróbować czegoś nowego...

- Anno!

- Musimy omówić wszystko, Quen. Nie chciałabym się zbudzić kiedyś obok pięćdziesięcioletniego faceta, który ma pretensje do życia.

Zamilkli. Sekundy mijały wolno. Słońce skryło się za horyzontem. Anna przytuliła się do Malone'a i pogładziła go delikatnie po policzku.

- Moim zdaniem między narwanym siedemnastolatkiem a trzydziestosiedmioletnim mężczyzną, który wie, czego chce, jest olbrzymia różnica. Przemyśl to sobie. - Pocałowała go. - Tylko o to proszę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Wtorek, 6 lutego, godz. 8.50

Anna pojawiła się przed domem Bena następnego dnia rano. Chciała go złapać, zanim zacznie przyjmować pacjentów. I zanim będzie za późno na przyjazne gesty.

Skrzydowała go. Nie musiała z nim rozmawiać, żeby to zrozumieć. Żaden mężczyzna nie wyszedłby z kwiatami od kobiety, chyba że miał ku temu poważne powody. Trapiły ją wyrzuty sumienia. To, co zobaczył, na pewno go nie uradowało.

Z ciężkim westchnieniem wysiadła z samochodu. Co prawda nie miała wobec Bena żadnych zobowiązań, ale martwiła się, jak to przyjął. Bardzo go lubiła. Raz go nawet pocałowała, i to z przyjemnością. A potem pojawił się Malone i przestała myśleć o kimkolwiek innym. Winna była jednak Benowi wyjaśnienie i przeprosiny. Bardzo chciała, żeby zostali przyjaciółmi, ale zależało to od tego, jak przyjął ten cios. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Weszła po schodach na ganek i ze zdziwieniem zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Ruszyła więc dalej, zadzwoniwszy wcześniej, żeby uprzedzić Bena o wizycie. Poczekalnia była pusta, natomiast drzwi do gabinetu uchylone. Wzięła głęboki oddech, zapukała i wsunęła się do środka.

Ben siedział przy zavalonym stosami książek biurku. Grube zasłony tamowały dopływ promieni słonecznych, więc było tu niemal ciemno. Jedyne światło pochodziło z zapalanej halogenowej lampki. Mieszało się ono z cieniami, tworząc nienaturalną scenerię.

- Ben?

Spojrzał na nią, a ona aż westchnęła na jego widok. Był blady i miał podkrążone, zapadnięte oczy. Chyba zachorował. Podeszła bliżej.

- Nic ci nie jest?

Ponieważ milczał, zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. Zobaczyła, że patrzy na nią szklistymi, przekrwionymi oczami, jakby miał gorączkę. Wyglądał tak, jakby od paru dni nie spał.

- O Boże, Ben, co się stało?!

Zamrugał parę razy, a potem zwilżył wargi.

- Wi... widziałem cię z Malone'em.

- Wiem. - Uciekła wzrokiem, ale potem zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. - Powiedział mi jeden z sąsiadów. Chciałam o tym porozmawiać.

- Kochasz go?

Dobre pytanie. Sama musi na nie odpowiedzieć.

- Jeszcze nie wiem, ale... no cóż, bardzo mi na nim zależy.

Uniósł głowę i nagły, spazmatyczny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

- Mam taką nadzieję - powiedział, przeszywając ją wzrokiem. - Mam nadzieję, że po prostu się z nim nie pieprzysz.

Wydała z siebie cichy okrzyk i mimowolnie cofnęła się w stronę wyjścia.

- Nie powinieneś używać takich...

- Nie mów mi, co powinienem! - Walnął pięścią w biurko z taką siłą, że podskoczyła lampka. - Tego dnia, kiedy cię widziałem, po prostu się z nim pieprzyłaś! Może gdybym był bardziej nachalny, to pieprzyłabyś się i ze mną!

- Przestań! - Uniosła dłoń do ust, zaszokowana takimi słowami w ustach Bena. - Przykro mi, jeśli cię skrzywdziłam. Nie chciałam. Nie chciałam też wiązać się z Quentinem. To się po prostu... stało. I to jest moje życie. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Żegnaj, Ben.

Obróciła się na pięcie, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce, ale kiedy już dotarła do drzwi, zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Ben bezwładnie opadł na biurko, w bolesnym geście kryjąc twarz w dłoniach. Dzieje się z nim coś złego, pomyślała. Jest chory, ma gorączkę. Inaczej nigdy nie powiedziałby tego, co przed chwilą. Poznała go na tyle dobrze, żeby to wiedzieć.

- Ben?

Uniósł głowę. Był zdruzgotany.

- Pra... prawie się w tobie zakochałem, Anno. Myślałem... że czujesz to samo.

- Przykro mi. - Wyciągnęła dłoń, jakby chciała się bronić. - Wcale tego nie planowałam. Po prostu nagle zauważyłam, że brakuje mi Malone'a.

- I to ma mi pomóc?

Dotknął czoła. Zauważyła drżenie jego dłoni. Podeszła do biurka i spojrzała na niego z troską.

- Kiepsko wyglądasz. Jesteś chory. I chyba masz gorączkę.

Spojrzał na nią nieprzytomnie, a ona wyciągnęła dłoń w jego stronę.

- Masz gorączkę - powtórzyła łagodnie. - Powinieneś się położyć i wziąć aspirynę. Mogę zadzwonić po lekarza.

Przez chwilę chciał nawet się zgodzić, ale zaraz potrzęsął głową.

- Nie, nie mogę. Mam... mam pacjenta.

- Ale jesteś chory. Sam potrzebujesz...

Nagle zadzwonił telefon. Ben wahał się przez moment, lecz wreszcie podniósł słuchawkę. Dzwonił któryś z jego pacjentów, pewnie dlatego odwrócił się do niej tyłem.

Spojrzała na biurko, gdyż nagle dotarło do niej, że zmienił się nie tylko wygląd Bena, ale również jego gabinetu. Poprzednio panował tu porządek, a teraz całe biurko było usłane książkami i medycznymi pismami. Zaczęła czytać tytuły. Większość dotyczyła schizofrenii i rozszczepienia osobowości, ale było też coś o jaźni subiektywnej i odzwierciedlonej. Niektóre miały powycierane rogi, inne były zupełnie nowe. Anna rozejrzała się dookoła. Nie tylko na biurku panował bałagan, ale cały gabinet wyglądał tak, jakby Ben pracował tu bez przerwy przez cały dzień. Mówił, że jakiś pacjent potrzebuje jego pomocy. Ciekawe, który? Komu zdecydował się pomóc mimo gorączki?

Anna podeszła bliżej. Na biurku leżał zeszyt. Wyciągnęła szyję, próbując przeczytać rząd niezgrabnych liter. Wyglądało to bardzo dziwnie. Zmarszczyła czoło. Niektóre litery sprawiały wrażenie pijanych, ale zaraz obok prostowały się w równym rzędku, jakby ktoś pisał w różnych warunkach albo... w różnym stanie ducha. Na marginesie znajdowały się rysunki. Niektóre ładne, inne zaś straszne. Nikt zdrowy nie mógł tego narysować. Więc o tym pacjencie mówił...

- Po prostu nie możesz się powstrzymać?

Spojrzała na niego zawstydzona. Ben skończył rozmowę i przyłapał ją na czytaniu jego papierów. Natychmiast poczerwieniała.

- Przepraszam. Chciałam tylko zerknąć, przecież jestem pisarką. Interesują mnie takie...

Ben zamknął zeszyt.

- Idź już, Anno.

- Przepraszam - powtórzyła, prostując się. - Może przynajmniej zadzwonię po dok...

- Wynoś się!

- Ben, proszę. Nie chcę się z tobą rozstawać w ten sposób. Może gdybyś odpoczął...

Rysy mu się wyostrzyły, a dziwne światło zabłysło w oczach.

- To co?! Nie byłbym wtedy tak wściekły?! Powiedziałbym ci, że możesz pieprzyć się z tym swoim gliniarzem nawet tu, na moim biurku?! Proszę bardzo, nie przeszkadzajcie sobie... Rzygać mi się chce na twój widok. Przyciskałaś się do niego i ocierałaś się o jego brzuch jak jakaś tania kurwa...

Zaczęła ciężko oddychać i cofać się do wyjścia.

- Dobrze, pójdę. Sam tego chciałeś. Myślałam, że zostaniemy przyjaciółmi...

Znowu zadrżał i zaczął sobie rozcierać ramiona, jakby mu było zimno.

- Nie odchodź, Anno. Przepraszam. Jestem taki zmęczony. Ten pacjent, to... to bardzo ciężki przypadek. Na pewno byś zrozumiała, gdybym mógł ci wszystko wyjaśnić. Muszę go wyleczyć, pracuję nad tym i... Proszę, nie...

- Lepiej zadzwoń po lekarza - powiedziała, sięgając po klawiskę. - Ja nie mogę ci pomóc. Żegnaj, Ben.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Wtorek, 6 lutego, godz. 9.15

Quentin czekał w pokoju wizyt w głównym więzieniu miejskim. Jego były partner chciał się z nim widzieć. Postanowił spotkać się z Terryem nie ze względu na ich dawną przyjaźń, ale na Annę. Miał nadzieję, że zdoła wyciągnąć z niego to, czego nie zdołali Johnson i inni.

Jaye Arcenaux zostało już mało czasu. Spojrzał na zegarek i znowu zaczął chodzić od ściany do ściany. W pomieszczeniu prawie nie było mebli, tylko przyśrubowane do podłogi stół i dwa krzesła. Drzwi wzmocniono stalowymi framugami. Jedyne źródło światła stanowiła jarzeniówka w stalowym kloszu, przymocowanym na stałe do sufitu. Niewielkie okno zrobiono z zamurowanych drzwi. Było tak wąskie, że nawet znakomity magik Houdini nie zdołałby się przez nie prześliznąć.

Malone zaczął wyłamywać sobie palce. Najchętniej już by zaczął. Świadomie poprosił o wyłączenie go z tej sprawy. Był zbyt zły na Terry'ego, żeby zachować obiektywizm. Co gorsza, ta złość wcale mu nie mijała, tylko stawała się coraz bardziej gwałtowna. Dosłownie wypalała mu wnętrze.

Usłyszał szcęknięcie klucza w zamku i obrócił się w tamtą stronę. W drzwiach stanął strażnik, a Terry wszedł za nim. Jego niegdyś tak śmiały, wręcz zuchwały kumpel wyglądał fatalnie. Był brudny i nieogolony. Ręce i nogi miał skute. Nie spojrzał na niego, tylko po prostu podszedł do jednego z krzeseł i usiadł.

- Jakby coś, to proszę krzyczeć, panie śledczy - rzucił strażnik od drzwi.

Quentin skinął głową i zajął wolne miejsce. Terry powoli podniósł głowę. Spojrzeli sobie w oczy. Przez chwilę milczeli: zdrajca i zdradzony, oskarżony i oskarżyciel. Malone odezwał się pierwszy:

- Kiepsko ci w pomarańczowym. - Chodziło mu o jego więzienny strój. - Fatalnie wyglądasz.

Kąciki ust Terry'ego lekko się uniosły. Wspomnienie po jego słynnym uśmiechu.

- Niestety, właśnie zabrakło im garniturów od Armaniego - mruknął.

Quentin zeszywniał. Chyba nie ściągnął go tutaj po to, żeby opowiadać dowcipy?

- O co ci chodzi, Terry?

Zmarszczył brwi i spojrzał w bok.

- Jak tam Penny?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Jego nieogolone policzki zabarwiły się na ceglasty kolor.

- Tak, cholera! Co u niej?

Malone pochylił się w jego stronę.

- A jak sądzisz? Jeszcze nie może dojść do siebie. Jest upokorzona i martwi się, jak to wszystko przyjmą dzieci.

- Brakuje mi ich. - Terry chrząknął, jakby coś nagle zatarasowało mu gardło. - Bardzo.

- A czy żałujesz tego, co zrobiłeś?

- Tak, ale z innych powodów, niż myślisz. - Terry położył ręce na stole, dzwoniąc kajdankami. - Dlaczego poszedłeś od razu do O'Shay? Czemu nie powiedziałeś mi najpierw?

- Musiałem. To był mój obowiązek.

Terry skrzywił się z goryczą.

- A nasza przyjaźń to nic?!

- Skończyła się wraz z twoimi kłamstwami - rzekł chłodno Malone.

- Mogłem wszystko wyjaśnić.

Quentin pokręcił głową.

- Przykro mi, ale dowody świadczą przeciwko tobie. Nie wykręciłbyś się sianem.

- Nic nie świadczy. Tylko... potrzebuję twojej pomocy, Quen.

Aż go zatkało ze złości. To takie typowe dla Terry'ego. Uważa, że wszyscy mają mu pomagać. Sądzi, że po tych wszystkich kłamstwach Quentin rzuci mu się na ratunek.

- Nie - odparł zjadliwie. - To Jaye Arcenaux potrzebuje mojej pomocy. I Minnie! - Pochylił się w jego stronę. - Powiedz mi, gdzie są, a zacznę się zastanawiać, czy ci pomóc.

- Ty też uwierzyłeś w te brednie? - Terry zaklął. - Może dlatego, że nie miałem okazji wytłumaczyć się... wyjaśnić...

- Daruj sobie. - Quentin skrzywił się z niesmakiem. - Już mnie na to nie nabierzesz. Lepiej mi pomóż, a wtedy zobaczę, co da się zrobić.

- Nie mogę. - Zacisnął pięści. - Nie wiem, gdzie są te dzieci. Nikogo nie porwałem ani nie zabiłem.

Quentin wstał gwałtownie ze swego miejsca.

- Wezwij mnie wtedy, kiedy będziesz gotowy, żeby powiedzieć prawdę.

- Nie zrobiłem tego. - Terry też się podniósł. - To cała prawda. Przysięgam!

Quentin podszedł do drzwi, a potem jeszcze spojrzął na byłego współpracownika.

- Więc cała sprawa bardzo szybko się wyjaśni. Analiza DNA wykaże, że jesteś niewinny. Wtedy pogadamy.

Terry zaczął się dławić, jakby chciał coś powiedzieć. Jednocześnie w jego oczach pojawiły się łzy.

- Nie wykaże - powiedział ochryłym głosem. - W tym cały problem.

Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie DNA - dodał jeszcze.

Quentin zamarł. Poczul nagle zimny dreszcz, który przebiegł mu po całym ciele.

- Może jednak to wyjaśnisz - rzucił nieswoim głosem.

Terry uniósł głowę. Twarz miał wykrzywioną grymasem, a oczy pełne bólu.

- Miałem romans z Nancy Kent. To... to trwało ładnych parę miesięcy. To ona dawała mi forszę. Po rozwodzie miała jej jak lodu. - Terry zaśmiał się głucho. - Tak naprawdę, to nie był żaden romans - dodał cierpko. - Chodziło nam tylko o seks. Na początku było nawet fajnie, ale potem... - Terry spojrzał gdzieś w bok. - Wtedy, u Shannona, chciała się na mnie odegrać, bo nie przyszedłem do niej poprzedniej nocy. Traktowała mnie jak trędowatego. - Landry skrzywił się jeszcze bardziej i zacisnął pięści. - Byłem na nią wściekły za to, że się ze mną drażniła. Za to, że upokorzyła mnie przed innymi. - Terry zamrugnął i jakby złagodniał. - Za dużo wypilem, a ona to wykorzystała. I stało się to, co się stało...

Quentin uniósł brwi.

- Chodzi ci o tamtą klótnię?

- Tak. - Terry zwilżył wargi. - Ale na tym się nie skończyło. Potem ją obserwowałem jak głodny pies, któremu pomachano przed nosem kością. Ona wiedziała o tym. Bardzo ją to podniecało. - Poprawił się na krześle, podzwaniając lekko kajdankami. - Nancy wyszła tylnym wejściem, a ja za nią. Zrobiliśmy to przy ścianie. Lubiła, żeby było trochę niebezpiecznie i inaczej.

Quentin pomyślał o Penny, a potem o dzieciach Terry'ego. Chciało mu się rzygać.

- I to wszystko? To już cała historia?

- Potem ktoś ją zabił. Wpadłem w panikę. Przecież publicznie się z nią pokłóciłem. Nie korzystałem z prezerwatywy, więc wiedziałem, że znajdą moje DNA, a poza tym może coś jeszcze. Dlatego postanowiłem milczeć. Do diabła, dobrze wiesz, co by się działo, gdybym choć o tym wspomniał.

Quentin przywołał się do porządku. Nie powinien się za bardzo angażować w tę sprawę. To wymaga zawodowego chłodu.

- Kto wiedział o twoim związku z Nancy Kent?

- Nikt. Musieliśmy bardzo uważać.

Quentin pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie dam się na to nabrać, przecież zawsze jest jakiś ktoś. Brat, siostra, kumpel, recepcjonistka z motelu, wścibski sąsiad, zdradzana żona... Sam wiesz, jak to pomaga w śledztwach. Poza tym dyskrecja nigdy nie była twoją najmocniejszą stroną. Dobrze pamiętam, jak wiele razy przechwalałeś się swoimi podbojami.

- Ale tym nie mogłem. - Kumpel rozłożył ręce. - To się zaczęło jeszcze w czasie jej małżeństwa. - W jego głosie pojawiły się nuty desperacji: - Gdyby ktoś to odkrył, Nancy nie zrobiłaby fortuny na rozwodzie.

- Więc nikt nic nie wiedział? Nawet Penny?

- Nie, na miłość boską, nie! Już wystarczająco ją skrzywdziłem. - Jego oczy zaszkliły się. - Wcale nie byłem z siebie dumny. Wręcz przeciwnie, zacząłem siebie za to nienawidzić.

Quentin zanotował to sobie w pamięci i przeszedł do kolejnego pytania:

- Gdzie poznałeś tę Kent?

- W jakimś klubie w Dzielnicy Francuskiej.

- W którym dokładnie?

- Chyba „Fritz the Cat“.

- Chyba? - Uniósł jedną brew. - Powinieneś pamiętać takie spotkanie.

- Byłem wtedy w paru klubach. Sporo piłem.

- Powtarzasz to jak katarynka. Mam już dość, Terror.

- Słowo honoru, że to prawda!

Quentin nie zwrócił na niego uwagi. Ileż to razy różni przestępcy przysięgali przed nim na honor, którego nie mieli.

- Byłeś wtedy sam? - bardziej stwierdził, niż spytał.

- Tak.

Quentin założył ręce na piersi, bo bał się, że za chwilę rzuci się na byłego kolegę. Robiło mu się niedobrze na widok Terry'ego. Miał już dość jego bezczelnych kłamstw.

- A co z doktorem Walkerem? Dlaczego nikomu nie powiedziałeś, że do niego chodzisz?

- Nie chciałem, żeby ktoś się o tym dowiedział. Nawet ty albo Penny. - Spojrzał mu szczerze w oczy. - Gdyby to się rozeszło po ludziach, zaczęto by mi wymyślać od świrów.

- Dlaczego jednak podałeś Walkerowi fałszywe nazwisko?

- Tak było bezpieczniej.

- A potem przerwałeś terapię. - Quentin strzelił palcami. - Ot, tak!

- Bo Penny mnie zostawiła. Stwierdziłem, że nie ma sensu tego ciągnąć.

- Masz odpowiedź na każde pytanie?

- To wszystko prawda!

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. - Quentin podszedł do niego. - Ile czasu zajęło ci wymyślenie tej historyjki, co?

- Mówiłem prawdę! Nikt nie znajdzie niczego, co łączyłoby mnie z dwiema pozostałymi kobietami czy z Anną North. Żadnego DNA.

- Zabójca nie zgwałcił Evelyn Parker - przypomniał mu.

- Ale Jessikę Jackson zgwałcił. - Terry wstał i zaczął niezgrabnie chodzić, ciągnąc przy tym łańcuch po podłodze. - Po co miałbym straszyć Annę North? Nawet jej nie znam.

- Właśnie tego chciałem się od ciebie dowiedzieć. - Spojrzał na Terry'ego z niekłamanym obrzydzeniem. - Twoja historia jest bardzo wygodna, ale dziurawa jak szwajcarski ser. Poszukaj sobie czegoś lepszego.

- Miałem nadzieję, że ty to zrobisz. - Wyciągnął w jego stronę ręce w kajdankach. - Jesteś świetnym gliniarzem. Popytaj, czy ktoś wcześniej nie widział mnie z Nancy.

- Po co miałbym tracić na to czas? Moim zdaniem łziesz jak z nut.

- Dlatego, że ci zależy na Annie North, a jako policjant wiesz, że jeśli nie ja zabiłem te kobiety, to morderca wciąż jest na wolności.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Wtorek, 6 lutego, godz. 23.30

Tej nocy porywacz przyniósł jej jedzenie. Jaye aż się zachłysnęła na widok prawdziwej uczy. Big Mac z podwójnymi frytkami, duże mleko czekoladowe... Obudził ją cudowny zapach. Jaye poczuła, że żołądek aż jej się skręcił, i natychmiast podążyła w stronę drzwi.

Usiadła na podłodze i od razu zaczęła wcinać, połykając wielkie kawały Big Maca. O mało się nie zadławiła. Jedząc frytki, pomyślała, że to może być jej ostatni posiłek. Podobnie jak skazany na śmierć dostała to, co najbardziej lubi.

Zjadła jednak wszystko, myśląc z niechęcią o tym, że czuje wdzięczność i że zapewne tego właśnie spodziewał się porywacz. Na końcu wypła mleko. Aż do dna, chociaż miała wrażenie, że za chwilę pęknie. I dopiero wtedy zauważyła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Głowę miała lekką, a świat zaczął nagle obracać się wokół niej. Jak wtedy, kiedy wypła aż trzy piwa ojczyma na jego łodzi.

Plastikowy kubek wysliznął się jej z ręki. Uderzył o podłogę i potoczył się pod drzwi. Jaye poczuła, że wszystko zaczyna wirować wokół niej w coraz większym tempie.

Usłyszała jeszcze głuchy śmiech zza drzwi.

- Mam nadzieję, że ci smakowało, Jaye.

To on! To jego głos! - pomyślała. Krzyknęła ze strachu. Próbowwała wstać, ale okazało się, że nie może. Mężczyzna znowu się zaśmiał.

- Pewnie byłeś potwornie głodna. Właśnie o to mi chodziło. - Zrobił przerwę. - Dzięki temu nie zwracałaś uwagi na to, co jesz.

O Boże, czyżby ją otrul? Jaye uklękła, a potem wstała, trzymając się futryny. Podłoga zachwiała się pod jej stopami. Dziewczyna zaczęła się pocić.

- Przyszedłem po raz ostatni.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Po chwili porywacz stanął w drzwiach. Na twarzy miał maskę Mardi Gras, w rodzaju tych, jakie lubili zakładać miejscowi jeźdźcy. Był ubrany na czarno. Jęknęła i przywarła mocniej do futryny.

- Przestraszyłem cię? Tak mnie sobie wyobrażałaś? - Wyczuła, że się uśmiecha. - Powiedz, Jaye, jak wygląda zło?

Minnie, gdzie jesteś? - pomyślała z rozpaczą. Jaye musiała mocno się trzymać, żeby nie upaść. Nogi miała jak z waty, dłonie zrobiły się śliskie od potu. Obiecałaś, że nie

pozwołisz zrobić mi nic złego! - krzyknęła w duchu.

Mężczyzna cofnął się, a następnie wrócił z wielkim kartonowym pudłem, jakich używa się podczas przeprowadzek. Bez problemu mógł do niego wsadzić jej ciało. Przerażona Jaye krzyknęła.

- Wiem, że tęskniłaś za Anną. - Zaczął otwierać pudło. - Nie przejmuj się, niedługo ją zobaczysz.

- Nie - szepnęła. - Nie!

Zbierając resztki sił, nagle runęła na niego całym ciałem. Złapał ją, śmiejąc się z jej wysiłków. Szarpała się i kopała, ale bardzo słabo. Mężczyzna trzymał ją długo przy piersi, aż w końcu zupełnie straciła siły. Wtedy ją puścił. Bezwładna Jaye patrzyła tylko, jak podłoga podskoczyła w jej stronę. Padając, uderzyła głową o linoleum.

Spojrzała w górę, ale przed oczami latały jej tylko ciemne plamy. Zaczęła się modlić, poruszając bezgłośnie ustami. Prosiła Boga, by miał w opiece Minnie i Annę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Środa, 7 lutego, godz. 10.00

Quentin nie mógł zapomnieć rozmowy z Terrym. Wciąż gryzło go to, co na koniec powiedział jego były współpracownik. Te słowa miały swoją wagę. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się bał. Jeśli mordercą nie jest Terry, to prześladowca Anny wciąż jest na wolności. I ciągle jej zagraża! Jeśli. Kto by przypuszczał, że to małe słówko może wyznaczać granice między życiem i śmiercią?

Quentin przekręcił się na krześle, odwracając plecami do kolegów. Zamknął oczy. To prawda, że Terry mógł go wpuścić w maliny, tylko po co? No cóż, bandyci często robili takie rzeczy. Ale jeśli mówił prawdę? Nie mogę ryzykować, pomyślał.

Odepchnął się od biurka i ruszył w stronę otwartych drzwi gabinetu kapitan O'Shay. Zapukał, a ciotka uniosła głowę znad papierów.

- Masz chwilę? - spytał.

Zaprosiła go gestem do środka, a on podszedł do jej biurka. Nie siadał, tylko od razu przeszedł do rzeczy:

- Mam wątpliwości, czy Terry to rzeczywiście nasz morderca.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała.

- Widziałem się z nim wczoraj na jego prośbę. Twierdzi, że miał romans z Nancy Kent i że tamtej nocy odbyli stosunek, ale jej nie zabił.

- Sprytne. Czy ma jakieś dowody?

- Żadnych, ale chce, żebym ja ich poszukał.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

- Musiałem to jakoś poukładać w głowie.

- I?

- Uznałem, że to kompletna bzdura. Przynajmniej na początku. Ale teraz... - Westchnął ciężko i podszedł do okna wychodzącego na pokój ogólny, a potem znowu odwrócił się do szefowej. - Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, ale jeśli Terry mówi prawdę, to morderca jest na wolności i cały czas zagraża Annie North.

Ciotka zmarszczyła brwi i potarła skronie.

- To nie spodoba się szefowi.

- Ale będzie jeszcze mniej zadowolony, kiedy pojawi się kolejna ofiara. - Quentin znowu podszedł do jej biurka i położył na nim dłonie, opierając na nich ciężar ciała. Spojrzał

prosto w oczy szefowej. - Spróbujmy działać po cichu. Postaram się sprawdzić, czy Terry mówił prawdę. Jeśli tak, będziemy dalej szukać.

Kapitan skinęła głową.

Malone zdecydował się zajrzeć najpierw do Penny Landry. Przyjęła go na ganku swojego domu przy Lakeview. Słońce grzało coraz mocniej, chociaż powietrze wciąż było chłodne. Penny wyglądała na zmęczoną i znerwicowaną. Quentin chętnie dałby jej choć cień nadziei, że ten koszmar wkrótce się skończy, ale nie mógł tego zrobić. Najpierw spytał ją, jak się czuje i jak się miewają dzieci, a potem przeszedł od razu do rzeczy.

- Penny, kiedyś mi powiedziałaś, że Terry miał znacznie więcej okazji, żeby cię zdradzać. Czy miałaś na myśli coś konkretnego?

Spojrzała na niego ze złością, niemile zaskoczona tym pytaniem.

- Sam wiesz, że wciąż łąził po knajpach, bo nieraz mu towarzyszyłeś. Uwielbiał zabawę. - Zaciśnęła wargi. - Taki już był, kiedy go poznałam. Nie wiedziałam, głupia, do czego to prowadzi.

Rozumiał jej gorycz. On też w pewnym sensie czuł się ofiarą Terry'ego. Jeśli naprawdę popełnił te zbrodnie. Jeśli. Znowu to słowo. Kiedy w końcu da mu spokój?

- Przepraszam. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Wiem, że nie powinnam była tego mówić, ale jestem zrozpaczona.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie masz za co przepraszać. Ja też czuję się zdradzony.

- Dzięki, Quen. - Przykryła ręką jego dłoń, a w jej oczach zalśniły łzy. - Zawsze cię lubiłam.

Uniosła głowę i spojrzała na nieskazitelnie błękitne niebo, a potem tęsknie na drogę.

- Myślę o tym, żeby wrócić do Lafayette. Mieszkają tam moi rodzice i siostry. Tak będzie lepiej ze względu na dzieci.

Quentin skinął głową.

- Dobry pomysł. Daj mi znać, jeśli bym mógł ci jakoś pomóc.

- Jasne. Będę potrzebowała kogoś do noszenia rzeczy - rzekła z uśmiechem.

- Załatwione. - Spojrzał na stojącą na ulicy terenówkę, a potem znowu na nią. - Penny, muszę cię o coś spytać i oczekuję szczerzej odpowiedzi. - Zrobił przerwę, żeby skupić na sobie jej uwagę. - Czy Terry miał romans?

Zaczerwieniła się i spojrzała w bok. Wahała się, ale tylko przez chwilę.

- Nie mam na to żadnych dowodów, ale... tak mi się wydaje. - Chrzęknęła nerwowo. - Przy tym wszystkim, co zrobił mnie i dzieciom, nie chciałam jeszcze znościć jego

niewierności.

- Rozmawiałaś z nim o tym?

Potrząsnęła głową.

- Głupio mi z tego powodu, ale chyba sama nie chciałam tego wiedzieć. Nie chciałam też wysłuchiwać kolejnych kłamstw... - Westchnęła ciężko. - Po prostu powiedziałam, żeby sobie poszedł.

Quentin zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- To niezwykle ważna sprawa - podjął. - Jak sądzisz, czy mogłabyś znaleźć jakiś dowód? Rachunek hotelowy albo telefoniczny? Coś w tym rodzaju.

Zmarszczyła czoło.

- Sama nie wiem. Może bym coś znalazła... Ale po co ci to, Quen?

- Po prostu bardzo tego potrzebuję. Zaufaj mi.

Skinęła głową i tak się rozstali. Parę minut później jechał już do gabinetu Bena Walkera. Miał nadzieję, że jeśli ktokolwiek wiedział coś o romansach Terry'ego, to właśnie jego psycholog. Już się jeżył, zastanawiając się, czy doktor zechce mu o tym powiedzieć.

Dotarł do niego tuż przed południem. Mimo tak późnej pory drzwi do poradni były zamknięte na głucho. Przeszedł na drugą stronę, do jego mieszkania, ale Ben nie odpowiadał na głośne pukanie i dzwonki. W końcu nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Quentin obejrzał się przez ramię, a potem wśliznął się do środka. Mieszkanie wyglądało na zdemolowane. Ktoś przewracał meble, pootwierał szuflady i powyrzucał na podłogę ich zawartość.

Quentin zmełł przekleństwo w ustach i sięgnął po broń. Ruszył dalej, czując, jak tłuczone szkło trzeszczy pod jego butami. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegły do niego dźwięki radia, nastawionego na program muzyczny. Spodziewał się, że zastanie doktora w domu. Martwego. Przeszedł więc do sypialni, znajdującej się na samym końcu części mieszkalnej. Ona też była zdemolowana, ale nie znalazł tam psychologa.

Radio z zegarem leżało rozbite na podłodze, ale wciąż grało. Quentin patrzył na to wszystko, starając się pozbierać myśli. Miał już niemal pewność, że Terry nie jest mordercą. To jakiś inny pacjent musiał poinformować Bena o Annie. Ktoś, kto niemal wypełnił swój plan, a teraz eliminował te osoby, które nie były mu już do niczego potrzebne. Na przykład Bena Walkera.

Pomyślał o Annie i serce zaczęło mu walić jak młotem. Czas uciekał. Zaczynało go gwałtownie brakować. Musi dostać się do papierów Walkera, jeśli ma uratować Annę i Jaye. Nie będzie czekał na nakaz rewizji!

Pospieszył do części dla pacjentów. Otworzył drzwi, stłukłszy uprzednio szybkę obok.

Wszedł do środka. Poczekalnia wyglądała na nienaruszoną. Poza tykaniem zegara panowała tu głucha cisza. W powietrzu unosił się dziwny, kwaśny zapach i było bardzo gorąco. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Wciąż z bronią w ręce, Malone przesunął się dalej. Miał przed sobą zamknięte drzwi. Otworzył je delikatnie i zajrzał do środka. Stał tu krąg utworzony ze składanych krzesel. Poza tym nic nie zwróciło jego uwagi. Łazienka i kuchenka też wyglądały normalnie.

Ostatnie drzwi były zamknięte. Gabinet Walkera. Nareszcie!

Otworzył drzwi potężnym kopniakiem. W nos uderzył go wstrętny i bardzo intensywny fetor. Nie był to trupi zapach, ale smród śmietnika lub kloaki. Malone zatkał nos. Na podłodze leżało wielkie, potłuczone lustro, na które ktoś się wypróżnił. Cała sprawa przedstawiała się coraz gorzej.

Schował pistolet i wciąż zakrywając nos, podszedł do drewnianych szafek. Były otwarte. Zaczął przeglądać ich zawartość, poszukując Adama Fursta. Natrafił na papiery Ricka Richardsona. Terry, pomyślał i schował je z tyłu pod kurtką za paskiem dzinsów. Pora zawiadomić kolegów. I Annę. Przecież musi ją ostrzec.

Zanim zdążył sięgnąć po telefon, ten sam się odezwał.

- Mamy coś, prawdopodobnie morderstwo - odezwał się oficer dyżurny. - Crestwood Nursing Home. Jeden ze świadków, Louise Walker.

Quentin poczuł, że krew ścięła mu się w żyłach.

- Już jadę - rzucił.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Środa, 7 lutego, godz. 12.30

Anna pojawiła się w domu objuczona warzywami z targu i trzydniowymi wiązkami kwiatów, które wyglądały jeszcze bardzo ładnie, ale nie nadawały się już do sprzedaży. Przywitała się z Alphonsem i Panem Bingle'em, krążącymi wokół wejścia do swojej kamienicy, a następnie z trudem otworzyła furtkę. Zauważyła, że ktoś znowu przystawił drzwi wejściowe cegłą, przez co były otwarte, i zmarszczyła brwi. Podejrzewała, że robią to dzieciaki spod czwórki, którym nie chce się ciągle otwierać i zamykać drzwi albo dzwonić domofonem do rodziców, chociaż żadnego jeszcze nie złapała na gorącym uczynku. Trzeba z nimi pogadać i uświadomić im, jakie stwarzają zagrożenie. A może powinna zwrócić się do ich rodziców albo pozwolić, by zajął się tym Dalton?

Myśl o Daltonie spowodowała, że mars na jej czole jeszcze się pogłębił. Był taki podekscytowany, kiedy wstąpiła po kwiaty. Cały czerwony i zdenerwowany.

Co jakiś czas patrzył na zegarek i zadał jej trzy razy to samo pytanie. A potem nalegał, żeby wzięła zupełnie świeże herbaciane róże. A przecież tak je lubił.

Coś niedobrego działo się z jej przyjacielem. Być może pokłócił się z Billem, pomyślała, wchodząc do budynku. To się już zdarzało.

Na klatce schodowej było zimno. Nic dziwnego, skoro drzwi były otwarte. Zadrzała i rażnym krokiem pokonała schody dzielące ją od mieszkania. Miała bardzo mało czasu. Musiała wstawić kwiaty do wody, rozpakować zakupy i coś zjeść, a potem lecieć do „Perfect Rose“, żeby zmienić Daltona. Otworzyła drzwi i zaczęła się uwijać. Przygotowała duży wazon na kwiaty, którym zrobiła kąpiel w wannie, a potem wzięła się za warzywa i owoce. Jabłka i pomidory włożyła do wielkiej wazy, żeby dojrzewały, a ogórki i paprykę chciała zanieść do lodówki.

Lecz gdy ją otworzyła, serce w niej zamarło, a po chwili głośno krzyknęła. Warzywa posypały się na terakotę. Przed nią stał talerzyk deserowy z serwetką w kształcie serca, na której ktoś ułożył pokrwawiony, ucięty palec. Mały palec.

Anna zakryła usta dłonią, zdziwiona tym, że krzyczy. Ręce jej się trzęsły, ale robiła wszystko, żeby nad sobą zapanować. Nie da się już przestraszyć. Nie da się nabrać na ten wstrętny kawał.

Zaciskając wargi, pochyliła się i poczuła nieprzyjemny odór od palca, jednocześnie słodki i kwaśny. Naturalny i chemiczny. Zatkała nos. Ciało obok paznokcia było sine, lakier,

którym go pomalowano, zaczął się łuszczyć. Serwetka była mokra i lepka. Prawdziwy, pomyślała. Ten palec jest prawdziwy. Koszmar jeszcze się nie skończył.

Anna odskoczyła od lodówki, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Zadzwoił telefon. Z bijącym sercem podbiegła w stronę słuchawki. Jeszcze chwila i włączy się automatyczna sekretarka. W jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko. Nie muszę go odbierać, powiedziała sobie. Telefon zadzwonił drugi i trzeci raz.

Powinnam zadzwonić po Malone'a.

Czwarty dzwonek. Chwyciła za słuchawkę.

- Tak, słucham?

- Harlow?

Nogi ugięły się pod nią. Lewą ręką złapała blat stołu, żeby utrzymać równowagę.

Kurt.

- Nie przywitasz się ze starym znajomym? - zaśmiał się mężczyzna.

Zamknęła oczy.

- Czego chcesz?

- Może odrobinę uznania... Bardzo się namęczyłem, żeby zdobyć dla ciebie taki prezent.

Podniosła drżącą rękę do ust. Dobry Boże, tamta kobieta...

- Zrobiłem to tylko dla ciebie. Dla ciebie zabiłem je wszystkie.

Starła się nie wpadać w histerię. Nie mogła poddać się strachowi, bo właśnie na to liczył jej prześladowca. Musi mu stawić czoło.

- Po co? Przecież chodziło ci tylko o mnie. Mogłeś przyjść i...

- I cię zabić? - podchwycił. - Oczywiście, ale potrzebowałem czegoś na zaostrenie apetytu. Żaden prawdziwy myśliwy nie lubi, jak mu zwierzyna sama wchodzi w sidła.

- Jesteś szalony!

Mlasnął parę razy językiem, jakby chciał ją skarcić.

- To nie był prawdziwy komplement, Harlow. Myślałem raczej, że będziesz podziwiał mój spryt. Tańczyliście tak, jak wam grałem. Ty, policja, Ben. Nawet moja Minnie.

Ben! Minnie! Co się z nimi dzieje?!

- Co zrobiłeś z Jaye?

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy zadasz to pytanie. Oczywiście jest ze mną. Domyśliłaś się tego, prawda?

- Czy... czy ona...?

- Czy żyje? - Zaśmiał się złowieszczo. - Tak. I zakładam, że chciałabyś, żeby tak

zostało.

- Słuszne założenie - rzekła chłodno.

Milczał przez chwilę. Kiedy znowu się odezwał, zrozumiała, że go rozzłościła i zaskoczyła. Nie spodziewał się, że nad sobą zapanuje, i wcale mu się to nie podobało.

- Mam nadzieję, że się czegoś nauczyłaś na błędach swoich rodziców, Harlow.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Nie udawaj. Wiesz doskonale. Jeśli zrobisz coś poza tym, co ci powiem, Jaye zginie.

Jasne? I pamiętaj, żadnej policji.

- Czego chcesz?

- Żebyś wypełniała polecenia. Bo inaczej kaplica, pamiętaj!

Anna aż się zachwiała pod wpływem strachu. Najchętniej by zemdląła, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Zaciśnęła tylko mocniej palce na słuchawce.

- Tak, jasne - zapanowała w końcu nad głosem. - Ale... ja nic nie mam. Żadnych pieniędzy ani kosztowności...

- Chcę ciebie, moja droga. Harlow Anastazja Grail za Jaye Arcenaux. Co ty na to?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Środa, 7 lutego, godz. 12.45

Anna odłożyła telefon, chwyciła torebkę i podbiegła do drzwi. Była gotowa do działania. Nawet jej do głowy nie przyszło, żeby zrobić coś wbrew woli Kurta, chociaż wiedziała, że będzie musiała zginąć. Chciała jednak, żeby żyła Jaye. Życie za życie. To była sensowna wymiana. To przecież jej koszmar, a nie Jaye. Zrobiła pełne koło.

Spojrzała na zegarek. Zostało jej mało czasu. Kurt dał jej tylko dwadzieścia minut na dotarcie do pierwszego punktu. Była to budka telefoniczna na stacji Shella, niedaleko autostrady I10 koło Metairie Road. Ostrzegł ją, że jeśli się spóźni, Jaye za to zapłaci. Najpierw palec, powiedział. Mały palec u prawej ręki. Kurt przygotował jej dziesięć punktów za dziesięć palców Jaye Arcenaux.

Anna obiecała sobie, że na pewno się nie spóźni.

Wyszła i wyjęła klucze z torebki, by zamknąć mieszkanie, a potem zaśmiała się histerycznie. Jaki to ma sens? I tak za parę godzin będzie jej wszystko jedno.

Wrzuciła klucze do torebki i pobiegła w dół. Na parterze omal nie wpadła na Billa. Przyjaciół złapał ją za ramię, żeby uchronić od upadku.

- Cześć, Anno. Gdzie się pali?

- Puść! - Wyrwała mu się. - Muszę lecieć.

- Zaczekaj. - Znowu ją złapał i spojrzał na nią z niepokojem. - Co się sta...?

- Przepraszam. Muszę się spieszyć. Jaye mnie potrzebuje! Zabije ją, jeśli nie zdążę!

Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Dzwonię po policję.

Tym razem to ona złapała go za rękę.

- Nie! Nie możesz! On ją zabije, jeśli to zrobisz. Obiecuj, że nie...

- Nie mogę.

- Nic mi nie będzie. Ratuję Jaye.

Wyglądał na przerażonego.

- Dobrze, Anno. Obiecuję, ale...

- Dzięki. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Pożegnaj ode mnie

Daltona.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Środa, 7 lutego, godz. 12.50

Quentin patrzył na twarz Louise Walker zastygłą w śmiertelnym grymasie. Sądząc z posinienia i stężenia pośmiertnego, została uduszona jakieś sześć do ośmiu godzin temu, czyli w środę wczesnym świtem. Dyżurna pielęgniarka niczego nie zauważyła aż do śniadania, bo pacjenci czasami spali dłużej, a personel im w tym nie przeszkadzał, natomiast później, kiedy już odkryto, że nie żyje, uznano, że była to naturalna śmierć podczas snu. Jednak krew i szczątki skóry pod jej paznokciami wskazywały na coś innego.

- Pewnie użył poduszki - powiedział Quentin. - Próbowwała się wyrwać. Sądząc z tego, co jej zostało pod paznokciami, morderca musi być niezłe podrapany. - Obrócił się do jednego z oficerów. - Dopilnuj, żeby ekipa techniczna zebrała wszystko, co może nas interesować. Chcę mieć wyniki jak najszybciej.

Quentin spojrział na dwie pielęgniarki, stojące tuż przy drzwiach, jakby chciały stąd uciec. Pierwsza miała dyżur w nocy, a druga odkryła ciało Louise Walker.

- Czy powiadomiłyście, panie, jej syna?

Pierwsza odezwała się pielęgniarka z dziennej zmiany:

- Próbowалам... Zostawiłam mu wiadomości na sekretarce w pracy i w domu.

Quentin skinął głową. Nie sądził, by te informacje dotarły do Bena. Nic o tym jednak nie powiedział. Ekipa techniczna właśnie badała mieszkanie doktora, próbując znaleźć tam coś ciekawego.

- Kto to mógł zrobić? I jak tu się dostał? - zaczęła biadolić siostra z nocnej zmiany. - Nigdy... nigdy nic takiego się tu nie zdarzyło. To była taka miła staruszka! Dlaczego ona?

No cóż, zabójca najwyraźniej po sobie sprząta, pomyślał Quentin. Starał się zatrzeć wszelkie ślady, a Louise Walker była jednym z nich.

- Właśnie to chcemy ustalić. Czy pani Walker miała wczoraj jakichś niespodziewanych gości?

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Nie.

- Czy w zakładzie pojawił się ktoś obcy? Ktoś, kogo pani nie znała?

Kobieta jeszcze raz zaprzeczyła.

- Nie, to była wyjątkowo spokojna noc.

- To znaczy, że w ogóle nie było u niej żadnych gości?

- Nie, nikogo. - Pielęgniarka zawahała się. - Oczywiście poza doktorem Walkerem.

Quentin poczuł mrowienie na karku.

- Doktor Walker tu był? O której godzinie?

- Późno, już po godzinach wizyt, ale go wpuściłam. Siedział parę godzin i wyszedł po zaśnieściu matki.

Znaczyło to, że Ben jako ostatni widział ją żywą. A to sukinsyn! Poczuł pulsowanie w skroniach. Jednocześnie przypomniał sobie zdjęcie Anny i Bena w „Café du Monde“.

- Jest pani pewna, że to był doktor Walker?

Pielęgniarka oblała się rumieńcem.

- No tak. Na pewno, chociaż... chociaż był jakiś dziwny. Tak jakby nie był sobą. Ale założyłam, że po prostu miał zły dzień.

Quentin zmarszczył czoło, zaskoczony tą odpowiedzią. Zadając pytanie, spodziewał się, że kobieta będzie twardo obstawać przy swoim. Wahala się, co znaczyło, że Adam Furst jest bardzo podobny do Bena Walkera albo że są tą samą osobą. Starał się poskładać wszystkie fragmenty zagadki, by wreszcie zaczęły do siebie pasować. Co powiedziała Louise Walker? Że Adam zawsze był zły. Nazwała go „diabłem wcielonym“.

- Mogę zobaczyć rejestr gości?

Jedna z kobiet wyszła po zeszyt, a Quentin w dalszym ciągu wypytywał drugą:

- Czy słyszała pani, jakoby Louise Walker miała jeszcze jednego syna?

- Nic o tym nie wiem. - Pielęgniarka pokręciła głową. - Na wszystkich zdjęciach, które widziałam, jest tylko ona z doktorem.

Druga z kobiet wróciła z dyżurki i podała mu otwarty na odpowiedniej stronie rejestr gości. Quentin spojrział na ostatni podpis Bena, a potem poszukał poprzedniego. Podpisy wyglądały inaczej. Do diabła, wreszcie znalazł!

Quentin natychmiast podszedł do jednego ze swoich podwładnych.

- Zadzwoń do kapitan O'Shay i poinformuj o wszystkim - zwrócił się do niego. - Będę potrzebował śledczych Johnsona i Waldena najszybciej, jak to tylko możliwe. Możecie mnie łączyć przez komórkę.

Policjant zmarszczył brwi.

- Gdzie teraz jedziesz?

- Do mieszkania Anny North. Mam wrażenie, że po pani Walker przyszła kolej na nią.

Sześć minut później Quentin zatrzymał się z piskiem opon przed kamienicą Anny. Dzwonił do niej bez przerwy, ale włączała się automatyczna sekretarka. Nie chciał nawet myśleć, co to może znaczyć. Gdyby zaczął spekulować, mógłby się załamać, A przecież teraz

chodziło o to, żeby działać jak najszybciej i najsprawniej.

Wyskoczył z wozu z bronią w dłoni i pospieszył w kierunku furgonki.

- Panie Malone!

Quentin odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Alphonse Badeaux spieszył do niego, wymachując szaleńczo rękami. Tuż obok, równie niezdarnie, biegł Pan Bingle.

Quentin schował pistolet i pomachał obu.

- Przepraszam, nie mam czasu.

- Chodzi o A... Annę. - Alphonse z trudem łapał powietrze. - Te... ten człowiek był tu dzisiaj rano. - Mężczyzna zwiesił głowę. - Powiniennem jej być powiedzieć. Ostrzec ją...

- Jaki człowiek? Kto tutaj był?

Alphonse wziął głęboki oddech.

- Ten, co wygląda jak doktor Walker.

Quentin spojrzał na niego ostro.

- Co to znaczy: „wygląda jak doktor Walker“? - spytał.

- On był tu już wcześniej. Na początku myślałem, że to doktor, ale dzisiaj mu się lepiej przyjrzałem. Wszedł do środka, więc czekałem, żeby z nim pogadać. Powiedzieć, że Anna wyszła na targ po zakupy. - Alphonse wziął głębszy oddech. - Spotkałem go tu, na schodach. Wystarczyło, że na mnie spojrzał, a od razu zrobiło mi się zimno. Aż do szpiku kości. Wie pan, o co mi chodzi?

Quentin z trudem przełknął ślinę. Tak, wiedział. Nie chciałby, żeby Anna trafiła w jego łapy. Quentin spojrzał w stronę mieszkania Anny, a potem znowu na staruszka.

- I co jeszcze?

- No, ten człowiek miał rozorane całe ręce, jakby go ktoś...

- Mocno podrapał?

Alphonse przytaknął żarliwie.

- Tak. I w ogóle był jakiś dziwny. Oczy miał zupełnie bez wyrazu...

- Ale jest pan pewny, że to nie był Ben Walker?

Staruszek zachmurzył się i ściągnął brwi.

- Trudno powiedzieć, chociaż... to nie mógł być doktor. Bingle bardzo go przecież lubił, a do tego nie chciał nawet podejść. Tylko warczał i wciąż się cofał. Nawet nie próbował atakować. Jakby miał do czynienia z diabłem czy sam nie wiem, z czym.

Quentin poradził Alphonse'owi, żeby wrócił do domu i nie wychodził, sam natomiast pospieszenie wszedł do budynku Anny. Ponownie wyciągnął broń, będąc przygotowanym na wszelkie ewentualności. Zamarł, kiedy zobaczył, że drzwi do mieszkania są uchylone.

- Anno! - krzyknął, popychając drzwi lufą. - Jesteś tu, Anno?

Usłyszał jakieś stłumione hałasy w kuchni i podskoczył w tamtym kierunku.

- Wychodź z rękami do góry - krzyknął. - Szybciej, już!

W drzwiach kuchennych ukazali się Dalton i Bill z rękami uniesionymi wysoko nad głową.

- Niech pan nie strzela! - krzyknęli jednocześnie. - To my!

- Gdzie jest Anna?

- Próbowaliśmy dzwonić...

- Powiedzieli, że pana nie ma. Nie wiedzieliśmy, co robić.

- Widziałem się z nią dzisiaj rano, ale byłem trochę nie w humorze. Pokłóciliśmy się z Billem... A potem jej już nie było. Bill próbował ją zatrzymać, ale mu się nie udało.

- Tak, pojechała - potwierdził Bill.

- Pojechała - powtórzył Malone. - Gdzie pojechała?! No, gdzie?!

- Nie mam pojęcia - jęknął Bill żałośnie. - Powtarzała tylko, że Jaye jej potrzebuje. Że on ją zabije. Musiałem jej obiecać, że nie zadzwonię na policję.

- Ale zadzwonił - wtrącił Dalton. - Ja go przekonałem. Za późno... Niestety, za późno!

- Nie zamknęła mieszkania. - Bill był najwyraźniej wstrząśnięty tym faktem. - Nie powinniśmy byli wchodzić, ale...

- Ale chcieliśmy coś zrobić - podjął Dalton. - Musimy panu coś pokazać. W lodówce był drugi palec, ale... ale ten wygląda na prawdziwy. Rzeczywiście!

Quentin przyglądał się ludzkiemu szczątkowi, czując, że zaschło mu w ustach, a serce bije coraz szybciej. Palec należał do kobiety, zapewne Jessiki Jackson. Zaczął się już rozkładać.

Quentin na moment zakrył oczy wierzchem dłoni. Bill twierdził, że Anna była bardzo zdenerwowana. Miała robić dokładnie to, co nakazywał morderca, w przeciwnym wypadku groził zabiciem Jaye. Drań wykorzystał dziewczynę jako przynętę, chcąc zwabić Annę w pułapkę. Musiał wiedzieć, że Anna zrobi wszystko, żeby ocalić Jaye. Prowadził z nią swoją grę.

Quentin opuścił ręce w poczuciu bezsilności. Co dalej? Nie ma przecież pojęcia, jak znaleźć Annę. Rozmawiał już z kapitanem O'Shay. Ekipa techniczna zbierała ślady w domu i gabinecie Walkera, a potem miała pojechać do szpitala. Zadzwonił, żeby sprawdzić, spod jakiego numeru telefonowano do Anny po raz ostatni. To było wszystko. Mógł tylko czekać.

Zacisnął dłonie. Nie będzie tu tkwił bezczynnie. Anna z każdą chwilą przybliżała się do tego psychopaty. Zadzwonił telefon. Quentin natychmiast go odebrał. To był Johnson.

- Masz coś? - spytał.

- Telefon zarejestrowany na niejakiego Adama Fursta.

- Adres?

Gdy Johnson go podał, Quentin tylko westchnął. Mieszkanie w Madisonville, które widzieli razem z Anną.

- Nie musicie go sprawdzać - mruknął Quentin. - Furst już dawno się stamtąd wyprowadził.

- Znalazłem coś jeszcze. Rozmawiałem z policją z Atlanty. W zeszłym roku mieli tam dwa morderstwa. Kobiety zgwałcono, a potem uduszono. Nie udało się znaleźć sprawcy, czy raczej sprawców, bo szukali dwóch różnych osób.

- Czy obie ofiary były rude?

- Właśnie. A zgadnij, kto w tym czasie mieszkał w Atlancie?

- Doktor Benjamin Walker.

- Trafiony!

Quentin zmarszczył brwi. Z kim mają do czynienia? Z jedną osobą czy z bliźniakami?

- Posłuchaj, mógłbyś jeszcze coś sprawdzić? Chodzi o zdjęcie Walkera z Anną North. Czy ktoś mógłby je zbadać?

- Jasne. Ale o co ci chodzi?

- Przecież Walker sam nie mógł go zrobić. Może to jest ktoś bardzo do niego podobny...

- Myślisz o sobowtórze?

- Tak, warto to sprawdzić.

- Zaraz zajmę się tym zdjęciem. Kapitan O'Shay chciałaby zamienić z tobą jeszcze parę słów.

Po chwili usłyszał pełen podniecenia głos ciotki:

- Miałaś przed chwilą telefon. Jakaś płacząca dziewczynka. Powiedziała, że „on“ chce skrzywdzić Jaye i Annę i że musisz pomóc. Bardzo nalegała, żebym wszystko ci przekazała.

Quentin zacisnął palce na słuchawce, czując dławienie w gardle.

- Powiedziała, jak się nazywa?

- Podała tylko imię. Minnie.

- Skąd dzwoniła?

- Z warsztatu koło przystani z jachtami. Więcej nie umiała powiedzieć, ale na szczęście podała nam numer telefonu budki, z której dzwoniła. Ta mała jest w Manchac, Quen.

- W Manchac? Tej małej wiosce rybackiej koło Hammond?

- Tak.

Spojrzał na zegarek, próbując zgadnąć, kiedy Anna tam dotrze. Zmełł w ustach przekleństwo i ruszył do drzwi.

- Wiesz może, ile wynosi rekord prędkości na drodze między Nowym Orleanem a Manchac?

- Nie, ale musisz go pobić!

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Środa, 7 lutego, godz. 15.15

Po kolejnych przystankach i kolejnych instrukcjach od Kurta Anna dotarła w końcu do ostatniego miejsca. Była to mała osada rybacka Manchac, położona około godziny drogi na północ od Nowego Orleanu. Tuż obok znajdowało się otoczone mokradłami jezioro Maurepas. W okolicy było parę myśliwskich i rybackich obozowisk.

Zgodnie ze wskazówkami zaparkowała samochód na końcu nieoznakowanej polnej drogi, jakieś półtora kilometra za ostatnimi przybytkami cywilizacji, czyli warsztatem Smileya i przystanią jachtową. Zostawiła kluczyki w wozie i ruszyła dalej pieszo, wypełniając co do joty żądania porywacza.

Przed nią, poprzez gęstą zasłonę cyprysów i dębów, prześwitywał jakiś budynek. Poczula dreszcz niepewności. To już tutaj. Koniec jej drogi. Po dwudziestu trzech latach stanie twarzą w twarz z przeszłością.

Obejrzała się za siebie, ale samochód zniknął gdzieś za zakrętem. Wypuściła wolno powietrze, przerażona po raz pierwszy od momentu, kiedy pożegnała się z Billem. Obiecała sobie w duchu, że nie pokaże po sobie, co się z nią dzieje. Kurt chce, żeby się bała.

Chce, żeby zaczęła prosić o litość, a ona przyjechała tu tylko po to, żeby ratować Jaye, nie zaś siebie.

Rozejrzała się dookoła. Droga wznosiła się nad mokradłem i stanowiła jedyne połączenie z domem, chyba że ktoś skorzystałby z łódki. Woda na mokradłach nie musiała być głęboka, ale Anna podejrzewała, że roi się w niej od węży, aligatorów i innego paskudztwa.

Zadrzała i potarła ramiona. Czy rzeczywiście dobrze robi? Kurt chciał, żeby znalazła się na drodze bez wyjścia. Stąd taki, a nie inny wybór miejsca. Obiecał co prawda, że wypuści Jaye, ale nie miała żadnej gwarancji, że zechce dotrzymać słowa.

W tym momencie zrozumiała wahania i niepewność rodziców. Wprawdzie wówczas chodziło o pieniądze, ale nie mieli pewności, czy po zapłaceniu okupu córka wróci cała i zdrowa do domu. Być może ona też powinna skontaktować się wcześniej z policją? Kiedy ten dylemat dotarł do niej z całą oczywistością, poczuła, że nagle zagoiła się jedna z jej starych ran. Przecież tak naprawdę zawsze się zastanawiała, dlaczego rodzice nie dali Kurtowi tych przeklętych pieniędzy.

Anna potrząsnęła głową. Musi spróbować czegoś innego. Przecież to właśnie z

powodu policji zginął Timmy, a ona straciła palec. Nie wątpiła, że gdyby nie zastosowała się do poleceń, Kurt po kolei uciąłby palce Jaye, a potem zabił ją z zimną krwią. Ta droga dawała jej „młodszej siostrze“ przynajmniej jakąś szansę na przeżycie. Musi przejść ją do końca.

Z bijącym sercem przemierzyła podjazd, czując chrzęst muszelek pod stopami, słysząc bzyczenie owadów i krzyk wodnego ptactwa. Budynek wyrósł przed nią zupełnie niespodziewanie. Był to prosty, drewniany domek, jak w wielu podobnych obozowiskach myśliwskorybackich w tej części Luizjany, ze skleconym naprędce gankiem i siatkami w oknach, które chroniły przed owadami.

Anna wzięła głęboki oddech i weszła po rozchwianych schodach. Podeszła do drzwi, które wystarczyło tylko pchnąć, żeby się otworzyły. W pustym pokoju znajdowało się jedynie duże, kartonowe pudło. Pudło w kształcie trumny. Boże, tylko nie to, pomyślała. Zasłoniła sobie usta, żeby nie krzyknąć ze strachu. Zrobiła jeden krok w jego kierunku, a potem następny.

Wyciągnęła rękę i modląc się, zaczęła je otwierać. Po chwili mogła już zajrzeć do środka. Tym razem nie mogła już powstrzymać okrzyku. W środku znajdowała się zakneblowana i związana Jaye.

- Jaye - szepnęła.

Dziewczyna nawet nie drgnęła. Anna pochyliła się, żeby jej dotknąć. Skóra Jaye była ciepła i miękka, a jej pierś unosiła się w płytkim oddechu.

Żyje, Bogu dzięki!

Śpiąca poruszyła się i jednocześnie wydała stłumiony przez knebel odgłos.

- Jaye! - krzyknęła Anna, potrząsając jej bezwładnym ciałem. - Jaye, obudź się! Jak najprędzej musimy stąd uciekać!

Przyjaciółka otworzyła oczy. Przez moment patrzyła na Annę z przerażeniem, ale potem jej oczy napełniły się łzami.

Anna uśmiechnęła się do niej, czując, jak łzy ciekną jej po policzkach.

- Przyszłam, żeby cię uwolnić - powiedziała ochrypłym głosem. - Chodź.

Wyswobodziła dziewczynę z pudła i rozwiązała jej ręce oraz nogi. Jaye sama wyrwała knebel i szlochając, padła jej w ramiona.

- Myślałam, że cię już nie zobaczę - wychlipała. - To było straszne. Tak się bałam.

- Wiem, kochanie. - Anna przytuliła ją jeszcze mocniej. Gładziła „młodszą siostrę“ po włosach, chcąc się upewnić, że nic jej nie jest. - Tak bardzo się o ciebie martwiłam. Wiedziałam, że nigdzie nie uciekłaś. Wiedziałam...

- Czy policja już tu jest? Czy powiedziałaś im...?

- Nie, jestem sama.

Oczy Jaye rozszerzyły się ze strachu.

- Ale złapali go, prawda? Powiedz, że go mają!

- Nie. - Anna ścisnęła mocno jej dłoń. - Powiedział, że cię zabije, jeśli tu nie przyjdę. Albo jeśli zawiadomię policję.

- Nie?! - jęknęła Jaye. - Więc on nie pozwoli nam uciec! On cię nienawidzi, Anno. Nie wiem dlaczego, ale...

- Ja wiem. Ten człowiek porwał mnie dwadzieścia trzy lata temu. Chce skończyć to, co zaczął. - Wciągnęła ze świstem powietrze. - Tak mi przykro, że zostałam w to zamieszana. Ale obiecuję, że nic ci się nie stanie.

Anna pociągnęła Jaye za rękę.

- Mój samochód jest jakieś dwa kilometry stąd, niedaleko stacji obsługi. Jakoś nam się uda, Jaye. Na pewno się uda.

- Nie, nie pójdę bez Minnie.

- A gdzie ona jest?

- Nie wiem. Nie rozmawiałam z nią, od kiedy wsadził mnie do tego pudła...

- Poszukajmy. Na pewno ją znajdziemy, jeśli jest gdzieś tutaj.

Niestety nie znalazły nikogo. W domku były jeszcze dwa pokoje, ale oba puste. Jaye zaczęła płakać.

- Co on z nią zrobił? Gdzie się podziała? Nigdzie się bez niej nie ruszę!

Zza domu dobiegły dźwięki motorówki. Anna złapała Jaye i przyciągnęła do siebie.

- Na pewno nic jej nie zrobił - powiedziała z naciskiem, patrząc jej w oczy. - Chodziło mu o mnie. Potrzebował ciebie i Minnie, żeby się do mnie dostać. Minnie była z nim tak długo, że pewnie ją gdzieś teraz schował. Tylko policja może ją znaleźć. Musimy sprowadzić tu policję, Jaye. - Ścisnęła ją mocniej, słysząc coraz bliższy warkot motoru. - Musimy uciekać! Inaczej wcale jej nie pomożemy!

Nagle zapanowała cisza, a potem usłyszały odgłosy kroków na pomoście. Anna złapała dziewczynę za rękę i wybiegły na zewnątrz.

Jaye z trudem za nią nadążała. Kiedy stanęły na ziemi, zachwiała się i Anna musiała ją podtrzymać. Ostry, dziecięcy okrzyk przeszył ciszę.

- Minnie?! Minnie! - jęknęła rozpaczliwie Jaye i szarpnęła się w stronę domku.

- Uciekaj, Jaye! - krzyknęła dziewczynka. - Nie zatrzymuj się. Wezwałam policję!

Minnie nagle zamilkła, jakby ktoś ją uciszył, lecz Jaye jak urzeczona podążała w stronę schodów. Anna złapała ją za ramię.

- Jaye, nie możesz...

- Nie zostawię jej. - Przyjaciółka wyrwała się jej. - Nie mogę!

Zaczęła biec w stronę domu, ale była tak słaba, że Anna dogoniła ją bez najmniejszych problemów.

- Ja tam wrócę. Ty biegnij na drogę.

- Obiecałam, że jej nie zostawię. - Łzy leciały jej ciurkiem. - Przysięgałyśmy sobie, że nigdy nie pozwolimy...

- Ja pójdę. Nic jej nie zrobi. - Anna potrząsnęła dziewczyną. - Nie będzie cię ścigał, bo chodzi mu o mnie, a ty będziesz mogła sprowadzić policję.

Jaye wahała się przez chwilę, a potem skinęła głową. Wtedy Anna uściskała ją i żarliwie ucałowała w policzek.

- Kocham cię, Jaye. Obiecuj, że będziesz na siebie uważać.

Dziewczyna skinęła głową, łykając łzy.

- Dobrze, ale ty też.. obiecuj.

Anna wypuściła ją z objęć.

- Idź już, mamy mało czasu. - Popchnęła ją lekko. - Sprowadź policję.

Rozdzieliły się. Anna spojrzała jeszcze przez ramię, a następnie ruszyła w stronę domu. Wciąż powtarzała w myśli tę samą modlitwę. Żeby tylko Jaye się udało. Żeby Minnie wyszła z tego cało. Żeby znalazła siłę, by stawić czoło temu, co ją czeka. Dawno się tak nie bała.

Z bijącym sercem wspięła się na schody, czując, że najchętniej by stąd uciekła. Nie mogła jednak tego zrobić. Nie mogła zostawić Minnie samej. Obiecała i miała zamiar dotrzymać słowa. Wiedziała przecież, co to znaczy być na łasce szaleńca.

Pchnęła drzwi i ostrożnie weszła do środka. Pokój był pusty. Przeszła parę kroków, i wtedy usłyszała skrzypnięcie zamykających się drzwi.

- Witaj, Harlow. Zbierz się w sobie. Właśnie zaczął się twój koszmar.

Obróciła się błyskawicznie i aż krzyknęła ze zdziwienia. Spodziewała się, że zobaczy Kurta. Zamiast tego stanęła twarzą w twarz z Benem. A on celował do niej z pistoletu.

Potrząsnęła głową. To niemożliwe! To nie może być Ben! Miły, zabawny Ben, którego znała.

Mężczyzna uniósł pistolet nieco wyżej.

- Po twojej minie widzę, że spodziewałaś się kogoś innego. Może Kurta?

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale nie mogła z siebie wydobyć głosu.

- Chyba powinienem ci się przedstawić - rzucił, uśmiechając się do niej obrzydliwie. -

Adam Furst, do usług.

Anna starała się zapanować nad swoim strachem i zaskoczeniem. Ucisk w gardle zelżał, ale głos jej drżał, kiedy wypowiedziała pierwsze słowa:

- Więc... więc to byłeś ty, Ben?

- Ben? Ten pokurcz!? To... to zero?! - Skrzywił się z niesmakiem. - „Och, Anno, tak cię kocham“ - zaczął go przedrzeźniać. - „Nie mów, że wszystko między nami skończone“. Chce mi się rzygać!

Anna zwilżyła wargi i spojrzała na pistolet, a potem znowu na Adama. Tak, teraz dostrzegła różnice. Adam miał ostrzejsze rysy i zimne spojrzenie, miał też nieco inne ruchy i wprost emanował agresją.

- Je... jesteś bliźniakiem Bena? - zadała kolejne pytanie.

Adam okropnie wykrzywił twarz w dzikiej furii.

- Ty głupia suko, nigdy tak nie mów! Nie mam nic wspólnego z Benem! Wcale nie jest do mnie podobny! Wcale!

Anna cofnęła się trochę.

- Gdzie jest Minnie? Co z nią zrobiłeś?

Tym razem Adam uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem.

- Mam z nią masę kłopotów, ale czasami potrafi być użyteczna. Podobały ci się jej listy?

- Zmusiłeś ją, żeby je napisała?

- Tak.

- I to ty wysłałeś informacje do rodziny i znajomych. A potem porwałeś Jaye - mówiła coraz pewniej, ale nagle urwała. - I... i to ty zabiłeś te wszystkie kobiety...

- Tak, tak i jeszcze wiele razy tak. To było bardzo sprytne, prawda?

Aż nadał się z dumy.

- Sprytne? Raczej chore. - Zaciśnęła dłonie w pięści. - Jesteś żalosnym psychopata.

Znowu pobladł i wykrzywił się z wściekłości, ukazując zęby. Musiała go trafić w czuły punkt. Przerazona, cofnęła się jeszcze dwa kroki.

- Ten skurwysyn też tak mówił. Zabiłem go! Zabiłem!

- Więc mnie też zabij - powiedziała, starając się ukryć strach. - Niech to się skończy.

Zaśmiał się głucho.

- Szybka śmierć? Co to, to nie, Harlow. Zasłużyłaś na coś więcej.

- Chcesz, żebym się bała? Żebym cierpiała?

- Właśnie. - Wbił w nią pełne nienawiści oczy. - Nie umrzesz tak po prostu, bo to

będzie trwało i trwało, aż wreszcie pożałujesz, że kiedykolwiek się urodziłaś. Tak jak ja tego żałowałem.

Drzwi tuż za nim lekko się uchyliły. Policja. Jaye sprowadziła ratunek. Anna pilnowała się, żeby nie patrzeć w tamtym kierunku. Nie chciała zdradzić, że coś się tu dzieje.

- Ale dlaczego? - spytała, znowu się cofając. - Dlaczego tak mnie nienawidzisz? Co ci zrobiłam?

- Suka! Zdrajczyń! - wyrzucił z siebie. - Nie masz pojęcia, co to znaczy cierpieć. Nie wiesz, co to prawdziwy strach, kiedy czekasz na niego, leżąc w ciemności. Bo on zawsze przychodzi. Tylko po co? Czasami chce ci jedynie zadać ból. Czasami chodzi mu o seks. A czasami chce usłyszeć, jak skamlesz o litość. To taka gra, rozumiesz? Nasz ból i upokorzenie to dla niego przyjemność. Im bardziej cierpimy, tym większą ma frajdę.

Anna zakryła usta, przerażona tym, co ten człowiek musiał przejść, zapewne w dzieciństwie.

- Przykro mi - szepnęła. - Naprawdę bardzo. Ale nie wiem, co to ma wspólnego...

- Musiałem z nim grać - ciągnął, jakby w ogóle jej nie słyszał. - Przez ciebie i przez tę starą sukę.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. To nie była policja. Anna wydała kolejny okrzyk, widząc Jaye. Czyżby nie uciekła? Nie sprowadziła pomocy? Dziewczyna skoczyła na plecy Adama i z całych sił wbiła paznokcie w jego ramiona, a on krzyknął z bólu i wypuścił pistolet.

Anna rzuciła się na podłogę, żeby go podnieść, lecz Adam, który odzyskał równowagę, kopnął go w kąt. Zaraz potem przekreślił się i strząsnął Jaye z pleców. Dziewczyna spadła, uderzając głową w ścianę.

- Jaye! - rozpaczliwie krzyknęła Anna i przyskoczyła do przyjaciółki.

- Nic mi nie jest - jęknęła Jaye. - Pisto...

Za późno. Kiedy się po niego schyliła, Adam z powrotem miał go w dłoni. Wyprostował się, celując w Annę.

Jaye znowu się na niego rzuciła.

- Gdzie jest Minnie?! - krzyknęła. - Co z nią zrobiłeś?! Jeśli tylko...

Tym razem Adam poradził z nią sobie bez najmniejszych problemów. Chwycił ją mocno i przycisnął do piersi. Jaye walczyła jak tygrysyca, gryząc i kopiąc.

- Jeśli zrobiłeś jej coś złego, to pożałujesz!

Adam zaśmiał się.

- Już się boję.

- Minnie, gdzie jesteś?!

Adam nagle wypuścił Jaye. Gwałtowny skurcz przebiegł przez całe jego ciało. Anna aż otworzyła usta, widząc jego twarz. Wyglądał teraz delikatniej i młodziej. Skurczył się, by stać się jak najmniejszym, i niczym dziecko rozejrzał się nieufnie dookoła.

- Jestem tu, Jaye - wydobył z siebie cichy, dziecięcy szept. - On nic mi nie zrobił.

Anna zastygła, a przerażona Jaye odskoczyła od Adama.

- Mi... Minnie?

Adam wyciągnął pistolet. Ręka mu drżała, a w oczach pojawiły się łzy.

- Będiesz ze mnie dumna, Jaye. Tak się bałam, a jednak wezwałam śledczego Malone'a. Ben mi o nim mówił. On...

Następny skurcz wstrząsnął ciałem Adama. Po nim nastąpiła kolejna transformacja. Jego twarz nabrała ostrzejszych rysów i zaraz potem wykrzywiła się w dzikiej wściekłości.

Anna próbowała zrozumieć to, co przed chwilą widziała. Zerknęła na Jaye. Przyjaciółka siedziała oparta o ścianę, z oczami szeroko otwartymi z przejęcia i niedowierzania.

Adam i Minnie to ta sama osoba! Ale jak to możliwe?! Jak...

- Lubisz pływać łódką, Harlow? Czy może trochę boisz się wody? Pamiętasz, zawsze się bałaś? Wody i tych wszystkich oślizłych stworzeń, które się w niej czaiły.

Anna rzeczywiście miała kiedyś obsesję na punkcie wody. Tylko skąd on mógł o tym wiedzieć? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Adam szatańsko zachichotał. Anna zadrżała, słysząc ten złowieszczy odgłos.

- Kłamiesz, Harlow. - Spojrzył na Jaye. - No już, wstawaj, dość tego leniuchowania.

Wybieramy się we trójkę na małą wycieczkę.

- Nie! - Anna zasłoniła sobą Jaye. - Puść ją. Nie ma z tym przecież nic wspólnego.

- Tak jak ty ze mną. - Skrzywił się. - No, szybciej!

- Proszę, przecież obiecałeś - wyrzuciła z siebie z rozpaczą. - Powiedziałeś, że jeśli zrobię, jak każesz, to ją wypuścisz!

- Cały problem z obietnicami, księżniczko, polega na tym, czy można w nie wierzyć. Sama powinnaś to wiedzieć najlepiej.

- Nic nie rozumiem. O co ci chodzi? Dlaczego to robisz? Dlaczego...?

- Mam ją zastrzelić od razu? - Odbezpieczył pistolet. - Żaden problem.

- Nie! - Anna zrobiła krok w jego stronę, chcąc całkowicie odgrodzić go od dziewczyny. Adam nacisnął spust. Kula świsnęła tuż koło jej głowy i uderzyła w ścianę.

- Dosyć zabawy - mruknął. - Idziemy.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Środa, 7 lutego, godz. 15.45

Minnie dzwoniła z przystani położonej koło warsztatu Smileya, tuż za starym mostem w Manchac. Od tego miejsca dzieliło go zaledwie parę kilometrów i Quentin zacisnął palce na kierownicy.

Udało mu się tutaj dotrzeć w niecałe trzydzieści minut. Jednak jemu się wydawało, że trwało to całą wieczność. Kapitan dzwoniła do niego w czasie jazdy, udzielając dalszych wskazówek. Skontaktowała się już z miejscową policją i ktoś miał czekać na niego przy przystani.

Odezwał się też Johnson, który oddał zdjęcie Anny i Bena do laboratorium. Fotografia okazała się sprytnym fotomontażem z wykorzystaniem techniki komputerowej. Quentin zaklął. Ben specjalnie ją zrobił, żeby odwrócić od siebie podejrzenia. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić autentyczność tej fotografii?!

Minął warsztat Smileya. Tuż przed nim znajdowała się przystań. Zgodnie z obietnicą, czekało tu na niego kilku policjantów.

Quentin wyskoczył z wozu i podszedł do najstarszego rangą oficera.

- Śledczy Quentin Malone - przedstawił się.

- Davy Pierce, zastępca szeryfa. - Uścisnęli sobie dłonie. - Wiemy wszystko od pańskiej szefowej. Pomożemy, jak tylko będziemy mogli.

- Dziękuję panu, szeryfie.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego.

- Mów mi Davy. Wszyscy tutaj w policji mówimy sobie po imieniu.

Malone skinął głową.

- Jasne. Jestem Quentin. Co macie?

- Niewiele. Znaleźliśmy samochód Anny North półtora kilometra stąd. Kluczyki były w środku. Nikogo nie było w pobliżu.

- Cholera! - zaklął Quentin i spojrzał w stronę przystani. - Czy stróż ją...

- Nie, nikt jej nie widział - wpadł mu w słowo zastępca szeryfa. - Stróż nie zauważył nawet jej samochodu.

- Gdzie on jest?

- Chodź, przedstawię cię. - Ruszyli po żwirze i połamanych muszlach w kierunku niewielkiego drewnianego budynku. - Nazywa się Sal St Augustine. Mieszka tu od dziecka i

zna to miejsce jak własną kieszeń.

Sal był pomarszczonym staruszkciem o skórze przypominającej grzbiet aligatora. Jego głęboko osadzone, niebieskie oczy patrzyły bacznie. Quentin był pewny, że nic nie umknęłoby jego uwagi.

- Czym mogę służyć? - spytał.

- Szukamy rudej kobiety. Bardzo ładnej. Przyjechała tu białą toyotą.

- Tą, którą znalazł Davy? Nie widziałem jej. Musiałem robić coś na łódce. - Wskazał nieco oddaloną szopę. - To jedyny warsztat w okolicy. Mam masę roboty.

Quentin nie potrafił ukryć rozczarowania.

- To może widział pan małą dziewczynkę, która dzwoniła z telefonu przy warsztacie? To było jakąś godzinę temu...

Sal zdjął czapkę bejsbolową i podrapał się w łysą głowę.

- Nie, nie było tu żadnej dziewczynki, tylko jakiś facet korzystał z telefonu. Dziwny jakiś. Skradał się tu na paluszkach.

Quentin wbił w niego wzrok.

- Jak wyglądał?

- Miał ciemne, trochę kręcone włosy. - Sal włożył czapkę, nasuwając daszek na oczy. - Dość szczupły i taki jakiś blady...

- Blady? - powtórzył Quentin. - Nie miał na głowie kapelusza?

Sal potarł czoło.

- Nie.

Ten opis pasował zarówno do Bena, jak i do portretu sporządzonego na podstawie opisu Louise Walker. Quentin zerknął na Davy'ego.

- Czy któryś z twoich chłopaków mógłby zadzwonić do mojej szefowej? Niech prześle nam faksem portrety Bena Walkera i Adama Fursta.

- Jasne.

Kiedy zastępca szeryfa się oddalił, Quentin powrócił do rozmowy.

- Widział pan tu wcześniej tego faceta?

- Nawet sporo razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nigdy przedtem. Ale teraz go tutaj nie ma.

- Wyjechał? - podchwycił Quentin.

- Tak, popłynął łódką. Sam dolewałem mu paliwa.

Pogrążony w myślach Quentin obrócił się w stronę wody. Rybacy byli zwykle opaleni, tak jak Sal i Davy. Wiedzieli też, co znaczy tutejsze słońce, nawet w czasie zimowych

miesiący. Co więc mógł tutaj robić blady facet bez kapelusza?

- To ten! Nie ma sensu sprawdzać! - krzyknął Quentin do zastępcy szeryfa.

- W pobliżu jest obóz rybacko-myśliwski - odezwał się Sal. - Właściciele go wynajmują.

- Gdzie?

Staruszek machnął ręką w stronę grobli.

- Można tam dojechać drogą, ale lepiej od strony wody. Dlatego, że droga kończy się ślepo po jakichś dwóch kilometrach - wyjaśnił.

Ale woda się nie kończy, pomyślał Malone. Jest to olbrzymia przestrzeń z rozlewiskami i ukrytymi zatokami. Wiele z nich znajduje się w miejscach zupełnie niedostępnych od strony lądu. Ten sukinsyn chciał uciec tą drogą!

Quentin spojrzał na Davy'ego.

- Będziemy potrzebować łodzi.

- Są w drodze. Na wszelki wypadek urządzimy blokadę na grobli. Wyślę też paru mundurowych, żeby przeszukali obozowisko.

- Tylko powiedz im, żeby bardzo uważali - mruknął, znowu spoglądając na jezioro Maurepas. - Ten facet to zabójca.

Po pięciu minutach mieli do dyspozycji trzy motorówki, a także uzbrojonych ludzi, gotowych przeszukać obozowisko. Quentin wolał łódkę. Miał nadzieję, że w ten sposób szybciej złapie Adama i ocali Annę.

Malone wsiadł do swojej motorówki wraz z policjantami z Manchac. Była to mała łódź z podnoszonym motorem yamaha. Miała płaskie dno i nie była zbyt szeroka. Zaprojektowano ją tak, by mogła pływać po płytkich wodach i mokradłach, a także w miejscach porośniętych trzcinami i niedostępnych dla innych łódek.

Quentin ściągnął brwi. Gdyby planował to, co Ben Walker, wybrałby do tego celu odleglejsze wody. Trzymałby się z daleka od terenów łowisk i w ogóle ludzi. Staralby się zostawić ciała tam, gdzie nikt nie mógłby ich znaleźć, oczywiście poza aligatorami. A potem by odpłynął.

- Panie St Augustine! - Staruszek uniósł głowę, a Quentin wskazał ich motorówkę. - Czy tamten mężczyzna wynajął właśnie coś takiego?!

Sal skinął głową. Malone wyskoczył z łódki. Jego stopy zadudniły po pomoście.

- Quentin, co robisz?! - krzyknął za nim Davy.

- Zmieniłem plany. Mam inny środek transportu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Środa, 7 lutego, godz. 16.10

Anna siedziała wyprostowana na wąskiej ławeczce. Kiedy usłyszała koło ucha bzyczenie owada, odpędziła go związanymi rękami. Tuż obok siedziała drżąca i zapłakana Jaye. Nie rozmawiały. Adam związał razem ich dwie nogi. Poza tym skrępował, już oddzielnie, ich ręce. Gdyby uciekły albo łódka się przewróciła, miałyby niewielkie szanse na przeżycie.

Anna zdała sobie nagle sprawę z tego, że ich prześladowca dokładnie przemyślał wszystkie szczegóły tego, co miało nastąpić. Wcześniej znalazł łódź i obozowisko. Obmyślił też sposób, w jaki miały zginąć, a także drogę ucieczki dla siebie.

Starła się jednak o tym nie myśleć. Ani o tym, ani o zwierzętach zamieszkujących okoliczne mokradła. Nie chciała się poddać strachowi. Wiedziała, że inaczej będzie bezbronna. Przerazenie pozbawi ją siły. Nie pozwoli myśleć. Jeśli mu ulegnie, podpisze wyrok śmierci nie tylko na siebie, ale również na Jaye.

Motor pracował niezbyt głośno. Łódź płynęła przez ciemniejące jezioro. Resztki słońca przedzierały się przez gęste cyprysy i pokryte mchem konary dębów. Anna drżała, ponieważ zimne, wilgotne powietrze przenikało przez jej ubranie.

W pobliżu zauważyła węża, który ześliznął się z gałęzi cyprysu i zaczął pełznąć w stronę wody. Anna przeniosła wzrok na Adama.

- Dlaczego to robisz? - spytała. - Adamie, czym ci zawiniłam?

- Dlaczego? - powtórzył. - Chcę, żeby Harlow Grail poznała choć część z tego, przez co musieliśmy przejść. Chcę, żeby mała księżniczka zobaczyła, co to znaczy być porzuconym, zdradzonym i powoli umierać.

- Porzuconym? Umierać? Nic nie rozumiem.

- Pomyśl, Harlow. Przecież wiesz, kim jesteśmy. Zostawiłaś nas, chociaż obiecywałaś inaczej. Zdradziłaś nas.

Pokręciła głową w niemym przerażeniu. A potem, jakby godząc się z tym, co przed chwilą zaczęło do niej docierać, szepnęła zbielełymi wargami:

- Timmy? - A potem znowu potrząsnęła głową. - Nie, niemożliwe... To nie może być... Timmy nie mógł... przeżyć.

Adam jeszcze raz wyszczerzył zęby w obrzydliwym uśmiechu.

- Ale przeżył. Mały Timmy Price przeżył.

Anna aż krzyknęła ze zdziwienia. Ręce zaczęły jej się trząść.

- Timmy nie żyje! Kurt go zabił! Udusił na moich oczach!

- Pewnie by nie przeżył, gdyby nie ta stara suka. Tak bardzo chciała być matką.

- Nie wierzę ci. Jesteś potworem. Powiesz wszystko, żeby...

- Ona odratowała go, gdy Kurt zajął się twoim palcem - ciągnął Adam, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Pracowała w szpitalu, więc wiedziała, jak to zrobić. - Mężczyzna pochylił się w ich stronę. Jego twarz wykrzywił grymas nienawiści. - Timmy żył, kiedy go zostawiłaś.

Rozpacz na chwilę odebrała jej mowę. Kręciła tylko rytmicznie głową.

- Kłamiesz - wydusiła w końcu. - On już nie żył. Nie żył!

- Nie. Opuściłaś go. Obiecałaś, że będziesz się nim opiekować, ale go zostawiłaś. Z Kurtem.

Timmy przeżył. Anna nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała. Wciąż kręciła głową, a łzy lały jej się po policzkach.

- Myślałam, że nie żyje... Nigdy bym go...

- Nikt po niego nie przyszedł, Harlow. Nigdy. A on ci wierzył. Wciąż się modlił i czekał. Wierzył, że po niego wrócisz.

Nikt nie starał się go uratować, ponieważ powiedziała wszystkim o jego śmierci. To zupełnie nieprawdopodobne, pomyślała. Nie mogę w to uwierzyć. Ale uwierzyła, a ta prawda była bardziej bolesna niż cokolwiek, czego w całym życiu doświadczyła.

Anna patrzyła na Adama, szukając w nim cech, które pamiętała z dzieciństwa. Czy zostało w nim coś z tego miłego cherubinka, który wszędzie za nią biegał?

- Timmy - wyszlochała. - Czy to naprawdę ty?

Adam aż zazgrzytał zębami ze złości. Siedząca obok Jaye przywarła do niej przestraszona.

- Timmy?! Nie jestem żadnym Timmym! Tym zasmarkanym, płaczącym słabeuszem, który wciąż chciał do mamy albo do „swojej Hallow“. Dlatego pojawiłem się ja! - Wskazał lufą własną pierś. - Ja jestem silny. Taki jak Kurt.

Anna starała się to wszystko zrozumieć. Nagle przypomniała sobie rozmowę z Benem i to, co mówił o dysocjacyjnych zaburzeniach tożsamości. Zapamiętała nawet ten termin. Wtedy, w „Café du Monde“, Ben opowiadał jej o dzieciach, które z powodu strasznych doświadczeń stawały się kilkoma osobami jednocześnie. I o tym, jak to się później objawiało w ich dorosłym życiu. Jedna osobowość ulegała wówczas rozszczepieniu na dwie lub więcej osobowości, przy czym każda z nowo powstałych „osób“ mogła, ale nie musiała wiedzieć o

pozostałych. Z jednym wyjątkiem.

Anna szukała w pamięci dalszych szczegółów. Ben mówił, że psychika broni się w ten sposób przed traumatycznymi doświadczeniami, a można to zaobserwować u tych dorosłych, którzy doświadczyli w dzieciństwie sadyzmu. Kolejne „osoby“ podporządkowane są... Zaraz, komu? Tej pierwszej „personie“, która powstała w wyniku traumy. Szukała dalszych informacji, ale poczuła pustkę w głowie.

Wiedziała jednak, że Adam przejął osobowość Kurta.

- Więc jesteś taki jak Kurt - powiedziała drżącym głosem. - A Ben? Skąd się wziął Ben?

- Ten mięczak? Został grzecznym synkiem mamusi. Dobrze się uczył, skończył studia. - Adam skrzywił się szyderczo. - Był naprawdę żaloszny. Nie widział tego, że to właśnie ja ciągle mu pomagam. Że załatwiam za niego wszystkie gardłowe sprawy. A jemu się wydawało, że sam jest taki wspaniały!

Więc Ben był osobowością służebną i nie zdawał sobie sprawy z istnienia Adama. Anna nagle poczuła się znacznie lepiej.

- To ja w końcu zająłem się Kurtem. - Adam potrząsnął bronią. - Tak, ja. Przez te wszystkie lata, kiedy się go bałaś, Kurt gnął w ziemi. Dzisiaj załatwiłem starą sukę. Teraz kolej na małą Harlow.

- Żeby wyrównać rachunki?

- Tak, do cholery - rzekł dumnie. - Bardzo łatwo udało mi się podejść wspaniałą Savannah Grail. Wystarczyło wykorzystać jej próżność i poczucie winy, a podała mi swoją córkę jak na talerzu. Matka Bena zawsze robiła, co jej kazałem. Bez gadania przeniosła się do Nowego Orleanu, a ja wiedziałem, że Ben pojedzie za nią. Od razu pomyślał, że działała pod wpływem choroby. Robił wszystko tak, jak przewidywałem. Podobnie zresztą jak Minnie. Mam nad nimi pełną kontrolę.

- Naprawdę? - Anna uniosła brwi. - Zdaje się, że Minnie narobiła ci trochę kłopotów.

- Tak, Minnie okazała się spryciarą. Nie spodziewałem się, że skontaktuje się z Benem, a potem jeszcze zadzwoniła na policję. Ale nie mogę się tak naprawdę na nią złościć, bo przecież bardzo mi pomogła. Zwłaszcza wtedy, kiedy Kurt zapraszał swoich kolegów. Byli naprawdę mili, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Minnie robiła im...

- Przestań! - odezwała się nagle Jaye. - Nie masz prawa nic o niej mówić!

Adam spojrzał ostro na Jaye.

- Zamknij się. Mam z tobą same kłopoty.

Powiedział to lekkim, konwersacyjnym tonem, jakby mówił o pogodzie, ale Anna

postanowiła jak najszybciej odwrócić jego uwagę od Jaye.

- Więc Ben nie wiedział o tobie i o Minnie? Ani... o mnie?

Adam skrzył sterem i wpłynęli na płytkie wody zatoki.

- Nie. Chętnie by ci przychylił nieba.

Annie zrobiło się niedobrze. Wyobraziła sobie nagle ogrom cierpienia, przez które musiał przejść mały Timmy. Nic dziwnego, że musiał się przed tym jakoś bronić.

- A co z Timmym? - spytała. - Gdzie teraz jest?

Na ustach Adama pojawił się lekki uśmiech.

- Odszedł.

- Odszedł? - powtórzyła. - Nie rozumiem.

Chrząknął zniecierpliwiony.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Nie chcę ci nic więcej mówić.

Anna zignorowała tę uwagę.

- Nie mógł odejść. Jesteś jego częścią.

- Zamknij się!

- Timmy, to ja, Harlow. Jesteś tam?

- Stul pysk! - rzucił jeszcze ostrzej.

- Przepraszam cię. Nie wiedziałam. Powiedzieli mi, że nie żyjesz. - Pochyliła się w jego stronę, rozmazując łzy na policzkach. - Na pewno bym wróciła, gdybym wiedziała. Tak cię kochałam... - Chlipnęła parę razy. - Twoja mama... prawdziwa mama też cię kochała. Zmarła parę lat temu, ale do końca życia chodziła w żałobie. Tak bardzo za tobą tęskniła!

Adam zadrżał. Skurcz znowu przeszedł przez jego ciało, a twarz nabrała delikatnych rysów dziecka. Jednocześnie przesunął się na brzeg ławeczki, jakby nie wiedział, skąd się tutaj wziął i co ma dalej robić. W tym momencie Anna zobaczyła chłopca, którego kiedyś знаła. Zobaczyła Timmy'ego. Jednak dziecko zaraz zniknęło. Jego rysy wyostrzyły się i znowu miała przed sobą Adama.

Anna próbowała nie myśleć w tej chwili o swoim bólu i żalu, i tylko starała się skupić na transformacji, której przed chwilą była świadkiem. Jak do niej doszło? Jako to się działo? Przejście od jednej osobowości do drugiej zajmowało ułamek sekundy. Towarzyszył temu skurcz, jednak jeśli ktoś nie zwracał na to szczególnej uwagi, mógł on uchodzić za dosyć naturalny.

Gdyby działała szybko, mogłaby w czasie którejś z tych przemian wyrwać Adamowi pistolet. Ich prześladowca wyglądał na coraz bardziej zmęczonego. Być może męczyły go same transformacje, a może to, że wciąż musiał kontrolować pozostałe osoby, które chciały

się z niego wydostać. Mogła tylko mieć nadzieję, że zarówno Minnie, jak i Ben widzą, co się w tej chwili dzieje. Jeśli tak, istniała szansa, że uda im się powstrzymać Adama.

Mężczyzna wyłączył silnik, jednak zamiast ciszy usłyszeli gdzieś w oddali inną motorówkę. Adam spojrzął do tyłu, a potem znowu na nie.

- To pewnie rybacy - mruknął.

- Skąd ta pewność? - rzuciła prowokacyjnie.

Chciała go wyprowadzić z równowagi i w ten sposób osłabić, jednak Adam tylko machnął pistoletem w stronę brzegu.

- Wstawać!

Jaye zaczęła płakać. Anna zeszywniała.

- Nie.

- Wstawać, albo od razu was zastrzelę.

Widząc, że nie żartuje, wstała i pociągnęła za sobą Jaye. Łódź zachwiała się niebezpiecznie. Hałas motoru wciąż narastał.

- Wybrałem to miejsce, bo aż się tu roi od aligatorów. Gniazdują tu na wiosnę i w lecie. - Zaśmiał się i wskazał łufą obły kształt na brzegu. - Widzicie tamtego? Ma chyba z sześć metrów i założę się, że jest bardzo głodny.

Anna walczyła ze strachem.

- Zostaw Jaye w spokoju. Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobisz, ale ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Anno! - dobiegł do nich głos znad mokradeł.

- Jaye!

Quentin! Anna poczuła nagle wielką ulgę.

- Jesteśmy tutaj! - krzyknęła. - Tutaj!

- Stul pysk! Mówi...

- Quen! - krzyknęła raz jeszcze. - Chodź szybko! Chodź!

Adam wybuchnął dzikim śmiechem, który rozniósł się po całych mokradłach. Jednocześnie odbezpieczył broń.

- Dobrze, pokrzycz sobie! Za późno, Harlow Grail. Możesz pożegnać się z życiem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Środa, 7 lutego, godz. 16.30

Ben z przerażeniem patrzył z pustki, jak Adam mierzy w pierś Anny. Próbował się uwolnić, ale Adam był za silny. Nie chciał go wypuścić czy raczej wpuścić.

- Dosyć! - powtarzał. - Zostaw ją! Nie zabijaj jej! Słyszysz mnie?!

Wiedział, że Adam go słyszy. Podczas ostatnich kilku dni poddał się intensywnemu szkoleniu, dzięki czemu nauczył się w pełni świadomie funkcjonować jako jedna z osób, która powstała w osobie chorej na dysocjacyjne zaburzenie świadomości. Udało mu się dotrzeć do wspólnej świadomości i nauczyć się koordynować głosy we wspólnej głowie. Mógł więc porozumiewać się zarówno z Minnie, jak i z Adamem. A stało się tak dzięki Minnie, która skontaktowała się z nim poprzez swój pamiętnik. To ona pierwsza dała mu znać, co się naprawdę dzieje. Zrozumiał, że jedna powłoka cielesna służy kilku postaciom, które wprowadzają się ze sobą powiązane i zhierarchizowane, ale zarazem każda z nich posiada swoją odrębną, autonomiczną tożsamość i osobowość. Lecz wszystkie one powstały z jednej rzeczywistej osoby, która powołała je do życia, by w ich przebraniu uciec przed cierpieniem.

Teraz wiedział, że jest wprawdzie Benem Walkerem, ale współistnieje wraz z Adamem Furstem i Minnie. A raczej, że wszyscy troje byli chłopcem, który kiedyś był Timmym. Kiedy to do niego dotarło, popadł w przerażenie. Zaczął rozpaczać, jakby nigdy nie zajmował się tym problemem. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że jest taki sam jak ci biedni ludzie, którzy w poczuciu ostatecznego zagubienia zgłaszali się do niego na psychoterapię, a on kierował ich do szpitali psychiatrycznych.

Dopiero teraz zrozumiał swoje częste bóle głowy, a także luki w pamięci, twarde sen i uczucie, jakby wcale nie spał, tylko ciężko pracował. No i wreszcie pojął, na czym polegała tragiczna dezorientacja matki. Wszystkie fragmenty układanki doskonale do siebie pasowały. Miał klasyczne symptomy ciężkiej i niezwykle skomplikowanej choroby psychicznej. Dobry Boże, jak to możliwe, że wcześniej tego nie dostrzegał?! Przecież na co dzień stykał się z podobnymi przypadkami.

Och, gdyby Minnie skontaktowała się z nim wcześniej! Wtedy nie pozwoliłby, żeby Adam zabił te wszystkie kobiety.

- Musimy coś zrobić - usłyszał głos Minnie. - Musimy je uratować!

Już przedtem porozumieli się w tej sprawie. Ustalili, że tylko razem zdołają powstrzymać Adama. Zaczekają na odpowiedni moment i spróbują się wyswobodzić, a resztę

zrobi ten, komu się powiedzie. To wszystko.

- Teraz! - wspólny okrzyk wypełnił pustkę.

Ben dopadł Adama. Kopał i szarpał, domagając się, by go wypuścił czy raczej wpuścił. Minnie podążyła za nim. Adam osłabł. Ben szykował się do ostatecznego ataku, ale Minnie przemknęła tuż obok. Niemal się otarł o nią w pustce. Apotem patrzył, jak skierowała na siebie pistolet.

- Ani chwili wahania - ponaglał ją. - Naciśnij spust!

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Jaye. Nie pozwolę, by cię skrzywdził.

Odgłos wystrzału przeciął powietrze.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Osiem tygodni później

Dzielnica Francuska

Mimo że zima 2001 roku była jedną z najchłodniejszych, do Nowego Orleanu zawitała w końcu wiosna. Zakwitły azalie, drzewa błyskawicznie rozwinęły pąki i wkrótce okryły się młodą zielenią.

Anna wciągnęła głęboko przesycone zapachami powietrze i ścisnęła mocniej dłoń Quentina. Skończyli właśnie obiad z Jaye i sporą częścią klanu Malone'ów w restauracji przy Jackson Square, ciesząc się piękną pogodą oraz własnym towarzystwem i przyglądając się hordom turystów.

Anna czuła się trochę tak, jak ci ludzie. Każdy dzień był dla niej ciekawy i egzotyczny. Przyglądała się mu tak, jak oni niezwykłemu miastu. Wyzwolona ze strachu i wszelkich obaw, czuła się lekko i przyjemnie. Być może już wkrótce powróci do codziennego życia. Ale jeszcze nie teraz.

Malone'owie zaczęli się z nimi żegnać. Wkrótce i Jaye musiała się zbierać. Na pożegnanie pocałowała Annę w policzek.

- Lecę już, bo Fran zabiera mnie na zakupy. W Abercrombie jest wielka wyprzedaż.

Anna uśmiechnęła się, zadowolona, że Jaye powróciła do swojej rodziny.

- Chyba lepiej ci teraz idzie z Clausenami, nie mylę się?

- Może być. Jak do tej pory nie pożarli jeszcze żadnego niewinnego dziecka. - Jaye łobuzersko mrugnęła do niej.

Fran Clausen płakała ze szczęścia, kiedy Jaye z powrotem pojawiła się w jej domu. Przeprosiła ją za to, że uwierzyła w jej ucieczkę, a dziewczyna wybaczyła przybranej matce, co było oznaką jej coraz większej dojrzałości. Być może wzruszyły ją też łzy Clausenów. Nikt wcześniej nie witał jej z taką radością.

Tragiczne przeżycia bardzo ją zmieniły. Jaye stała się bardziej zamknięta w sobie i skłonna do refleksji, ale też łatwiej wybaczała innym błędy i niedociągnięcia. Natomiast to, że otarła się o śmierć, dało jej poczucie smaku i sensu życia.

- Chętnie ich wyęcę - zaśmiała się Anna, ściskając przyjaciółkę. - Baw się dobrze.

Odprowadziła ją wzrokiem, a potem oparła się na ramieniu Quentina.

- Zrobiło się tak cicho - zauważyła.

Quentin uśmiechnął się i skinął głową.

- To prawda. Moja rodzina jest trochę hałaśliwa, a gdy zbierzemy się wszyscy do kupy, naprawdę można ogłuchnąć.

Anna potrząsnęła głową.

- Są boscy, zarówno w grupie, jak i każdy z osobna. Wiesz, że miałeś szczęście?

Quentin spojrzął jej w oczy.

- Tak, wiem. - Zrobił pauzę. - Bo mam ciebie.

Westchnęła, myśląc o tym, jak niewiele brakowało, żeby ją stracił na zawsze. Mimo całej radości, wciąż nie mogła przestać myśleć o Timmy. Czasami śnił jej się, ale taki, jakim go знаła w dzieciństwie. Miły i niewinny. Wierzyła, że jest teraz szczęśliwy i że znalazł w końcu matkę, swoją prawdziwą matkę... Tę, która nigdy nie przestała go kochać.

Wstali. Anna wspięła się na palce i pocałowała Quena w policzek.

- Dzięki za uratowanie. Chociaż czasami mam wrażenie, że działałeś z pobudek osobistych.

- Wyłącznie. - Quentin nagle spowaźniał. - Widziałem się dzisiaj z Terry.

- I co?

- Kiepsko. Źle przyjął przeprowadzkę Penny do Lafayette. Terapia dobrze mu robi, ale psychiatra ostrzegł, że to może zająć sporo czasu. Taki już jest ten Terry - dodał cieplejszym tonem.

Ścisnęła jego ramię.

- Przynajmniej ma ciebie.

- Wszyscy staramy się mu pomóc. Ciotka odwiedza go regularnie, inni koledzy też... Już wiadomo, że po skończonej terapii będzie mógł wrócić do pracy. Patti sama to wywalczyła.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- A jak tam nowa książka? - spytał ją nagle Quentin.

Wiedział, że idzie jej nieźle. Trzy duże wydawnictwa walczyły o to, żeby ją pozyskać, dzięki czemu dostała niebotyczną zaliczkę i mogła spodziewać się jeszcze większego honorarium. Jej nowy wydawca był pewny, że książka stanie się bestsellerem. Już teraz towarzyszyło jej olbrzymie zainteresowanie, zarówno z powodu porwania, jak i ostatnich wydarzeń. Wydawca chciał, żeby objechała z nią cały kraj, chociaż miała za sobą zaledwie dwa rozdziały.

Anna uniosła wyżej głowę.

- Świetnie. A wydawnictwo jest naprawdę w porządku.

Potrząsnęła głową, nie mogąc nadziwić się samej sobie. Już niedługo będzie brała

udział w różnych programach, odpowiadając na pytania dotyczące przeszłości. Kto wie, może narazi się w ten sposób jakiemuś innemu psychopacie... A mimo to w ogóle się nie bała.

Obiecała sobie, że już nigdy nie wpadnie w popłoch i nie wycofa się z życia. Musi przecież dokonywać wyborów i podejmować ryzyko, a nie chować się jak mysz pod miotłą. Musi zapełnić czymś przestrzeń między narodzinami a śmiercią.

Przed nimi ukazała się jej kamienica. Anna szturchnęła Quentina łokciem.

- Ale i tak to wszystko przyszcz w porównaniu z tym, czego ty dokonałeś. Nie sądziłam, że pójdziesz ci tak łatwo.

Pokiwał głową.

- Ja też nie mogę uwierzyć, że przyjęli mnie na prawo w Tulane. Wyobraź sobie, Quentin Malone, przyszły prokurator... Jeśli mnie nie wywałą - dodał po chwili.

- Na pewno nie wywałą. - Przytuliła się do niego. - Wiem, że jesteś dobry.

- Naprawdę? - Ujął jej twarz w dłonie.

- Naprawdę.

Pocałował ją. Mocno i namiętnie.

- Hm, miło was widzieć.

Alphonse Badeaux i Pan Bingle zatrzymali się tuż obok. Obaj uśmiechnięci od ucha do ucha. Anna poczuła, że jej policzki płoną.

- Alphonse, kiedy tu przyszedłeś? Dawno tu jesteś? Nic nie słyszałam.

- Nic dziwnego - zaśmiał się staruszek.

- Miło pana widzieć - wtrącił Quentin. - Jak się miewa Pan Bingle?

Uścisnęli sobie dłonie.

- Obaj nie możemy narzekać. Nareszcie możemy wygrzać stare kości.

Anna kucnęła i podrapała buldoga za uchem.

- Zajrzyjcie kiedyś na mrożoną herbatę. Mam ciasteczka dla Pana Bingle'a. Jego ulubione.

- Dziękuję, Anno. - Alphonse się rozpromienił. - Na pewno wpadniemy. Tak swoją drogą, przysłała do ciebie jakaś paczka. Koło jedenastej.

Anna poczuła się tak, jakby cofnął się czas. To się już zdarzyło. Spojrzała na budynek, a potem na sąsiada.

- Czy listonosz wrzucił ją przez ogrodzenie?

- Nie, zaniósł na górę. Furtka znowu była niedomknięta, a drzwi otwarte. - Chrząknął znacząco. - Powinnaś o tym pogadać z dziećmi spod czwórki, ale to oczywiście nie moja sprawa...

Anna podziękowała mu, pożegnała się i oboje z Quentinem ruszyli na górę. Zgodnie z zapowiedzią Alphonse'a, znaleźli paczkę pod drzwiami.

Owinięta w brązowy papier, wyglądała na książkę albo kasetę wideo. A jeśli koszmar wcale się nie skończył? Jeśli będzie trwał bez końca?

Quentin spojrzał na nią z niepokojem.

- Nic ci nie jest?

Uniosła w górę brodę.

- Nie, nic.

Anna wypuściła nagromadzone w płucach powietrze i podniosła paczkę. Wyglądała ona tak, jakby ją rozjechała ciężarówka. Była brudna, a papier gdzieś podarty.

Spojrzała na adres zwrotny. Od Bena. Popatrzyła na Malone'a, czując, jak zaczynają jej się trząść ręce.

- To chyba nie...

Quentin pochylił się i przeczytał nazwisko nadawcy, a następnie ścisnął jej ramię.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Kiedy rozdarła papier, zobaczyli dwa zeszyty. Malone widział jeden z nich na biurku Bena, a drugi był ozdobiony kwiatkami i serduszkami. W paczce był jeszcze krótki list, który przeczytała szeptem.

Kochana Anno!

Jeśli ta przesyłka do Ciebie dotarła, to znaczy, że udało mi się powstrzymać Adama. A ja prawdopodobnie nie żyję. Czytaj i postaraj się zrozumieć.

Twój Ben

Zrobiła to, o co prosił. Skuliła się na swojej kanapie i zaczęła lekturę. Pamiętnik Minnie był nie tylko zapisem przerażających doświadczeń i rozpacz, lecz również próbą wyzwolenia się z tego. Wspaniałym świadectwem wlotów i upadków ludzkiego ducha. Zaś notatnik Bena zawierał historię człowieka, który stanął przed głębią własnej tajemnicy. Próbę zrozumienia i pogodzenia się z tym, co go spotkało, a także rozpaczliwą próbą samoleczenia, która w końcu spełzła na niczym.

Obie historie były pisane w pierwszej osobie i zupełnie innymi charakterami pisma. Ben i Minnie inaczej postrzegali Adama i inaczej próbowali z nim walczyć, było jednak jasne, że dążą do tego samego, czyli do wyzwolenia.

Z notatnika Bena dowiedziała się, że Timmy nie potrafił stawić czoła swojej sytuacji i praktycznie przestał istnieć. „Zasnął głęboko“, jak pisał Ben. Pierwszy pojawił się Adam, a po nim Ben i Minnie. Każde z nich miało oddzielną rolę i początkowo jedynie Adam zdawał

sobie sprawę z tego, że nie jest sam w ciele Timmy'ego.

Anna poznała też historię Minnie. Dowiedziała się, że dziewczynka pokochała Jaye i tylko dla niej zebrała się na odwagę i zaczęła walczyć ze swoją słabością. Udała się po pomoc do Bena. A on, gdy już zdołał pogodzić się z sytuacją, zaczął rozpaczliwie poszukiwać drogi ratunku. Chciał uzdrowić sam siebie. Szukał w książkach sposobu na to, jak przejąć kontrolę nad Adamem. Niestety, było już za późno. Zabrakło mu czasu.

Kiedy skończyła lekturę, siedziała przez chwilę bez słowa, a potem się rozplakała. Quentin przytulił ją mocno.

- Nigdy ich nie zapomnę - szepnęła. - Ani Timmy'ego, ani Bena i Minnie. Będę im zawsze wdzięczna za to, co dla mnie zrobili.

- Wiem, kochanie - szepnął, gładząc ją po głowie. - Przykro mi, że to się właśnie tak skończyło.

Uniosła głowę, niewiele widząc przez łzy.

- Dzieci są darem. Powinniśmy je chronić i kochać, a nie... - głos się jej załamał. - Nie pozwolę, żeby to tak zostało. Muszę coś zrobić... Pisać...

Przez moment milczał, jakby nie wiedząc, co powiedzieć. A potem pogładził ją delikatnie po twarzy.

- Kocham cię, Harlow.

Te słowa podziały na nią jak balsam. Nareszcie zrozumiała, kim naprawdę jest. Postanowiła, że nie będzie się już chować pod przybranym nazwiskiem.